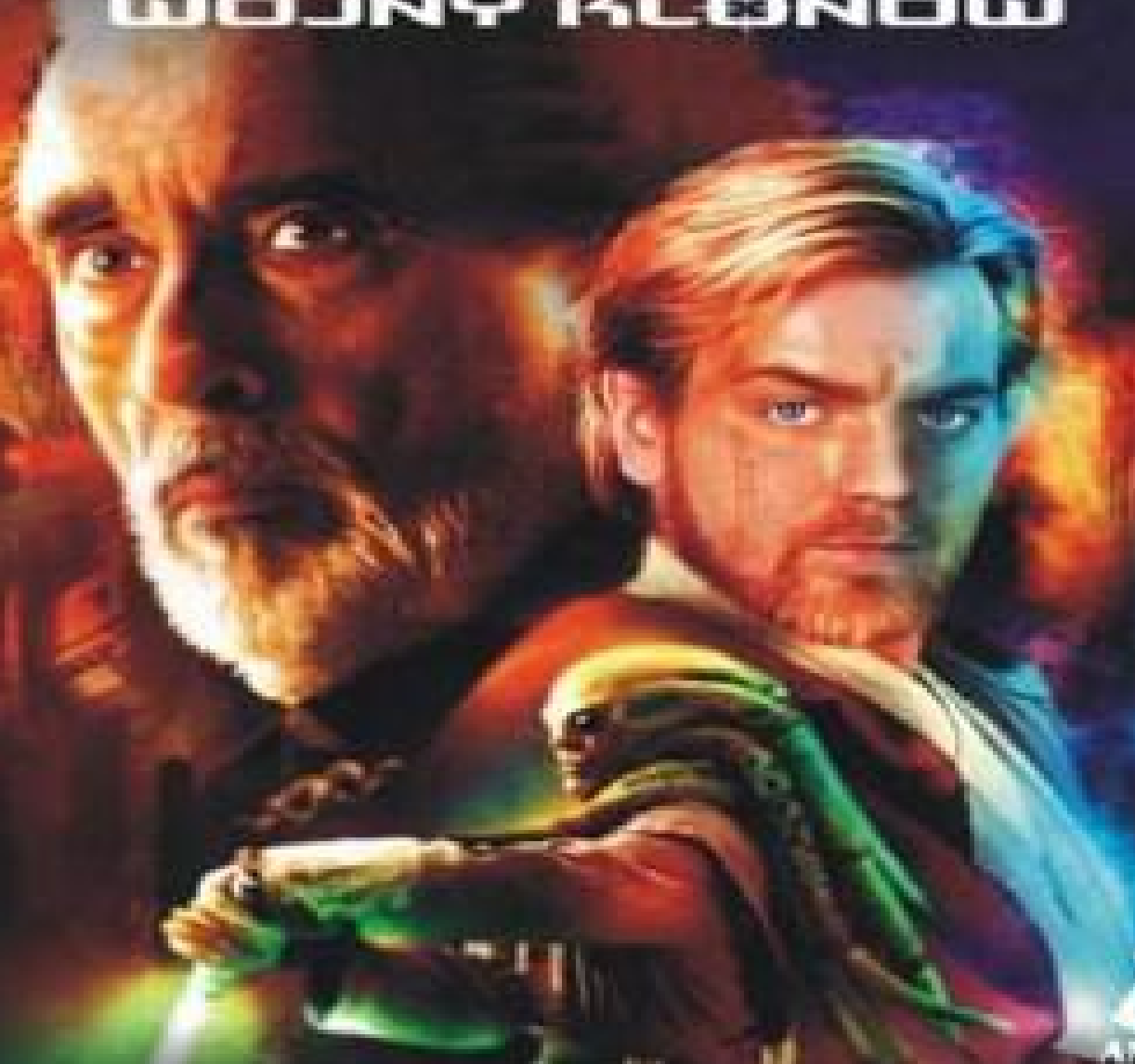


STAR WARS

WOJNY KLONÓW



SPISEK NA CESTUSIE
STEVEN BARNES

SPISEK NA CESTUSIE

STEYEN BARNES

Przekład

Aleksandra Jagiełowicz

Tytuł oryginału THE CESTUS DECEPTION

Redaktor serii ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

ANNA MATYSIAK

Ilustracja na okładce STEYEN D. ANDERSON

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 2004 by Lucasfilm Ltd. & TM.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

Published originally under the title The Cestus Deception

by Ballantine Books.

For the Polish edition

Copyright © 2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1914-0

Dla mojego nowego syna, Jasona Kaia Due-Barnesa. Witaj na świecie, kochanie.

CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

Po wojnie o Geonosis Republika pogrążyła się w nowym konflikcie. Po jednej stronie znalazła się Konfederacja Niezależnych Systemów (zwana separatystami) pod wodzą charyzmatycznego hrabiego Dooku, cieszącego się poparciem wielu potężnych gildii i organizacji handlowych wraz z ich armiami robotów.

Po drugiej stronie stanęli lojaliści Republiki wraz z nowo utworzoną armią klonów pod przywództwem Jedi. Wojna toczy się na tysiącach frontów, z wielkim poświęceniem i heroizmem po obu stronach.

Miesiące po *Ataku klonów*

0 Bitwa o Geonosis

0 Pościg za hrabią Dooku

1 Bitwa o Raxus Prime

1 Projekt „Czarny Kosiarz”

1,5 Spisek na Aargau

2 Bitwa o Kamino

2 Durge i Boba Fett

2,5 Obrona Naboo

6 Devarońska pułapka

6 Kryzys na Haruun Kai

6 Zabójstwo na Nuli

12 Zagrożenie ze strony biorobotów

15 Bitwa o Jabiim

24 Ofiary z Drongar

30 Podbój Praesitlyn

BOHATEROWIE POWIEŚCI

GRUPA CORUSCANT

Obi-Wan Kenobi rycerz Jedi (mężczyzna)

Kit Fisto Mistrz Jedi (Nautolanin)

Doolb Snoil prawnik (Vippit z Nal Hutta)

Admirał Arikakon Baraka komendant superkrażownika (Kalamarianin)

Lido Shan technik (humanoid)

ŻOŁNIERZE KLONY

A-98, „Nate” żołnierz SOZ, rekrutacja i dowodzenie

CT-X270, „XUTOO” pilot

CT-36/732, „Sirty” logistyka

CT-44/444, „Forry” trening fizyczny

CT-12/74, „Seefor” łączność

CESTIANIE

Trillot przywódca gangu (samiec/samica rasy X'ting)

Fizzik towarzysz z miotu Trillot (samiec rasy X'ting)

Sheeka Tuli pilot (kobieta)

Resta Shug Hai członek Pustynnego Wiatru (samica rasy X'ting)

Thak Val Zsing przywódca Pustynnego Wiatru (mężczyzna)

Brat Nicos Fate (samiec rasy X'ting)

Skot OnSon członek Pustynnego Wiatru (mężczyzna)

PIĘĆ RODÓW Z CESTUS CYBERNETICS

Debbikin badania (mężczyzna)

Lady Por'ten energetyka (kobieta)

Kefka produkcja (humanoid)

Llitishi handel (Wroonianin)

Caiza Quill górnictwo (samiec rasy X'ting)

DWÓR CESTUSA

G'Mai Duris regentka (samica rasy X'ting)

Shar Shar asystentka regentki Duris(samica Zeetsa)

KONFEDERACJA

Hrabia Dooku przywódca Konfederacji Niezależnych Systemów (mężczyzna)

Komandor Asajj Ventress komandor armii Separatystów (kobieta, humanoid)

VOLUM E 531 NUMER 46

WIEŚCI Z HOLONETU

13.3.7

BAKTOID ZAMYKA KOLEJNE PIĘĆ FABRYK

Termin, Metalom. W oświadczeniu skierowanym do udziałowców Zakłady Zbrojeniowe Baktoid potwierdzają, że zamkną pięć kolejnych fabryk w obrębie Wewnętrznych Rubieży i Kolonii. Jest to bezpośredni skutek przepisów wydanych przez Republikę, które położyły kres programowi produkcji robotów bojowych.

Fabryki Baktoidu na Foundry, Ord Cestus, Telti, Balmorze i Ord Lithone zostaną zamknięte pod koniec miesiąca. W wyniku tego pracę straci około 12,5 miliona robotników.

Ustawy przyjęte przez senat osiem lat temu zmusiły Federację Handlową do rozwiązania sił bezpieczeństwa, które były największym odbiorcą automatów i pojazdów bojowych Baktoidu. Dalsze ograniczenia licencji na sprzedaż robotów bojowych podniosły ich cenę do poziomu zaporowego dla większości klienteli Baktoidu...

Przez pół tysiąclecia złote wieże Coruscant lśniły jak przepyszny klejnot koronny Republiki galaktycznej. Jego mosty i sklepienie solaria były jak żywe wspomnienie minionych epok, kiedy żadne marzenia władców nie wydawały się zbyt wielkie, żaden wieżowiec zbyt okazały, a niezmierzone obszary cywilizacji dumnie świadczyły o podboju kosmosu przez rozumne istoty.

Z nadejściem Wojen Klonów niektórzy sądzili, że te wspaniałe dni przeminęły. Holowiadomości codziennie mówiły o klęsce lub zwycięstwie i aż nazbyt łatwo przychodziło wyobrazić sobie płonące statki wirujące w przedśmiertnych konwulsjach, starcia niezliczonych armii, śmierć niezmiernych i nieobliczalnych marzeń. Wprost trudno było uwierzyć, że nie nadejdzie taki dzień, gdy wiecznie głodna paszcza wojny wchłonie to błyszczące jądro Republiki. Były to czasy, kiedy słowo „miasto” oznaczało nie siłę, lecz słabość. Nie przystań, lecz chaos.

Mimo tych lęków miliardy obywateli Coruscant zachowywały jednak wiarę i żyły dalej. Doskonale romboidalne klucze thrantcilli o hakowatych dziobach przecinały bladobłękitne, spokojne niebo planety. Przez setki tysięcy standardowych lat odlatywały co zimę na południe, być może odlecą i tym razem. Ich płaskie, czarne ślepie obserwowały, jak cywilizacja stopniowo spycha faunę planety na najdalsze marginesy. Dawni panowie Coruscant przemierzali teraz jej durabetonowe kaniony; naturalne środowisko zostało zastąpione przez sztuczne bagna i permabetonowe lasy. Niektórzy uważali, że właśnie nadszedł czas cudów i niezwykłych istot z odległych, przedziwnych światów. Że nadszedł czas optymizmu, marzeń i nieokiełznanej ambicji.

Czas możliwości dla tych, którzy mieli oczy i potrafili patrzeć.

Czerwono-biały dysk dwuosobowego transportera klasy Linulus wśliznął się w powłokę chmur Coruscant. W porannym słońcu lśnił jak plaster srebrzystego lodu. Tańcząc w rytm niesłyszalnej muzyki, opuścił pierścień hipernapędu na orbicie i przeciął pasemka obłoków, aby wreszcie wylądować z łagodnym jak pocałunek szumem. Gładka, szklista burta zafalowała i pojawił się na niej prostokątny zarys wjazdu, który zaraz powędrował w górę. W otworze pojawił się wysoki, brodaty mężczyzna spowity w brązową szatę i zeskoczył na płytę. Drugi pasażer, gładko ogolony młodzieniec, poszedł w jego ślady.

Brodaty mężczyzna nazywał się Obi-Wan Kenobi i był jednym z naj słynniejszych rycerzy Jedi w całej Republice. Drugi, młodszy i niezwykle przystojny, o miękkich, brązowych włosach, nazywał się Anakin Skywalker. Nie był jeszcze w pełni rycerzem Jedi, lecz znany był w galaktyce jako znakomity wojownik.

Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin dzielili się pilotażem i nawigacją, tylko dzięki umiejętnościom właściwym Jedi w minimalnym stopniu zaspokajając potrzebę snu i pożywienia. Obi-Wan był zmęczony, poirytowany, głodny i czuł się tak, jakby ktoś nasypał mu piasku w stawy, zwłaszcza kiedy

zauważył, że Anakin wciąż wydaje się rzeński i gotów do działania.

Młodość tak szybko się regeneruje, pomyślał z żalem.

Przerwali swoje zadanie na Forskanie Cztery na pilne wezwanie najwyższego kanclerza Palpatine'a.

- No cóż, Mistrzu - rzekł Anakin. - Tu się chyba rozstaniemy.

- Ni e jestem pewien, o co w tym wszystkim chodzi - odparł starszy mężczyzna. - Ale przyda ci się trochę czasu spędzonego na nauce w Świątyni.

Obi-Wan i Anakin powoli schodzili wąskim pomostem. Daleko pod ich stopami ulice miasta tętniły ruchem, a zwiewne smugi obłoków lub stada przelatujących thrantcilli przesłaniały co chwila chodniki i budowle na poziomie zerowym. Sieć ulic i mostów za i pod nimi przyprawiała o zawrót głowy swoim pięknem, ale Obi-Wan zdawał się na nie reagować równie słabo, jak na wysokość, zmęczenie czy głód. Jego umysł zaprzętały zupełnie inne problemy.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się już na mnie, Mistrzu - odezwał się nagle Anakin, jakby odgadł myśli Kenobiego.

Właśnie. Anakin jeszcze raz wspomniiał o swojej pochopnej akcji na Forskanie Cztery. Forskan Cztery był planetą-kolonią na skraju szlaku Cron, aktualnie nieopowiadającą się ani za Republiką, ani za Konfederacją. Agenci elitarnych sił wywiadu separatystów założyli na Forskanie obóz szkoleniowy, swoimi działaniami niepokojąc osadników. Najdelikatniejszą częścią operacji było zniechęcenie agentów, i to w taki sposób, aby koloniści się nie zorientowali, że ktoś im pomagał. Skomplikowane. Niebezpieczne.

- Nie - zapewnił Obi-Wan. - Opanowaliśmy sytuację. Moje podejście bywa bardziej... przemyślane, ale ty okazałeś swoją zwykłą inicjatywę. Nie było to nieposłuszeństwo wobec bezpośredniego rozkazu, w takim razie nazwijmy to kreatywnym rozwiązaniem problemu i poprzestańmy na tym.

Anakin odetchnął z wyraźną ulgą. Obu mężczyzn łączyły silne więzi miłości i wzajemnego szacunku, ale nieraz zdarzyło się Anakinowi wystawić je na ciężką próbę. Nie było jednak najmniejszych wątpliwości, że padawan otrzyma od swojego mistrza najwyższe rekomendacje. Wiele lat obserwacji zmusiło Obi-Wana do przyznania, że pozorna impulsywność Anakina była w istocie głębokim i pełnym zrozumieniem własnych wielkich umiejętności.

- Miałeś rację - rzekł Anakin, jakby łagodna odpowiedź Obi-Wana dała mu prawo do przyznania się do błędu. - Te góry były naprawdę nieprzebyte. Posiłki Konfederacji mogły się przedrzeć przez burzę śnieżną, aleja nie powinienem był ryzykować. Zbyt wiele istnień na szali.

- Trzeba dojrzałości, aby przyznać się do błędu. - odparł Obi-Wan. - Sądzę, że te myśli możemy zachować dla siebie. Mój raport będzie wyrażał jedynie podziw dla twojej inicjatywy.

Przyjaciele spojrzeli na siebie i uścisnęli sobie prawice. Obi-Wan nie miał dzieci i prawdopodobnie nigdy ich mieć nie będzie, lecz więź, która łączy padawana i mistrza, jest równie głęboka jak miłość rodzica do dziecka, a w niektórych przypadkach nawet głębsza.

- Powodzenia - szepnął Anakin. - Złóż ode mnie uszanowanie kanclerzowi Palpatine.

Przy krawędzi chodnika zatrzymał się poduszkowiec i Anakin zwinnie do niego wskoczył, by po chwili zniknąć w podniebnym ruchu. Nie obejrzał się za siebie.

Obi-Wan pokręcił głową. Chłopak sobie poradzi. Musi sobie poradzić. Jeśli tak uzdolniony Jedi jak Anakin nie potrafi opanować młodzieńczej zadziorności, jaka jest nadzieja dla pozostałych?

Na razie jednak miał inne, pilniejsze sprawy. Nie wiedział, po co wezwano go na Coruscant. Z pewnością chodzi o jakąś nagłą sprawę, ale o jaką...?

Miejszem spotkania była arena sportowa T'Chuk, schodkowa konstrukcja w kształcie muszli, bez trudu mieszcząca pół miliona widzów. Tu właśnie, na oczach setek tysięcy rozentuzjasmowanych fanów, rozgrywano mecze chin-breta, najpopularniejszego widowiska sportowego na Coruscant. Dziś jednak żaden chin-brecista nie skakał wdzięcznymi łukami po piasku, pikadorzy nie przechwytywali serwów saltami. Gromady niebiesko ubranych kibiców nie krzyczały jak opętane, wymachując pochodniami i transparentami. Ogromny stadion świecił pustkami, czysty, podzielony na sektory; służył dziś innym celom.

Obi-Wan wyłonił się z pełnego ech tunelu dla pieszych i powiódł wzrokiem po amfiteatralnych siedzeniach. Większość rzędów była pusta jak niezmierzone połacie piasków Tatooine, ale w łozach zebrało się kilka osób. Rozpoznał grupkę wysoko postawionych urzędników, kilku ważnych, ale zazwyczaj kryjących się w cieniu dygnitarzy, paru ludzi z branży technicznej, a nawet jakichś klonów-szturmowców. Instykt i doświadczenie podpowiadały mu, że to wyprawa wojenna.

Początkowy chaos Wojny Klonów przybrał z czasem postać przyływów i odpływów. Deklarowano lojalność, potworzyły się sojusze. Galaktyka była zbyt wielka, aby wojna mogła objąć miriady jej światów, ale w każdej minucie na stu różnych planetach wrzały walki. A choć liczba ta stanowiła jedynie nic nieznaczący ułamek niezliczonych systemów gwiazdnych wirujących wokół galaktyki, długoletnie sojusze i trwałe partnerstwa sprawiały, że wszystko, co przytrafiało się milionom żywych istot, mogło stać się udziałem trylionów.

Wojna zniszczyła już całe królestwa, narody i rodziny. Walczących było coraz więcej, broń z każdym dniem stawała się potężniejsza i wkrótce spirala zniszczeń mogła wymknąć się spod kontroli, obracając wniwecz eony starań, które wreszcie zaowocowały sojuszem na miarę galaktyczną. Czy ma przepaść ciężka praca tak wielu pokoleń?

Nigdy!

Stworzono wyraźne podziały: separatyści po jednej stronie, Republika po drugiej. Dla Obi-Wana i wielu innych te podziały zostały nakreślone ich własną krwią. Republika przetrwa... albo Obi-Wan i wszyscy Jedi, którzy kiedykolwiek kroczyli po korytarzach Świątyni, zginą. Równanie było proste.

A w prostocie jest jasność i siła.

Pokryta piaskiem arena TChuk była pusta, jeśli nie liczyć bladej, smukłej, humanoidalnej kobiety o ciemnych, krótko obciętych włosach, ubranej w płaszcz technika. Manipulowała przy lśniąącym, chromowanym przedmiocie o kształcie klepsydry, który zafascynował Obi-Wana, bo wyglądał raczej jak kontrowersyjne dzieło sztuki, maviniański organ godowy lub marker kolonii juzziańskiej, aniżeli coś, co mogłoby zaniepokoić Jedi. Jediną widoczną oznaką, że to urządzenie może się poruszać, był rząd spiczastych, cienkich nóg u podstawy.

O co tu chodzi, do stu tysięcy światów?

Pani technik majstrowała przy urządzeniu, podłączonemu pękiem barwnych przewodów do kapsuły u jej pasa. Może to jakiś nowoczesny robot medyczny?

Widzowie zaczęli się już niepokoić. Kobieta powoli odłączyła wszystkie przewody, odwróciła się w kierunku obecnych i przemówiła.

- Nazywam się Lido Shan i dziękuję państwu za cierpliwość - rzekła, ignorując zachowanie widzów, które przeczyło jej słowom. - Sądzę, że pierwszy pokaz dla waszych wysokości jest już przygotowany. - Shan skłoniła się lekko i wyciągnęła dłoń w kierunku błyszczącej konstrukcji. - Przedstawiam ZJ-trzynaście. Aby zademonstrować jego działanie, wybraliśmy robota-niszczyciela Konfederacji, zdobytego na Geonosis i zrekonstruowanego zgodnie z oryginalnymi specyfikacjami producenta.

ZJ większości ludzi sięgałby do piersi, a wyglądał tak estetycznie, jak mało który robot. Dziecinna zabawka, eksponat muzealny, mebelek salonowy, delikatna i wrażliwa konstrukcja elektroniczna. Po przeciwnej stronie tkwił czarny, zbudowany w kształcie pierścienia robot niszczyciel, łudzaco prymitywny, poobijany i połatany, ale wciąż groźny, jak zraniony acklay.

Niszczyciel potoczył się przed siebie wśród syku sprężających się i rozprężających płynów hydraulicznych, z chrzęstem miażdżąc piasek gąsienicami. Model ZJ przycupnął, lśniący, lecz dziwnie bezbronny. Wydawało się, że drży. Wrażenie bezradności pogłębiała jeszcze różnica wielkości - ZJ był mniej więcej o połowę mniejszy i lżejszy od robota bojowego.

W pierwszej chwili Obi-Wan przypuszczał, że chodzi o kolejną demonstrację mocy i skuteczności robotów niszczycieli. Nie było to konieczne: sam wciąż jeszcze miał blizny po spotkaniu z tym paskudztwem. Ale nie, to idiotyczny pomysł. Palpatine nie wezwałby go z Forscana z tak błahaego powodu. W następnej chwili robot zbliżył się do ZJ na odległość pięciu metrów i dalsze pytania stały się zbędne.

W jednej chwili ZJ podzielił się na segmenty, przyjmując pajęczą postać. W tej chwili jego postawa

już nie przypominała pocziwego roślinożercy, lecz raczej jedną z tych sprytnych istot, które udają bezradność, by zwabić ofiarę w zasięg swoich macek.

Robot niszczyciel plunął ogniem w kierunku przeciwnika. Piasek zafalował. ZJ wyemitował nie jedno pole siłowe, lecz serię wirujących dysków energetycznych, które bez trudu pochłonęły strzał. Już to było niespodzianką - maszyny mogą być mniej skomplikowane, kiedy odbijają strzały, zamiast je absorbować. Pokaz sugerował, że w grę wchodzi tu jakaś zaawansowana technika kondensatorów lub uziemienia. Atakujący robot nie zaprzestawał ostrzału, niezdolny pojąć, dla czego jego oparta na czystej sile ofensywa nie przynosi skutku.

Podobnie jak większość maszyn, był potężny, a głupi.

Obi-Wan zmrużył oczy. Działo się coś niezwykłego. ZJ nagle od boków po wierzchołek najeżył się mackami, które wystrzeliły do przodu tak błyskawicznie, że robot niszczyciel nie miał najmniejszych szans na ucieczkę. Dopiero teraz Obi-Wan, tak jak większość pozostałych widzów, wychylił się, żeby przyjrzeć się uważniej. Robot bojowy szamotał się bezradnie w uchwycie macek ZJ. Początkowo macki wydawały się grube, podobne do sznurów, ale na oczach Obi-Wana stawały się coraz cieńsze i cieńsze, aż wreszcie były prawie niewidzialne.

Macki wpijały się w obudowę robota niszczyciela niczym setki cienkich jak jedwab fibropił. Zdawało się, że robot zaczyna rozumieć swoje beznadziejne położenie, bo podjął desperacką walkę o wolność, wydając z siebie przeraźliwe, prawie zwierzęce dźwięki.

Nagle przestał walczyć. Zadygotał, wibrując w miejscu, jakby miał się rozsypać. Z pociętej skorupy zaczął unosić się dym. A potem, niczym metaliczny przejrzały owoc, robot rozpadł się na cząstki. Każda z nich z głuchym hukiem upadła na piasek, rozlewając wokół zieloną ciecz i pryskając iskrami. Kawałki potoczyły się z chrzęstem, zadygotały i znieruchomiały.

Przez chwilę tłum trwał w pełnym zdumienia milczeniu. Obi-Wan rozumiał to doskonale. Taktyka była niekonwencjonalna, broń zabójcza, a rezultat nie podlegał dyskusji.

- Robot przeciwko robotowi - pogardliwie odezwał się zza jego pleców Bith o wypukłej czaszce. - Zabawy dla dzieci. Z pewnością to nie jest warte wezwania przez kanclerza.

Stojąca na arenie Lido Shan nie straciła kontenansu.

- Proszę o chwilę cierpliwości - rzekła. - Chcieliśmy tylko określić linię bazową, pewien punkt odniesienia, starcie z przeciwnikiem zarówno znajomym, jak i groźnym. Tern robot bojowy klasy czwartej został zatrzymany w ciągu mniej niż czterdziestu dwóch sekund.

Za plecami Obi-Wana odezwał się gardłowy głos kapsuły translacyjnej Aqualisha:

- A co z żywym przeciwnikiem?

Pani technik skinęła głową, jakby oczekiwała takiego pytania.

- Nasza kolejna demonstracja dotyczy komandosa Specjalnego Oddziału Zwiadowczego.

Na dany znak z ukrycia za załomem ściany wysunął się klon-szturmowiec, komandos w pełnym rynsztunku bojowym, wyposażony w rusznicę laserową oddziałów pieszych. Komandosi-klony to specjalna formacja. Zostali zmodyfikowani w stosunku do podstawowego wzorca szturmowca, co umożliwiło zastosowanie specjalnych protokołów szkoleniowych.

Klon twarz miał ukrytą pod zamkniętym hełmem, ale cała jego postawa wyrażała agresywną gotowość. Przez tłum przeszedł cichy szmer niepewności.

Aqualish wydawał się zaskoczony.

- Nie chcę ponosić odpowiedzialności za śmierć...

Pani technik spojrzała na niego z politowaniem, jakby nie powiedział nic, czego by się nie spodziewała.

- Proszę się nie martwić. - Miarowymi, spokojnymi ruchami poprawiła kilka ustawień układów sterowania. - Maszyna jest skalibrowana na pojmanie bez uszkodzenia ciała.

Oświadczenie to uspokoiło wprawdzie większość zgromadzonych, ale Obi-Wan poczuł tym większe zakłopotanie. Eterycznie piękny i niewyobrażalnie zabójczy robot był w jakiś niepojęty sposób związany z jego misją. Ale w jaki konkretnie?

- Jakie właściwie jest zadanie żołnierza? - zawołał w dół, do kobiety.

Kąciaki ust Lido Shan uniosły się w górę.

- Pokonać ZJ i wziąć mnie do niewoli.

Świadkowie spojrzeli na nią z pomrukiem niedowierzania, ale i z wyczekiwaniem, co było dość niepokojące. Wiedzieli, że za chwilę będą świadkami czegoś niezapomnianego. Ale czego pragnęli najbardziej? Pokonania ZJ czy utarcia nosa zarozumiałej pani technik?

Szturmowiec ostrożnie ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero o jakieś dwadzieścia pięć metrów od stworzenia.

Obi-Wan pokręcił głową. Stworzenia? Czy to możliwe? Naprawdę pomyślał „stworzenia” zamiast „roboty”? Jak to się mogło stać?

Szturmowiec podniósł miotacz i wystrzelił szkarłatny promień. Wirujące tarcze absorpcyjne pojawiły się na nowo, zasysając strumienie energii z cichym, pulsującym trzaskiem.

Sam fakt, że robot potrzebuje osłony pola, zdawał się w jakiś sposób dodawać komandosowi odwagi. Zrobił unik na prawo, przetoczył się w lewo, zwinnie odbił się z ramienia i znów wystrzelił, nieustannie zmieniając pozycję w stosunku do broniącego się robota.

Obi-Wan otworzył umysł, sięgając w Moc. Prawie czuł ciężko łomoczące serce mężczyzny, smakował jego nerwowość, odgadywał wybory, które tamten rozważał, splatając sieć uników.

Lewo, prawo, lewo... kolejny ruch będzie w...

Znowu w lewo.

Wielki Jedi obserwował, jak ZJ wypuszcza pęk włókien grubych na palec i chwytą bezradnego żołnierza w pół skoku. Szturmowiec mógłby być rannym thrantcillem, schwytanym w sieć przez handlarza piżmem. Moment został uchwycony doskonale. Nie, więcej niż doskonale. Perfekcyjnie. Jakie oprogramowanie umożliwia taką precyzję? Obi-Wan przysięgłby, że ma tu do czynienia prawie z jasnowidzeniem. Prawie...

Ale przecież to niemożliwe.

Szamoczący się w sieci szturmowiec, którego ZJ powoli, nielitościwie ściągał ku sobie, wyciągnął nagle miotacz i wycelował w kierunku pani technik. Wzrok Obi-wana błyskawicznie przeniósł się na kobietę, która wydawała się całkowicie niewzruszona. W chwili, gdy lufa znalazła się na wysokości dogodnej dla oddania strzału, po jednej z macek spłynęła pomarańczowa iskra. Szturmowiec zatrzęsł się konwulsyjnie, szarpnął, poderwał, wbijając obcasy w piasek, po czym znieruchomiał. ZJ przyciągnął go do siebie i uniósł jedną macką w górę, drugą zaś błysnął mu w zamknięte oczy promieniem światła. Po chwili opuścił go na piasek, a sam znieruchomiał.

Przez jedną chwilę wydawało się, że widzom zaparło dech w piersi. A potem sieć ZJ poluzowała się i wróciła do wnętrza robota. Szturmowiec jęknął i przetoczył się na bok. W chwilę później podniósł się na klęczki, oszołomiony, ale nie ranny. Inny żołnierz pomógł mu dotrzeć za ścianę.

Wszyscy bili brawo, z wyjątkiem Obi-Wana i jeszcze jednego Jedi, który przeciskał się przez tłum w jego stronę. Obi-Wan poczuł ulgę, widząc znajomą postać, jak również dochodząc do wniosku, że nowo przybyły nie ma większej ochoty na klaskanie niż on sam.

Przybysz był o dwa centymetry wyższy od Obi-Wana. Żółtawozielony odcień skóry, grube, wrażliwe macki na czaszce i wypukłe, niemrugające oczy były charakterystyczne dla Nautolan. Nazywał się Kit Fisto, był weteranem bitwy o Geonosis i setki innych śmiertelnych ognisk konfliktów. W przeciwieństwie do pozostałych widzów ani się nie uśmiechał, ani nie klaskał. Żaden Jedi nie uzna za rozrywkę cierpienia i bólu innej żyjącej istoty, choćby tymczasowego i krótkotrwałego. Czy to zbieg okoliczności, że Nautolanin się tu znalazł, czy i on został wezwany?

Kit spojrział na dłonie Obi-Wana i zauważył jego napięcie.

- Nie podobają ci się takie przedstawienia? - zapytał. Jego głos miał wilgotny, syczący ton, nawet kiedy mówił o zwykłych sprawach. Powierzchnie nieruchomych oczu Fista wirowały, co było oznaką hamowanego gniewu, ale niewielu nie-Nautolan zdawało sobie z tego sprawę.

- Widzę, że niespecjalnie troszczą się o dobro żołnierzy. - zauważył Obi-Wan.

Kit zachichotał bez wesołości.

- Meandry polityki i przywilejów sprawiły, że wojna stała się jedynie formą rozrywki.

Właściciel łysej, kopulastej czaszki przed nimi obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni, nie poruszając przy tym ramionami.

- Bez żartów, sir. W końcu to tylko klon.

Tylko klon. Ciało i krew, tak, ale wyhodowane w probówce, jako jeden z miliona dwustu tysięcy żołnierzy-klonów. Bez ojca, który by go bronił, bez matki, która by po nim płakała.

Tak. Tylko klon.

Obi-Wan nie miał ochoty się kłócić. Dla tych, którzy nieco bali się zginąć w walce, których potomstwu oszczędzono straszliwego losu żołnierza, klony były znakomitym rozwiązaniem. Ten troglodyta wypowiedział po prostu uczciwie swoją opinię.

- Doskonale, doskonale - wtrącił się inny widz, skórzasta istota pyszniąca się skupiskiem oczu pośrodku czoła. - Znakomicie, wiemy już, jak ZJ zdobyły swoją reputację wśród kryminalistów.

Wymienił z łysym szybkie, znaczące spojrzenie, co rozpało ciekawość Obi-Wana.

-T o znaczy...?

Obydwaj rozmówcy odwrócili się w stronę areny, ostentacyjnie udając, że nie usłyszeli pytania. Obi-Wan nie dał się tak łatwo zwieść. Poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz niepokoju. Trafił na rzeczywiście głębokie wody.

Skórzasty odezwał się znowu, tym razem do Lido Shan.

- Chcesz, żebyśmy poczuli się zagrożeni - rzekł. - Gotowi jesteśmy przyznać, że to potężna maszyna. Ale... hmm... jesteśmy w wyjątkowo dobrej sytuacji, skoro mamy dziś pośród nas Jedi. Czy byłoby niegrzecznie, gdyby poprosili o konfrontację?

Obi-Wan ujrzał, że kilka tuzinów oczu zwróciło się ku nim, taksując ich spojrzeniami. Przez zgromadzenie przebiegła fala szeptów. Zauważył, że w ruch poszły palce, czułki, macki i szpony; był przekonany, że towarzyszy temu obieg kredytów. Zakłady o wynik?

Kit Fisto nachylił się bliżej, nie patrząc nawet wprost na Obi-Wana.

- Co o tym sądzisz?

Zapytany wzruszył ramionami.

- Jakoś mnie nie ciągnie, aby zaspokoić ich ciekawość.

- Mnie też nie - odparł Kit, a jego czułki nagle ożyły. Odwrócił się i powiedział do pani technik:

- Powiedz mi, czy ZJ-trzynaście ma jakieś inne oznaczenie niż tylko standardowe kody alfanumeryczne?

Właśnie. To było pytanie, które Obi-Wan obawiał się zadać.

Arena ożyła cichym szmerem szeptów. Pani technik z wahaniem przestąpiła z nogi na nogę.

- Oficjalnie nie... - odparła.

- A nieoficjalnie? - naciskał Obi-Wan.

Lido Shan niepewnie odchrząknęła.

- Wśród przemytników i niższych klas - mruknęła wreszcie - niektórzy nazywają ich Zabójcami Jedi.

- Czarujące - rzekł Obi-Wan bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, przez chwilę zbyt zaskoczony, by sklecić jakąś rozsądną odpowiedź. Zabójca Jedi? Cóż to za paskudztwo?

Za jego plecami Kit, z twarzą jak nieruchoma, blada maska, zrzucił płaszcz. Obi-Wan zauważył, że jego macki poruszają się niespokojnie, a nieruchome oczy wpatrują się w robota.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Obi-Wan, wiedząc, jaka będzie odpowiedź. Mógł się domyślić, że po to właśnie sprowadzono tu Kita. Jego odwaga i porywczosć były powszechnie znane.

- Sam przyjrzę się tej maszynie - odparł Kit śmiertelnie poważnym tonem. Podniósł głos wyzywająco - Pani technik! Jestem do dyspozycji.

Czułki głowowe Nautolanina poruszały się lekko w nieruchomym powietrzu. Robot przyglądał mu się bez śladu reakcji. Kit rzucił Obi-Wanowi przelotne spojrzenie i saltem wyskoczył na arenę, lądując tak pewnie i płynnie, jak nigdy nie udało się to żadnemu graczowi w chinbreta.

Stał teraz o jakieś dwanaście metrów od ZJ. Podobnie jak przedtem, robot wydawał się całkowicie nieszkodliwy. Miecz świetlny błysnął w dłoni mistrza Fisto, szmaragdowa klinga wytrysnęła z rękojeści, z sykiem przecinając powietrze.

Robot wydał z siebie cichy pomruk, który powoli narastał, stawał się coraz wyższy i intensywniejszy, aż Obi-Wan poczuł gęsią skórkę. ZJ stał nieruchomo, jeśli nie liczyć powierzchni, która znów zmieniła konfigurację na pajęczą. Wydawało się, że węszy w powietrzu. Owadzie brzęczenie zmieniło nagle ton, jakby oznajmiając, że robot spostrzegł nowego przeciwnika.

Wyciągnął macki, ale tym razem poruszały się one dziwnie powoli. O co tu chodzi? Przedtem wydawał się czujny i elastyczny, dlaczego zatem próbuje powtórzyć tę samą taktykę, co w starciu z komandosem? Może jednak robot nie jest aż tak zaawansowaną technologicznie konstrukcją, jak się początkowo wydawało... Obi-Wanowi...

Miecz świetlny Kita ściał pierwszą wijącą się mackę z nonszalancką łatwością. Obi-Wan zauważył, że jego uwaga odwraca się od ZJ i kieruje na Kita. Z podziwem obserwował jego pewną postawę, precyzję, z jaką wybierał kolejne linie starcia. Kit preferował styl walki Formy I, ostry i...

Zaraz, zaraz.

W umyśle Obi-Wana rozległy się syreny alarmowe. Coś tu strasznie nie pasowało. Intelkt z trudem nadażał za intuicją. Powtarzanie poprzednich wzorców zachowania przez ZJ uśpiło czujność Jedi. Macki były jedynie zmyłką. Jak będzie wyglądał prawdziwy atak?

Obi-Wan pochylił się, uważnie obserwując robota. Stopy! Spiczaste końcówki wbite były głęboko w piasek. A z ąsienic na zewnątrz, niepostrzeżenie, przesuwał się pod powierzchnią...

Pojawiły się kolejne macki, doskonale stopione barwą z otaczającym je podłożem. Ten robot atakował jednocześnie na dwóch poziomach, choć nawet wśród żywych wojowników taka strategia była niezwykle rzadka. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że robot umyślnie zwodził Kita, stosując rozmaite tempo walki, dosłownie bawiąc się jego taktyką i skłaniając do przesadnej wiary we własne siły.

Piaskowe macki znajdowały się już o kilka centymetrów od swojego celu, zanim Kit je wyczuł. Jego pozbawione powiek czarne oczy rozszerzyły się, gdy piasek wokół niego eksplodował. Jedna macka owinęła się wokół stopy Jedi, usiłując podciąć mu nogi i przewrócić na plecy. Kolejne wici wkrótce pospieszyły z pomocą.

Widzowie jęknęli ze zdumienia, kiedy nagle dotarło do nich, że być może ujrzą coś, co do tej pory było nie do pomyślenia: potężny Jedi pokonany przez zwykłego robota.

Ale Kit jeszcze nie przegrał. Jakby on także bawił się przeciwnikiem, przykucnął teraz i skoczył do przodu, okręcając się wokół pionowej osi ciała jak karnawałowy akrobata. Leciał wprost na ZJ, poddając się jego szarpnięciu, zamiast z nim walczyć. Wśliznął się pomiędzy macki z nautolańskim wyczuciem, lepszym i bardziej precyzyjnym niż świadoma myśl.

Niezależnie od swoich możliwości robot wyraźnie nie spodziewał się takiego ataku, nie zdołał też odpowiednio szybko zareagować. Wypuścił Kita i cofnął się o krok, wszystkimi mackami rzucając się na Jedi. Miecz Kita trysnął iskrami. Macki opadły na piasek. Niektóre większe kawałki drgały jeszcze jak żywe, indywidualne byty, nie zaś odcięte członki.

Nautolanin wylądował na piasku, przetoczył się i natychmiast znów ruszył w kierunku przeciwnika z bojowym okrzykiem.

ZJ walczył teraz z maniacką desperacją i Obi-Wan zaczął się zastanawiać, co właściwie robot próbuje zrobić. Macki nieustannie chłostały powietrze w pobliżu głowy Kita. Czyżby Lido Shan nie przekazała robotowi właściwych poleceń, ograniczających jego reakcje? Jeśli tak i jeśli to błyszczące monstrum będzie miało ku temu najdrobniejszą bodaj okazję, Nautolanin zginie. Dłoń Obi-Wana powędrowała do rękojeści miecza, ciężar trzydziestu sześciu godzin ponurej walki nagle gdzieś zniknął. Jeśli będzie trzeba...

Ale Kit był już w zasięgu miecza świetlnego. W tak bliskim kontakcie robot zdecydowanie znajdował się na mniej korzystnej pozycji. Teraz to Kit był myśliwym, a ZJ znalazł się w roli ofiary. Sycząc, wycofywał się na smukłych, złocistych łapach, wymachując na oślep mackami, jakby nie potrafił dość szybko przetwarzać danych, żeby odparować ten nieoczekiwany atak. Szmaragdowe ostrze Kita było po prostu wszędzie, nieprzewidywalne, nie do odparcia. Wirujące tarcze energetyczne nie

mogły już wchłonąć energii ciosów; teraz tylko je odpychały, rozsiewając iskry we wszystkich kierunkach.

Kit zwiększył jeszcze szybkość i precyzję ruchów, Teraz nawet wprawne oko Obi-Wana miało problemy z nadążeniem. Świetlny miecz nautolańskiego Jedi prześliznął się pomiędzy tarczami energetycznymi i po raz pierwszy dotarł do obudowy ZJ. Robot wydał z siebie cienki, bolesny krzyk, a jego lśniące nogi zadygotały. Upadł na piasek. Drgał i szarpał się, próbując wstać, a potem przetoczył się na bok, dymiąc i iskrząc.

Arena ucichła. Tłum z trudem przyswajał sobie to, co właśnie zobaczył. Bez wątpienia niejedno z nich widywało Jedi w akcji. Lecz słuchać opowiadanych szeptem historii o tajemniczych mieszkańcach Świątyni to jedno, a widzieć na własne oczy ich nadnaturalne zdolności to całkiem co innego. Za sto lat być może świadkowie tego wydarzenia będą zabawiać prawnuki relacją z tego pokazu.

Istniał jednak jeszcze zupełnie inny aspekt tej sprawy, który umknął uwagi większości widzów; coś, co dało się zaobserwować najpierw w walce z żołnierzem, a potem, znacznie wyraźniej, w pojedynku z Kitem Fisto. Otóż ZJ przewidywał reakcje Nautolanina.

Obi-Wan poczuł w ustach gorzki, metaliczny posmak. Rozpoznał to uczucie jako pierwsze dotknięcie strachu.

- Co to za urządzenie? - zapytał. - Widzę, że tarcze raczej pochłaniają, a nie odbijają promienie.

Pani technik skinęła głową.

- I jakie wnioski z tego wyciągasz, Mistrzu Jedi?

- Nie jest to broń. Zaprojektowano go, aby chronił swoje otoczenie nawet przed rykoszetami.

- Doskonale - odparła.

- Sądząc z wyglądu, ZJ jest jakąś odmianą osobistego robota-ochroniarza.

Lido Shan uniosła obie dłonie, prosząc o ciszę.

- To koniec pokazu rzekła. - Z niektórymi z was spotkamy się jeszcze. Pozostałym Najwyższy Kanclerz dziękuje za przybycie.

Tłumek rozpraszał się powoli. Kilka osób zatrzymało się, by pogratulować Kitowi. Może nawet zeszliby na dół, aby uścisnąć mu dłoń lub poklepać po plecach, ale wyraz napięcia w ciemnych, nieruchomych oczach Fista nie zachęcał do żadnych takich gestów.

Obi-Wan zeskoczył z widowni i podał Nautolaninowi jego płaszcz. Kit przyjął go bez słowa i obaj ruszyli w górę po schodach wiodących do wyjścia. Obi-Wan obejrzał się na arenę, gdzie roboty z obsługi usuwały jeszcze olej i płyn hydrauliczny. Co zrobiłby on, Obi-Wan, gdyby stanął przed takim wyzwaniem? Pozwolił sobie na przeświadczenie, że nie przegrałby tej walki, lecz nagle zdał sobie

sprawę, że to właśnie chaotyczne, nieprzewidywalne ruchy Kita zapewniły Nautolaninowi zwycięstwo nad maszyną. Bardziej przemyślane i uporządkowane reakcje Obi-Wana mogły okazać się znacznie mniej skuteczne.

Po drodze minęli grupkę szturmowców, wszystkich odlanych jakby z jednej formy - te same okryte hełmami twarze, te same szerokie ramiona, wojskowa postawa i sposób życia. Z zaskakującą troską pochylali się nad swoim pokonanym bratem i Obi-Wan nagle zaczął się zastanawiać...

Czułki Nautolanina zadrgały i Kit obejrzał się, jakby czytał w jego myślach.

- Co się stało, Obi-Wanie?

- Przez chwilę miałem wrażenie, jakbym go znał.

- I co?

- I zrozumiałem, że to szaleństwo.

- Szaleństwo? - zdziwił się Kit.

- Tak. Znam ich wszystkich.

Rzeczywiście. Jednak kiedy patrzył, jak klony zajmują się jednym spośród swoich szeregów tak, jakby cały świat przestał istnieć, zaczął się zastanawiać, czy on, czy też ktokolwiek z zewnątrz, rzeczywiście ich zna.

Sala konferencyjna kanclerza była wysoka na czterech Wookiech, a jej marmurowy sufit podpierały masywne durabetonowe kolumny. Szerokie panoramiczne okna wychodziły na wspaniałą miejski krajobraz Coruscant. Dokładnie po drugiej stronie alei znajdowała się ambasada bonadańska i obrotowa restauracja Skysitter. Gęsty durabetonowy las emanował dostojeństwem, które wywierało ogromne wrażenie na dygnitarzach z Zewnętrznych Rubieży, lecz Obi-Wan zawsze się zastanawiał, czy tak wielka powierzchnia nie mogłaby być wykorzystana w lepszy sposób.

Grupka pokrytych łuskami, szmaragdowookich dygnitarzy Kuat wymieniała akurat grzeczności i formalne pożegnania z kanclerzem i jego asystentami. Obaj Jedi stali w kącie pomieszczenia, czekając, aż ambasadorzy zakończą swoje skomplikowane ceremonialne pokłony.

Obi-Wan zauważył, że Kit jest nieco zdenerwowany.

- Wszystko w porządku? - zapytał szeptem. - Czy robot przypadkiem nie podszedł zbyt blisko jak na twoje upodobania?

W istocie nie przypominał sobie, aby Kit bywał zdenerwowany zawsze zdawał się całkowicie panować nad sobą.

- Moje życie nie kręci się wokół upodobań - odparł Nautolanin. No cóż, tym razem to było... słyszałem wśród ludzi powiedzenie „o mały włos”.

Dziwne, lecz dopiero te słowa dokładnie uświadomiły Obi-Wanowi, jakim wyzwaniem był ZJ. Ostatnie zdanie Kita było najbardziej osobistym wyznaniem, jakie zdarzyło mu się usłyszeć od Nautolanina.

Dyplomaci powoli opuścili salę, a wielki kanclerz Palpatine zwrócił się wreszcie ku nim, ukazując szerokie, dumne czoło zmarszczone troską i wargi zaciśnięte w wąską linię.

- Przepraszam za tę tajemniczość i za kłopot, przyjaciele - rzekł. Mam nadzieję, że wkrótce zrozumiecie ich przyczynę.

- Panie kanclerzu - odezwał się Obi-Wan, nie w nastroju do formalnych grzeczności. - Czy jest pan gotów podzielić się z nami tajemnicą „Zabójcy Jedi”?

Kanclerz skrzywił się.

- Przyznaję, że mnie ta nazwa zastanawia. Nawet najbardziej prymitywni z naszych obywateli nie uznaliby tego wulgarnego miana za zabawne. - Po chwili zadumy dodał: - Aby przedstawić kontekst całej sprawy, muszę pozwolić sobie na dygresję. - Skinieniem dłoni wskazał obecnym krzesła. Sam

zasiadł za wielkim biurkiem, a prostokąty światła i cienia dzieliły geometrycznie jego twarz. Obejrzał się na krótkowłosą panią technik, która bezszelestnie wsunęła się do pokoju. Lido Shan, proszę.

- Z przyjemnością, sir - odparła. - Kiedy dowiedzieliśmy się o istnieniu tego urządzenia, najważniejsze dla nas było ustalenie, jakim sposobem działa tak, jak działa. Zwykle skany wykazywały niewiele interesujących szczegółów w budowie wewnętrznych układów, jeśli nie liczyć całkowicie zamkniętego centralnego procesora.

- Naturalnie, ten procesor zainteresował was najbardziej - domyślił się Obi-Wan.

- Naturalnie - odparła Lido Shan, wyginając w lekkim uśmiechu blade wargi. - Otwarcie procesora powoduje wygaśnięcie gwarancji, ale uznaliśmy, że to warte ryzyka.

Kit przechylił głowę.

- I co znaleźliście?

- Chwileczkę - Lido Shan doskonale naśladowała sposób mówienia kanclerza, a zwłaszcza unikanie odpowiedzi wprost. - Zaczniemy od oceny, wydanej na podstawie jego możliwości. - Zawiesiła głos, żeby zebrać myśli. - ZJ jest to wrażliwy na Moc biorobot, którego wyprodukowanie w obecnej wersji wydawało się w ogóle niemożliwe. Przez większą część ostatniego roku te roboty sprzedawane były w całej galaktyce. Nawet po niewyobrażalnych cenach mają większe powodzenie niż cokolwiek innego, co ta firma potrafi wyprodukować.

- Wrażliwy na Moc? - prychnął Kit. - Absurd! Dlaczego wcześniej ich nie znaleźliśmy?

- Dlatego - odparła - że to najbardziej ekskluzywne i kosztowne roboty ochroniarze, jakie są na rynku.

- A ile właściwie kosztują? - zapytał Kit.

- Osiemdziesiąt tysięcy kredytów - poinformowała Lido. Skinęła dłonią i w otaczającym ją powietrzu pojawił się labirynt obwodów elektronicznych. Powiodła dłonią po wewnętrznej strukturze, śledząc funkcje, po czym odetchnęła głęboko.

- A teraz - rzekła - dochodzimy wreszcie do sedna sprawy. Sekretem sukcesu ZJ jest unikalny żywy obwód, łączący organikę z centralnym procesorem, co pozwala na większą empatię z właścicielem i niezwykłą agresję wobec intruzów.

- Żywe obwody? - zdziwił się Kit.

Lido Shan wydawała się naśladować nieruchome, uważne spojrzenie Nautolanina, ale Obi-Wan zauważył że na chwilę jej oczy zasnuwa żółtawy śluz, po czym znika.

- Procesor to w istocie układ podtrzymania życia dla stworzenia o nieznanym pochodzeniu.

Hologram zamigotał i pociemniał. Pojawił się obraz skręconej, podobnej do węży, lecz pozbawionej oczu istoty. Skala porównawcza informowała, że stworzenie miało wielkość zwiniętej pięści Obi-Wana.

- Czy to właśnie to obdarza robota niezwykłymi właściwościami? zapytał.

- Właśnie. - odparła Lido. - Tak przypuszczamy. Zażądaliśmy bezpośredniej informacji od producentów, ale odmówili ujawniania swoich tajemnic.

- A producentem jest...

- Cestus Cybernetics. Znacie Ord Cestus?

Obi-Wan pogrzebał w pamięci.

- Siedziba Zakładów Zbrojeniowych Baktoid?

- Doskonale - pochwalił wielki kanclerz.

Lido Shan skinęła głową.

- Nasze cestiańskie kontakty podają, że to zwierzę nazywa się węgorz dashta. Wydaje się, że nie jest istotą rozumną, co w pewnym sensie można uznać za jeszcze bardziej zdumiewające, bo byłaby to pierwsza nierozumna istota, u której stwierdzono wysoki poziom wrażliwości... no cóż, na Moc.

- Węgorze dashta? - Obi-Wan spojrzał na Kita, który pokręcił głową.

- Mogą to być mieszkańcy łańcucha górskiego Dashta na Cestusie odparł kanclerz. - W połączeniu z unikalnym uzbrojeniem ZJ dają one robotowi dodatkowy argument w postaci przewidywania ruchów przeciwnika. Testowaliśmy go w starciach z różnymi przeciwnikami i pan, Mistrzu Fisto, zwyciężył jako jedyny.

Kit leciutko skinął głową i była to jedyna oznaka, że docenił komplement.

- Dlatego też - dodał kanclerz - wnioski Mistrza Fisto byłyby dla nas bezcenne.

Fisto wyduł wargi i zadumał się na chwilę, jakby wzdragał się przed udzieleniem wiążącej odpowiedzi.

- Życie zawsze lepiej współgra z Mocą niż jakakolwiek maszyna rzekł w końcu - Jednak...

Jednak. Szybkie, pełne troski spojrzenie Nautolanina ujawniło jego myśli lepiej niż jakiegokolwiek słowa.

- Kiedy ci Zabójcy Jedi pojawili się na rynku? - zapytał.

- Jakiś rok temu - odparł Palpatine. - Wkrótce po rozpoczęciu Wojny Klonów. Wielkie kontrakty

Federacji Handlowej spowodowały boom na Cestusie, który przyjmował zlecenia od Zakładów Zbrojeniowych Baktoid. Po bitwie o Naboo Federacja Handlowa odcięła się od zakładów, powodując chaos ekonomiczny. Zdesperowany Cestus zwrócił się do Republiki z prośbą o pomoc. Złożyliśmy duże zamówienie skrzywił się lekko - ale niestety byliśmy zbyt osłabieni ekonomicznie i płatność nie nastąpiła wystarczająco szybko. Chaos jeszcze się pogłębił. Źle oceniliśmy rangę tej małej planety, Lido Shan - dodał Powiedz o Gabonnas.

Lido Shan westchnęła.

- Gdy tylko zaczęła się wojna, nałożyliśmy embargo na niektóre wyjątkowo ważne urządzenia techniczne. Wśród nich były kryształy Gabonna, wykorzystywane przez Ord Cestus do produkcji ekskluzywnych robotów ochroniarzy Cesta, pierwszego niemilitarnego produktu przed wprowadzeniem linii ZJ.

- A w jaki sposób to doprowadziło do obecnej sytuacji? - zapytał Obi-Wan.

- Po wprowadzeniu restrykcji dość delikatny bilans ekonomiczny Cestusa jeszcze się pogorszył - odparła Lido Shan. - Gabonnas to jedyne kryształy pamięci dość szybkie, aby zasilać osobistego robota ochroniarza klasy pięć. - Powiedziała to beznamiętnym tonem, prawdopodobnie uważając, że wszyscy powinni to wiedzieć. - Większość robotów bojowych ma klasę czwartą i mogą pracować na znacznie mniej skomplikowanym sprzęcie.

Kanclerz pokręcił siwiejącą głową.

- Cestus nie miał szczęścia ani wyczucia, stawiając wszystko na tę jedną kartę.

- Rozumiem - powiedział Obi-Wan.

Kit Fisto odezwał się w imieniu obu Jedi:

- A więc sytuacja jest niestabilna. Cestus nam nie dowierza.

Kanclerz skinął głową.

- Macie podwójne zadanie, moi przyjaciele Jedi. Skonsultowałem się z senatem i Radą Jedi i uzgodniliśmy, że powinniście się skontaktować z cestiańską regentką, niejaką G'Mai Duris, i odzyskać jej zaufanie, podejmując wszelkie niezbędne kroki, aby uratować ich obecne cywilne zamówienie. Musicie ściągnąć ich z powrotem do nas i przerwać napływ tych odrażających Zabójców Jedi. - Skrzywił się, jakby nawet wymówienie tych słów sprawiało mu przykrość.

- A zatem - podjął Obi-Wan, starając się zrekonstruować kolejność wydarzeń - w oczach Cestian to Republika stała się aż dwukrotnie przyczyną kryzysu gospodarczego planety. Podejrzewam, że złożyli skargę do Rady Handlowej?

- Istotnie, a my próbowaliśmy osiągnąć kompromis, oferując kolejne, jeszcze bardziej lukratywne kontrakty wojskowe.

- I co? - zapytał Kit.

- Negocjacje upadły.

- Dlaczego?

- Powiedziano nam, że mamy zapłacić z góry. - Twarz kanclerza przybrała smutny wyraz. - Tego nie możemy zrobić przy tak dużych zamówieniach.

- Być może nie znam się na zasadach handlu - mruknął Kit - ale Cestianie muszą wiedzieć, że igrają z katastrofą. Jakim sposobem sprzedaż kilku tysięcy robotów może być warta takiego ryzyka? - Pochylił się do przodu, w ciemnych oczach widać było napięcie. - Proszę mi to wyjaśnić.

Lido Shan na moment przymknęła powieki, po czym przemówiła:

- Same ZJ stanowią jedynie niewielką część gospodarki Cestusa. Ale nagle stały się modne jako obiekty luksusu i świadectwo wysokiej pozycji społecznej, co zwiększyło wartość całej linii produktów.

- Oczywiście, istnieją jeszcze inne problemy - przyznał Palpatine. - Populacja niższych klas, która stanowi w istocie dziewięćdziesiąt pięć procent ludności Cestusa, pochodzi od... jakby to powiedzieć delikatnie...? - Zadumał się na chwilę, po czym porzucił próbę zachowania poprawności politycznej. - Pochodzą od niecywilizowanych aborygenów i przestępców, i odziedziczyli po swoich przodkach przykre społeczne tendencje. Wyższe klasy i uczciwie wybrany rząd mogą niebawem zostać obalone, jeśli szybko nie znajdziemy właściwego rozwiązania.

Obi-Wan skinął w zadumie głową, myśląc, że za dużo tu niedopowiedzeń.

- Dlaczego sytuacja jest tak poważna?

- Ponieważ Cestus jest światem stosunkowo jałowym, który nie może się utrzymać bez importu nawozów, żywności, leków i zapasów. Każda kropla wody spożyta przez pozaświatowca jest owocem długiego procesu technologicznego.

- Rozumiem.

- Właśnie. Pierwsze ZJ pojawiły się na rynku po cenach promocyjnych. Zauważono to, ale nie było wtedy o co się niepokoić. Ale wtedy pojawiła się nowa informacja.

- Jaka? - zapytał Kit.

- Że Konfederacja złożyła ofertę na zakup tysięcy tych robotów ochroniarzy. Dziesiątek tysięcy.

Obi-Wan był zaskoczony.

- Czy hrabia Dooku ma dostęp do takich funduszy?

- Widocznie tak - rzekł Palpatine z wyraźnym smutkiem.

Czarne oczy Kita Fisto zwęziły się.

- Myślałem, że takie biokonstrukcje nie mogą być produkowane masowo.

- My też tak sądziliśmy, Mistrzu Fisto. Najwidoczniej się pomyliliśmy. Nie wiemy, jak to robią, ale wiemy po co.

- Chcą ich użyć jako roboty bojowe - odpowiedział Kit.

Roboty bojowe. Obi-Wan skrzywił się.

- Jak można na to pozwolić? Przecież sprzedawanie sprzętu wojskowego separatystom jest zabronione.

- Owszem - zgodziła się Lido Shan. - Ale nie istnieje prawo, które zakazywałoby sprzedaży robotów ochroniarzy pojedynczym planetom Konfederacji, co właśnie, technicznie rzecz biorąc, robi teraz Cestus. Nieważne, że ZJ mogą zostać przerobione na śmiertelne narzędzia przez podmianę kryształów pamięci.

Obi-Wan miał nadzieję, że nie widać po nim, co myśli, bo jedynym uczuciem, jakie go teraz opanowało, było przerażenie. Pomysł biorobotów przekształconych w narzędzia śmierci był niepokojący. Takie urządzenia były w stanie zniweczyć tę niewielką przewagę, jaką w walce mieli Jedi dzięki swoim umiejętnościom jasnowidzenia.

Nie można było na to pozwolić.

- Dowiedzieliśmy się, że hrabia Dooku zaproponował dostarczenie Cestusowi swoich własnych kryształów Gabonnas, co pozwoli liniom montażowym na podjęcie produkcji. Zaoferował również dostarczenie technologii, które pozwolą Cestusowi przyspieszyć i usprawnić produkcję robotów i węgorzy dashta.

- Klonowanie?

- Tak. Plotki głoszą, że ma technologię lepszą od kaminońskiej. Taką, która tworzy niekończące się kolonie żywej tkanki nerwowej, pozwalając na przekształcenie kosztownego i trudnego procesu w masową produkcję.

- Ci, którzy przedkładają zysk nad wolność - rzekł Kit - zazwyczaj kończą bez jednego i drugiego. - Zawiesił głos, a jego czułki zakołysały się łagodnie. Może, podobnie jak Obi-Wan, wyobrażał sobie właśnie walkę z tysiącami maszyn tak niebezpiecznych, jak metalowy przeciwnik pokonany na piasku areny T'Chuk. Przerazająca fala morderczego złomu obdarzonego wrażliwością na Moc.

Kanclerz wydawał się zadowolony, że tak szybko zrozumieli powagę sytuacji. W istocie, zdaniem Obi-Wana, nawet on nie zdawał sobie sprawy z tego, co naprawdę ich czeka. Mądry politycznie kanclerz Palpatine był jednak nowicjuszem w kwestii Mocy.

Obi-Wan stwierdził, że myśli na głos.

- Może się okazać, że aby powstrzymać Cestus przed produkcją i sprzedażą tych robotów, potrzebny będzie oddzielny dekret.

- A tymczasem - mruknął Kit - galaktyka czeka i obserwuje.

- Istotnie - odparł kanclerz. Światło padające z górnego okna przecinało jego twarz na pół... - Jeśli Rada Handlowa zdominuje naszego cennego Cestusa, będziemy się wydawać brutalami. Zanim jednak sprawy zajdą aż tak daleko, ja, senat i Rada Jedi będziemy nalegać, aby zastosować metody dyplomatyczne.

- Z użyciem miecza świetlnego? - rzucił Kit.

Kanclerz uśmiechnął się blado.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - rzekł. - Przyjaciele, wybierzcie się na Ord Cestus i rozpocznicie formalne rozmowy. Jednak negocjacje będą stanowić przykrywkę dla innego waszego zadania: macie przekonać Cestusa, a wraz z nim inne zainteresowane systemy gwiazdne, że hrabia Dooku jest zbyt niebezpieczny, by z nim ubijać interesy.

- A nasze zasoby, sir? - zapytał Kit.

Dopiero teraz uśmiech kanclerza stał się pewny siebie i szeroki.

- Najlepsze z najlepszych.

Ocean trzysta kilometrów poniżej był bardzo spokojny. Z tego punktu obserwacyjnego nikt nigdy by się nie domyślił, że w tych głębiach tysiące odważnych żołnierzy toczyło walkę o przetrwanie i zabijało. I umierało.

Nieprzerwany strumień jednoosobowych kapsuł wylewał się z burt statków transportowych, przecinając atmosferę ognistymi śladami. Wewnątrz transporterów pełno było długich kolejek umundurowanych żołnierzy, czekających na swoją kolej. Korytarze kipiały życiem, jak naczynia krwionośne żywymi komórkami krwi. Żołnierze nie mieli na sobie zwykłych zbroi, tylko elastyczne czarne kombinezony. Biegli w doskonałym porządku i rytmie, z wyprostowanymi głowami, wysoko unosząc kolana. Podążali na spotkanie z niebezpieczeństwem, być może ze śmiercią. Każdy z nich miał dokładnie metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, krótkie czarne włosy, przenikliwe spojrzenie i smagłą skórę, nieco ciemniejszą u osobników dłużej przebywających na słońcu. Twarze były identyczne, o grubych brwiach i mocnych nosach, rzucających cień na wąskie, uparte usta.

Wszyscy, co do jednego, byli klonami.

Kilku z nich nie było zwyczajnymi szturmowcami, choć niewielu ludzi z zewnątrz odróżniłoby ich na pierwszy rzut oka. Należeli oni do Specjalnych Oddziałów Zwiadowczych; bardzo niewiele takich klonów wyhodowano w laboratoriach Kamino. Komandosi z SOZ byli najgroźniejszymi żołnierzami, jakich kiedykolwiek stworzono.

W przeciwieństwie do ogólnego przekonania, nawet standardowy żołnierz nie był jedynie bezmyślnym statystą i mięsem armatnim. Wszyscy byli wyszkoleni w szerokim zakresie ogólnych dyscyplin wojskowych, począwszy od walki wręcz aż po zaawansowane techniki pierwszej pomocy medycznej. Awansowali też od zwykłego żołnierza do stopni dowódczych na podstawie swoich dokonań na polu bitwy. Teoretycznie wszyscy żołnierze byli tacy sami, lecz doświadczenie i niewielkie odchylenia w warunkach klonowania nieuchronnie prowadziły do tego, że niektórzy byli jakby mniej tacy sami niż inni.

Na pokładzie jednego ze statków, „Nexu”, czekał mężczyzna, który na zbroi nosił niebieskie insygnia kapitańskie. Hełm i tabliczka na szyi identyfikowały go jako A-98, lecz dla swojego współpracownika był Nate'em. W innych czasach i innych miejscach to on prowadził do boju swoich braci, tu jednak był tylko jednym z tysięcy identycznych żołnierzy biegnących na spotkanie z losem.

Kolejny klon w szeregu zamknął się w cylindrycznej kapsule desantowej, powierzając Nate'owi sprawdzenie jej sprawności na zewnętrznych monitorach. Nate przebiegł w myśli listę znaną mu tak dokładnie, jak linie na prawej ręce. Szybkim, mocnym klepinięciem stwardniałej dłoni w powłokę oznajmił, że kapsuła jest szczelna i bezpieczna. Przez odporną na temperatury i wstrząsy płytę widział zwrócone ku niemu oczy brata. Niczym swoje własne, odbite w szybie.

Oczy cofnęły się i powędrowały w głąb korytarza, gdzie kapsuła z brzękiem i łomotem wylądowała na taśmie przenośnika.

Nate odwrócił się, skinął głową kolejnemu żołnierzowi i sam zamknął się w kapsule. Mężczyzna sprawdził wszystko, podobnie jak Nate uczynił to kilka chwil wcześniej dla poprzedniego kłona. W kapsule rozległ się odgłos uderzenia dłoni w powłokę. Krzepiący dźwięk. Niech otchłań pochłonie wszystkie te migoczące światelka - nie ma nic lepszego niż aprobaty drugiego żołnierza.

Kapsuła, wykorzystywana w wielu wcześniejszych desantach, cuchnęła potem... nie jego własnym, choć poprzedni jej lokator był genetycznym bliźniakiem Nate'a. Wyczuł śladowe zapachy leku antywirusowego, przeznaczonego do prac w obcym środowisku. Odetchnął głęboko i całkowicie automatycznie przebiegł kolejne pozycje listy kontrolnej dla metalowej trumny.

Ten zapach... Słodki, ostry i organiczny. Nagle go rozpoznał. Triptophagea. Triptophagea był to narkotyk stosowany jako środek przeciwgorączkowy na pół tuzinie planet, które mógł nazwać bez trudu. Tylko jedna z nich była ostatnio miejscem działań wojennych i Nate pojął, że poprzedni lokator kapsuły musiał być na Cortao nie dalej niż w zeszłym miesiącu.

Gdzieś w głębi zdawał sobie sprawę, że te myśli służą jedynie odwróceniu uwagi od niebezpieczeństw, jakie niósł ze sobą desant. Ryzyko zawsze należało brać pod uwagę. Strach był nieodłącznym towarzyszem żołnierza. Nie należało się go wstydzić - to, co człowiek czuł, nie miało nic do rzeczy. Najważniejsze było to, co robił. Nate był jednym z niewielu komandosów z SOZ w całej galaktyce i dla niego nie istniało lepsze życie.

Kapsuła zadygotała i ruszyła w dół po taśmie transportowej. Głośnik w hełmie Nate'a obudził się do życia z lekkim charkotem.

- Tu kontrola do żołnierza A-Dziewięć-Osiem. Szacunkowy czas wystrzelenia: minuta i dwadzieścia cztery sekundy.

- Minuta i dwadzieścia cztery sekundy - powtórzył Nate i zacisnął pięść w niewidocznym salucie. - Sto procent.

SOZ oznaczało to samo, co doskonały.

Minuta dwadzieścia. Około osiemdziesięciu uderzeń serca - wystarczy, aby tysiące paskudnych myśli zakradły się niepostrzeżenie do niebacznego umysłu. Nauczył się walczyć z nimi na setki sposobów, ale żaden nie był lepszy od osobistego rytuału medytacji, jakiego nauczył go współtowarzysz. Zanurzył się w jej krzepiących falach, przesuając przed oczami galerie kolorów i kształtów, czerpiąc -jak zawsze, od najwcześniejszych chwil dzieciństwa - otuchę z prostoty i piękna każdego z geometrycznych wzorów. Wsłuchiwał się w rytm swojego pulsu, który w odpowiedzi zwolnił do około czterdziestu uderzeń na minutę. Zanucił czternaście słów, jakie pozostawały wyrzeźbione w jego sercu: „Nie chodzi o to, z czym walczy człowiek, liczy się to, o co walczy”.

Nate walczył o honor Wielkiej Armii Republiki i w jego oczach ten obowiązek był czymś wspaniałym. Czymś... pięknym.

Niektórzy uważali, że klony nie umieją docenić piękna, ale się mylili. Piękno to sprawność i funkcjonalność. Piękno to wyraźny cel i brak marnotrawstwa.

Większość utożsamia piękno ze zniechęcałością i bezużytecznością.

Żołnierze mają inne zdanie.

Bum. Jeszcze jedna kapsuła wyleciała. Szarpnęło nim w lewo, gdy jego kapsuła przesunęła się w prawo, coraz bliżej końca kolejki.

Bum.

- Pięćdziesiąt sekund - oznajmił kontroler.

BUM. Drżenie przeszło w głuchy, szeleszczący odgłos, bardziej wyczuwalny w kościach niż w uszach. Kapsuła przesuwała się teraz znacznie płynniej i A-98 spokojnie sprawdził ustawienia. A potem nastąpił moment przeraźliwej ciszy. Wstrzymał oddech, uspokajając nerwy; odnalazł w sobie miejsce, które na to oczekiwało, żyło dla chwili, jaka właśnie miała nastąpić.

A potem tok myśli urwał się, gdy kapsuła wystrzeliła z doku statku w kierunku odległych fal. Przyspieszenie wgniotło go w ścianę kapsuły.

Nate miał teraz czas, aby sprawdzić ekrany. Ten model był lepszy od poprzedniej jego kapsuły, która pozostawiała go w ciemności przez większość trasy. Ta miała ekrany - jeden, który przekazywał widok zewnętrznej powłoki oraz drugi, na którym mógł obejrzeć „Nexu”, lecz z całkowicie odmienną perspektywą.

Widziany ze spadającej kapsuły statek był gigantycznym, kanciastym, płaskim kształtem z metalu, najeżonym bronią i antenami, przewożącym dwanaście tysięcy żołnierzy lub megatony broni i zapasów. Funkcjonalność najlepsza z najlepszych.

A potem i ten widok znikł, a A-98 pogрузił się w zewnętrznych warstwach atmosfery Vandora Trzy.

Kapsuła zadrżała, gdy tarcie rozgrzało jej powłokę do dwóch tysięcy stopni. Temperatura ta usmażyłaby go w jednej sekundzie, gdyby nie termoenergetyczny ekran siłowy, który zasysał ciepło w baterie.

Nate sprawdził sprzęt. Leciał teraz na oślep prosto w rozszalałe fale oceanu. Czujniki podawały mu temperaturę, pozycję i przyspieszenie. Małe repulsory sterujące wykorzystywały zmagazynowaną energię kapsuły, aby utrzymywać ją na odpowiednim kursie.

Wszystko w porządku. Teraz już nic nie można zrobić. Trzeba spaść, walczyć i zwyciężyć. Lub umrzeć.

Żołądek podszedł mu do gardła, gdy nagła wibracja kapsuły oznajmiła wytracanie prędkości. Repulsory strzelały, czujniki oznajmiały wyciem, że osiągnął krytyczną odległość od wezbranych fal.

W ciągu trzydziestu sekund kapsuła podskoczyła raz jeszcze, uderzając w powierzchnię wody. Światła we wnętrzu pojazdu zmieniły kolor z żółtopomarańczowego na alarmową czerwień, gdy niektóre z drobniejszych systemów zaczęły się smażyć. Nie ma problemu - takie błędy się zdarzały. Cud stałby się dopiero wtedy, gdyby wszystkie systemy pozostały nietknięte przez cały czas zejścia.

Czujniki wykazywały, że temperatura powłoki opada gwałtownie teraz pogrążał się bardzo szybko. Nate chwycił ustnik zębami, upewniając się, że zimny strumień życiodajnego tlenu spływa swobodnie. Za chwilę będzie za późno na poprawki. Za chwilę rozpocznie się gra.

Komunikator trzeszczał przechwyconymi rozmowami:

- Straciliśmy jednego w kwadrancie czwartym. Drugiego w kwadrancie drugim. Starajcie się przeżyć, ludzie!

- Niezły plan - mruknął do siebie, ale i każdego, kto mógł go słyszeć. Nie było powodu żałować zabitych, skoro za chwilę sam też może umrzeć. Zamigotała lampka ostrzegawcza - kapsuła doznała awarii. Przez spękaną skorupę wdzierала się woda, zalewając Nate'a zimną falą od kostek po kolana.

- Ostrzeżenie - zawył system alarmowy. - Przerwanie powłoki. Ostrzeżenie! Przerwanie powłoki!

Dzięki za ostrzeżenie, mruknął, czując, że jest już do połowy mokry. No cóż, tak to bywa, kiedy kontrakt dostaje najtańszy z oferentów, pomyślał z goryczą.

- Mamy wyłom w trzech jednostkach na lewej flance. Wprowadzamy procedury awaryjne. Żądamy zezwolenia na przerwanie operacji.

- Odmawiam! - odparł dowódca, a w jego głosie nie brzmiał nawet cień litości. Nate podziwiał w nim tę cechę i zazdrościł jej. - Kontynuować akcję aż do zakończenia.

Pierwszy głos odezwał się znowu:

- Żądamy zezwolenia na rozpoczęcie akcji ratowniczej.

- Odmawiam, żołnierzu! Wyznaczone jednostki was wesprą. Trzymać się celu.

- Sto procent - odparł żołnierz.

Uczucie klaustrofobii i jęki skazanych na śmierć ludzi przeraziłyby niejednego, lecz Nate dokończył procedury awaryjne z precyzją maszyny, wduszając przyciski i popychając dźwignie, choć wznosząca się woda zwiększała ciśnienie w kapsule. Przez chwilę sądził, że głowa mu eksploduje.

Kapsuła kołysała się i podskakiwała, czerwona dioda na poziomie oczu powoli odliczała do zera. Powietrze zaświstało mu w ustach, zewnętrzna powłoka rozpadła się i woda zalała cały świat. Kapsuła rozszczepiła się wzdłuż poziomej osi - górna część odpadła i pogrążyła się w otchłani, natomiast dolna zamieniła się w sanie.

Wokół niego unosiły się setki jego braci. Był tylko elementem w pozornie nieskończonej liczbie

punktów manewrujących w ciemnościach. Jak okiem sięgnąć, wokół niego unosili się żołnierze.

Mocniej ujął stery, zadowolony, że znów kontroluje sytuację. Ogarnęło go dziwne uczucie zadowolenia. Tak powinno wyglądać życie mężczyzny: trzyma los we własnych rękach i otoczony przez braci, pluje w krwawe ślepie śmierci. Żałował tych tchórzliwych istot, które nigdy nie zaznały takiego uczucia.

Każde sanie wyposażone były w dziobową kamerę, przekazującą obrazy na sieć o niskiej częstotliwości, która generowała hologram wielkości pięści. Nate mógł go obejrzeć z wszystkich stron.

Formacje żołnierzy miały geometryczną precyzję płatków śniegu lub szlifowanych klejnotów. Ktoś mógłby wyciągnąć wniosek, że tak piękne i skomplikowane układy zostały doskonale wyćwiczone wcześniej, ale myliłby się. Formacja była jedynie nieuniknionym wynikiem prostych instrukcji wpojonych żołnierzom w ciągu intensywnego, skróconego do minimum dzieciństwa.

Nate zwrócił teraz uwagę na własne, konkretne zadanie. Musiał jedynie pilnować sześciu żołnierzy - z przodu i z tyłu, po lewej i po prawej, u góry i u dołu. Oczywiście, musiał też wierzyć, że oni robią dokładnie to samo. Jeśli będzie się pilnował, zachowując odpowiednią odległość i uwzględniając czynniki środowiskowe, klony w naturalny sposób zachowają właściwą formację ataku i defensywy. Kiedy włączą się do walki, kolejne instrukcje sprawią, że efekty będą nieco inne.

Poruszali się poprzez mętną ciemność, oświetlając ją sobie reflektorami z wyposażenia sań; blask wydobywał z mroku nieregularne formy życia roślinnego i zwierzęcego na dnie oceanu. Jeśli nie liczyć okazjonalnych trzasków komunikatora w uszach i miarowego dudnienia silnika sań, wokół panowała zupełna cisza. Wszystko było na sto procent - proste i jasne.

Nate skupił się na wykonywanych akurat czynnościach. Jego umysłu nie zaćmiewały myśli o przeszłości czy przyszłości. Zaciskał palce na uchwytych, odpychając się stopami, choć sanie miały swój własny napęd. Radował się poczuciem siły, jaka rozpierała jego ciało. Żołnierz potrzebował nieskończonej wytrzymałości, potężnych pleców, jędrnych warstw mięśni na brzuchu. Niektórzy błędnie sądzili, że to siła górnej części ciała żołnierza jest najważniejsza. Właśnie o tym pamiętali cywile, kiedy oglądali żołnierza bez zbroi - potężne, węzłowate mięśnie ramion i przedramion, grube, a przy tym zadziwiająco zręczne palce.

Ale cała różnica kryła się w nogach, które mogły unieść podwojony ciężar ciała po trzydziestostopniowym podejściu w równym marszu. Kryła się też w jego plecach, które mogły udźwignąć każdego z braci klonów i wynieść w bezpieczne miejsce bez najmniejszego wysiłku. Nie, żołnierz na polu bitwy nie dbał o to, jak wygląda. Ważne było jedynie jego zachowanie pod ostrzałem.

Głos w uchu Nate'a zatrzeszczał nagle:

- Mamy kontakt, prawa flanką. Jakiś morski wąż albo macka...

Właśnie! - Manewr unikowy! Triangulacja na sektorze cztery-dwa-siedem. W wodzie przed jego

oczami natychmiast zamigotał hologram, ukazując, gdzie znajduje się ten sektor. Bardzo dobrze. Musi jeszcze tylko zauważyć coś, co posłuży za znak orientacyjny. W chwili, kiedy to „coś” ujrzy, jego szkolenie i system „wewnętrznej mapy” uruchomi się sam. Na razie jednak musiał polegać na technologii.

Jego spokój rozdarł nagle oczekiwany, ale i tak niepokojący odgłos: żalosna, urwana w pół skarga kolegi. A potem słowa:

- Straciliśmy jednego żołnierza.

Nate poczuł falę ciśnienia wody, zanim oczy lub zmysły zarejestrowały zagrożenie. Wszyscy otaczający go bracia rozproszyli się nagle, uciekając w popłochu. Obserwował, jak mięsista, pokryta kubkowatymi ssawkami macka chwyta żołnierza dwa szeregi od niego i unosi w otchłań, pozostawiając za sobą smugę bąbelków.

Teraz dopiero ujrzał przeciwnika i zaklął szpetnie. Jak, u wszystkich kosmicznych otchłani, mógł go przeoczyć? Całe dno oceanu pokryte było ogromnymi skupiskami kształtów, które z początku uznał za kamienie, choć ostatecznie okazały się gigantycznymi, nieodróżnionymi koloniami wrogich form życia. Były ich miliardy, cała rafa, rozciągająca się na wszystkie strony na odległość wielu kilometrów, niczym miasto pełne bezmyślnych, żarłocznych paszczy. Nawet macki nie były tylko kończynami. Każda z nich składała się z milionów mniejszych organizmów, jakimś dziwnym sposobem współpracujących, aby zdobyć żywność.

Umysł Nate'a w ciągu kilku sekund przesiał dziesiątki tysięcy informacji. To Selenom - uznał wreszcie. Zabójca. Występuje tylko na jednej planecie i jeśli jest coś pewnego w tej galaktyce, to jednak nie na tej...

Głos w jego uchu odezwał się znów:

- Ile tu jest tych istot?

- Tylko jedna paskuda, ale wystarczy, żeby was wszystkich pozabijać, jeśli nie przestaniecie kłapać jadaczkami i nie zajmiecie się robotą. Utrzymywać czysty kanał. Prawa flank, zacieśnić szyki. Obserwować swoje ślepe strefy.

A potem już nie było rozmów, tylko działanie. Strumienie energii przemykały przez wodę, uwalniając potężne, skłębione chmury gazu, które zaczynały już przesłaniać widoczność.

I znów wzajemne porozumienie i zaprogramowane instynkty klonów okazały się bezcenną pomocą. Dopóki Nate widział choć jednego żołnierza, mógł sobie wyliczyć, gdzie znajdują się inni. Jeśli mógł dostrzec dno oceanu, potrafił odgadnąć wielkość i kształt oraz pozycję reszty formacji, a dzięki temu określić, kiedy, gdzie i do kogo bezpiecznie jest strzelać.

Kiedy otchłań pochłonięła wrzeszczącego człowieka, wyrwa w formacji nie okazała się problemem. Ci, którzy otaczali przedtem nieszczęśnika, teraz jedynie zacieśnili szyki. Istota na dnie oceanu mogła być samoregenerującym się potworem, stworzeniem żyjącym w koloniach bez naturalnych wrogów z

wyjątkiem głodu, lecz Wielka Armia Republiki walczyła z nim jak równy z równym. WAR będzie istniała zawsze, bo całość jest nieskończenie trwalsza od każdej części osobno.

- Jestem czysty! Jestem czysty! - wołał inny głos.

- Straciliśmy jeszcze jednego! Uważajcie na ślepe strefy, osłaniajcie swoich braci!

- Macka na twojej dziewiątej!

- Zajmij się nią!

Selenoma w żadnym wypadku nie mogła być uważana za rutynowego przeciwnika, lecz Nate, choć nigdy do tej pory nie stawał przed takim wyzwaniem, wiedział już, jak z nią walczyć. Znowu to samo złożone zachowania wynikające z prostych instrukcji.

Jego miotacze zostały skalibrowane na podwodną walkę i zniszczenie. Nate przyciskał spust krótkimi, kontrolowanymi seriami, zamiatając na lewo i prawo, w górę i w dół, unikając szukających go macek. On i legion jego braci tańczyli w rytm bitewnej melodii, tnąc macki na kawałki, aż woda zmieniła się w zupę z kawałków selenomy.

Jesteśmy Wielką Armię, myślał Nate, radośnie szczerząc zęby, gdy jeden z jego braci uniknął ciekawskiej macki o milimetry. Nie miałaś zielonego pojęcia, w co się pakujesz, ty śmierdząca, zgniła...

Chwył mięsistej macki spowodował u niego przyływ adrenaliny. Zębate ssawki wpiły się w sanie Nate'a. Światła zamigotały i zgasły. Macka wżarła się w jego kombinezon, szarpała i przeżuwała, usiłując ściągnąć go w rozwartą paszczę selenomy.

Gorączkę walki nagle zmroził przyływ strachu. Nate zdławił go natychmiast. Co to powiedział Jango? Zostaw swój strach za sobą, tam jest jego miejsce. A potem rozwał w drobny mak wszystko, co jest przed tobą. I wszystko będzie dobrze.

Powtarzał te słowa tysiące tysięcy razy, ale nigdy nie potrzebował ich bardziej niż dziś.

Macka ścisnęła go tak mocno, że normalnemu mężczyźnie zapewne połamałaby zebra i zmiażdżyła kręgosłup na proch. Ale żołnierze klony nie byli normalnymi mężczyznami. Nate odetchnął głęboko. Wchłonięte powietrze przekształciło jego pierś w durastal, zdolną opierać się tak długo, jak długo starczy mu oddechu. Podobnie, jak wszyscy żołnierze-klony, Nate mógł powstrzymać się od oddychania przez prawie cztery minuty.

Oczywiście, kiedy będzie już musiał odetchnąć, jego klatka piersiowa zapadnie się i selenoma go zmiażdży, a potem pożre w mroku jego strzaskane ciało. Nie mógł teraz o tym myśleć. Odepchnął od siebie wszelkie rozważania o porażce. Uwolnił rusznicę i schylił się, strzelając krótkimi, kontrolowanymi seriami, aż odciął mackę.

Woda zawrzała czernią.

- Odpadać! - zawył głos w jego uchu. Nie wiedział, czy to ogólny rozkaz, czy jest przeznaczony tylko dla ich formacji, ale to przecież nie miało znaczenia. Ruszył w górę poprzez mętną wodę. Wokół niego pływały drgające szczątki selenomy oraz kawałki czegoś innego, czemu nie chciał się bliżej przyglądać. Może zobaczy to później, w snach, które na pewno przyjdą.

Dno oceanu wyszło mu na spotkanie. Po kilku metrach poczuł, że ma grunt pod stopami. Podpłynął i wypełził na powierzchnię. Wyciągnął połamane sanie.

Wyrwał z ust ustnik i ze szlochom wciągnął powietrze. Fale chłostały go po nogach. To jeszcze nie koniec. Rozejrzał się szybko na boki i zorientował się, że jego śmiertelnie zmęczeni bracia wciąż jeszcze wypełzają setkami z wody, wlokąc za sobą sprzęt. Obrócił się na plecy, plując wodą, i ogarnięty paraliżującym zmęczeniem wbił wzrok w jasne niebo.

Chmury się rozstały. Srebrzysty dysk, najeżony uzbrojeniem, spłynął w dół. Nate przymknął oczy i zacisnął zęby. Mógł doskonale przewidzieć, co będzie dalej.

- W porządku, ruszajcie dalej - zawołał do nich admirał Baraka. Ćwiczenia dobiegną końca wtedy, kiedy ja uznam za stosowne.

Dysk Baraki ruszył w kierunku plaży, powtarzając kilkakrotnie to samo polecenie. Dwaj żołnierze obok Nate'a wypulili wodę, podnieśli oczy w górę i pokręcili głowami.

- Ruszać dalej? - zawołał jeden ze zdumieniem. - Zastanawiam się, jak szybko on by ciągnął swoje zwłoki po piasku, gdyby właśnie walczył z selenoma.

- Oddałbym tygodniowe racje, żeby się dowiedzieć - mruknął Nate.

- Ilu z nas się udało? - zapytał drugi.

- Wystarczy - odparł Nate i dźwignął się na nogi, zbierając sprzęt, żeby przenieść go na piasek. - Wystarczy aż nadto.

Admirał Baraka siedział w statku repulsorowym i wołał:

-Ruszać się! Ćwiczenia jeszcze nie są zakończone! Powtarzam, nie zostały zakończone!

Admirał Arikakon Baraka był ziemnowodnym Kalamarianinem. Kalamarianie mieli oczy wielkie jak gogle i błony między palcami, a ze swoją łososiową skórą i łagodnym usposobieniem często bywali niedoceniani przez przeciwników. Ale klan kalamariańskich wojowników prawie zaginął, Baraka zaś zajmował zaszczytną pozycję w jego szeregach. Nie przepadał za klonami, ale za trwanie pod potężnymi i opiekuńczymi ramionami Republiki trzeba było zapłacić pewną cenę. W pewnym sensie klony miały swoje zalety: nie trzeba było robić zaciągu dla cywilów i bezdomnych. Armia składała się wyłącznie z profesjonalistów.

Baraka szczerze popierał ideę doświadczonych taktyków, poszerzających w praktyce bardziej teoretyczną wiedzę przekazywaną na Kamino. W końcu, jeśli chodzi o Kaminoan... byli to kloniarze, nie wojownicy. Baraka nosił blizny z dziesiątków bitew. Czy to całe ciężko zapracowane

doświadczenie miałyby przepaść tylko dlatego, że kanclerz chciał zagarnąć więcej władzy w swoje ręce? Nigdy! U żołnierza najważniejsza była koncentracja i doświadczenie. Przyływ opadnie, wir się rozplynie, krakana skurczy się ze strachu. Taka jest moc skoncentrowanej osobowości. Toklar, filozof z Kalamaru, napisał te słowa tysiąc lat temu i wciąż nie przestały one brzmieć prawdziwie.

Dlatego też istoty takie jak admirał Baraka przybyły na Vandora Trzy, drugą zamieszkaną planetę w systemie gwiazdnym Coruscant jeszcze jeden z wielu słabo zaludnionych światów, gdzie zwykle prowadzono manewry klonów. Żołnierze-klony dostarczani byli do walki u boku miejscowych armii w stu różnych systemach. Nie byli to źli żołnierze - tak naprawdę admirał podziwiał ich wytrzymałość na ból i szaloną zachłanność na trening.

Baraka był przeznaczony do zawodowej służby wojskowej od urodzenia, podobnie jak wcześniej jego dziadek i ojciec. Teraz obawiał się, że narodziny armii klonów będą oznaczać zagładę tradycji, która trwała przez dziesiątki pokoleń.

Jego sierżant i pilot byli klonami - kolejni samce rasy ludzkiej o szerokich ramionach i ciemnej karnacji. Pod hełmami kryli takie same płaskie, szerokie twarze, jak ludzie, którzy właśnie wypełzali na plażę.

- W tych ćwiczeniach odnotowaliśmy jeden przecinek siedem procent śmiertelności - oznajmił sierżant.

- Świetnie - odparł admirał Baraka. Klony są tańsze do wyhodowania niż do przeszkolenia. Nawet jego samego przeraziła bezdusność tej myśli, lecz nie mógł jakoś wycisnąć z siebie bodaj cienia poczucia winy. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż całego nabrzeża widział jedynie setki... nie, tysiące żołnierzy wypełzających z fal, wlokących za sobą mokre, nierówne ślady jak gromada połamanych skorupiaków. Byli marzeniem każdego oficera: absolutnie spójny produkt umożliwiający planowanie kampanii z matematyczną precyzją. Żaden dowódca w historii nie wiedział nigdy, jak mogą zareagować jego żołnierze. Do dziś.

A jednak... jednak... jakaś część umysłu Baraki czuła się niepewnie. Czy to przypadkiem nie myśl o tym, że nagle stał się przestarzały? A może coś innego, jeszcze bardziej niepokojącego, co wymykało się określeniom?

Nie umiał się zdecydować. Admirał Baraka miał dziwne, niejasne przeczucie, że jego brak respektu dla godności i wartości klonów w jakiś sposób umniejszył jego własną godność, ale nie potrafił temu zaradzić.

- Ruszać się! Ruszać się! - krzyczał do mikrofonu. Ćwiczenie jeszcze sienie skończyło! Powtarzam, ćwiczenie sienie skończy, dopóki nie zostanie osiągnięty cel...

Poleciał dalej, przelotnie zauważając, że hełmy pilota i sierżanta zwróciły się ku sobie na chwilę. Gdyby nie zostali tak perfekcyjnie przeszkoleni, jego pogarda zapewne wzbudziłaby ich nienawiść. Biorąc pod uwagę morderczy stres, w jakim ich utrzymywał, niższe rangi zapewne z chęcią usmażyłyby go żywcem.

Ale oczywiście nie klony.

Jako mięso armatnie byli naprawdę najlepsi.

Po skończonym dniu ćwiczeń Nate z wdzięcznością oparł się o kratownicę na podłodze transportera, który unosił do baraków jego oraz pięćdziesięciu z jego braci. Vandor Trzy był najgorszym poligonem, jaki przeżył do tej pory. Jeśli wierzyć plotkom, śmiertelność doszła tu prawie do maksymalnej wysokości dwóch procent. Nie czuł się źle z tą statystyką. Nate doskonale rozumiał starą prawdę: „Im bardziej pocisz się w czasie treningu, tym mniej krwawisz w walce”.

Zarówno Nate, jak i pozostali żołnierze byli poranieni i słabi. Niektórzy wciąż jeszcze dygotali po nagłym skoku adrenaliny. Kilku żuło pałeczki uspokajające; jeden czy dwóch siedziało ze skrzyżowanymi nogami i przymkniętymi oczami. Niektórzy spali, inni rozmawiali szeptem, roztrzásając wydarzenia minionego dnia.

Dla kogoś z zewnątrz wszyscy wyglądali tak samo, ale żołnierze klony dostrzegali różnice: blizny, odcień skóry, zmiany w języku ciała spowodowane różnymi treningami, odmienna intonacja głosu spowodowana pobytem na różnych stacjach treningowych, zmiany w zapachu wywołane odmienną dietą. Nieważne, że wszyscy zaczęli życie tak samo, w identycznych sztucznych macicach. Ich uwarunkowanie doświadczenia różniły się od siebie na milion drobnych sposobów, a to powodowało różnice w zachowaniu i osobowości.

Wyjrzał przez jeden z bocznych iluminatorów, obejmując wzrokiem osiedle w okolicy stołecznego miasta Vandoru Trzy. Była to mała przemysłowa miejscina, rafineria ropy czy coś w tym rodzaju, otoczona przez wiele kilometrów kwadratowych nagiej, niewykorzystanej ziemi.

Tu właśnie zbudowano baraki, tymczasowe miasto, przygotowane wyłącznie po to, aby pomieścić i wyszkolić pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Baraki były modułowe, łatwe do wzniesienia i rozłożenia. Ustawiono je już w zeszłym tygodniu i czekały na kolejny zrzut szkoleniowy.

Żołnierze-klony, którzy już przecierpieli zrzut, nie wspominali nowym, co ich czeka. Oczywiście, wszyscy widzieli cięte rany od ssawek, ale żołnierze, którzy przeżyli już starcie z selenomą, milkli nagle, kiedy pojawiał się żołnierz bez odznaki zrzutu na Vandor Trzy. Wcześniejsze ostrzeżenie mogłoby wydawać się grzecznością, lecz żołnierze wiedzieli, że taka wiedza mogłaby spowodować zredukowanie wycucia trudności i napięcia emocjonalnego w czasie ćwiczenia, zmniejszając tym samym późniejszą szansę brata na przeżycie.

Transporter pozostawił ich na podjeździe przed wielkim budynkiem z prefabrykatów. Mieścił on co najmniej trzy z pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy obecnych w mieście.

Unosząc się w oparach zmęczenia, Nate wyjął sprzęt z transportera i powlókł się korytarzem, sardonicznie odpowiadając na pozdrowienia żołnierzy, którzy przeszli już zrzut i teraz witali ich uniesionymi kciukami, aplauzem i salutami, jakby w uznaniu tego, przez co przeszli.

Oni wiedzieli. On teraz też już wiedział.

I to wszystko.

Złapał turbowindę na trzeci poziom, odliczając rzędy pryczy, aż dotarł do swojej. Porzucił sprzęt na podłodze obok, zerwał z siebie ubranie i pobiegł pod prysznic.

Mijając lustrzane tafle, widział w nich swoje odbicie. Nie odczuwał próżności, jak zwykli ludzie, lecz bardzo dokładnie znał swoje ciało, niczym dobrze skonstruowaną maszynę, zawsze czuwając, czy nie pojawiają się oznaki, że coś jest chore, nie takie jak trzeba, zmienione, uszkodzone. Zawsze miał świadomość, że nawet najdrobniejsze niedoskonałości mogą negatywnie wpłynąć na sprawność, narażając na niebezpieczeństwo misję, a nawet życie brata.

Ciało Nate'a był doskonałą kompozycją mięśni i ścięgien, idealnie zrównoważoną w każdej płaszczyźnie, optymalnie umięśnioną, o doskonałej stabilności, która zawstydziłaby czempiona chinbreta. Skóra była poznaczona świeżymi sińcami i otarciami, a nawet ranami, które trzeba było opatrzyć lub wyleczyć, ale takie urazy są nieuniknione.

A-98 wszedł do stacji pryszniców, przesuwając się ku parującym, wykładanym płytkami kabinom w łaźni. Wszedł pod tryskającą wodę, z jękiem przyjmując ją na świeże skaleczenia. Po wyjściu z oceanu na tę cholerną plażę spędzili jeszcze sześć godzin na wdrapywaniu się na wzgórze, aby walczyć i brać do niewoli roboty bojowe, broniące flagi miotaczami nastawionymi na ogłuszanie. Cały dzień wspaniałej, morderczej tortury. Mydło wymknęło się z dłoni jednego z braci i Nate chwycił je w locie, a potem, ku uciechu wszystkich obecnych, zaczął nim żonglować jak karnawałowy sztukmistrz. Dało to początek krótkiej fali spontanicznej zabawy i oszałamiającej żonglerki - żołnierze rzucali sobie kawałki mydła, prawie nie patrząc, jak gdyby byli połączeni jednym wielkim systemem nerwowym. Trwało to przez kilkanaście radosnych minut, po czym ferwor opadł, stłumiony przez ogromne zmęczenie. Namydlili się wreszcie, krzywiąc się, gdy piana dostawała się do ran i zadrapań. Takie było życie Nate'a i nie wyobrażał sobie innego. Mistrzowie kloniarzy z Kamino postarali się, aby ich żołnierze nie byli jedynie prostymi piechurami. Zwykli żołnierze w całej galaktyce mogą być przeszkoleni - od całkowitej ignorancji do nabycia podstawowej wiedzy - w ciągu sześciu do dwunastu tygodni. Standardowy klon przechodzi szkolenie od rekruta do w pełni przeszkolonego żołnierza w ciągu prawie dziewięciu lat, ale za to po dziesięć tysięcy naraz. Komandosi-klony byli specjalną rasą, szkoloną do trudnych działań, do rekrutacji i ćwiczenia miejscowych żołnierzy. Specjalne Oddziały Zwiadowcze znajdowały się zaś jeszcze o poziom wyżej. Nate opuścił łaźnię i wrócił na swoją pryczę. Żołnierze - co było bardzo ekonomiczne - nie zajmowali dużo miejsca. Sypiali w kapsułach, co nie miało wiele wspólnego z prywatnością. Byli jednocześnie i wielością i jednością, tysiącami identycznych jednostek ludzkich sklonowanych z jednego fizycznego i mentalnego wzorca wojownika: łowcy nagród zwanego Jango Fett.

Wiedli proste życie. Szkolili się, jedli, podróżowali, walczyli i odpoczywali. Od czasu do czasu pozwalano im na nieco relaksu, doprowadzając do kontaktów z normalnymi istotami rozumnymi, lecz trening przygotowywał ich jedynie do najprostszyc, najbardziej bezpośrednich doświadczeń, jakie można sobie wyobrazić, Byli żołnierzami. Nie znali nic innego. Nie śnili o niczym innym.

Nate odnalazł swoją kapsułę, wrzucił kopniakiem sprzęt w szczelinę pod nią i wskoczył do środka,

okrywając swoją nagość kocem termicznym, który natychmiast automatycznie przyjął temperaturę siedemnastu stopni Celsjusza - doskonałej temperatury, dającej wygodę i optymalne warunki zdrowotne. Był to jeden z niewielu luksusów w życiu żołnierza.

Prawie natychmiast miazdzące zmęczenie uniosło go w ciemność. Podczas gdy zwykli ludzie, zasypiając, obracali się i wiercili, i myśleli o różnych drobiazgach, Nate przymknął oczy i przeszedł w stan odpoczynku, natychmiast opadając w krainę snów. Sen nadchodzi szybko, jeśli mu się na to pozwoli. Był to kolejny cenny element jego szkolenia. Żołnierz nie obraca się i nie kręci. Nigdy nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się okazja do snu. Jeśli będzie trzeba, Nate zaśnie i w marszu.

Wyszkolono go jednak, aby zanim zapadnie w sen, wykorzystał skrawek świadomości, to miejsce pomiędzy snem a jawą, do poukładania informacji. Jego podświadomość przywołała wydarzenia minionego dnia: od wejścia na pokład „Nexu” poprzez odprawę, desant, walkę z selenomą, szamotanie się na plaży, aż do szturm na wzgórze.

Przywołana informacja popłynęła do wcześniej wybranych wzorców mentalnych w celu jej zarejestrowania; przyczyniało się to znacznie do zwiększenia szans przeżycia, a także, co o wiele ważniejsze, również do zakończenia powodzeniem ważnej misji.

Pozostał w tym stanie przez pięćdziesiąt minut, lecz wreszcie trudy dnia zaczęły coraz bardziej dawać mu się we znaki. Mógł odsuwać od siebie zmęczenie przez nienaturalnie długi czas, ale nie widział powodu, aby to robić. Dobrze wypełnił swoje zadanie i należał mu się odpoczynek. A poza tym we śnie w dalszym ciągu będzie oceniać i reorganizować, choćby w całkiem symbolicznej formie. I to wystarczy.

A-98 pozwolił, aby opuściła go świadomość, a ciało pogrążyło się w leczniczym śnie. W końcu jutro też jest dzień.

Lepiej być przygotowanym.

W archiwach Świątyni Jedi Obi-Wan Kenobi i Kit Fisto studiowali miejsce swojego nowego zadania - przemysłowego potentata zwanego Ord Cestus.

Obi-Wan stwierdził, że Cestus to interesujący obiekt: stosunkowo naga i jałowa skała, bogata jedynie w niektóre rudy, lecz nienadająca się do uprawy. Większość powierzchni planety zajmowała pustynia. Tubylcze formy życia obejmowały żyjący w ulach owadzi lud znany jako X'Tingowie, oraz wielkie, zabójcze i podobno nieinteligentne pająki jaskiniowe.

Obecna populacja liczyła sobie kilka milionów zaludniała nowoczesne miasta, całkowicie nie do utrzymania bez importowanych zasobów: nawozów i środków do wzbogacania gleby, lekarstw i przypraw stosowanych w celu zmodyfikowania wody dla obcych.

- To niebezpieczne - zauważył Kit, siedzący tuż obok. - Racjonowanie spowodowało ich wprost w ramiona hrabiego Dooku. To nigdy nie mogłoby się zdarzyć, gdyby byli samowystarczalni.

Była to prawda oczywista. Na wojnie zaopatrzenie było równie ważne, jak wyszkoleni żołnierze.

Trzysta standardowych lat temu stosunkowo prymitywni X'Tingowie - kolonia o wielu ulach, rozmieszczonych na całej planecie - zawarli kontrakt z Coruscant, oferując miejsce na galaktyczne więzienie.

W pewnym momencie Zakład Karny Cestus zaczął wprowadzać w życie program polegający na szkoleniu i wykorzystywaniu umiejętności więźniów. Stało się to szczególnie interesujące, kiedy seria skandali finansowych i tragedia przemysłowa na Etti IV sprowadziła tu na dwadzieścia standardowych lat więzienia tuzin drobnych oficerów z Cybot Galactica, drugiego co do wielkości producenta robotów. Dwunastka nie przesiedziała na Cestusie nawet dwóch lat, gdy już zawarła z dyrekcją więzienia układ o rozpoczęciu badań i produkcji linii robotów. Dostęp do surowców i praktycznie darmowa siła robocza stały się obfitym źródłem bogactwa.

Dwunastu dzielnych więźniów szybko i po cichu zainstalowało się w eleganckich domach. Wybrani strażnicy i oficerowie stawali się coraz bogatsi. Powstał skorumpowany układ dynastyczny: Cestus Cybernetics, produkujący seryjnie doskonałe roboty-ochroniarzy. Dalsze wydarzenia trudniej było uporządkować. Wielkie połacie ziemi wykupiono od tubylczych rojów za psi grosz. Po straszliwych plagach, jakie zaczęły nękać X'Tingów, Cestus Cybernetics objął we władanie prawie całą planetę.

Nawet jednak dla bogatego pozaświatowca życie na planecie było ciężkie, zanim Cestus Cybernetics nie zdobył bajecznego kontraktu od niesamowicie bogatych i cieszących się niezwykłym powodzeniem Zakładów Zbrojeniowych Baktoid. Nastąpiła całkowita wymiana parku narzędziowego i maszynowego, a sprzedaż odbywała się teraz na ekskluzywnych rynkach

wojskowych. Gospodarka rozrastała się, by znów doznać zapaści, kiedy Federacja Handlowa przecięła wszystkie powiązania po klęsce na Naboo.

Boom, a potem krach. Cykle wzrostu i upadku następowały po sobie z oszałamiającą regularnością.

Obi-Wan przeglądał rejestr aktualnych władców. Po zarazach szalejących przez ostatni rok, po zniszczeniu prawie całego roju, biuro regenta planetarnego wciąż pozostawało w rękach osoby z królewskiej linii X'Ting, niejkiej G'Mai Duris. Czy ten urząd był elekcyjny, czy dziedziczny? Czy Duris była figurantką, czy prawdziwą władczynią?

Godzinę później uwagę Obi-Wana przykuła kolejna informacja. Dotyczyła ona grupy partyzantów-bojowników o nazwie Pustynny Wiatr. Większość ubogich farmerów z powierzchni planety pochodziła od zwolnionych za poręczeniem zwykłych więźniów. Protestując przeciwko stuleciu ucisku, Pustynny Wiatr pojawił się dwadzieścia lat temu i usiłował zmusić władców przemysłowych Cestusa, grupę bogatych przemysłowców zwaną Pięcioma Rodami, aby zasiedli do negocjacji.

Pustynny Wiatr został rozbity w zeszłym roku, lecz chodziły słuchy, że pozostało kilku jego członków, którzy wciąż napadali na transporty firmy.

Im głębiej wnikali w informacje Obi-Wan i Kit, tym bardziej umykała im prawda o władzy na Cestusie i o jej delikatnych powiązaniach z Coruscant.

- Przypomina to wkopywanie się w gąbczastą rafę - gderał Nautolanin po ośmiu godzinach pracy. - Potrzeba nam czarodzieja, żeby uporządkować te bzdury.

- Nie znam wielu czarodziejów - odparł Obi-Wan. - Sądzę jednak, że dobry prawnik przydałby się na pewno. Znam kogoś takiego.

- Doskonale - ucieszył się Kit. - I jeszcze jeden problem. Jeśli negocjacje nie pójda jak należy, być może trzeba będzie...przycisnąć nieco tę Duris.

Obi-Wan skrzywił się. Nautolanin miał rację, jak zwykle, ale Obi-Wan wołał ostrożność.

- Masz jakiś pomysł?

- Tak. Ty i prawnik zajmiecie się politykami. Mamy... - Zerknął szybko na ekran w poszukiwaniu informacji - ...mamy na Cestusie dwie wtyczki. Kobieta o nazwisku Sheeka Tuli i X'Tinga Trillota. Sądzę, że przy ich pomocy znajdziemy odpowiedni punkt nacisku.

- Jeśli można im ufać - zauważył Obi-Wan.

Kit zaśmiał się.

- Sugerujesz, że nie możemy ufać własnym ludziom?

Pytanie zawisło w powietrzu, z każdą chwilą zwiększając napięcie. Wreszcie Obi-Wan roześmiał się lekko.

- Oczywiście, że nie.

- To dobrze - odparł Nautolanin. - Jak powiedziałem, wezmę jednego SOZ-a i kilku komandosów, a gdyby było trzeba, zrobię mały nabór wśród tubylców.

Obi-Wan natychmiast pojął logikę tego planu. Jeśli na nowo powołają do życia Pustynny Wiatr, regent i przedstawiciele Pięciu Rodów staną się bardziej nerwowi, mniej pewni siebie, może nawet bardziej otwarci na propozycje Republiki. Nie powinni zdobyć ciała żadnego szturmowca - jego podpis genetyczny byłby dowodem manipulacji Coruscant.

Przez wiele godzin obaj przyjaciele męczyli się nad dokumentami, rozważając możliwości i strategię, aż wreszcie uznali, że wszystkie możliwe działania i kontradziania zostały wzięte pod uwagę i przemyślane.

Reszta musi poczekać, aż naprawdę znajdą się na Cestusie.

Dziesięć godzin później A-98 się przebudził. Cykl odnowy dobiegł końca. Nate spojrział na ekrany w sklepieniu swojej kapsuły i przypomniał sobie, że miał się zgłosić do centrum operacyjnego po rozkazy.

Spędził trzydzieści sekund na szybkim mentalnym przeglądzie swojego ciała. Kolejne pół minuty poranka zainwestował w stały rytuał, dopełniający przejście ze stanu snu do pełnego rozbudzenia. Oczywiście, w wypadkach awaryjnych zarówno on, jak i każdy inny żołnierz umiał dokonać tego przejścia w ciągu kilku sekund, ale Nate lubił również mniej gwałtowne przebudzenia.

Po zakończeniu przeglądu odrzucił koc i spuścił nogi na podłogę. Skorzystał z prysznicza, umył twarz i zęby przy wspólnej umywalce i spakował swój skromny dobytek do worka. Zgodnie z Kodeksem, żołnierz SOZ musi być gotów udać się wszędzie i zrobić wszystko na każde żądanie dowódcy Jedi lub kanclerza Palpatine. Sto procent wysiłków Nate'a było poświęcone stawaniu się doskonałym żołnierzem.

Nie miał wyboru, nie miał innej egzystencji. A-98 był gotów. Niósł w plecaku kilka drobnych pamiątek z wcześniejszych akcji, sprzęt i trzydniowe racje wody i żywności.

Nate wychował się na Kamino, jako jeden z jednocześnie wyklutych klonów tysiąca żołnierzy. I jeden z tuzina, który został oznakowany jako Specjalny Oddział Zwiadowczy. Wspólnie się szkolili, wspólnie uczyli, razem szli na misję. Połowa z nich szkoliła się u samego Jango Fetta, a kiedy wrócili, byli posiniaczeni, lecz znacznie bardziej śmiertcionośni. Grupy SOZ-ów zachęcano, aby tworzyli własne tradycje i tożsamość, co przydawało się we współzawodnictwie z innymi towarzyszami. Wprawdzie dostarczono ich tutaj razem, lecz z czasem pierwotna wspólnota uległa rozbiciu, bo większość żołnierzy SOZ pracowała samotnie.

Nate zauważył, że u spotkanych żołnierzy wpatruje się w identyfikatory na hełmie lub na mundurze, gdzie notowano czas wyklucia. Brat z wspólnoty mógł pamiętać pewne ceremonie, wspólne przeżycia, a to zawsze sprzyjało nawiązywaniu rozmowy. Rodzina w rodzinie, namiastka domu w odległym, nieprzyjaznym świecie.

Z przyjemnością wspominał dwudziestokilometrowe biegi ze swoim współtowarzyszem; starał się nie pamiętać, śmierć ilu braci oglądał w czasie dwóch długich kampanii i dziesiątków drobniejszych akcji. W większości przypadków taktyka SOZ polegała na szybkich jak błyskawica atakach i zastosowaniu przeważającej siły, morderczych kombinacji ataków z powietrza i niszczycielskich walk naziemnych.

Zwycięstwa te przynosiły mu wiele zadowolenia, ale Nate marzył o podjęciu osobistej, subtelniejszej akcji. Czuł, że drzemią w nim cechy, których do tej pory nie odkrył. Nie obawiał się

śmierci, ale odrzucał myśl, że jego życie miałoby dobiec końca, zanim poznałby wszystkie swoje możliwości. Według jego pojmowania, byłoby to marnotrawstwo.

Nate przerzucił plecak przez muskularne ramię i ruszył w kierunku centrum dowodzenia, zastanawiając się, co przyniesie dzisiejsza odprawa.

Dziesięć minut później wprowadzono go do małego gabinetu, wciśniętego za magazyn amunicji i transporterów przewożących robotników do i z miasta.

Jego dowódca, Kalamarianka nazwiskiem Apted Squelsh, siedziała pochylona nad papierami, jakby nie wiedziała, że nie jest już sama. Wreszcie podniosła wzrok.

- A-dziewięć-osiem?

- Tak jest, proszę pani.

- Usiądź, proszę.

Nate usłuchał i zajął miejsce na twardym krześle z wysokim oparciem, wykonanym z gęsto żyłkowanego koreliańskiego twarodożewu. Przeciągnął grubym paznokciem kciuka po rowkach poręczy. Pani major bez pośpiechu skończyła analizować ekran, po czym spojrzała na niego i splotła dłonie.

- Wczoraj podczas ćwiczeń spisałeś się wspaniale - zaczęła. - Wasza jednostka ma pięćdziesiąt procent mniej ofiar zarówno rzeczywistych, jak i na symulatorach, bez strat prędkości i skuteczności. To nam się podoba.

- Dziękuję pani.

- Mam dla ciebie nowe zadanie - oznajmiła major Squelsh, mrugając ogromnymi ciemnymi oczami. - Przypuszczam, że jesteś gotów.

Nie było to właściwie pytanie, lecz rodzaj rytuału.

- Sto procent, proszę pani.

- Doskonale. Będziesz towarzyszył i pomagał dwóm Jedi udającym się na planetę o nazwie Ord Cestus. Znasz ją?

- Nie, proszę pani, ale natychmiast się tym zajmę. Czy dostanę wsparcie?

- Czterech ludzi - odparła.

Nareszcie! Takie akcje zawsze były bramą do awansu. Każdy żołnierz z SOZ wart splunięcia mańki marzył właśnie o czymś takim.

-Proszę pani...

- Słucham?

- Chodzi o admirała Barakę. - Urwał. - Czy on zna statystykę ofiar?

- Oczywiście. - Oczy Squelsh były spokojne i poważne, a pulchne, szerokie wargi mocno zaciśnięte.

- Czy powiedział coś, czym zechciałaby się pani z nami podzielić?

Pani major zadumała się na krótką chwilę i odparła:

- Powiedział: „Dobra robota”.

Nate z trudem zachował powagę, bo nie chciał okazywać dowódcy emocji.

- Dziękuję pani.

- To wszystko.

Dobra robota. Pozostawili krew i ciała swoich braci na całej plaży i w bezlitosnych głębiach oceanu, a za swoje poświęcenie otrzymali lakoniczne: „Dobra robota”.

Typowe.

Nate opuścił gabinet i ruszył chodnikiem taśmowym do holobiblioteki, żeby poświęcić kilka godzin na zbadanie planety, która miała być jego celem. Oczywiście przed wyjazdem otrzymał pakiet z informacjami, ale uznał, że warto przeprowadzić własne badania. Pakiety informacyjne zazwyczaj dość jednostronnie opisywały misję; przygotowywali je badacze, którzy nigdy nie mieli przyjemności wnosić pod górę na własnym grzbiecie ciężkiego ryszunka.

Nate był tak pogrążony w lekturze, że nie zauważył innego żołnierza, który czytał ponad jego ramieniem.

- Hmm... - mruknął tamten. - Jestem Fony. W zeszłym miesiącu kręciłem się w pobliżu tego sektora.

To mogło być interesujące.

- Jestem Nate. Znasz planetę o nazwie Ord Cestus?

- Słyszałem o niej, Nate. - Fony obrał pałeczkę relaksującą i odgryzł kawałeczek. - Produkują roboty, prawda? Czy to nie oni robią te MTT?

Transportery masowe dla wojska. Prawie nie do powstrzymania. Ich pancerze i podwójne baterie działek laserowych zadały Naboo wiele ran.

- Może i tak - mruknął. - Coś jeszcze?

- Wiem tyle wyłącznie dlatego, że wczoraj zrobili pokaz. To oni wyprodukowali ZJ, z którym

walczył Siedem-Trzy-Dwa.

Żołnierz walczył z jakimś robotem? Nie było to zaskakujące, ale z rozmowy wynikało, że chodzi o ćwiczenia, a nie o prawdziwą walkę.

- Nie słyszałem. Co się działo?

Fony wzruszył ramionami.

- Został schwytany. ZI to jakiś szczególny model ochroniarza. Załatwił go w ciągu dwudziestu sekund i biedak wciąż jeszcze jest w lazarecie.

Teraz Fony zagarnął niepodzielną uwagę Nate'a.

- Masz może nagranie wideo?

- Jasne - odparł Fony. - Pokażę ci.

Zaczął pocierać kryształ na biurku i niebawem w powietrzu pojawiły się mgliste plamy holoobrazów.

- Dzięki. Planeta jest interesująca. Wiele lat temu Cestus był twierdzą więzienną.

-Serio?

- Na sto procent. Potomkowie tych więźniów osiedli tam i stali się górnikami lub farmerami. Byli eksploatowani przez potomków strażników więziennych, którzy założyli firmę.

Fony wzruszył ramionami.

- Wszędzie to samo. O! Już mam.

Zdjęcia zrobiono na arenie T'Chuk, nie dalej niż czterdzieści godzin wcześniej. Nate obserwował, jak żołnierz wykonuje standardowe uniki, a nawet kilka doskonałych manewrów w trudnym, urywanym rytmie. Niestety, nic nie pomogło. Ich brat został brutalnie pokonany w ciągu kilku marnych sekund.

Niepokojące.

- Jeśli chcesz się z nim zmierzyć, lepiej rozwal go na odległość.

Razem obserwowali obraz.

- Szybki - zauważył Nate. - Tak jak Jedi?

- Szybszy - odparł Fony. - Ale szybkość to nie wszystko. Popatrz na to...

Dotknął innej kontrolki. Pojawił się obraz Jedi ze sterczącymi mackami na głowie.

- Od Glee Anselma - rzekł Nate. - Nieczęsto się widuje Nautolan. Jedi, co?

- Kto inny używałby tych archaicznych świetlnych patyków?

Roześmieli się obaj. Jedi byli niezwykłymi wojownikami, lecz ich przywiązanie do nielogicznych quasi-duchowych wartości przechodziło pojęcie Nate'a. Dlaczego wojownik miałby wierzyć w cokolwiek oprócz pewnego oka, silnych pleców i dobrze naładowanego miotacza? Jeszcze raz przyjrzał się Nautolaninowi.

- Więc Jedi naprawdę pofatygował się ze swej świątyni? I co?

- Sam popatrz.

Nate wcisnął PLAY i razem przyglądali się, jak Jedi nie tylko stawił czoło ZJ, ale nawet zmusił go do wycofania się. Nate odetchnął głośno, kiedy ujrzał, jak Jedi załatwia robota jego własnymi metodami. W pewnym sensie jego taktyka nie była aż tak bardzo odmienna od tego, czego próbował żołnierz., ale wyniki okazały się zdecydowanie bardziej spektakularne.

- Załatwił go.

- Mhmm. - Fony z podziwem klasnęły językiem. - Widziałeś tę synchronizację?

- Aha... Nigdy też nie widziałem takiego refleksu. Masz rację, maszyna była szybsza, ale to nie miało najmniejszego znaczenia.

- Przecież to Jedi - zaśmiał się Forry. Trudno było stwierdzić, czy to śmiech rozgoryczenia, czy podziwu. Może i jednego, i drugiego. - Obserwowali, jak robot pokonał żołnierza, więc musieli sami się pokazać.

Nate pochwycił sugestię, że być może to właśnie Jedi zaprogramowali robota. Jak robot mógł poruszać się szybciej i przegrać? Chyba że polecono mu przegrać...

Nonsens. Obaj wiedzieli, że Jedi nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Pozostało jedynie ulotne wrażenie niepokoju. Pomogło to ukryć lekkie poczucie niższości, jakie żołnierze czasem odczuwali wobec mieszkańców Świątyni.

- Załatwili Jango - powiedzieli obaj jednocześnie. Te dwa słowa zabrzmiały niemal jak litania. Mogli sobie mówić, że Jedi są egoistyczni, dziwni, bezsensownie ezoteryczni, ale dawno temu, na arenie Geonosis, zabili wzorzec wszystkich klonów, a to oznaczało, że należy im się respekt.

- Dobrych łowów - rzekł wreszcie Ferry.

- Dobrych łowów - powtórzył Nate i zawahał się. - Masz już nowy przydział?

- Nie - odparł Forry. - Masz coś dla mnie?

- Jeśli tylko zechcesz.

- Sto procent. Pozwól, że się zamelduję, odmelduję, złapię plecak i już jestem.

- Za godzinę dostaniesz rozkazy. - Wymienili miażdżące uściski dłoni i Forry wyszedł.

Po odejściu brata Nate otworzył okno na ekranie.

- Żądanie statusu - rzekł.

Po chwili przerwy na ekranie pojawiły się statystyki medyczne.

Skinął głową z aprobatą. CT-36/732, o przydomku Sirty, nie odniósł obrażeń w starciu z ZJ. Jego system nerwowy uległ chwilowemu przeciążeniu, poza tym przez kilka godzin cierpiał na zaburzenia rytmu serca. Nic alarmującego, ale oczywiście robot medyczny musiał go przyjąć na obserwację.

Sirty wkrótce wróci do pełnej formy i znów będzie doskonałym członkiem grupy: jedyny żołnierz, który zmierzył się z ZJ.

- Żądanie specjalne: chcę, żeby CT-36/732 został przydzielony do operacji Cestus.

Pojawił się komunikat: Żądanie przyjęte i ekran się zamknął.

Nate pracował jeszcze przez wiele godzin, usiłując przyswoić sobie przypadkowe i ukryte informacje, których nie uwzględniano w standardowych odprawach taktycznych. Nigdy nie wiadomo, jaki szczegół może człowiekowi uratować tyłek, kiedy zaczną lecieć iskry. Sam Nate byłby już teraz martwy, rozgnieciony na miazgę w bitwie na Geonosis, gdyby nie przestudiował cykli ładowania ogniwi zasilających i nie rozpoznał, że jeden z robotów właśnie wszedł w fazę przeładowania. Szum jego kondensatora był ledwie słyszalny, ale Nate zaryzykował, wyskoczył z ukrycia i strzelił, ratując w ten sposób życie pięciu swoim współtowarzyszom.

Ten prosty manewr został nagrodzony tygodniowymi darmowymi posiłkami w kantine i otwartą drogą do stopnia kapitana.

Podyktował kilka notatek do osobistego pliku, który zostanie przesłany do komputera transportowca na Cestus. Pracował w gorączkowym skupieniu jeszcze przez kilka godzin.

Musiał bronić życia swoich braci i, co najważniejsze, również honoru WAR. A przy tym była to jego własna gra. Urodził się i wychował tylko do niej. W pewnym sensie - czego człowiek z zewnątrz nie miał szans zrozumieć - była to też zabawa.

Pozostały tylko dwie godziny.

Nate i sześciu jego braci stali na ogrodzonym murem, brukowanym placyku poza żebrowanymi łukami baraków, pod gęsto rozgwieżdżonym niebem Vandora Trzy. Nadszedł czas ceremonii pożegnania. Za każdym razem, kiedy jakiś żołnierz wyruszał na misję, jego współbracia nie tylko życzyli mu szczęścia, ale także żegnali się z nim. Przy trybie życia, jakie prowadzili żołnierze, było to po prostu praktyczne i nie miało nic wspólnego z pesymizmem.

Jeśli wróci, pogratulują mu dobrze wykonanej pracy.

Jeśli nie... no cóż, powiedziano wszystko, co miało zostać powiedziane.

- To najbardziej zaszczytny obowiązek żołnierza: służyć i znaleźć godną śmierć - rzekł Glorii Profus, ich kaminoński przewodnik duchowy.

Pełen wdzięku, srebrzystoskóry Profus był zarazem psychiatrą i doradcą. Żołnierze-klony nigdy nie poddawali się lękowi, ale nie można było powiedzieć, że go nie doświadczali. Emocje były równie cenne jak miotacze i bomby, a śmierć stanowiła część wojny. Żaden żołnierz, niezależnie od siły i umiejętności, nie mógł nie uwzględniać tej nieprzyjemnej rzeczywistości. I zawsze, na wszystkich planetach, zadawał sobie to samo pytanie: „Co się stanie, jeśli zginę?” Najbardziej pocieszająca odpowiedź, jaką mógł otrzymać, brzmiała: „Umrzesz, ale WAR będzie trwała wiecznie”.

Kaminoanin z gracją pochylił długą, srebrną szyję i uniósł puchar pełen talliańskiego wina - najlepszego w tym kwadrancie. Jego głos był pełen otuchy i pięknie modulowany:

- Z wody się narodziliście i w ogniu umrzecie. Wasze ciała będą nasieniem gwiazd - rzekł. Były to rytualne słowa, które niosły pokrzepienie sercom milionów klonów, zanim wyruszyli na śmierć. Pewnie będą też pocieszeniem dla kolejnych miliardów.

Jednocześnie unieśli swoje puchary

- Jesteśmy nasieniem gwiazd! - odpowiedzieli chórem.

I spełnili toast.

Świątynia Jedi w promieniu wielu kilometrów górowała nad krajobrazem Coruscant. Jej pięć wysmukłych wież przebijało chmury jak wyciągnięte palce olbrzyma. Niezliczone korytarze i hole, czytelnie i sale ćwiczebne, biblioteki i pokoje medytacji, zaprojektowane były z niezwykłym wyczuciem piękna. W tych wnętrzach nawet najmniej utalentowani uwrażliwiali się i kontemplowali Moc, spajającą cały Wszechświat w jeden organizm.

Sama Rada zbierała się w mniej urokliwych, lecz równie szacownych pokojach, jak na przykład apartamenty kanclerza. Arkadowe ściany i draperie stworzyli najlepsi rzemieślnicy galaktyki. Taki przepych kosztowałby zapewne fortunę, ale większość mebli była składanymi od tysiącleci darami od władców i kupców, których życie, bogactwo i honor ocalały dzięki talentom Jedi.

Obi-Wan od dawna był przyzwyczajony do tego bogactwa, więc teraz, stojąc przed Radą w oczekiwaniu na decyzję, również nie zwracał na nie uwagi.

Pomarszczona głowa mistrza Yody przechyliła się lekko na bok, kiedy Obi-Wan i Kit Fisto składali swoje sprawozdanie.

- To trudne czasy - mówił Obi-Wan. - W wielu przypadkach nasz poprzedni mandat uległ zawieszeniu, a większość kompetencji została ograniczona.

- Walka zmienia wiele spraw rzekł Yoda. - Nieprzewidywalne Wojny Klonów okazują się.

- Teraz jednak zostałem zaproszony do spełnienia trudnej misji dyplomatycznej, obejmującej wiele poziomów i o takim stopniu skomplikowania, że potrzebny nam będzie prawnik, żeby je rozwikłać. Obi-Wan ostrożnie ważył kolejne słowa. - Nigdy jeszcze nie odmówiłem wypełnienia misji, ale muszę się przyznać uczciwie, że nie czuję się dobrze przygotowany do wejścia w ten... ten labirynt handlu i polityki.

Mistrz Yoda zmarszczył czoło.

- Zmartwienie mam zatem. Nie mogą już Jedi oglądać się na słowa i czyny dawnych mistrzów. Dziwne czasy nadeszły. - Pozostali obecni przytaknęli zgodnie. Nad tym tematem debatowano długo i zażarcie, lecz ostatecznie Jedi zostali zobligowani do wypełniania życzeń senatu i kanclerza.

Twarz Mace'a Windu przypominała w tej chwili posępną maskę wyrzeźbioną w onyksowym durabetonie. Z wszystkich Jedi to właśnie on znajdował się na pozycji najbliższej Yodzie.

- Zgadzam się. Republika nigdy wcześniej nie została poddana tak ciężkiej próbie. Jeśli zażądano od nas, abyśmy przyjęli nowe role, musimy to uczynić. Jeśli my nie możemy ochronić Republiki, na kogo

ma spaść ta odpowiedzialność?

- To dobry znak, że Palpatine wciąż szuka dyplomatycznych rozwiązań - zauważył Kit.

- Więc dlaczego nie wysłać dyplomaty? - zawołał Obi-Wan, ale już wiedział, że zna odpowiedź: dyplomacja była jedynie pierwszą, najbardziej widoczną częścią reakcji kanclerza. Palpatine wiedział, że sama obecność Jedi jest niczym durastalowa pięść w futrzanej rękawicy.

- Wygrywamy wojnę - rzekł mistrz Windu - ale jesteśmy zmuszeni uczyć się zbyt wielu nieznanych nam dotąd ról. Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy stracić jasność celu i intencji. Zbyt często potrzebne są miecze świetlne tam, gdzie kiedyś wystarczyłyby same słowa.

Yoda skinął głową.

- Kiedyś Jedi tłumy uciszali. Teraz razem z nimi krzyczeć zaczynają.

- Mówię o Antarze Cztery, a nawet o bitwie pod Jabiim - dodał Windu. Wśród obecnych rozległ się pomruk żalu.

- To były jednak raczej zwycięstwa niż klęski - zauważył Obi-Wan.

- Zgadzam się - odparł mistrz Windu. - Ale zachowanie porządku publicznego wymaga w równym stopniu mitologii i realizmu.

Dawniej Obi-Wan miał trudności z uchwyceniem intencji mistrza Windu. Głębokie stany medytacji, w jakich mistrz Jedi spędzał długie godziny, wznosiły go ku stanom, o których niewielu mogło marzyć, a cóż dopiero doświadczyć ich na własnej skórze. Ostatnimi czasy jednak Obi-Wan zaczął nie tylko doceniać te słowa, lecz wręcz oczekiwać na nie.

- Mit został skruszony, pozostał zatem jedynie realizm. Sytuacja na Cestusie jest delikatna, bo dotyczy robotów wrażliwych na Moc. W ostatecznym rozrachunku szybkie i zarazem jasne rozwiązanie może ocalić wiele istnień. - Windu pochylił się do przodu i wbił w Obi-Wana spojrzenie, którym można by ciąć diamenty. - Jeśli nawet macie jakieś obawy - rzekł - proszeni jesteście o przyjęcie tej misji i wykonanie jej ze zwykłą sobie rzetelnością i zaangażowaniem. Mistrzowi Kenobi, Mistrzowi Fisto... nie możecie zawieść, a powodów po temu jest zbyt wiele, by je wymieniać.

Kit Fisto skłonił się, a jego wrażliwe czułki zadrgały lekko jak wodorosty w niewidzialnym morskim prądzie.

- Przyjmuję z radością.

- Ja również przyjmuję - odparł Obi-Wan. - Sprowadzę Ord Cestus z powrotem na łono Republiki. Zakończymy sprawę Zabójców Jedi.

Oczy Yody zaślniły ciepłym blaskiem.

- Moc jeśli naszym przewodnikiem będzie, w pokój wojna przekształcić się może.

Obi-Wan od trzech godzin leżał na twardym łożu w swojej celi, synchronizując rytmy swojego ciała tak, aby jak najlepiej wykorzystać odpoczynek. Każda minuta spędzona w tym stanie równa była trzem minutom normalnego snu. Ocknął się wypoczęty i gotów do drogi. Spakował się, po czym ruszył na spotkanie z Kitem, aby udać się razem z nim na Cestusa.

W refektarzu Świątyni obaj Jedi spożyli posiłek składający się z pasztetu z thrantcilli i jaj jastrzębionietoperza. Jedząc, rozmawiali przyciszonymi głosami o błahych sprawach. Zdawali sobie sprawę, że czekają ich naprawdę trudne dni. Wspomnienia takich spokojnych chwil bywały krzepiące.

Wsiedli do taksówki powietrznej, która zabrała ich do portu kosmicznego Centralia. Był to jeden z najstarszych portów Coruscant. Niektóre z jego starszych platform zachowano jako zabytki, podczas gdy resztę połączono z najnowocześniejszymi urządzeniami portowymi w galaktyce. Tam czekał już na nich zmodernizowany krążownik Republiki. Szkarłatne panele poszycia na tylnym skrzydle były otwarte, a technicy dokonywali ostatnich regulacji dysz rozpylających paliwo i tłumików promieniowania.

Byli mniej więcej w połowie operacji ładowania bagażu na statek, kiedy przybył wahadłowiec wojskowy. Potrójne skrzydła miał złożone do dokowania, a przez otwarty właz od razu wybiegło pięciu szturmowców w lśniących białych zbrojach.

Gdyby Obi-Wan chciał być wobec siebie całkiem uczciwy, musiałby przyznać, że duże grupy żołnierzy-klonów wprawiały go w niejakie zakłopotanie. Łatwo to było zrozumieć i wyjaśnić. Z jednej strony wszyscy oni byli dokładnym wizerunkiem słynnego łowcy nagród Jango Fetta, który aż trzykrotnie bliski był pokonania go w walce. Jeszcze bardziej jednak niepokojąca była świadomość, że choć z punktu widzenia genetyki byli ludźmi, nie prowadzili normalnego, ludzkiego życia.

Żołnierze-klony rodzili się i byli wychowywani wyłącznie do walki, bez ciepła matczynych ramion, bez bezpieczeństwa, jaką daje pełna miłości ojcowska dyscyplina.

Wyglądali jak ludzie... śmieli się, jedli, walczyli, umierali jak ludzie. Ale jeśli nie byli ludźmi - to czym?

- Generale Kenobi! - Żołnierz zsalutował. - CT-Trzy-Sześć/Siedem-Trzy-Dwa melduje się na rozkaz. Czy mogą zabrać bagaż, sir?

Jego postawa i zachowanie były zdyscyplinowane i służbiste, oczy niewinne. Obi-Wan coś sobie nagle przypomniał: czy to nie CT-36/732 walczył z ZJ? Młody człowiek wydawał się całkiem zdrowy. Nawet najdrobniejszym gestem nie zdradzał cierpienia - ani fizycznego, ani emocjonalnego.

Ciekawe.

- Tak, proszę, wrzucić go do kabiny. - Żołnierz z niezwykłą łatwością przerzucił sobie pakunek przez ramię i skinął głową w odpowiedzi.

Obi-Wan był zaskoczony stanem swoich uczuć. Antypatia, jaką odczuwał, odzwierciedlała te same przesady, które żywili inni, traktujący żołnierzy-klony jak coś niewiele więcej wartego od robota. Z jego strony jednak, skoro był Jedi, to naprawdę niegodne zachowanie. Ci straszliwie młodzi ludzie, niezależnie od pochodzenia, gotowi byli umierać w służbie Republiki. Jeśli nawet ich przodek był zły (Obi-Wan nie miał stuprocentowej pewności, czy to słowo dokładnie opisuje skomplikowanego i tajemniczego Jango Fetta), jego klony ginęły całymi tysiącami. Ilu trzeba zabitych, żeby zmyć piętno płatnego mordercy?

- Ojejku, ojejku - rozległ się nagle za jego plecami cienki falsecik. Obi-Wan obejrzał się. Skądś znał ten głos. W jego kierunku powoli podążała istota składająca się głównie z wielkiej, płaskiej turkusowej skorupy okrywającej mokre, mięsiste ciało. Stworzenie pełzło na jednej wielkiej, wielopalczastej stopie, ciągnąc za sobą żółtawą wstęgę śluzu.

Obi-Wan uśmiechnął się. Całe zakłopotanie, znikło nagle. Znał tę istotę.

- Mecenas Snoil! - zawołał ze szczerą radością. Obi-Wan nie ufał politykom, a ich poplecznicy najczęściej byli jeszcze gorsi. Doolb Snoil był jednym z trzech czy czterech najpotężniejszych umysłów prawniczych, jakie znał; okazał się godny zaufania w czasie drażliwych negocjacji na Rijelu 12. Był Vippitem, pochodził z planety Nal Hutta i uczęszczał na jeden ze słynnych uniwersytetów prawniczych Mrlsst, zanim rozpoczął aplikaturę w Sektorze Gevarno. Nienaganny przebieg pracy zawodowej oraz reputacja wnikliwego badacza i niezawodnego przyjaciela doprowadziła Snoila do jego obecnej pozycji. Jeśli ktokolwiek jest w stanie rozeznaczyć się w zamieszaniu na Cestusie, to tylko on.

- Mistrz Kenobi - zawołał adwokat, a jego oczy na szypułkach zatańczyły z radości. - Przecież to prawie dwanaście lat!

Obi-Wan zauważył, że na turkusowej skorupie prawnika pojawiły się nowe kręgi i słoje, co świadczyło dobitnie, że Doolba stać na regularne kuracje i sprowadzanie z rodzinnej planety wysokoenergetycznej rośliny zwanej viptiel, której jego lud używał w celu przygotowania się do trudnej roli założenia rodziny. Obliczył, że w ciągu najbliższych lat Snoil powinien wrócić do domu na gody, a jeśli gospodarka Nal Hutta wciąż szła tak dobrze, jak pamiętał Kenobi, to oznaczało, że Snoil będzie miał do dyspozycji najbardziej korzystne i pożądane partie.

- Z wyglądu twojej skorupy wnoszę, że nieźle ci się powodzi.

- Każdy orze jak może. - Szypułki z gałkami ocznymi zawirowały. - O, Mistrz Fisto! Och, jak miło! Nie wiedziałem, że i ty jedziesz z nami.

Kit uściskał dłoń Snoila.

- Miło mieć pana w ekipie, mecenasie. Znam pańską rodzinną planetę. Kiedyś spędziłem cały tydzień na nurkowaniu w rowach na Nal Hutta.

- Niech mnie wszystkie planety! Taka niebezpieczna zabawa! Ogniste krakeny...

- Już nie ma o czym mówić. - Kit uśmiechnął się szeroko i ruszył w górę rampy.

Snoil podniósł jedną pulchną dłoń, potem drugą i zatarł je energicznie.

- Nie obawiajcie się! - zawołał swoim drżącym głosem. - Kiedy nadejdzie czas, mecenas Snoil nie umrze z głodu.

Potem popęzł na górę. Za nim podążało pięciu żołnierzy, którzy przynosili na pokład bagaże i sprzęt. Skinęli głowami Jedi, nie przerywając pracy.

Żołnierz z dystynkcjami kapitana zasalutował słuźbiście.

- Generał Kenobi?

- Tak.

- Melduje się kapitan A-Dziewięć-Osiem. Oto moje rozkazy. - Podał Obi-Wanowi kostkę danych wielkości paznokcia kciuka.

Obi-Wan wprowadził układ do czytnika, który natychmiast wygenerował hologram. Jedi przestudiował szybko referencje z misji i zestawienie umiejętności i uznał je za zadowalające.

- Wszystko w porządku - rzekł. - Oto mój kolega, Mistrz Kit Fisto.

Żołnierz spojrzał na Kita, a wyraz jego oczu Kenobi zidentyfikował jako najgłębszy szacunek.

- Generale Fisto, to wielki zaszczyt służyć pod pana rozkazami.

Fascynujące. Dla Obi-Wana żołnierz był zaledwie uprzejmy, lecz język jego ciała w stosunku do Kita Fisto mówił o ogromnym respekcie. Obi-Wan szybko odgadł jego przyczynę: klon musiał oglądać nagranie ze spotkania Kita z robotem. Z całą pewnością żołnierz podziwiał umiejętność walki Nautolanina.

- Dziękuję, kapitanie - odparł Kit. Obi-Wan się nie odezwał, ale zauważył, że w jakiś sposób, który mu umknął, Kit i klon nawiązali nić emocjonalnej więzi. To dobrze. Kit zawsze był chętny do takich wypraw. Przekleństwem Obi-Wana była potrzeba zrozumienia sensu misji, Kit potrzebował wyłącznie celu. Kenobi zazdrościł Nautolaninowi tego podejścia.

Żołnierz zwrócił się do czterech swoich ludzi.

- Wnieście sprzęt - polecił, a oni natychmiast wykonali rozkaz.

Kit spojrział na Obi-Wana.

- Są absolutnie posłuszni - zauważył, być może spodziewając się usłyszeć zdanie Kenobiego.

- Tak zostali wyszkoleni - odparł zagadnięty. - Nie robią tego na podstawie niezależnego osądu czy wyboru.

Kit spojrział na niego nieodgadzionym wzrokiem, jego czułki zadrgały. Po chwili obaj Jedi wsiedli na statek, aby przygotować się do podróży.

W ciągu kilku minut załadowano bagaż, przygotowano listy kontrolne, przeprowadzono procedury startowe. Statek zamruczał, uniósł się lekko i z ostrym przyspieszeniem przerwał więzy grawitacji Coruscant, pogrążając się w chmurach.

Obi-Wan skrzywił się. Swoją podróż z Forscana Sześć wspominał kiepsko, ale i tak wolał to od latania z obcym pilotem u sterów. A jeszcze lepiej byłoby w ogóle pozostać na stałym gruncie.

Powoli skierował się na dziób statku i usadowił się w fotelu przyspieszeniowym na czas startu. Chmury ustąpiły już miejsca czystemu błękitowi, który najpierw zbladł, a potem pociemniał, kiedy opuścili atmosferę i znaleźli się w przestrzeni.

Wzdłuż wdzięcznej krzywizny horyzontu unosiło się dwanaście gigantycznych transportowców, przerzucających żołnierzy-klony z Coruscant na Vandora Trzy, drugą co do liczby ludności planetę w systemie Coruscant. Słyszał, że na Vandorze mieści się bardzo brutalny poligon ćwiczebny dla klonów. Oficjele określali go jako rachunek zysków i strat. Obi-Wan uważał to za odrażające, ale czy istniała alternatywa? Co było dobre, a co złe w ich obecnej sytuacji? Separatyści wypuszczali z linii produkcyjnych niezliczone automaty do zadawania śmierci. Czy Republika powinna rekrutować kolejne, porównywalne wielkością żywe armie? Jango Fett, pierwowzór genetyczny WAR, ochoczo postawił się w najbardziej niebezpiecznej z możliwych sytuacji. Prawdziwy wojownik z krwi i kości. Czy na pewno niewłaściwe było skierowanie jego „dzieci” tą samą ścieżką?

Kit zjawił się bezszelestnie za jego plecami.

- Oni po prostu przygotowują się do wojny - rzekł, jakby odpowiadając na myśli Obi-Wana.

Kenobi uśmiechnął się. Typowa wrażliwość Jedi, przejawiająca się na każdym polu. Poczł ulgę. Wierzył, że może uda mu się wykorzystać tę cechę Kita w ciągu trudnych dni, jakie ich czekają.

- Ale co to za życie? - zapytał.

- Życie żołnierza - odparł Kit, jakby była to jedyna możliwa i pożądana odpowiedź.

Być może zresztą tak było.

Sam też pozostawił w całej galaktyce dość tkanki, aby mistrzowie klonery z Kamino mieli z czego stworzyć całkiem przyzwoitych rozmiarów armię. A gdyby to zrobili, kto wie, do jakich celów zostałyby ona użyta?

Roześmiał się do swoich myśli. Nautolanin uniósł brew, ale nie zadał pytania, toteż Obi-Wan pozostawił swoje mroczne, ale zabawne spekulacje dla siebie.

Obi-Wan Kenobi i Kit Fisto już od dwóch godzin ćwiczyli z mieczami świetlnymi, powoli, lecz systematycznie zwiększając tempo. Ostrza mieczy wysysały wilgoć z powietrza, nadając mu metaliczny posmak. Ładownia pulsowała energią.

Miecz świetlny Jedi znaczył dla niego życie lub śmierć. Niektórzy krytykowali tę broń, twierdząc, że miotacz lub bomba są skuteczniejsze, że dzięki nim łatwiej jest żołnierzowi zabijać na odległość. Dla tych, którzy patrzyli na to z punktu widzenia statystyki, była to bardzo istotna zaleta.

Jednak Jedi nie był żołnierzem ani płatnym mordercą, ani zabójcą, choć czasem zmuszano go do pełnienia takiej roli. Dla rycerzy Jedi interakcja istniejąca pomiędzy nimi i daną formą życia stanowiła istotny składnik pola energetycznego, z którego czerpali oni swoją moc. Walka pomiędzy statkiem a statkiem, między istotą rozumną a nieposiadającą inteligencji, wojownika z wojownikiem - to wszystko nie miało znaczenia. Sama interakcja tworzyła sieć energii. Jedi wspinał się po niej, czerpał z niej siłę. Stając przed nieprzyjacielem na odległość wyciągniętego ramienia, Jedi przekraczał granicę pomiędzy życiem a śmiercią.

Obi-Wan i Kit walczyli od ponad godziny, szukając wzajemnie luk w swoich zasłonach. Obi-Wan szybko odkrył, że Kit jest lepszym od niego szermierzem, zdumiewająco agresywnym i obdarzonym intuicją w porównaniu z bardziej wyważonym stylem Obi-Wana. Ale Nautolanin stawiał się umyślnie w gorszej sytuacji, pozwalał sobie na utratę równowagi, ograniczał szybkość, podkreślając słabsze strony swojej techniki, aby zmusić się do jak najpełniejszej uwagi, takiej, która może uratować życie w chwili zagrożenia. Prawdziwą drogą do mistrzostwa było otwarcie się na przepływ Mocy w chwilach największego napięcia.

Jako mistrz z regionu Sabilon Glee Anselm, Kit praktykował Formę I walki na miecze świetlne. Był to najstarszy styl walki, opierający się na starożytnych technikach szermierczych. Uczeń Obi-Wana Kenobiego, Anakin, korzystał z Formy V, która koncentrowała się na sile. Zabójczy hrabia Dooku stosował Formę II - elegancki, precyzyjny styl, podkreślający doskonałe opanowanie manipulacji ostrzem.

Sam Obi-Wan specjalizował się w Formie III. Forma ta wyrosła na gruncie nauki odbijania ostrzem miecza promieni laserów i dawała maksymalną ochronę.

Przez wiele godzin tańczyli tak bez muzyki, początkowo wykonując zaplanowane wcześniej sekwencje ruchów i parad wyuczonych w Świątyni pod okiem mistrza Yody. W miarę jak przyzwyczajali się wzajemnie do swoich rytmów, przeszli w płynne sekwencje spontanicznej potyczki. Powoli, minuta po minucie, zwiększali tempo, zakłócali rytm, zwiększając ostrość ataków, wykorzystując finty i odwracanie uwagi, klincze, szybkie zmiany poziomu. Wreszcie zaczęli wprowadzać do gry elementy przypadkowe - sprzęty, ściany, śliskie podłogi. Obserwatorowi

mogłoby się wydawać, że dwaj mistrzowie próbują się pozabijać, ale oni wiedzieli, że to tylko wciągnęła ich najprzyjemniejsza strona gry wojennej Jedi - swobodna zabawa mieczami świetlnymi.

W najważniejszym momencie Kit syknął, bardziej do siebie niż do Obi-Wana, po czym odstąpił, przerwał starcie i wyłączył miecz świetlny.

Obi-Wan również wyłączył ostrze.

- Co się stało, przyjacielu? - zapytał.

- Ten biorobot - warknął Kit gniewnie. - Powinienem być załatwić go szybciej.

- Zrobiłeś to genialnie. Czego jeszcze chcesz?

Kit usiadł ciężko, opierając na kolanach gładkie zielone przedramiona. Czułki na głowie zwijały się i rozwijały jak stado wściekłych żmij piaskowych.

- Powinienem być podejść bliżej krawędzi - rzekł, a źrenice jego nieruchomych oczu rozszerzyły się tak, że zdawały się prawie świecić własnym światłem. - Uwolnić się, otworzyć na Moc. Stać się bardziej nieprzewidywalny. Bardziej... przypadkowy.

Obi-Wan wyczuł troskę w głosie Nautolanina. Forma I była dzika, surowa... i śmiertelnie groźna. Wymagała również zbyt wielkiego zaangażowania emocjonalnego, jak na upodobania Obi-Wana.

- To by mogło być niebezpieczne - odparł, starannie dobierając słowa. - Może nie dla twojego ciała, ale dla ducha.

Kit podniósł na niego wzrok, źrenice miał znowu zwężone.

- Tak jest w Formie Pierwszej.

Obi-Wan wiedział, że po tym gruncie musi stąpać bardzo ostrożnie. Styl walki był zawsze bardzo osobistym wyborem.

- Wiem - odparł - Ale Forma Pierwsza stanowi również wielkie ryzyko dla ciebie, przyjacielu.

Kit przez chwilę nic nie mówił, potem powoli, niedostrzegalnie skinął głową.

- Wszyscy podejmujemy jakieś ryzyko.

Ta prosta prawda na chwilę odebrała Obi-Wanowi głos. Kit wiedział, że Forma I stawia go w obliczu wielkiego zagrożenia, lecz przez swoje poczucie obowiązku uważał, że jest to warte swojej ceny. W takich chwilach szacunek Obi-Wana dla przyjaciela wznosił się na najwyższe poziomy.

Na razie musiał jednak odwieść uwagę Kita od tematu. Wstał i rażno klasnął w dłonie.

- Niech będzie, ale chodź już! - zawołał. Jeśli nasz wybieg ma się udać, musimy jeszcze trochę

poćwiczyć. A potem zajmę się pejczem świetlnym.

Kit natychmiast się ożywił.

- Kiedy będzie gotowy do testów?

Obi-Wan westchnął.

- Nigdy właściwie nie budowałem niczego podobnego, ale widziałem raz takie urządzenie w rękach łowcy nagród w gromadzie Koornacht. Teoria jest bardzo prosta, w archiwach znalazłem nawet jakiś schemat. Pamiętaj jedno: jeśli okaże się konieczne działanie z ukrycia, wszystkie podejrzenia muszą paść na hrabiego Dooku. Gdyby ktoś cię zobaczył z mieczem świetlnym, od razu zidentyfikują cię jako Jedi.

- Będzie mniej konwersacji, a więcej praktyki - zaśmiał się Kit.

Wrócili do swojego tańca. Każdy z nich był wrażliwy na odmienność przeciwnika i czuł się z tym doskonale. Walczyli i walczyli, aż zmęczenie fizyczne pozbawiło ich zdolności myślenia. Zapomnieli o wszystkich dyskusjach, pozostała im jedynie czysta radość unoszenia się w strumieniu Mocy.

Po zakończeniu sesji ćwiczeń Obi-Wan odświeżył się i ubrał w czyste szaty. Zszedł do mesy na dolnym pokładzie. Tu, w przyjemniejszym otoczeniu niż przewidziana dla nich oficjalna jadalnia, zastał mecenasa Snoila studiującego informacje z dwóch komputerów jednocześnie. Każde oko na szypułce skierowane było na jeden hologram.

- Użyteczna umiejętność - zauważył Obi-Wan, pochylając się nad prawym uchem mecenasa. - Przyswajasz sobie oba jednocześnie?

Snoil obejrzał się, zaskoczony.

- Mistrz Kenobi! Nie wiedziałem, że tu jesteś. A co do twojego pytania... tak, mój lud potrafi podzielić uwagę na dwie półkule mózgu - odparł. - Cała integracja nastąpi dopiero podczas snu. - Na lśniącym obliczu Snoila pojawiła się troska. - Właściwie bardzo dobrze, że tu jesteś. Miałem nadzieję, że porozmawiamy.

- Na jaki temat?

- Chodzi o te traktaty! - Falset adwokata wzniosł się aż do pisku. Co za koszmar! Ord Cestus nie miał prawa stać się potęgą przemysłową. Na etapie umów Coruscant dał mu całkiem dobre warunki handlowe. Chodziło o to, aby więzienie utrzymywało się samo i nie obciążało budżetu Republiki.

- A teraz?

- A teraz więzienie jest tylko fikcją prawną na papierze, definicją, która nagle zaczęła obejmować całą planetę. Cestus sprzedaje towary pod przykrywką licencji karnych.

Snoil urwał, a jego czułki zakołysały się prawie hipnotycznym ruchem. Lekko przechylił głowę na bok, jakby rozważając nową myśl. Kiedy znów przemówił, jego głos brzmiał entuzjastycznie.

- Delikatnie. Trzeba działać delikatnie. Jeśli zagrozimy zawieszeniem działalności, dopóki ich status nie zostanie poddany kolejnej weryfikacji, to powinno posiać panikę.

- Aż uciekną wprost w ramiona Dooku - ponuro dokończył Obi-Wan, smętnie potrząsając głową. - Nie o taki wynik mi chodzi.

- Fakt. - Vippit zniżył nieco głos. - Właściwie byłem zajęty czymś innym.

- To znaczy?

- No cóż... zbliża się mój Czas - odparł, podkreślając ostatnie słowo.

- Na dzieci?

Snoil przytaknął energicznie.

- O tak, Mistrzu Obi-Wanie. Jestem szczęśliwy, że mnie wezwałeś. Od lat mam wobec ciebie ogromny dług.

Obi-Wan zaśmiał się.

- Jesteśmy przyjaciółmi, nic mi nie jesteś winien.

- Uratowałeś mi życie - zawołał gorączkowo prawnik, a jego szypułki oczne zatańczyły. - Byłem związany kontraktem na Rijelu Dwanaście, kiedy klany się zbuntowały. Gdybyś nie ewakuował ekipy Republiki, pozostałaby tam jedynie moja pusta skorupa...

No cóż, Obi-Wan faktycznie coś niecoś załatwił, ale żeby od razu...

Snoil jednak nie dał się zbić z tropu.

- Dopóki się nie zrewanżuję, nie mogę się ożenić.

Obi-Wan nie mógł się doczekać, aż usłyszy wyjaśnienie. Dziwne obyczaje tej galaktyki nigdy chyba nie przestaną wprawiać go w zachwyt i zdumienie.

- Nie? A dlaczego?

Głos Snoila brzmiał szczerym przerażeniem.

- Ponieważ wtedy mógłbyś mnie wezwać w każdej chwili, abym wywiązał się z długu. Żadna dobrze urodzona dama nie zechce się ze mną związać, ponieważ nie mogę jej się całkowicie poświęcić.

- Taka jest tradycja twojego ludu?

Snoil przytaknął.

Obi-Wan zaśmiał się serdecznie.

- No cóż, przyjacielu, właśnie podniosłeś moją wiarę w powodzenie naszej misji. Zdaje się, że masz ważniejsze powody niż ja, aby doprowadzić ją do końca.

W ciągu trzystu lat, od kiedy Cestus stał się członkiem Republiki, jego pierwotne zaludnienie zmniejszyło się o dziewięćdziesiąt procent, populacja imigrantów zaś wzrosła do kilku milionów. Ich potrzeby tak bardzo różniły się od potrzeb rdzennych mieszkańców, że bez handlu międzygwiazdowego populacja ta umarłaby z głodu lub zostałaaby zmuszona do emigracji i biedy.

Setki lat wcześniej Cestus był światem bursztynowych piasków i miedzianobrazowych wzgórz - skalista planeta z kilkoma błękitnymi jeziorami wód powierzchniowych i łupkowymi łańcuchami kontynentalnych łańcuchów górskich. Uboga gleba planety żywiła wiele odpornych gatunków roślin, których kwasy korzenne nieustannie walczyły, aby rozłożyć skałę na przyswajalne substancje odżywcze. Najważniejsze spośród nich było jakieś osiemset gatunków jadalnych i leczniczych grzybów, których nigdy nie eksportowano.

Być może kiedyś gleba planety była uboga, lecz obecnie, po starannym odfiltrowaniu wody Cestusa i dodaniu odpowiednich nawozów, uprawiano tam z powodzeniem ponad dwadzieścia warzyw, które nadawały się do jedzenia. Po piętnastu pokoleniach na brunatnej równinie rozpościerały się teraz duże połacie zieleni, niektóre widoczne nawet z kosmosu.

Z wysokiej orbity trudno byłoby dostrzec zakłady przemysłowe, które wyprodukowały broję Baktoid czy armię przerażających robotów, lub dostrzec jakikolwiek powód, dla którego ta położona na uboczu planeta mogłaby stać się kluczowym punktem przeważającym szalę w ogólnogalaktycznym dramacie. Lecz choć trudno było w to uwierzyć, prawda wyglądała właśnie tak.

Transportowiec wykonał lądowanie w strefie równiny Dashta, wybranej z powodu stosunkowo niewielkiej emisji fal elektromagnetycznych. Był to dowód, że obszar ten jest albo całkowicie bezludny, albo słabo zamieszkały. Pozaświatowcy chcieli uniknąć ciekawskich oczu. Zadania, które na nich czekały, należało wykonać dyskretnie.

Przez ponad godzinę żołnierze wyładowywali ze statku skrzynie i plecaki pełne sprzętu. Kit nalegał, aby nieść swój ekwipunek, a żołnierze zgodzili się na to z radością; Jedi był silniejszy od każdego z nich co najmniej dwukrotnie. Przez pół drogi Obi-wan biedził się nad bronią, zwiniętą teraz u boku Kita. Kit miał opinię improwizatora, więc w ciągu kilku godzin opanował sztukę władania pejcem świetlnym tak, jakby się z tym urodził.

Obi-Wan obrócił się do Kita i wyciągnął rękę.

- Tu się rozstajemy, przyjacielu - rzekł.

- Na razie - odparł Kit. - Rozbijemy obóz w jaskiniach na południe stąd, jutro powinniśmy być gotowi do działania, przygotowani na wszystko, co się zdarzy.

- Jestem pewien, że tak będzie - powiedział Obi-Wan. - Komunikacja na zdalnych kanałach serwisowych astromecha nie powinna wzbudzić czujności ich ochrony. Ukryjemy nasze rozmowy wśród modulacji podstawowej częstotliwości.

Kit skinął głową, ale uśmiech na jego ustach nie sięgał oczu.

- Dobry pomysł. Niech Moc będzie z tobą.

W tej chwili niewiele już mieli do zrobienia. Obi-Wan spoglądał na odległy horyzont i małe wiry piasku tańczące po pustyni. Za nimi pełza rdzawa chmura, z tej odległości pocziwa i malownicza, ale oznaczająca burzę piaskową, która czyniła życie na Cestusie tak niebezpiecznym. Obi-Wan doskonale rozumiał, dlaczego Cestus wybrano na więzienie.

Pozostali czterej żołnierze stanęli za Kitem. Obi-Wan wrócił do statku i wejście zamknęło się za nim.

Przypiął się do pustego fotela obok CT-X270, sprawdził, czy Doolb Snoil jest zabezpieczony i skinął głową.

- Naprzód, Xutoo.

Kit sprawdził oprzyrządowanie szybkiego skutera Aratech 74-Z. Ten sprzęt wojskowy, nieco zmodyfikowany i zwrotny jak jastrzębionietoperz, mógł rozwijać prędkość do pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jazda na nim przypominała Nautolaninowi pływanie w burzy, jeden z jego ulubionych sportów.

Cztery kierunkowe łopaty sterujące były doskonale wyregulowane i reagowały na każde dotknięcie. Silniki repulsorowe mruczały jak demikoty, a ciężkie sakwy przymocowane do burt nie sprawiały najmniejszego problemu. Ogniwa paliwowe były pełne, wszystkie układy diagnostyczne działały. Świetnie. Podniósł dłoń. Żołnierze-klony dosiedli swoich pojazdów tak sprawnie, jakby od miesiąca ćwiczyli tylko ten jeden gest. Kit odetchnął głęboko. W żyłach płonął mu ogień, bliźniacze serca biły w trochę nierównym rytmie, przygotowując się do działania. To jak pływanie na powierzchni niewyobrażalnego huraganu Glee Anselm, jak trening Formy I; sama burza była próbą, wyzwaniem, sprawdzeniem, czy utrzyma się na nogach w tym wirze. Nigdy jeszcze nie upadł. Pewnego dnia to się stanie, każdy śmiertelnik kiedyś upada. Ale nie dziś, zaśmiał się ponuro. Nie dziś.

Uruchomił skuter. Mruczenie przeszło w ryk i maszyna ruszyła przed siebie.

Całą piątka w regularnej formacji ruszyła przed siebie, poprzez strumienie, wzdłuż rzeczki, muskając niski, brązowy skrob. Najbliższe obiekty zmieniały się w niewyraźne smugi, lecz te bardziej odległe pozostawały doskonale widoczne. Kit napawał się scenerią, odnotowując odległą linię karawany wynurzającą się spośród skał. Skutery jechały zbyt nisko, by można było je dostrzec; jadące za nimi pojazdy ginęły w wirze cząsteczek pyłu, które zakłócały wskazania skanerów.

W pewnym momencie minęli niewielką grupkę X'Tingów, podobnych do owadów istot, które niegdyś władały tą planetą. Do tej pory zachowali pewną władzę polityczną, lecz było ich zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Nomadzi podnieśli szkarłatne ramiona i wskazywali sobie śmigający przed

nimi rząd skuterów.

Teraz też nie było się czym martwić. Kit przekonywał sam siebie, że to nie żaden znak. Spotkanie Cestian na takim odludziu było na pewno przypadkowe. Cestiańscy koczownicy na ogół trzymali się z dala od techniki. Nie wykorzystywali urządzeń, które by emitowały promienie elektromagnetyczne w jakimkolwiek zakresie widma. Nie ma się czym przejmować...

Cestus wzywał Kita. Wyczuwał w krajobrazie planety walkę życia z nieustępliwą naturą. Przypominało mu to powierzchnię rodzinnego świata, krainę, bardzo surową, lecz rodzącą istoty o niezwyklej odwadze.

Gdyby nie brak ogromnego, wzburzonego oceanu, mógłby się nawet tutaj urodzić.

Na skuterze lecącym tuż za Kitem Nate mijał te same ziemie, lecz pogrążony w całkiem innych rozmyślaniach. Kapitan SOZ obserwował wszystko, szukając miejsc, gdzie można byłoby zastawić pułapki odnotowując możliwe miejsca do obrony, linie widoczności... wszystko co widział, choć myślał także o innej części swoich obowiązków.

Kilometr za kilometrem zbliżali się do celu - gór Dashta na zachodzie.

Wchodząc na trajektorię, którą mógłby przylecieć statek nadlatujący z Coruscant, CT-X270 Xutoo wszedł znowu w atmosferę Cestusa. Matryca komunikacyjna statku wypaliła, odbiorniki sygnału dokującego automatycznie zdekodowały instrukcję lądowania.

Kierowali się prosto na stolicę Cestusa, ChikatLik, która to nazwa oznaczała „centrum”. Xutoo trzymał stery z absolutną pewnością, jak by urodził się do pilotażu.

W gruncie rzeczy tak właśnie było.

Zniżyli lot przez brunatne serce wirującej chmury pyłu, która wielokilometrowej średnicy płaszczem okrywała większość powierzchni planety pod nimi. Komputer nawigacyjny wyświetlał siatki przedstawiające ich cel i wyławiał więcej szczegółów powierzchni niż nieuzbrojone oko Obi-Wana. Jedną z właściwości Cestusa była ogromna sieć tuneli, stworzonych przez aktywność wulkaniczną, erozję i tysiąclecia kopania potężnych niegdyś rojów X'Tingów. Właśnie dzięki tym jaskiniom Cestus był tak znakomitym miejscem na więzienie. Statek zniżał się teraz do jednego z większych kanałów w lawie.

Kiedy minęli wylot kanału, powietrze oczyściło się i po raz pierwszy w czasie schodzenia mogli zaobserwować pewne istotne szczegóły. Po kilku sekundach lotu okazało się, że boki kanału są malowane i rzeźbione. Obi-Wan ujrzał przelotnie kilka graffiti, sieci rur ze stali, labirynty rusztowań, stworzone prawdopodobnie przez niezliczone Pokolenia robotników.

Zauważył też, że ci robotnicy zrobili wszystko co w ich mocy, aby utrwalić wrażenie pierwotnego piękna, a on mógł to jedynie podziwiać. Prace śmiertelników często bywały naprawdę wspaniałe, lecz w naturalnym świetle istniały rzeczy, które wzruszały Obi-Wana jeszcze bardziej - jakby testament prawdy i głębi Mocy, których świadome dokonania nigdy nie byłyby w stanie przyćmić.

Wpadli w kolejny tunel i skręcili w lewo. Za rogiem oślepiło ich] sztuczne światło. Przez chwilę Obi-Wan nic nie widział.

Biura i apartamenty ChikatLik stapiały się z wulkaniczną strukturą tak dokładnie, że trudno było stwierdzić, gdzie się kończą. Jedi zobaczył tysiące napowietrznych dróg i chodników, ale niewiele napowietrznych pojazdów. Wiele krętych, prawdopodobnie kamiennych ścieżek było wyposażonych w ruchome chodniki - lokalny system transportu, który wydawał się wyrastać organicznie na przestrzeni lat, aż całe miasto pulsowało nim jak niewiarygodnie dokładne odwzorowanie żywego ciała.

Statek zataczał łuki pomiędzy wieżami i drogami, kierując się ku centralnemu lądowisku niedaleko ich miejsca przeznaczenia - czegoś w rodzaju dużego kompleksu mieszkalnego. Tam, gdzie skała

wulkaniczna pociemniała, ściany miały fakturę szarego lub czarnego, szorstkiego durabetonu. Powodował to prawdopodobnie jakiś składnik wyprodukowany przez systemy trawienne budowniczych z roju.

Statek wylądował łagodnie. Przez jeden z bocznych ekranów widać było długi rząd ludzi w mundurach w pozycji na baczność. Obi-Wan wiedział, że Xutoo wyłączył już główne silniki, aby najmniejsze nawet promieniowanie nie zakłóciło podejścia.

Szmaragdowe czułki Doolba Snoila zadrżały z podniecenia.

- Patrzcie, jaka gwardia honorowa!

- Tak - odparł Obi-Wan. - To rzadkie wydarzenie tu, na Rubieżach, wizyta przedstawicieli samego Coruscant. Obawiam się, że to ma jeszcze głębsze znaczenie, nie tylko czysto biznesowe.

- Ach - jęknął Snoil. - Spodziewam się, że pewne aspekty polityki roju nadal przetrwały. Należy oczekiwać skomplikowanych, trudnych do zrozumienia interakcji społecznych, Mistrzu Jedi.

Obi-Wan roześmiał się. To prawda: już od dawna przestał być wyłącznie strażnikiem pokoju. Dziś był ambasadorem, posłańcem rządu centralnego. Musiał tę rolę przyjąć, czy mu się to podobało, czy nie.

Strażnicy byli humanoidalnymi Kiffarami. Na widok otwierającego się wjazdu i wysuniętej rampy natychmiast stanęli na baczność.

- Mistrzu Kenobi, to wielki zaszczyt powitać cię w ChikatLik odezwał się najbliższy stojący strażnik. - Właśnie dostałem wiadomość, że Regentka jest na rozmowach. Sprawy roju. Wraca dziś wieczorem, a z wami spotka się jutro.

Obi-Wan poważnie skinął głową, a szypułki Snoila zatańczyły z zadowolenia.

Zespół składający się ze starannie dobranych muzyków-robotów wydał z siebie mieszaninę melodyjnych pisków i pohukiwań - bez wątpienia hymn planetarny Cestusa. Obi-Wan, Snoil i ich robot astromechaniczny powoli zeszli z rampy, a wtedy zespół wykonał całkiem przyzwoitą wersję oficjalnego hymnu Republiki „Wszystkie gwiazdy świecą jak jedna”. Dawniej pieśń ta sprawiała, że serce Obi-Wana biło szybciej, ale od paru miesięcy jedynie podnosiła mu włoski na karku.

Po zakończeniu występu strażnik kiffarski zasalutował raz jeszcze.

- Dziękuję - odparł Obi-Wan. Szypułki oczne Snoila przestały kołysać się w rytm muzyki. Mówiąc szczerze, był to naprawdę poruszający kawałek.

- Witamy na Cestusie, generale Kenobi, mecenasie Snoil.

Obi-Wan skinął głową.

- Dziękuję, sierzancie. Mam nadzieję, że wszystkie ważne sprawy zdołamy szybko doprowadzić do

końca, abym mógł właściwie docenić piękno waszego świata, zanim wrócę do domu.

Słowa płynęły tak gładko, że Obi-Wan w duchu śmiał się z siebie. Chyba byłby z niego całkiem niezły polityk, Rycerze pokoju i władcy muszą się spotykać, aby znaleźć wspólny język. Gdyby wybrał tę ścieżkę...

Z tą myślą i z lekkim uśmiechem na twarzy Obi-Wan pozwolił, aby zaprowadzono go wraz ze Snoilem do kolejki, która biegła ponad napowietrznymi liniami transportowymi.

- Mało jest budynków na powierzchni planety - zauważył Snoil. Dlaczego?

- Naturalne jaskinie były niegdyś łatwe do wykorzystania jako pomieszczenia więzienne, zabezpieczały od burz piaskowych i napadów tubylców.

- A teraz? - zapytał Obi-Wan.

- Teraz? - Przewodnik wzruszył ramionami. - Zaraza pozostawiła wiele pustych korytarzy. Po prostu się do nich wprowadziliśmy.

Podążyli za wagonikiem. Para robotów zabrała ich bagaże ze statku i zaniósła do drugiego wagonika, który pojechał za nimi. Wiele budynków i konstrukcji imitowało stalaktyty i stalagmity, ale pojawiały się też fragmenty odmiennych gustów artystycznych i innej architektury - dowód stu różnych wpływów kulturowych. Zbliżyli się do szczególnie wielkiego i pięknego fragmentu rzeźbionej skalnej ściany. Dopiero bliższe przyjrzenie się zdradzało, że to budynek.

- Tu zmierzamy - rzekł strażnik.

- Co to takiego? - zapytał Obi-Wan. Budynek miał ponad kilometr] średnicy; była to jedna z największych budowli, jakie zdarzyło mu się oglądać na świecie należącym do Rubieży. Tak wielka, że wziął ją za organiczną część struktury planety.

- Wielka ChikatLik była pierwszym prawdziwym budynkiem więziennym, zbudowanym tu, na tej planecie - wyjaśnił strażnik. - Została przekształcona pięćdziesiąt lat temu i teraz jest to nasz najlepszy hotel.

Obi-Wan dopiero teraz spostrzegł, że gmach jest dowodem kilkuset . lat nieustannego budowania: jedno mieszkanie, jedno pomieszczenie po drugim, zlepione ze sobą i wygładzone tak, aby przypominało to kopiec owadów i gigantyczny kompleks biurowy. Miało to cechy zarówno organiczne, jak i konstrukcyjne. Zdumiewające.

Wagonik skręcił w prawo i wjechał do tunelu w lawie, żeby zaraz wychynąć w holu hotelowym. Wnętrze hotelu przypominało wielką pieczarę. Zbudowano je wokół naturalnego gorącego źródła, a rury z windami wznosiły się poprzez kaskady zastygłego wapienia.

Srebrzysty robot protokolarny podszedł do nich, dosłownie drżąc z podniecenia.

- Witamy! Jesteście gośćmi najbardziej luksusowego hotelu na Ord Cestus.

Mięsiste wargi Snoila wygięły się w uśmiechu.

- Po kilku dniach spędzonych w wahadłowcu miło będzie się znaleźć w pokoju zamiast w kabinie - zapiszczał.

Dwaj pomocnicy rasy X'Ting pojawili się w tej samej chwili co ich : wózek z bagażem. X'Tingowie byli koloru starego złota, mieli owalne ciała i cienkie, pozornie słabe nogi.

- Proszę zaprowadzić tych specjalnych gości do ich apartamentów - polecił robot. Boye liczyli chyba na hojne napiwki od dystygowanych gości, bo ochoczo rzucili się przenosić bagaż do robotów-transporterów, po czym zaprowadzili je do turbowind. Obi-Wan zauważył, że jeden z X'Tingów nosi tabliczkę z napisem FrzziK.

Winda wzniosła się w górę po wewnętrznej ścianie jaskini szybko i gładko, po czym obróciła się tak, aby otworzyć się na korytarz.

Służący wyładowali bagaż i zanieśli go do apartamentu. Robot skłonił się.

- Mam nadzieję, że pokoje spodobają się panom.

Obi-Wan stwierdził nagle, że odpowiada raczej jednemu z X'Tingów, niż robotowi:

- Jestem pewien, że będzie nam tu całkiem wygodnie.

- Może zechcą panowie zwiedzić miasto, zanim przybędzie Regentka.

- Bardzo dobry pomysł. Jestem pewien, że czymś się zajmiemy.

Robot protokolarny wyszedł, gestem przywołując Fizzika i drugiego X'Tinga, którzy posłusznie podążyli za nim Doolb Snoil zaczął coś mówić, ale Jedi ostrzegawczo uniósł palec, żeby go uciszyć. Robot astromechaniczny zaczął przeczesywać pokój.

Obi-Wan otworzył bagaż powolnymi, starannie kontrolowanymi gestami.

- Który pokój mam wziąć? - zapytał Snoil.

- Którykolwiek, może być ten z lepszym widokiem - odparł Obi-Wan. - Pamiętam, że mówiłeś coś o oglądaniu krajobrazów... - Gotów był ciągnąć dalej w tym tonie, na szczęście robot cichutko wydał sygnał „wszystko w porządku”.

- Chyba jest tu całkiem bezpiecznie, Ten pokój nie zawiera urządzeń podsłuchowych i czujników.

- Dzięki Panu Rodu! - odetchnął z ulgą Snoil, ocierając jedną brew. - Powiem ci szczerze, Mistrzu Obi-Wanie, że to szpiegowanie ogromnie mnie krępuje.

- Teraz nie musisz się tym martwić - pocieszył go Obi-Wan, - Rób tylko swoje, a ja będę robił swoje.

- Jak się sprawy potoczą według ciebie?

- Tak jak już wcześniej mówiłem... - usiadł obok Snoila, starając się uporządkować myśli, bo chciał przekazać wszystko, co zobaczył i usłyszał od chwili lądowania. - Pojedziemy do pałacu, żeby zobaczyć wszystko, co można zobaczyć.

- A jeśli nasze zabiegi nie odniosą skutku?

- Wówczas - odparł Obi-Wan w zadumie - sprawy się trochę skomplikują.

Kit Fisto, Nate i jego trzech bracia przybyli niezauważeni, by dokonać pierwszego rozpoznania regionu gór Dashta, umiejscowionego przez ich tajemniczą informatorkę, Sheekę Tuli. Tuli wskazała im jaskinie ukrytą pod nawisem skalnej półki, wychodzącą na szeroki, płaski kamienny amfiteatr, który mógł w razie potrzeby służyć jako awaryjne lądowisko, choć dla bezpieczeństwa główna jego część znajdowała się kilkaset metrów poniżej wejścia do jaskini.

Na pierwszy rzut oka jaskinia wydawała się idealna, lecz Kit wszedł do środka czujnie, delikatnie poruszając czułkami. Dokładnie pośrodku leżały rozkładające się zwłoki jakiegoś ssaka wielkości połowy skutera. Nie widać było na ciele żadnych ran... czyżby po prostu wpełzł do jaskini, aby umrzeć? Odsunął zwłoki na bok i zrobił następny krok do przodu. Nic żywego w zasięgu wzroku. Od głównej groty odchodziły boczne tunele. Gdzieś wysoko w górze trzepotały jaskiniowe ptaki i jakieś błoniaste gady. W kątach zalegał mech i stare, zakurzone pajęczyny, ale wokół nie było nic niepokojącego.

- Tam coś może być - zasugerował Nate, wychodząc z za jego pleców.

- Może powinniśmy poszukać innej jaskini - podsunął CT-12/74. Nazywali go Seefor.

- Najpierw musimy skontaktować się z Tuli - zdecydował Kit.

Tu, pod osłoną strzępiastych skał doliny, prawie całkowicie pozbawionej wszelkiej roślinności, spędzili pierwszych kilka godzin, budując obozowisko, montując fragmenty modułowego namiotu. Byli tak zajęci swoją pracą, że nie zauważyli, kiedy pojawił się pierwszy jaskiniowy pająk.

Kit przeklinał swoją głupotę, że nie od razu rozpoznał pajęczynę i miękkie, włochate, rozkładające się zwłoki, ale kiedy pierwsze ośmiolape paskudztwo wyskoczyło z ciemności, by dopaść Sirty'ego, Nautolanin natychmiast ruszył z pomocą. Pająk wrzasnął, gdy ostrze miecza świetlnego obcięło mu nogę, ale żołnierz dokończył go trzema strzałami, zanim cielsko jeszcze dotknęło podłoga.

Nie bardzo mieli czas, żeby sobie pogratulować: z ciemności wypęzły sześć kolejnych bestii tej samej wielkości.

Na widok następnych napastników Kit nakazał żołnierzom, aby utworzyli kwadrat z miotaczami w gotowości. Prawdopodobnie gdzieś w głębi jaskini było gniazdo i pająki broniły swojego terytorium. Nie było czasu na zastanowienie. Należało działać.

Kaskada jedwabnych nici pająka wystrzeliła w kierunku żołnierza znajdującego się po przekątnej od Kita. To był Nate. Żołnierz przetoczył się przez ramię i zerwał na nogi, od razu do pozycji strzeleckiej. Trafił w skałę ponad miejscem, gdzie znajdował się pająk. Kamienie zasypały

nieszczęsne stworzenie, Nate zaś zrobił kolejny przewrót i dopadł skutera.

Ucieczka? Absurd. W krótkiej, spektakularnej historii WAR nigdy się nie zdarzyło, aby żołnierz uciekł z pola bitwy, nie wywiązał się z obowiązku, czy choćby odmówił wykonania rozkazu. Ale...

Wielka, kosmata, ośmionożna bestia syknęła tuż obok jego ramienia. Kit okręcił się, miecz zaśpiewał w powietrzu. Pająk odskoczył, wylądował i przycupnął. Skoczył znowu, plując jadem. Kit uchylił się, mieczem odbił jeden ze żrących, zielonkawych glutów, który z sykiem zmienił się w parę. Kamienie za nim zaszeleściły i wypełził spod nich rój młodych pajaków, sięgających Kitowi ledwie do kolan, o głodnych, lśniących ślepiach i kłach ociekających jadem.

Kątem oka zauważył ruch i ujrzał gigantyczną, czerwoną samicę, mniej więcej połowy wielkości banthy. Siedziała przyczajona w cieniu, obserwując go rozjarzonymi oczami. Niczym generał kierujący wojskiem.

To Kit potrafił zrozumieć. No cóż, na początku Wojen Klonów Kit Fisto również był generałem i miał własne wojsko. No, chodź! -warknął w duchu, a oczy rozszerzyły mu się niebezpiecznie. Rozstawił szerzej stopy dla równowagi i czekał.

Skuter Nate'a wystartował od razu. Pod jego doświadczonymi dłońmi poderwał się ponad podłoże i zatoczył ciasny krąg, brzęcząc w mroku, biorąc ostre zakręty i wywabiając pająki. Pluły w niego niemi i jadem, a za każdym razem, kiedy to robiły, jego bracia na dole zyskiwali lepsze warunki do strzału. Jarzące się promienie laserów i wycie miecza świetlnego Kita Fi sto wypełniały jaskinię. Broniące się pająki rzucały na ściany dziwaczne, zniekształcone cienie. Arachnoidy skakały, podkładały się i miotały. Pluły jadem, który przylegał do zbroi lepkiem jedwabiem, grożąc unieruchomieniem ramion i nóg. Ale to, co wyprawiały, nie zdołało rozbić formacji Kwadratu z Geonosis - taktyki, która pomnażała skutek ognia, pełniącego rolę w równym stopniu ofensywną, co defensywną.

Żołnierz w pełni wykorzystywał zwrotność skutera, aby zdezorientować pająki. Ośmionogie stwory były szybsze na ziemi, ale taka taktyka wydawała się zbijać je z tropu. Generał Fisto zagwizdał tak głośno, że Nate'owi z odległości dwudziestu metrów zadzwoniło w uszach. Pozostali żołnierze rzucili się do skuterów i w ciągu jednej chwili jaskinia wypełniła się wyjącymi, wirującymi i strzelającymi maszynami.

Nate roześmiał się na głos. Co za cudowna chwila! To jak powrót do selenomy: „Nie wiedziałaś, z kim zadzierasza, co?”

Śmiech uwiązał mu w gardle, kiedy z górnej części jaskini wyłonił się kolejny szereg pajaków. Co się dzieje...? Musieli wdepnąć w największe gniazdo w całych górach. Był to najgorszy z możliwych zbieg okoliczności, przez żołnierzy zwany dziesięcioprocentowym, ale teraz za późno przeklinać los. Można jedynie walczyć.

Od strzałów, uderzeń lasera i lawin spadających kamieni zginęło co najmniej sześć dużych i dziesiątki mniejszych pajaków. Największy z nich, ogromna czerwona samica, osłaniała odwrót pozostałych.

Żołnierze rzucili się w pogoń, ale generał uniósł obie dłonie.

- Nie! - zawołał. - Mają dość! Niech odejdą!

Samica wbiła wzrok w generała. Ku wielkiemu zdumieniu Kita skłoniła łeb, jakby oddając mu pokłon, po czym wycofała się w cień i znikła.

Żołnierze odstawili skutery, uważnie patrząc w mrok, żeby sprawdzić, czy nie popełniają błędu, i schowali miotacze do kabur.

- Natychmiast ustawić czujniki obwodowe - polecił generał Fisto.

- Zostajemy tutaj, sir? - zapytał Nate.

Uśmiech, jakim w odpowiedzi obdarzył go generał, wcale nie był miły.

- Można chyba przyjąć, że wszystkie jaskinie są zamieszkałe przez pająki. Przynajmniej wiemy, że ta jest czysta.

A poza tym - szepnął Sirty do Nate'a, kiedy generał Fisto się odwrócił - sami ją sobie wywalczyliśmy.

W czasie kiedy pozostali lokowali się w jaskini, Kit Fisto wyniósł nadajnik kilometr dalej, w odosobnione miejsce, skąd nie było widać obozowiska. Uruchomił urządzenie naprowadzające i usiadł w oczekiwaniu.

Po pięciu sekundach wyłączył je. Odczekał pięć minut, nadawał przez kolejne pięć sekund, a potem ustawił automatyczne monitorowanie na tę samą sekwencję: pięć minut wyłączenia, pięć sekund działania.

Po godzinie usłyszał w odpowiedzi pisk w zakodowanych seriach. Wyłączył monitor i czekał.

Słońce dobiegało zachodniego horyzontu, kiedy na południu pojawił się zniszczony statek towarowy. Leciał powoli i mozolnie. Zatoczył krąg i osiadł na ziemi, przy okazji wypalając całą roślinność. Taka mała sprawność absorpcji ciepła sugerowała starszy model i to w stanie zaledwie nadającym się do użytku.

Drzwi panelowe się otworzyły i wysunęła się rampa. Kit usłyszał pisk i na szczycie rampy ukazała się kobieta.

Kit nie bardzo potrafił oceniać kobiecą urodę. Jeśli sądzić po ruchach i postaci, kobieta była w doskonałej kondycji fizycznej, jej nieskazitelna czarna skóra i lśniące, krótkie włosy sugerowały zdrowy system odpornościowy, a oprócz tego wydawała się czujna i bystra. Doskonale. Będą potrzebowali tych cech, aby skutecznie wprowadzić w życie swoje plany.

Kobieta przyjrzała się Kitowi ze zrezygnowaną miną.

- Nautolanin. Gdzieś ty się zabłąkał tak daleko od oceanu?

Jedi nie dał się rozśmieszyć.

- Czekam - rzekł.

Wywróciła oczami.

- Zero poczucia humoru. Doskonale. Alderaan ma trzy księżyce.

- Demos Cztery ma dwa - odparł Kit bez wahania.

Skinęła głową, jakby potwierdził w ten sposób coś więcej.

- Nazywam się Sheeka Tuli. Słyszałam, że mam cię oczekiwać.

- A co właściwie ci powiedziano?

Wyrysowała czubkiem stopy linię na piasku, unosząc delikatny wir drobnego, suchego pyłu.

- Powiedzieli mi, że jeśli ci pomogę, zapomną o pewnych sprawach z mojej przeszłości. W porządku? - Spojrzała na niego, a w oczach błyszczała jej zadziorność. Skinął głową, co przyjęła z wyraźną ulgą. Dobrze, czego potrzebujesz?

- Potrzebuję dobrego kontaktu. W jaskini były pająki.

Pokręciła głową.

- Wszędzie w tych górach są pająki, ale nie widziałam ich, kiedy sprawdzałam jaskinię. Przepraszam.

Kit przez chwilę spoglądał kobiecie w oczy, usiłując zmusić ją do odwrócenia wzroku. Czy mówi prawdę? Była jego kontaktem, przekazany przez najbardziej zaufanych taktyków kanclerza. Zaufanie było jedynym kryterium.

- Doskonale. Muszę porozmawiać z anarchistami znanymi jako' Pustynny Wiatr - rzekł.

W zeszłym roku dostali porządne lanie - poinformowała Sheeka Tuli. - Czego od nich chcesz?

- Tego akurat nie musisz wiedzieć - odparł.

- Nieprawda - zmrużyła oczy. - Właśnie to muszę wiedzieć. Jeśli mi nie powiesz, nie pomogę ci. Nie odważę się.

Kit obserwował ją. Gdyby znał ją lepiej, pewnie zdołałby określić, czy mówi prawdę, czy blefuje. Musiał podjąć decyzję, która była trudna bez względu na to, jak na nią popatrzył.

- Musimy stworzyć skuteczną siłę, zdolną do sabotażu i oszustwa, jeśli trzeba będzie obalić rząd.

Wiedział, że te słowa nią wstrząsnęły, ale nawet nie mrugnęła.

- No cóż... Dzięki za uczciwość.

- Zabierzesz nas do Pustynnego Wiatru?

- Nie, ale zaprowadzę was do ludzi, którzy ich znają.

- Może być i tak.

- A kiedy skończycie tutaj, więcej o mnie nie usłyszycie. - Wstała, wciskając pięści w talię.

- Może być i tak.

Skinęła głową i znów narysowała na piasku kółeczko.

- Dobrze - rzekła. - Najwyższy czas, abyś poznał „Spindragona”.

Owadopodobny Cestianin miał na imię Fizzik i w tej chwili był w najbardziej agresywnym i ambitnym momencie swojego życia - w przejściu pomiędzy płcią żeńską a męską. W jego obecnym stanie dawka męskich hormonów działała jak lek uspokajający, co sprawiało, że gotów był na podjęcie każdego możliwego ryzyka, aby uzyskać coś, co zrównoważyłoby burzę hormonalną. Jediną rośliną zdolną ułatwić, a nawet przyspieszyć przejście był tak zwany viptiel, pochodzący ze świata Nal Hutta. O wiele za kosztowna sprawa dla boya hotelowego.

Dlatego właśnie Fizzik zdecydował się sprzedać duszę dalekiemu bratu Trillotowi. Przeciskał złociste, obłe ciało przez tłum, aż dotarł do pewnej alejki, udającej mały kanał w lawie. Ściany wszędzie były pokryte reklamami wystaw i innych atrakcji, a płaskie i holograficzne neony próbowały wyciągnąć wolne kredyty z kieszeni nieostrożnych przechodniów.

Fizzik nie był tu od półtora roku. Jeśli nawet znalazłoby się w tym miejscu kilka osób, które mogłyby go rozpoznać, raczej by im się to nie udało, bo wtedy, kiedy ostatnio tędy przechodził, był samicą.

Dawniej, setki standardowych lat temu, planeta należała do X'Tingów, którzy wyparli rywali, klany pajaków, w odległe góry. Ale przybycie Republiki wszystko zmieniło. Początkowo obwieszczono to jako triumf roju. Było to w czasach, kiedy pozaświatowcy kontrolowali wszystko. Cokolwiek jednak mówiło się na ten temat, zarazy, jakie rozprzestrzeniły się w zeszłym wieku, były mniej lub bardziej udaną próbą ludobójstwa. Roje praktycznie wyginęły, a Cestus Cybernetics stała się de facto władcą planety. Większość X'Tingów, którzy przeżyli, została wypędzona do takich slumsów jak ten. Niektórzy oczywiście (tacy jak ten bezużyteczny truteń Duris lub Quill, obecny przewodniczący rady rojów) sprzedali swój lud w zamian za władzę. Teraz ci zdrajcy byli rozpieszczonymi pupilkami Pięciu Rodów.

W swojej żeńskiej osobowości Fizzik często wykonywał prace domowe u wyższych klas pozaświatowców. Kiedy cyklicznie wrócił do stanu męskiego, jego pracodawcy uznali silną woń feromonów za wystarczająco nieprzyjemną, aby zakończyć jego zatrudnienie. No i znowu znalazł się w rynsztoku, żyjąc z resztek i jałmużny tak długo, dopóki kobieca osobowość z powrotem nie zapewni mu lepszego startu. Przebijanie się przez rozmaite warstwy społeczne sprawiło, że na wiązał mnóstwo kontaktów - wystarczyły one, by wywąchać cenną informację: że najnowsi goście ChikatLik byli ogromnie ważnymi przedstawicielami Coruscant. Istniały wszelkie szanse, że uda mu się sprzedać tę informację najpotężniejszym X'Tingom w stolicy, tym, którzy trzymali w rękach sznurki łączące kryminalne podziemie z organizatorami prac i prawdziwymi władcami Ord Cestusa; a konkretnie bratu Fizzika, Trillotowi.

W ciągu kilku minut znalazł się przed ciężkimi, owalnymi żelaznymi drzwiami w cieniastym korytarzyku, z dala od ruchliwego Bulwaru Rudy. Z jednej strony ważne było, aby znać hasło. Z drugiej - ci, którzy przychodzili pod te drzwi i usiłowali wejść, nie mając nic do sprzedania ani

pieniędzy do stracenia, mogli znaleźć się po niewłaściwej stronie płomienionoża.

Strażnicy, niebieskoskóry humanoid, Wroonianin, i gigantyczny włochaty Wookie, spojrzeli w dół na Fizzika, prezentując twarze bez wyrazu.

- Muszę się widzieć z bratem - rzekł Fizzik, dodając słowo-kod znane tylko rodzeństwu z roju.

Strażnicy niewzruszenie skinęli głowami i otworzyli drzwi. Jeden poszedł przed nim, uważnie rozglądając się w ciemnym korytarzu.

Wzdłuż holu, w małych, nieoświetlonych wnękach, samotnie lub parami tkwiły rozmaite formy galaktyczne i obserwowały go ogromnymi, szklistymi oczami, by po chwili znów pogrążyć się w zadumie i snach, które śniły jeszcze przed chwilą.

- Po co ci Trillot? - zapytał Wroonianin.

- Mam informację. Tylko dla jego uszu.

- Co mówisz? Chcesz jadać diamenty? - warknął strażnik.

Fizzik wpadł w rozpacz. Ktoś mógłby pomyśleć, że istota tak bogata i potężna jak Trillot może zatrudnić najlepszych fachowców, ale zdaje się, że nie miałby racji.

- Tylko mnie tam zaprowadź.

- Jego matka miotu, tak? - zawołał strażnik, odwracając się ku niemu.

Fizzik zdał sobie nagle sprawę, że wpadł w pułapkę. Wnęki wokół niego świeciły ciekawskimi oczami. To była po prostu prowokacja. Wcisnął rękę do kieszeni i wyciągnął garść kredytów. Ostatnich. No cóż, życie to gra. Jeśli to zagranie się opłaci, za kilka minut wyjdzie na swoje. Jeśli nie... trupom pieniądze nie są potrzebne.

Skoro tylko kredyty dotknęły dłoni zbira, Wroonianin uśmiechnął się szeroko.

- O! - zawołał. - O, rozumiem, chcesz się widzieć z Trillotem!

Szybko schował kredyty i odsunął zasłonę.

W pierwszej chwili Fizzik zobaczył jedynie szerokie łóże, ale w miarę jak jego oczy przyzwyczajały się do ciemności, dostrzegł również swojego brata.

Trillot był trzy mioty starszy od Fizzika. Podobnie jak brat, był dzieckiem szlachetnej, ale zubożałej matki miotu, która za jedyną spuściznę pozostawiła mu tęsknotę za minionym bogactwem i dawnymi czasami.

W przeciwieństwie do Fizzika jednak Trillot miał talent i skłonności do podejmowania ryzyka. Po fałstarcie, jakim była praca w komunikacji dla Cestus Cybernetics, uwił sobie gniazdko w wydziale

stosunków pracy. Trzyletni cykl pomiędzy osobowościami samicy i samca w pewnym stopniu usypiał czujność rywali wywodzących się spośród imigrantów. Fizzik wiedział, że w przeciwieństwie do większości X'Tingów, Trillot korzystał z importowanego koktajlu z viptiela i innych egzotycznych ziół, aby skrócić miesięczny cykl rozrodczy po każdym zakończeniu cyklu płciowego do kilku godzin otępienia spowodowanego transformacją. Żadnych problemów ze sprawnością, żadnego rozmnażania się. Wrzeszczące bachory to nie w stylu Trillota.

Pięć lat później Trillot udowodnił swoją wartość lokalnemu syndykatoowi Tenloss i w dwa lata po zwolnieniu się z Cestus Cybernetics zaczął pracę dla samego wielkiego szefa.

Tajemnicza seria tragicznych wypadków otworzyła Trillotowi drogę do szybkiego awansu. Oczywiście, tajemnicza była tak długo, dopóki Trillot sam nie uznał za stosowne jej wyjaśnić.

Wszystko, co się wydarzyło później, sprawiało wrażenie ukartowanego. Widząc zimne okrucieństwo Trillota i być może wyczuwając nieuchronność awansu rywala, wielki szef uciekł z Cestusa, pozostawiając władzę w jedynych właściwych rękach: Trillota.

Ale było to zbyt mało i za późno. Wielki szef miał wypadek, zupełnie jakby ktoś chciał się upewnić, że nigdy nie wróci, aby żądać czegoś, co niegdyś do niego należało.

Potęga Trillota nigdy nie została w ChikatLik zakwestionowana. Gdyby nie zachował ostrożności, wyzwanie mogłoby nadejść w letargicznym okresie przejścia pomiędzy płciami, jakie było udziałem praktycznie wszystkich istot jego rasy. Jeszcze jedna motywacja, aby korzystać z nielegalnego koktajlu viptiel, który pozwalał na dokonanie przejścia w ciągu jednej, pełnej cierpień nocy. Trillot przez cały czas pozostawał agresywny.

W strefie mroku pomiędzy robotnikami i zarządami, między czarnym a białym rynkiem, między najwyższą i najniższą klasą, między pozaświatowcami i radą rojów X'ting, nie było drugiego takiego kombinatora i wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Podobnie jak większość X'Tingów był myląco delikatną, podobną do owada istotą. Każdy jego ruch wydawał się starannie wyćwiczony i przemyślany, niczym u mistrza gry w dejarika. Wysokie, gładkie czoło nad fasetkowatymi oczami i wydłużony kształt ciała nadawały mu wyraz wielkiej inteligencji i łagodności. Fizzik wiedział, że prawdziwe jest tylko to pierwsze wrażenie.

Teraz tułów Trillota wydawał się zaczerwieniony i spuchnięty, co było wyraźnym znakiem feminizacji. Takie szybkie przejście musiało być ogromnie bolesne i Fizzik zaczął się zastanawiać, jakich ziół i narkotyków używał Trillot, aby opanować ból; i innych, aby rozjaśnić umysł otumaniony ich działaniem. I jeszcze innych, żeby chronić się przed toksycznymi efektami poprzednich dawek. I tak dalej...

Fizzikowi zakręciło się w głowie od samego myślenia.

Trillot odezwał się do strażnika w klaskającym i trzaskającym języku, który dziwnie brzmiał w jego ustach. Strażnik odpowiedział w tym samym niezrozumiałym narzeczu.

- Ach, Fizzik - odezwał się brat. Fizzik słyszał kiedyś więcej ciepła w głosie robota-kata. - Zdaje się, że masz dla mnie jakąś informację, No, chodź tu. Oczywiście, jeśli twoja informacja jest prawdziwa, zostaniesz sownie wynagrodzony.

- Chcę tylko przysłużyć się mojemu starszemu bratu - Fizzik z szacunkiem spuścił oczy.

- Ach, tak? - Ciało Trillota wydawało się poruszać jakby wokół nieruchomej osi. Było to bardzo denerwujące dla obserwatora. Fizzik pochodził z tego samego gatunku, ale nigdy nie osiągnął takiej plastyczności. Trillot szedł dość niezgrabnie, bo nabrzmiały worek jajowy utrudniał mu ruchy. Przemierzyli ciemny korytarz pełen nisz, z których obserwowały ich lśniące oczy tuzina różnych gatunków. Trillot zgromadził chyba wokół siebie cały półświatek Cestusa. Fizzik wiedział, że pozaświatowce na planecie zdominowały inne gatunki tak bardzo, że zaledwie trzy procent ludności było naprawdę tubylcami.

Przejście przez korytarz umilały im niskie, pełne szacunku ukłony paskudnych goryli Trillota. Nagle Trillot zatrzymał się i wciągnął powietrze. Po raz pierwszy Fizzik ujrzał na jego złocistej twarzy coś w rodzaju emocji. Gdyby miał zgadywać, uznałby, że jego brat jest niezadowolony. Zdaje się, że to nie będzie miłe.

- Czuję Xyathon - rzekł Trillot i spojrzał na strażnika. - A ty?

- Nie, sir - odparł strażnik w bothańskim dialekcie, który Fizzik nieźle rozumiał. Plotka głosiła, że Trillot mówi w ponad stu językach i Fizzik chętnie w to wierzył.

- A ja czuję. - Trillot podszedł bliżej do jednej z nisz, z której wydobywała się cienka smużka pary. Fizzik odsunął zasłonę.

W ciemności siedzieli skuleni dwaj Chadra-Fani, wdychając opary z gotującej się we flasce cieczy. Trillot wciągnął powietrze raz jeszcze, tym razem głębiej. Powiedział coś do delikwentów w ich własnym języku, po czym się odwrócił.

- Guntar! - zawołał.

Strażnicy pobiegli gdzieś i Fizzik nagle stwierdził, że brat zupełnie o nim zapomniał. W chwilę potem wrócili, ciągnąc za sobą Zeetsę tłustą szarą kulę. Trillot spojrzał na stworzenie, które rozplaszczyło się u jego stóp.

- Sprzedajesz moim gościom grzyby?

Na powierzchni kuli pojawiły się usta.

- Tak - wybełkotał Guntar. - Oczywiście. Ale tylko najlepsze...

- To dlaczego je mieszasz z xyathonem?

Mały Zeetsa wyglądał jak uosobienie urażonej niewinności.

- Co? Nie wiedziałem, przysięgam...

- Nie wiedziałeś? Może twoje zmysły nie są wystarczająco ostre. Powinieneś był wyczuć smak xyathonu w mieszaninie. Chcesz powiedzieć, że ten niewidoczny nos i język nie są w stanie wywiązać się ze swego zadania?

Zapadła cisza. Fizzik zeszywniał. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia.

-Nie... nie wiem..

- Wiesz, jak nienawidzę niekompetencji - warknął Trillot i zwrócił się do strażników. - Niech mu usuną te zbędę organy.

Strażnicy bez słowa odciągnęli wrzeszczącą wniebogłosy kulę. Trillot obejrzał się znów na Chadra-Fanów, powiedział coś do nich w szczebiotliwy języku, a oni mu odpowiedzieli. Zasłonił kotarę.

- Dopilnujcie, żeby dostali najlepszy towar - rzekł do strażników. Z moich osobistych zapasów.

- Tak jest, sir.

Trillot lekko uniósł kąciki ust w grymasie przypominającym uśmiech.

- Chodź teraz ze mną, Fizziku. Zanim dojdziemy do mojego sanktuarium, minie kilka minut. Powinieneś wykorzystać je na skomponowanie swojego raportu. W końcu... - Gdzieś z ciemności za ich plecami rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask. - ...wiesz, że nienawidzę niekompetencji.

Żołnierze-klony już od kilku godzin ciężko pracowali w chłodnych, głębokich cieniach gór Dashta. Kleili, dopasowywali i spawali, łącząc setki prefabrykowanych durastalowych belek ze sobą i z miejscowymi materiałami tak, aby tworzyły przyzwoite centrum dowodzenia.

- Więc gdzie uderzymy najpierw? zapytał Forry Nate'a podczas pracy.

Zapytany w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

- Zrób mi tutaj *złącze*, o, tu. - Robot astromechaniczny wysunął ramię spawające. - Po pierwsze - odrzekł, osłaniając oczy przed jaskrawym strumieniem iskier - istnieją powody, aby sądzić, że w ogóle nie będziemy walczyć. Generał Kenobi ma chronić istniejący układ polityczny i ekonomiczny.

- No, rzeczywiście - zdziwił się Sirty. - A jeśli się wszystko zawali?

Nate westchnął.

- Wtedy chyba uderzymy na Cestus Cybernetics.

- Całkiem niezły plan.

Ich komunikator zapiszczał cicho: jego ton oznajmiał, że za niecałą minutę będą mieć przyjaźnie nastawionych gości, których nie należy widać demonstracją siły. Czujnik powiadomił ich o tym niedługo przed tym, zanim usłyszeli charakterystyczny syk powietrza. Kilka sekund później pojawił się skuter generała Fisto.

Nate wyszedł na zewnątrz. Czuł się swobodny, niebezpieczny i szczęśliwy. W ciągu kilku godzin przekształcili tę dziurę w zboczu góry w całkiem przyzwoitą kwaterę główną.

Obserwował, jak skuter Nautolanina prześlizguje się ponad gładkimi i najeżonymi skałami, kierując się na północ. Nate ruszył za nim piechotą i dotarł na czas, aby zobaczyć statek towarowy, osiadający na otwartej przestrzeni, którą wybrali na drugą strefę lądowania.

Właz rozsunał się, rampa opadła. Ze statku wyszła ciemnoskóra kobieta i podążyła za Kitem w kierunku jaskini. Nate zasalutował przechodzącemu generałowi. Wchodząc do jaskini, kobieta spojrzała na niego z lekkim zaciekawieniem. Jedi przyjął saluty od pozostałych klonów, jednym rzutem oka ocenił pracę, którą już wykonali, po czym podprowadził kobietę do skanera i pokazał jej część materiałów. Zamienili kilka słów, wreszcie Kit powiedział:

- Kapitanie, Forry... chcę, żebyście nam towarzyszyli.

- Tak jest, sir - odpowiedzieli jednocześnie.

„Spindragon” był podorbitalnym frachtowcem typu YT-1200. Ten stary statek, połączony częściami z innych, podobnych modeli, miał zaokrągloną powłokę i wydłużony, podobny do rury kokpitu. Nate spędził kilka minut na badaniu spoin. Widać było, że zastosowano tu co najmniej tuzin różnych mieszanek stopowych, a także koreliańskie kleje epoksydowe, ale wydawały się one dość silne, by wytrzymać zwroty z dużymi przeciążeniami. Skinął głową.

Wnętrze było niewiele lepsze - jakieś dekoracyjne szczegóły sugerowały próbę podniesienia estetyki, ale nie było tam nic takiego, co mogłoby zmniejszyć sprawność statku.

Kobieta przekrzywiła głowę na bok, obserwując SOZ-a i próbując przeniknąć wzrokiem jego hełm.

- Nie pamiętam twojego nazwiska - powiedziała.

- Żołnierz A-Dziewięć-Osiem.

Prychnęła.

- Jest od tego jakieś zdrobienie?

- Proszę mnie nazywać Nate - odparł. W czarnych oczach kobiety pojawiła się ciekawość. Sheekat Tuli zacisnęła wargi, jakby korciło ją, by zadać jakieś pytanie. Nie poddała się pokusie, ale Nate domyślił się, że nie zaszukadkowała go od razu do kategorii „nieistot”, jak czyniła to z klonami większość ludzi.

W ciągu kilku minut wszyscy byli przypięci pasami i gotowi do lotu. Statek uniósł się z lądowiska i spiralą popłynął w niebo. Leciał na południowy wschód przez jakieś piętnaście minut, po czym na północ przez kolejne dziesięć.

Pod nimi znajdował się niewielki kompleks produkcyjny. Nate dokonał szybkiej oceny taktycznej: kilka szybów kopalnianych, część mieszkalna, mała rafineria, doki rozładunkowe, doki pasażerskie, stacja uzdatniania wody, wieże komunikacyjne. Obok zwojów skraplaczy tkwiła niebieska bańka, która, jak się domyślił, była cieplarnią polaryzacyjną, wykorzystującą ekranowany plastik do zmiany zakresu widmowego światła słonecznego, aby można było uprawiać jak najwięcej gatunków roślin. Typowa osada. Delikatna. Łatwa do zniszczenia.

Zachował jednak milczenie. Jego zadanie polegało głównie na tym, aby imponować wyglądem. Większość ludzi nigdy nie widziała żołnierzy-klonów, choć z całą pewnością słyszała o nich opowieści.

Na wysuniętej rampie to on i Fony pojawili się jako pierwsi. Dopiero za nimi zeszła Sheeka Tuli i Jedi.

Wydawało się, że cała społeczność wyległa na zewnątrz, by ich zobaczyć. W tłumie Nate dostrzegł kilku drogocennych X'Tingów, większość jednak stanowili ludzie. Było tam też kilku Wookiech oraz spora grupka istot innych ras. Bez wątplenia byli to potomkowie pierwszych więźniów.

Farmerzy i górnicy wyraźnie złagodnieli, kiedy pojawiła się Sheeka. Pomachała im ręką. Znali ją tutaj. Doskonale. To znacznie ułatwi sprawę, gdyby musieli pozyskać ich zaufanie lub ich zdominować.

- Witam wszystkich - rzekła Sheeka. - To miło, że się tu zebraliście, choć nie jestem właściwie pewna, o co chodzi. Oto ludzie, których oczekujecie. Nie zamierzam za nich ręczyć. Miejcie oczy i uszy otwarte, i sami zdecydujcie.

Skinęli głowami i Nate musiał przyznać, że szanuje ją za tę przemowę. Tuli mogła przyprowadzić ich tutaj albo nie; zrobiła to, ale nawet haki, jakie miała na nią Republika, nie mogły skłonić jej do sprzedania swojego honoru i udawania przyjaźni. Doskonale. Coraz bardziej ją za to lubił.

Generał Fisto stanął u stóp rampy i podniósł dłonie, Jego czułki zwijały się i skręcały w hipnotycznym rytmie.

- Górnicy! - zawołał. - Wydzieracie rudę planecie. Transportujecie ją czyścicie i przerabiacie. Jesteście sercem tego świata!

Na twarzach pojawiło się powątpiewanie, ale i zaniepokojenie. Nate zauważył, że wielu młodszych widzów przygląda się także i jemu, jakby próbując przebić wzrokiem jego hełm.

- Rządzicie rozwojem handlu - ciągnął generał. - To w waszych rękach znajdują się materiały, umiejętności, urządzenia i surowce do budowania luksusów waszych przywódców.

Kiedy kilku z obecnych skinęło głowami, Nate wiedział już, że generał Fisto mówi ich językiem. Jedyne pytanie brzmiało: czy oni naprawdę chcieli usłyszeć te słowa.

- A mimo to, jak często mieliście wpływ na ich decyzje?

- Nigdy - odezwał się ktoś.

- Jak duży mieliście udział w zbieranych plonach? Czy wiecie, że 1 roboty, które produkują, to jedne z najcenniejszych przedmiotów w galaktyce? Nie ma nic złego w bogaceniu się, ale bogactwo powinno być 1 dzielone z tymi, którzy wykonują najbrudniejszą, najbardziej niebezpieczną pracę. - Emocje w jego głosie stawały się coraz wyraźniejsze, i - Wasi przodkowie przybyli tu w kajdanach. A wy macie tylko tyle 1 władzy, jakbyście nigdy ich nie zrzucili.

Teraz zainteresowali się naprawdę słowami generała, ale będzie 1 potrzeba znacznie więcej, aby ten gambit się powiodł.

- Nawet teraz wasi panowie zadzierają z Republiką.

To wywołało serię okrzyków i nieprzyjemnych szeptów. Kilku z widzów najwyraźniej bardzo nie lubiło Republiki - ci mogliby stanąć po i stronie Cestusa nawet przeciwko flocie składającej się z tysiąca statków. Pozostali nie czuli się równie silni i przestępowali tylko nerwowo z nogi na nogę, jakby czuli, że znajdują się w pułapce na banthy, której szczęki zaciskają się powoli.

- Dlaczego oni to robią? zapytała jedna z kobiet. Wiatr unosił i kosmyki jej przetykanych siwizną włosów.

- Sprzedają te zabójcze roboty Konfederacji. Tam zostaną one zmodyfikowane i użyte przeciwko Republice. - Przy tych słowach Nate \ wyprostował się i stwierdził, że jego brat Forry zrobił to samo. Poczł na sobie wzrok tłumu. Jakie myśli krążyły po tych głowach? Czy patrzyli na żołnierzy jak na potencjalnych wrogów? Wyobrażali sobie, jak umierają? Jak zabijają? A może obserwują ich jako potencjalnych \ sojuszników? Zastanawiają się, jak to jest, walczyć u boku żołnierza SOZ? Z pewnością wielu z nich miało dość gorącą krew, aby marzyć o takiej przygodzie, o takiej próbie.

- Dotarła do nas informacja, że planują masową sprzedaż tych robotów poza planetę, skoro tylko zostanie zapewniona tajność operacji.

- Co? Przecież to niemożliwe! Przewodnicy... - zaczęła jakaś kobieta, ale stojący obok farmer dał jej potężnego kuksańca łokciem w żebra. Umilkła.

Interesujące, pomyślał Nat.

- Tak - ciągnął Kit, jakby mógł czytać zarówno w umyśle Nate'a 1 jak i tej kobiety, która właśnie się odezwała. - Powiedziano wam, że \ z powodu węgorki dashta nie jest możliwe, aby wyprodukowano ich 1 więcej niż kilkaset.

Widzowie wyglądali teraz na jeszcze bardziej zażenowanych, ale Nate wyczuwał, że problem jest bardziej skomplikowany. Niektórzy bali się, inni byli oburzeni, a jedna czy dwie pary oczu wyrażały sceptycyzm tak głęboki, że automatycznie pomyślał: „Oni coś wiedzą”.

- Ale wasi władcy zamierzają postawić na szali wasze życie tylko po to, aby powiększyć swoje fortuny.

- Skąd wiesz? - zapytał młody, jasnowłosy mężczyzna. - Pięć rodów mieszka tutaj, z nami. Nie można zatopić połowy wozu z piaskiem, Nautolaninie.

- Tak, oni tu mieszkają, ale nie są związani z tym miejscem. Bogactwo umożliwia wiele rzeczy. Ci, którzy posiadają projekt, obłowią się. Musicie zadać sobie pytanie: czy ci, którzy zmuszają was do życia tutaj, zawahają się przed odarciem was ze wszystkiego? - Ponury pomruk przetoczył się przez tłum. - Powiedzcie szczerze: czy w ciągu ostatnich dziesięcioleci byliście traktowani tak, jakby potrzeby i pragnienia wasze i waszych rodzin choć trochę ich obchodziły?

Teraz odezwało się znacznie więcej potakiwań.

Jedna z samic X'Ting, z kępką czerwonego futra falującą między korpusem a podbródkiem, z ciałem rozdętym przez wewnętrzny worek jajowy, wystąpiła naprzód. Było to dość niezwykłe. Kiedyś roje liczyły miliony, teraz na całej planecie pozostało jedynie około pięćdziesięciu tysięcy X'Tingów. Samica była większa od mężczyzn, którzy zresztą trzymali się od niej z daleka.

- Czego od nas chcesz? - Niewyraźna dykcja identyfikowała ją jako członkinię niższej kasty. Szara twarz samicy poróżowiała z emocji, a długie ramiona poruszały się niespokojnie. - Dość już tych

pięknych słówek. Słyszeliśmy je nieraz. Co nam proponujesz i czego od nas chcesz?

- Nie proponuję wam niczego, z wyjątkiem przywilejów, jakie ma obiecane każda planeta Republiki: uczciwy głos w Senacie, dostęp do wspólnych dóbr tysięcy systemów gwiazdnych i nasze wsparcie w dążeniu do tego, aby wasz rząd zaczął się wreszcie dzielić bogactwami z tymi, którzy je wyprodukowali. W zamian proszę o jedno: jeśli udowodnię wam, że wasi przywódcy gotowi są sprzedać wasze prawo do życia, zdradzić Republikę, pozostawić was tonących w popiołach rozdarłej wojną planety, podczas gdy oni umkną w przestrzeń wraz ze spuścizną waszych dzieci... jeśli zdołam wam to udowodnić...

Czarne, nieruchome spojrzenie generała Fisto spoczęło na młodych mężczyznach stojących najbliżej, a potem na grupce młodych kobiet. Nate z zadowoleniem stwierdził, że pod tym spojrzeniem młodzi ludzie wyprostowali się lekko i zakołysali w przód i w tył, oglądając się na innych, jakby korciło ich, żeby już w tej chwili wystąpić naprzód.

W tym momencie Nate i Fony zdjęli hełmy i stanęli nieruchomo. Ich identyczne twarze zawsze powodowały pewne zamieszanie; niektórzy myśleli, że są bliźniakami, inni słyszeli już o armii klonów i wystarczyło jedno spojrzenie, aby wyobrażenie stało się rzeczywistością.

Sheela Tuli wytrzeszczyła oczy. Cofnęła się jak uderzona w twarz. Spojrzała najpierw na Nate'a, potem na Forry'ego i znów na Nate'a i jeszcze raz, i jeszcze... aż wreszcie cofnęła się poza zasięg jego wzroku.

- ...to zgodzicie się, aby najlepsi, najmądrzejsi z was dołączyli do nas, jeśli zechcą- dokończył generał.

- I to wszystko? - zapytała samica X'Ting.

- To wystarczy. Nie odrzucajcie moich słów od razu. Pozwólcie nam znaleźć dowody, które na pewno istnieją. Nie potrzebujemy niczego, czego sami nie chcielibyście nam ofiarować.

Ludzie zaczęli rozmawiać między sobą, po czym padły kolejne pytania. Nate przypuszczał, że najważniejsze w tym momencie było dla nich pytanie, czy rzeczywiście mają jakikolwiek wybór. W duchu pogratulował generałowi, że umyślnie - lub instynktownie - wybrał właściwe podejście, aby dotrzeć do tych ubezwłasnowolnionych istot. Zauważył, że młodzi mężczyźni i kobiety słuchali najuważniej, ważąc słowa generała Fisto niczym garście żwiru, w których być może ukrywają się drogocenne klejnoty.

Generał obiecał, że poinformuje farmerów o postępach i wyruszyli dalej. Wracając na statek, Sheeka Tuli odprowadziła Jedi na bok i zaczęła coś mu tłumaczyć, wskazując na klony. Nate nie słyszał rozmowy, ale domyślił się, że jest wstrząśnięta. Minęła Nate'a i Forry'ego, nie patrząc na nich i bez słowa zasiadła w fotelu pilota.

Przez całą resztę dnia pracowali według tego samego programu. Ciemnoskóra kobieta przedstawiała ich, a potem generał Fisto recytował swoje przemówienie, podczas gdy Nate i Fony czekali. Generał nigdy nie mówił o klonach, ale wiedział, że wszyscy się zastanawiają, czy to rzeczywiście ci

żołnierze, o których tyle się mówi, i czy jest możliwe, aby znalazło się dla nich miejsce w oddziałach milicji planetarnej, które tworzyły się obecnie w każdym zakątku galaktyki.

Nate znalazł odpowiedź na to pytanie, tak samo jak wszyscy generałowie i zdobywcy od początków cywilizacji: zawsze jest miejsce dla jeszcze jednego chętnego wojownika.

Po trzecim spotkaniu Nautolanina wciągnęła w rozmowę grupka górników, którzy zdawali się zafascynowani egzotycznym gościem z centrum galaktyki. Generał podyskutował z nimi, a efekt był taki, że całą ich czwórkę zaproszono na kolację z gospodarzami i ich rodzinami. Burczenie w brzuchu przypomniało Nate'owi, że zbyt długo zaniedbywał fizyczne potrzeby. Zarówno z przyzwyczajenia, jak i dlatego, by nie zniweczyć otaczającej ich aury tajemniczości, on i Forry zasiedli do kolacji oddzielnie. Miejscowe dzieci obserwowały ich, pokazując palcami i chichocząc.

Ku zdumieniu Nate'a Sheeka Tuli usiadła obok niego. Nate jadł w milczeniu przez kilka minut, zanim zauważył, jak pięknie ciemna skóra kobiety kontrastuje z czerwono-białą kurtką pilota. Stwierdził wreszcie, że jest zaintrygowany.

Postanowił, że spróbuje konwersacji.

- Dobre mięso - rzekł. - Co to takiego?

- To nie mięso - odparła. - To grzyby hodowane przez X'Tingów, tak przystosowane, aby przyjmowały je również ludzkie żołądki. Mogą smakować tak jak chcesz.

Spojrzał ze zdumieniem na kanapkę. Grzyb miał włókna jak mięso. Smakował jak mięso. Założyłby się, że ma doskonały profd aminokwasowy. Przez chwilę żuł w zadumie, wreszcie odetchnął głęboko i zaczął po prostu rozkoszować się smakiem.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytał.

- O co ci chodzi?

- Nie urodziłaś się tu - stwierdził.

- Skąd wiesz? - Wydawała się naprawdę zaciekawiona.

- Masz zupełnie inny akcent. Nauczyłaś się basica później niż własnego języka.

Zaśmiała się bez cienia sarkazmu. Nate uznał, że to ładny śmiech.

- Gdzie się nauczyłaś tak myśleć? - zapytała.

- Szkolenie wywiadu. Żołnierka to coś więcej niż naciskanie spustu.

- No dobra, nie bądź taki wrażliwy. - Znow wyszczerzyła się w uśmiechu.

Z lubością wbił zęby w kanapkę i odgryzł potężny kęs. Grzyb był pikantny i gorący, soczysty jak

kaminoański stek z fanteela. Zbyt często racje polowe SOZ-ów składały się z pozbawionej smaku kaszy lub różnych ochłapów, jakby brak genetycznego zróżnicowania usprawiedliwiał brak smacznych potraw w polowej kuchni.

- To co, dowiem się czegoś? Jak się tu znalazłaś?

Odchyliła głowę w tył i oparła o drzewo. Miała gęste włosy, które jednak nie sięgały ramion i sterczały na wszystkie strony, przycięte na okrągło. Wyglądały trochę jak żywopłot.

- Czasem wydaje mi się, że byłam już wszędzie i wszystkiego próbowałam. - mruknęła.

Przez jakąś minutę panowało milczenie. Forry poszedł po raz drugi napełnić kubek. Nate zauważył, że Sheeka przygląda mu się z miną, którą uznał za aprobującą, ale wciąż wydawało mu się, że ona coś ukrywa. Przyglądała mu się tak uważnie, jakby...

Jakby...

Zdołał wreszcie zebrać myśli.

- Gdzie mieszka twoja rodzina? - zagadnął. Dlaczego u licha zadał jej właśnie to pytanie? Przecież to nie jego interes, a co gorsza, ona mogła to uznać za zbyt osobiste.

- Moi rodzice?

- No, przecież chyba nie jesteś klonem? - To miał być żart.

Jej wzrok stwardniał.

- Tak, miałam rodziców.

- Straciłaś ich. -T o już nie było pytanie. Zauważył, że starsi zebrali się wokół generała Fisto, którego gestykulacja była teraz równie przemyślana, co zamaszysta.

Przez ponad minutę nie powiedziała ani słowa. Miał nadzieję, że nie poczuła się urażona jego ciekawością. Wreszcie odezwała się tak cicho, że w pierwszej chwili wziął jej głos za szum wiatru:

- Wojna na Atrivis-Siedem - powiedziała. - To były złe czasy.

Wbiła wzrok w ziemię. Nie wyobrażał sobie, co to znaczy: wiedzieć, że wojna nadchodzi, czuć powiew śmierci na twarzy i nie mieć dość umiejętności, by chwycić zabron i stanąć do walki. Miał nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

- Może dlatego pociągał mnie Ord Cestus, że byłam taka... samotna - ciągnęła. - Tak daleko od gniazda. Zdaje się, że jednak nie dość pragnęłam tej samotności. Spotkałam kogoś.

Coś w jej głosie wzbudziło jego zainteresowanie, sprawiło, że spojrzał na nią uważniej.

- Mężczyzna?

Wzruszyła ramionami.

- Zdarza się - odparła. - Górnik. Nazywał się Yander.

- Zakochałaś się? - zapytał.

Humor trochę jej się poprawił.

- Tak to nazywają- odparła lekko. - Rozumiesz, co to miłość?

Zmarszczył brwi. Cóż to za pytanie?

- Oczywiście - odparł, ale zastanowił się nad tymi słowami. Oczywiście, istniała i taka możliwość, że miała na myśli coś, czego on nie uwzględniał w swoich definicjach.

- Nie chodziło tylko o niego - ciągnęła, teraz pogrążona w swoim własnym świecie wspomnień. - Miał również trójkę dzieci: Tarł, Tonote i Mithail. To była jego cała społeczność. - Odwróciła wzrok na chwilę, po czym spojrzała znowu na niego. - Zakochałam się w nich wszystkich. Pobraliśmy się. Yander i ja spędziliśmy ze sobą cztery dobre lata. Więcej niż większość ludzi.

Głos jej się nagle załamał, aż przeklął się za ten atak na jej prywatność. Po chwili jednak zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie dopuściła do tych wspomnień, skoro sprawiły jej tyle bólu. Wreszcie zdołał wykrztusić tylko:

- Przykro mi.

- Mnie też. - Sheeka Tuli westchnęła. - W każdym razie wychowuję teraz jego dzieci. Nigdy nie miałam dużej rodziny... chciałabym zadbać o tę, którą mam teraz. Dlatego tak bardzo pragnęłabym wam pomóc. Oczyścić sobie papiery.

- A co oni mają na ciebie?

Pokręciła głową.

- Może kiedy się lepiej poznamy...

Kiedy? Nie jeśli? Interesujące.

- Czy twoja rodzina mieszka w pobliżu?

I znów wydawało się, że chce uniknąć odpowiedzi. Wyczuł, że dotknął wrażliwego miejsca.

- Nie. Nie tutaj. Z wujkiem i ciotką. Hodują grzyby. To nędza, ale lubimy to zajęcie.

- Nędza?

- Produkują dość, żeby się wyżywić, trochę na wymianę, ale na sprzedaż już nie zostaje.

Aha. Czyli pracowała po to, aby wyżywić swoją przyszywaną rodzinę, która mieszkała z siostrą i bratem górnik. Nie chciała chyba rozmawiać... o dzieciach ani o miejscu, gdzie mieszkają. Trudno zresztą powiedzieć. Interesujące.

Otrząsnął się z tych myśli, gdy stwierdził, że znowu mu się przygląda. Tym razem poczuł się zakłopotany.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Pokręciła głową. A potem, jakby uznała się za największą idiotkę w galaktyce, zaniósła się głębokim, czarującym śmiechem.

- Chyba ciągle mam nadzieję, że będziesz mnie pamiętał. Oczywiście, to szaleństwo. - Zaśmiała się znowu, a Nate poczuł, że coraz bardziej miesza mu się w głowie. - Musisz mi wybaczyć.

- Nie rozumiem.

- Sądzę, że powinnam była ci o tym powiedzieć. Znałam Jango Fetta.

Nie bardzo uwierzył własnym uszom. Co gorsza, nie wiedział, jak zareagować.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Tak, dwadzieścia lat temu, w całkiem innym życiu. Kiedy cię zobaczyłam, doznałam wstrząsu. Jak zdjęliście te hełmy... o rany! - Jej śmiech był gardłowy i wibrujący. - Zupełnie jak on, mniej więcej w takim wieku, jak wtedy, kiedy się spotkaliśmy.

Nate odwrócił głowę.

- Powinienem być się chyba tego spodziewać. Z pewnością niejeden z moich braci natknął się na ludzi, którzy go znali... ja nie miałem takiej okazji.

- Naprawdę? - Znów wbiła stopę w piasek, rysując sobie tylko znane symbole i natychmiast zamazując je znowu. - No cóż, zdumieniom nie ma końca. Jak to się stało... A pozostali żołnierze... czy wszyscy wyglądacie jak młodzi Jango? - Nate zjeżył się, ale ona łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu. - To był tylko żart. Wiesz, co to żart?

Po chwili skinęła głową, czując, że tak naprawdę nie chciała mu dokuczyć.

- Republika potrzebowała armii klonów - rzekł, recytując tekst, który słyszał i mówił już tysiące razy. - Potrzebowali doskonałego modelu wojownika. W całej galaktyce znalazł się jeden taki. Jango Fett.

- Och, on wcale nie był doskonały, ale niezły był z niego numer uśmiechnęła się nieco złośliwie. - A

teraz jest ojcem całej armii podskakujących małych kloników. Ciekawe, jak się z tym czuje?

- Nie żyje.

Pustka, jaka pojawiła się po tych słowach, mogła wchłonąć bez trudu przyzwoitej wielkości gwiazdny krążownik.

- Jak to się stało? - szepnęła. - Chyba zawsze wiedziałam, że Jango był zbyt mocną osobowością, by trwać przez wieczność, ale... - urwała z żalem w głosie.

- Ale co? - zapytał Nate.

- Zawsze wydawał się taki niewrażliwy, jakby nic go nie mogło dotknąć. - Pokręciła głową. - To głupota. Moje serce nie chce uwierzyć w to, o czym głowa wie już od dawna.

Z oddali dobiegła do nich radosna piosenka bawiących się dzieci.

Jeden, jeden chitlik się na słońcu grzeje,

Dwa, dwa, kistę chitlika zupa ma,

Trzy, trzy, daj mi też, gdy jesz i ty.

Dziwna piosenka. Oczywiście, młode klony na Kamino też śpiewały. Były to piosenki mnemoniczne, pozwalające zachować w podświadomości skład chemiczny materiałów wybuchowych, instrukcje obsługi sprzętu, równanie na linii wzroku i szybkość wiatru, a także wrażliwe miejsca anatomii setki głównych gatunków. Oczywiście były też pieśni i gry. Ale te rymy wydawały się żyć jedynie dniem dzisiejszym, słońcem i otaczającym światem bez specjalnych instrukcji przetrwania i przeżycia. Nigdy nie słyszał takich rymowanek i to go też zaintrygowało.

- Ile wiesz na temat Janga? - zapytała Sheeka.

Nat wyprostował się i przemówił słowami, które przechodziły przez jego usta dziesiątki razy.

- Był największym łowcą nagród w galaktyce, wspaniałym wojownikiem i uczciwym człowiekiem. Kiedy przyjmował zlecenie, wywiązywał się z niego do końca.

- A jak właściwie zginął?

Nate odchrząknął, stwierdzając, że gardło ma bardziej ściśnięte niż sądził.

- Jeden z jego klientów okazał się zdrajcą. Jango Fett nie wiedział o tym, kiedy przyjmował zlecenie, a kiedy już dał słowo, nigdy z niego nie rezygnował. Trzeba było aż tuzina Jedi, żeby go zabić. - Przynajmniej taką wersję wydarzeń słyszał zawsze Nate. Czuł, że przepelnia go duma. Nie było nic wstydliwego w tym, co zrobił Jango. Właściwie w obecnym dekadentckim świecie, gdzie większość obietnic nie jest warta banciego łajna, był dumny z tego, że jest potomkiem tak sławnego i honorowego wojownika.

Spojrzał ostro na Sheekę, spodziewając się, że zada kłam jego słowom.

1 - Więc Jango został zabity przez Jedi - mruknęła i kciukiem wskazała na Kita Fisto. - Wciąż tu są. Masz coś przeciwko?

Powoli pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Nie. My też mamy teraz zlecenie, zlecenie podpisane własną krwią. Zostaliśmy zrodzeni, by służyć. W tej służbie znajdujemy największy dar życia; to ona nadaje mu znaczenie.

Pokręciła głową, a w jej twarzy była powaga.

- On by protestował - szepnęła. - Jango nie należał do typów filozoficznych.

Ogarnęła go ciekawość. To prawda, że poznał Janga, oberwał od niego edukacyjne lanie i masę siniaków. Ale żaden żołnierz nie wiedział, kim był Jango jako... no cóż, jako człowiek. Czy taka wiedza uczyniłaby z Nate'a lepszego żołnierza?

- Opowiedz mi więcej - poprosił.

Sheeka Tuli przechyliła głowę na bok, taksując go wzrokiem. W jej oczach lśniła lekka przekora.

- Może później - odparła. - Jeśli będziesz dobry.

- Jestem najlepszy z najlepszych - rzekł.

- A to... - mruknęła z zadumaną miną- ... a to się dopiero zobaczy.

Na następnym postoju na zachód od gór Dashta członkowie aż dwóch różnych społeczności farmerskich zebrali się, aby posłuchać Jedi. Nie było jednej sali dość dużej, aby pomieścić ich wszystkich i generał Fisto odprowadził Nate'a na bok.

- Masz przeszkolenie rekrutacyjne?

- Tak - potwierdził Nate. - Rekrutacja i szkolenie tubylczych wojsk.

- Doskonale, wobec tego zajmiesz się mniejszą grupą. Daj mi znać, jak ci idzie. - Jedi wyciągnął rękę.

Nate ujął ofiarowaną dłoń i uściśnął.

- Tak jest, sir.

Grupa Nate'a spotkała się w prefabrykowanej chacie wykorzystywanej jako hangar dla statków towarowych w krótkich wyprawach na sąsiednie farmy grzybów. Około pięciuset mężczyzn i kobiet dziesięciu różnych gatunków tłoczyło się pod łukowatym metalowym sklepieniem. Wszyscy przybyli obejrzyć przedstawicieli samego jądra galaktyki.

Kapitan SOZ wstąpił na zaimprovizowane podium, zauważając grupkę przystojnych młodych ludzi, których szerokie ramiona i potężne mięśnie bez trudu wypełniłyby uniform żołnierza. Trudniej było mu ocenić kobiety i niehumanoidalny materiał szkoleniowy. Jakie są standardy dobrej formy dla Juzzianina? Niezależnie od tego, czy był to spokojny gatunek, czy też hiperaktywny skoczek górski, na oko wydawał się po prostu zębatym stożkiem.

W armii składającej się z samych klonów tkwiła wielka siła, ale Nate czuł, że ci ludzie są bardzo związani ze swoimi farmami. Przy odpowiedniej motywacji mogą walczyć jak demony, by obronić swoją ziemię i swoje rodziny.

- Obywatele Republiki! - Mówił najwyraźniej jak umiał, modulując głos tak, jakby próbował przekrzyczeć bitwę. Spojrzał w lewo. Sheeka stała obok i obserwowała go uważnie. Opowie wszystko generałowi Fisto? A może...

-Ni e przychodzę do was z pustymi słowami i obietnicami. Nie znam pięknych frazesów, aby was przyjaźnie nastawić. - Poruszyli się niespokojnie. To dobrze. Ważne, żeby teraz przykuć ich uwagę.

- Nadszedł czas, aby wybrać stronę - ciągnął. - Ambicje waszych przywódców sprowadzą na was ruinę, ale odważne działanie może was jeszcze uratować. Na wszystkich, którzy staną po stronie Republiki, czeka nagroda, a ci, którzy wykażą się zdolnościami, mogą liczyć na karierę wojskową.

Wielka Armia Republiki w stu procentach składa się z klonów, ale często rekrutuje się lokalną milicję, aby ją uzupełniała.

Jego słowa wzniciły lekkie zamieszanie wśród słuchaczy. Nate miał nadzieję zbudować na tym swoją konstrukcję. Zawiesił na chwilę głos dla efektu, po czym mówił dalej:

- Ludu Cestusa! Uczciwa praca przynosi zaszczyt, ale można również zapracować na swoją chwałę, ryzykując życie i zdrowie w obronie zasad, które są wam tak drogie. Niech teraz przemówią wasze czyny, niech powiedzą, kim chcecie się stać, bo przecież nie tym, kim byliście.

Zauważył, że młodzi ludzie patrzą po sobie. Wiedział, że ogromne pustkowia Cestusa nie rodzą tchórzy. Twarde życie czyniło tych mężczyzn twardymi. Cóż chyba kobiety również. Niejedna młoda kobieta wyprostowała się na dźwięk jego słów. Nie podobało im się życie w mroku, tu, na najdalszych rubieżach Republiki. Musiał jednak poruszać się bardzo ostrożnie, aby nie urazić starszych. Dlatego następne swoje słowa skierował do nich.

- Nie przyszedłem, aby odebrać wam dzieci, które powinny pozostać przy was i nauczyć się wiedzy swoich przodków. Ale tym, którzy dorośli do wieku, kiedy mogą o sobie decydować, którzy szukają innego życia, a mogą zostać uwięzieni przez zachłanną korporację, co wyssie ich życie i młodość i w zamian da jedynie puste obietnice... - tym ofiaruję inną drogę.

Jeden krzepki młody farmer rozejrzał się wokół, aż długie do ramion, jasne włosy zawirowały mu wokół twarzy. Stojący obok niego mężczyzna miał taką samą szeroką, płaską twarz i jasne włosy, ale był o dwadzieścia lat starszy. Troski i ciężka praca przygarbiły go, sprawiły, że oczy miał wciąż wbite w ziemię. Ojciec. Może i został stłamszony, ale jego syn wciąż stał wyprostowany i dumny.

- Bardzo mi się to podoba - rzekł chłopak, spluwając w piasek. Nazywam się OnSon. Skot OnSon. Straciliśmy farmę, kiedy wielcy z Pięciu Rodzin odcięli nam zapasy wody w piaskach Kibo.

Jego ostatnie słowa wywołały falę pomruków pełnych współczucia. Zdaje się, że OnSonowie nie byli odosobnionym przypadkiem.

- Nie potrzebuję nawet takiej motywacji - powiedział inny. - Rodzice umarli w zeszłym roku na cienistą gorączkę. Sam pracuję na farmie. Ucałowałbym jaskiniowego pająka, żeby się stąd wyrwać.

Nate podniósł dłoń, by uciszyć narastający entuzjazm.

- Obywatele! - zawołał. - Dostaniecie informację o miejscu i czasie spotkania. Tam stwierdzimy, czy możecie pomóc naszej Republice w godzinie potrzeby.

Zszedł z podium i słuchał ich rozmów. Namiętna wymiana opinii może trwać godzinami. No cóż, rozpalili pochodnię. Teraz inni muszą rozdmuchać płomień.

Każdy centymetr kwatery Obi-Wana, od dywanów po przezroczyście sklepienie, zaprojektowany był pomysłowo i luksusowo. Biorąc pod uwagę tygodnie spędzone w dżunglach Forscana Sześć, Obi-Wan uznał, że pomieszczenie jest czarujące. W miarę jednak jak mijały godziny, a Snoil wciąż grzebał w centralnym komputerze Cestusa, pochłaniając niewyobrażalne ilości danych prawniczych, Obi-Wan czuł się coraz bardziej przytłoczony. Snoil szukał dalej, kiedy Obi-Wan wreszcie zapadł w sen, i jeszcze nie skończył, gdy Jedi zbudził się rankiem.

Obi-Wan wiedział, że każdy ich ruch jest uważnie obserwowany przez siły lojalne względem rządu, a być może również przez szpiegów Pięciu Rodów, grupy rządzącej, która -jak był przekonany - kryła się za tym, co uważał za marionetkową regencję. Rządy pojawiały się i odchodziły, ale stare, kochane pieniądze wciąż zachowywały wpływy niezależnie od administracji. Przetrzymywały wszystkie zmiany, jak góry przetrzymują zmienność pór roku.

Obserwowały go prawdopodobnie również inne oczy, niektóre zarówno nieoficjalne, jak i nieprzyjazne. Cestus miał liczną klasę kryminalistów, a wielu z jego przywódców pochodziło z roju, który niegdyś kontrolował całą planetę. Mieli wszędzie swoje wtyczki.

Szypułki oczne Snoila zakołysały się lekko. Wydawał się walczyć z paniką.

- Nigdy nie widziałem takiej splątanej sieci - rzekł. - Mistrzu Obi-Wanie, przekopanie się przez tę konstrukcję, aby poznać właściwą strukturę władzy, może zająć miesiące. Wszystko to jest prawnicza fikcja, żaden traktat nie ma indywidualnych stron, lecz rady i korporacje bez osobowości fizycznej. Głowa mi pęka!

- A co z regentką? Czy można powiedzieć, że ona ma rzeczywistą władzę?

- I tak, i nie - odparł Snoil. - G'Mai Duris jest jak ochłap rzucony szczątkom roju. Przybysze na początku kontaktowali się tylko z X'Tingami, więc ci, którzy przeżyli, muszą być honorowani. Wydaje się, że oficjalnie ma władzę, lecz prywatnie odbiera rozkazy.

- Od kogo?

Głowa Mppita zakołysała się z boku na bok.

- Pewnie od Pięciu Rodów.

Powietrze przed nimi nagle zamigotało. Błękitna Zeetsa o długich rzęsach podskoczyła wdzięcznie.

- Regentką prosi, abyście jej uczynili zaszczyt swoim towarzystwem - oznajmiła. - Będziecie mogli się pojawić?

- Z przyjemnością - odparł Obi-Wan i przestał krążyć po pokoju.

- Wkrótce pojawi się tu po was taksówka powietrzna. - powiedziała Zeetsa i znikła.

- Doskonale - rozjaśnił się Obi-Wan. - Nadszedł czas na prawdziwą robotę.

Obi-Wan pomógł Snoilowi wypolerować skorupę - była to zawsze dość intymna czynność wśród Vippitów - i wkrótce wraz z mecenasem byli gotowi do wyjścia. Zeszli do holu, zaraz pojawiła się taksówka i wkrótce już pędzili po obrzeżach miasta, w ciągu kilku minut lądując w sali tronowej.

Salę tronową umieszczono w jaskini o takich rozmiarach, że bez trudu mogłaby pomieścić międzygwiazdny statek, który ich tu przywiózł; była jednak skromnie umeblowana i mniej ostentacyjnie wytworna niż osobista kwatera kanclerza. W końcu cały Cestus zryty był jaskiniami i to zarówno naturalnymi, jak wykopanymi przez roje. Zostały więc one uformowane przez naturalne procesy, a nie działalność górniczą, więc odzwierciedlały pierwotne piękno Cestusa.

W tej komnacie wyłożonej marmurowymi płytami spotykała się rada roju; odbywały się tu również spotkania z przedstawicielami gildii i różach klanów. Teraz, gdy nie było tu prawie nikogo, pomieszczenie Wydawało się jeszcze większe, niż było w istocie.

Wysoka, rozłożysta samica X'Ting o bladozłotym pancerzu siedziała na podwyższeniu. Obi-Wan natychmiast rozpoznał w niej regentkę Duris. Powiadano, że doszła tak wysoko dzięki wieloletniej pracy i talentom politycznym. Miała reputacją istoty silnej i uczciwej, a jej twarz, choć pozbawiona zmarszczek, poorana była głębokimi liniami mimicznymi, dowodzącymi poważnego i stałego charakteru. Nawet siedząc na tronie, emanowała mocą a jej oblicze było posępne, choć uprzejme. Miało to być spotkanie formalne.

G'Mai Duris pochodziła od pierwszej królowej roju, ale nie w prostej linii - bezpośredni potomkowie wyginęli w czasie zarazy. Biorąc jednak pod uwagę obecną sytuację na Cestusie, nawet taki rodowód wystarczył.

Wstała i dwiema pierwszymi parami rąk ujęła obszerne szaty, układając je wokół szerokich bioder jak cień zalegający w głębokich dolinach. Nosiła się z królewską dumą i pewnością siebie, która mogła pochodzić jedynie z wielu pokoleń znakomitego wychowania.

- Witam, mistrzu Kenobi. Wybaczenie mi to opóźnienie i pozwólcie, że powitam was na naszym świecie. Jestem G'Mai Duris, regent Cestusa.

Obi-Wan skłonił się.

- Kanclerz Palpatine przesyła wyrazy uszanowania.

- Miło mi to usłyszeć - odparła. Przyglądała mu się bardzo uważnie, a jej fasetkowe oczy lśniły intensywnym blaskiem. - Nie byłam pewna, czy w senacie znajdują się przyjazne nam osoby. Długo oczekiwaliśmy na jakiś znak, że problemy naszego ludu spotykają się ze zrozumieniem.

Czyjej słowa miały jakieś ukryte znaczenie? Obi-Wan czuł, że naciski na Duris były coraz silniejsze.

- Kiedy go spotkasz, pani - rzekł ostrożnie - a jestem pewien, że pewnego dnia to nastąpi, stwierdzisz, że kanclerz jest człowiekiem o wielkiej wyrozumiałości. Współczuje waszemu cierpieniu i ma nadzieję, tak samo jak ty, pani, że znajdzie się jakieś pokojowe rozwiązanie. - On też umiał przemawiać wieloznacznie. Pytanie tylko, czy właściwie odczytał słowa Duris i czy ona potrafi mu odpowiedzieć.

- Takie byłoby moje najszczęśliwsze życzenie - odparła. - Ale nie popełnij błędu, Mistrzu Jedi. Dobro mojego ludu jest dla mnie najwyższą wartością. Wyższą niż mój urząd. Wyższą niż pokój i moje własne życie.

Obi-Wan skinął głową bardzo z niej zadowolony. Spotkanie wymagało wielu dni przygotowań, ale nawiązany kontakt zadowolił go. Ta istota była mądra i niezawodna.

- Teraz rozumiem, jak doszłaś do władzy, pani. Jasność twojej wizji odpowiedzialności związanej z urzędem robi ogromne wrażenie.

G'Mai Duris skłoniła się również.

- Niech to będzie początek głębszej i bardziej satysfakcjonującej więzi pomiędzy Ord Cestus a władcami Republiki.

Obi-Wan uniósł łagodnie palec.

- Republika nie ma władców. Jedynie opiekunów.

- Oczywiście - skłoniła się Duris.

Snoil wtrącił się do rozmowy.

- Jestem mecenas Doolb Snoil, reprezentuję Kolegium Praw Coruscant. Postaram się wyjaśnić sprawę możliwie jak najprościej - powiedział łagodnym tonem. - Zarówno na mocy traktatu, jak i tradycji, Cestus jest sygnatariuszem Porozumienia Coruscant. Wprawdzie oficjalnie Cestus Cybernetics nie sprzedaje niczego nielegalnego, lecz obawiamy się, że roboty ZJ będą modyfikowane i wykorzystywane do zabijania żołnierzy Republiki. I - To pan tak uważa - odparła Duris.

- Dlatego z największym respektem proszę, abyście zaprzestali produkcji i sprzedaży wspomnianych robotów - niewzruszenie ciągnął Snoil zgodnie z paragrafem szóstym części drugiej pierwotnego dokumentu.

Z gromady widzów wytoczyła się sięgająca do kolan błękitna kula. Czy była to ta sama Zeetsa, która wysłała holo? Duris pochyliła się, aby stworzenie mogło jej szepnąć coś do ucha. Słuchała uważnie, po czym przez chwilę przeglądała obrazy dokumentów, unoszące się przed nią w powietrzu.

Snoil mówił jeszcze prawie godzinę, cytując dokumenty Republiki i wszystko, co zdołał pojąć z obecnego statusu prawnego Cestus Cybernetics, Pięciu Rodów, produkcji robotów ochroniarzy i możliwych reperkusji całej sprawy. Duris odpowiadała z wzorową precyzją- niczym encyklopedia kwestii prawnych, zawsze stanowcza, zawsze grzeczna, inteligentna i silna.

Obi-Wan dobrze wiedział, że wiele z tego to gra. Regentka musiała być rzeczywiście przerażona. X'Ting o jej pozycji musiał lepiej niż ktokolwiek rozumieć, co to znaczy eksterminacja. Historia udowodniła jej, co się dzieje, gdy kończy się polityka, a zaczyna zniszczenie.

Obi-Wan miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, że tym razem zdarzy się ten najrzadszy z cudów i ludzie dobrej woli rozwiążą konflikt bez użycia siły.

W każdej operacji rekrutacyjnej najważniejsze pytanie brzmi zawsze - ilu się zgłosi? Co innego wiały młodzieńców wojowników rozgrzanych płomienną przemową, a całkiem inna rzecz to wstać następnego dnia, po nocy marzeń lub koszmarów, ubrać się i wyruszyć w odległe miejsce, gdzie będą cię uczyć, jak oddać życie za Republikę.

Pierwsi kandydaci pojawili się nazajutrz przed świtem, kiedy Nate i pozostali żołnierze siedzieli wokół ogniska i naradzali się nad porannym napojem i resztkami śniadania. Jako pierwszy zjawił się wysoki młodzieniec o szerokiej twarzy i jasnych włosach - OnSon. Tuż za nim szedł drugi chłopak, niższy, ale jeszcze bardziej barczysty. Powiedziano im, aby przynieśli żywność, więc mieli plecaki pełne suszonych warzyw i mięsa. Nate przypomniał sobie od razu kilka przepisów z kuchni polowej, które przekształcały nowe zapasy w smakowite posiłki.

Nowo przybyli zostali zaproszeni do ogniska i poczęstowani naparem. Ledwo zaczęli rozmawiać, kiedy usłyszeli grzmot, huk, a zaraz potem śmignął obok nich skuter. Samica rasy X'Ting zdjęła kask, wygładziła pierwszą parą dłoni pęczki twardych rudych włosów na górnej części korpusu, zsiadła ze skutera i podeszła do nich, rzucając na ziemię worek z szorstkiego płótna. Kiedy przemówiła, ubogie słownictwo podkreśliło jeszcze - i tak od razu widoczne - niskie pochodzenie.

- Ja Resta - powiedziała. - Mam farmę jakieś sto klików na południe od ChikatLik. Resta na tej samej sieci, a oni podnieść ceny paliwa tak wysoko, że mąż musi pracować na kopalni. - W jej płonących, fasetkowych zielonych oczach nie było śladu użalania się nad sobą.

Mąż zginąć na kopalni. Teraz Resta tracić farmę, a wszystko zabrać jakieś śmieszne miejsce Pięciu Rodów. Resta mieć już dość cofania się. Resta już nie ustępować. Jakieś problemy? - dodała nagle pod adresem otaczających ją górników i farmerów. Wyzwanie emanowało % niej jak fale gorąca tańczące nad pustynnym mirażem.

Nate usiłował jakoś sensownie zinterpretować jej słowa. Widocznie z powodu otwarcia jakiegoś luksusowego kurortu Pięciu Rodów ceny energii wzrosły tak, że zrujnowały Restę.

- Ona nie jest stąd - warknął jeden z górników. Zawtórowała mu fala szeptów i pomruków.

Nate podszedł do niej i ujął jej zaczerwienione dłonie w swoje, oglądając uważnie każdą z czterech po kolei. Grube, głęboko wżarte w skórę stwardnienia. Połamane paznokcie. Ta istota walczyła z ubogą glebą Cestusa od dziesięcioleci. Większość ocalałych członków jej ludu została wygnana na pustkowia, ale nie ona. Ona była dość twarda, dość dobra i na pewno zdoła przejść testy.

Ta istota wzgardzi słowami szacunku. I - Możesz zostać - powiedział tylko.

Obejrzał się na protestującego górnika.

- Jeszcze jedno słowo, a możesz się spakować i wracać do domu. Ta walka dotyczy tych Cestian, którzy mają serca. Zamknij swoje serce dla niej, a już cię nie ma. To jej planeta, bardziej niż twoja.

Mężczyzna próbował pokonać Nate'a w pojedynku na spojrzenia, ale nie wiedział, że próbuje czegoś niemożliwego. Po chwili spuścił wzrok i wymamrotał jakieś przeprosiny.

, Nieprzerwany strumień kandydatów przybywających przez cały ranek bardzo wszystkich uradował. Aż wreszcie zebrali prawie dwie setki kandydatów. Świetnie! Nate wiedział, że generał Fisto też wygłasza mowy rekrutacyjne. Teraz do nich, do żołnierzy, należało przerobienie tych farmerów i górników w wojsko, skoro nie chcą dalej być rozrzuconą po całej planecie protoplazmą do klonowania.

Przez cały ostatni dzień żołnierze pracowali, aby zbudować tor przeszkód. Kiedy cienie poranka skróciły się, przegonili rekrutów po torze, dzieląc ich najpierw na cztery grupy, według wzrostu, aby mogli ze sobą konkurować. Bieg po wąskiej belce, zwis z poręczy, przenoszenie kamieni tam i z powrotem, póki nie zaczęli rzygać ze zmęczenia - normalny trening żołnierza, zaaplikowany rekrutom.

O zachodzie słońca Forry dołożył ćwiczenia zręcznościowe, jeszcze więcej biegania, skakania i noszenia. Nate z zadowoleniem stwierdził, że wszyscy kandydaci są bardzo sprawni.

Z jakiegoś powodu cieszył się również, że Resta nie ustępowała pozaświatowcom. Może była nieco wolniejsza, ale silna jak Noghri i wydawała się mieć nieograniczoną tolerancję na ból.

Zanim zrobili sobie przerwę na odpoczynek i posiłek, tylko dziesięciu odpadło i wróciło do domu ze spuszczonej głowami. Nate zauważył z pewną satysfakcją, że jednym z nich był górnik, który protestował przeciwko obecności Resty.

Pierwszy, ciężki dzień przewidziany był po to, aby zmusić do odejścia przynajmniej połowę grupy. Od tej chwili pozostali mogli się uważać za ziejących ogniem twardzieli. W dodatku ten rodzaj ćwiczeń natychmiast budował więzy koleżeństwa - rzecz najważniejszą w jednostce bojowej.

Po przerwie na posiłek bracia Nate'a zaczęli dzielić rekrutów na mniejsze oddziały, poddając ich kolejnym próbom. Żaden nie dostał jeszcze broni. Nie pora była na to.

„Spindragon” przybył w połowie dnia, przywożąc do obozowiska generała Fisto. Nautolanin spytał, ilu rekrutów się zjawilo i ilu przeszło pierwszy trening, po czym zawrócił do jaskini odprawiać swoje tajemnicze przygotowania i plany, którym zwykle oddawali się Jedi.

Sheeka przez dłuższą chwilę przyglądała się mękom rekrutów. Wreszcie zmarszczyła brwi.

- Po co to wszystko? - zapytała. - Jango twierdził, że aby komuś naprawdę poprawić kondycję, potrzeba wielu miesięcy.

Nate uśmiechnął się i konspiracyjnie zniżył głos.

- Daje nam to szansę, żeby się im przyjrzeć. Zobaczyć, kto pasuje, a kto nie. Kto może znieść ból fizyczny? Strach? Zmęczenie? Szkoda czasu na nieudaczników.

Skinęła głową, jakby oczekiwała takiej właśnie odpowiedzi. Wydawała się interesującą kobietą: pilotka, macocha, galaktyczny wędrowiec... i dawna dziewczyna nieśmiertelnego Jango Fetta.

Przerwała mu rozmyślania.

- Powiedziałeś mi, co w armii mówi się o Jango. Ale chyba nie wszyscy w ten sam sposób opowiadają tę samą historię, co?

- Masz rację.

- Więc pewnie są ludzie, którzy mówią coś innego.

Jasne, że są. Zawsze. Słyszał ich złośliwe komentarze, obserwował, jak na widok klona ich oczy zwężają się, a kąciki ust opadają.

- Tak - odparł.

- A co takiego mówią?

- Co mówią? Że był kryminalistą, łowcą nagród, mordercą i zdrajcą Republiki. - Jadowite słowa wciąż brzmiały echem w jego uszach; stwierdził, że nawet ich wspomnienie go denerwuje. Czy nie ma własnych myśli, które mógłby wyrazić?

- I że naszym obowiązkiem i punktem honoru jest zmyć tę plamę.

- Tak się czujesz? - zapytała. - Czy to wszystko? - Zaśmiała się krótko i twardo. - Ten człowiek kroczył po granicy dwóch światów, ale kiedy go poznałam, był honorowym, dzielnym i wielkim wojownikiem. I łowcą nagród. - Wzruszyła ramionami. - Nieważne. Nigdy nie był na tyle sprytny, żeby poznać dokładnie swojego wroga.

Przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami.

- Co powinienem zrobić, żeby stać się bardziej do niego podobnym?

Zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i z powrotem, od błyszczących jak lustro butów po rzeźbione rysy twarzy. Jej uśmiech złagodniał, wyglądała na zamyśloną.

- Nie bać się być człowiekiem - powiedziała wreszcie. - Nie bać się uczuć. On je rzadko okazywał, ale miał na pewno. No i pozbyć się lęku.

Nate zjeżył się. O czym, u licha, gada ta kobieta?

- Ja się niczego nie boję.

Parsknęła śmiechem. Był na nią zły, ale musiał podziwiać czystość tego dźwięku.

- Banie łajno - odparła. - Obserwowałam i ciebie, i twoich braci. Boicie się wszystkiego.

Powiedzieć niewłaściwą rzecz. Przeczuwać niewłaściwe uczucia. Może nawet umrzeć w niewłaściwej pozycji.

Akurat. Dzięki kloniarzom za to, że żołnierze nie miewają takich przesądów.

- Nie wiesz nic o moim życiu i śmierci. Ale to nigdy nie powstrzyma was, cywilów, od wydawania osądów, prawda? - Ostatnie słowa zabrzmiały prawie jak warknięcie.

Ona jednak nie dała się zbić z tropu.

- I kto teraz generalizuje? - zapytała.

Spojrzał na nią ze złością, ale nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie wiesz? - zapytała. - Więc przyjmij wyzwanie.

- Wyzwanie? - Pomimo wszystko był zaintrygowany. Z oddali dobiegały okrzyki dzieci i jęki rekrutów. Nadszedł chyba czas, aby poszedł zwolnić resztę.

- Tak - odparła Sheeka. - Wiesz już, jak być żołnierzem. Widziałam to. Moje wyzwanie polega na tym, abyś zaczął reagować na świat jak istota ludzka. Kiedy widzisz zachód słońca, czy myślisz o czymś innym, niż o okularach noktowizyjnych? Kiedy widzisz kwiat, czy nie zastanawiasz się, jakie można z niego wydobyć trucizny? A kiedy widzisz dziecko, czy myślisz o czymkolwiek innym, jak tylko o tym, czy byłoby dobrym zakładnikiem?

Nate zeszywniał.

- Specjalne Oddziały Zwiadowcze nie biorą zakładników - rzekł.

Ładna twarz Sheeki jakimś cudem zdołała pociemnieć jeszcze bardziej.

- Nie bądź taki cholernie dosłowny! - zawołała z rozpaczą. - Usiłuję z tobą rozmawiać, ale nie mogę się przebić przez skorupę! Kim ty jesteś?

Krzyki rozbawionych dzieci wydawały się przycichać, odchodzić w dal.

- Ja wiem, kim jestem - powiedział Nate. - Każdy z nas wie, kim jest - dodał, wstając. - Te grzyby smakują jak glina - skłamał. - Idę po jakieś mięso.

Rzucił posiłek do pojemnika na śmieci i dołączył do zmęczonych rekrutów.

Przez całą resztę dnia Nate próbował skupić uwagę na uczniach. Uważnie obserwował, jak radzą sobie z torem przeszkód, szybko rozpoznając, którzy są w najlepszej formie fizycznej i psychicznej, którzy najlepiej kontrolują swoje emocje i mogą mieć zadatki na przywódców.

Co chwila jednak tracił koncentrację i, zgodnie z protokołem, rozglądał się po okolicy. Za każdym razem szukał jedynie twarzy i sylwetki irytującej Sheeki Tuli. Nieraz znajdował ją pod nawisem

skalnym, czasem pomagała przy wydawaniu posiłków. Raz zauważył, jak rozmawia z generałem Fisto, wskazując w kierunku statku. A pewnego dnia, gdy nie zobaczył jej w ogóle, poczuł się dziwnie rozczarowany.

To trwało tylko chwilę; Nate natychmiast zmusił się do przeniesienia uwagi na to, co akurat robił.

Cały dzień szkoleni rekruci byli poddawani coraz to nowym, ciężkim, wyciskającym pot próbom. Niezmiennie najpierw to żołnierze klony wykonywali ćwiczenie jako pierwsi, z taką zręcznością i pozornie bez najmniejszego wysiłku, że ochotnicy z Cestusa tylko potrząsali głowami z niedowierzaniem.

Dziecinna zabawa dla kogoś, kto spędził całe dzieciństwo w salach treningowych kloniarzy z Kamino.

Pod koniec dnia odpadło czterdzieści procent ochotników. Ci, którzy pozostali, stanowili twardą, krzepką gromadą zawadiaków; patrzyli na siebie spode łba i klęli pod nosem na żołnierzy, ale robili to jako grupa. Przeżyli wszystko, co ci sadyści w zbrojach rodem z Coruscant dla nich przygotowali. Byli gotowi przejść do następnego poziomu.

Nate poukładał sobie wszystko w głowie i złożył sprawozdanie generałowi Fisto. Kiedy szedł do komory w głębi jaskini, przed nim pojawił się długi na metr płomień, zwinął się, skręcił w powietrzu i zgasł. Dziwne zjawisko powtórzyło się znowu. Nos zaczął swędzić Nate'a od zapachu płonącego metalu, a jaskrawe światło giętkiego płomienia raziło oczy, aż musiał odwrócić głowę.

Kiedy generał Fisto usłyszał jego kroki, światło znikło. Jedi obrócił się z miłą zwinnością, ruchem tak płynnym, że niemal niezauważonym. Równie dobrze mógł się wywrócić na lewą stronę.

-Tak?

- Zakończyliśmy dzisiejsze testy.

- I co?

- Mamy chyba czterdziestu ośmiu dobrych rekrutów.

W nieruchomych oczach generała zabłyśły iskierki.

- Doskonale. A jutro?

- Wybierzemy jeszcze kilku. Mogę towarzyszyć panu w rekrutacji lub zostać tutaj i kontynuować szkolenie.

- Kontynuuj szkolenie - rzekł generał Fisto po chwili zastanowienia. - Podziel ich na grupy w zależności od dnia i godziny rejestracji, Daj najwyższy status tym, którzy zgłosili się jako pierwsi. f - Tak jest, sir - odparł Nate. Generał nie doceniał SOZ-ów, jeśli uważał, że taka hierarchia nie została już zastosowana. Z drugiej strony to nie była odpowiednia pora, aby pouczać i poprawiać Jedi.

Z jakiegoś powodu ta myśl przypomniła mu Sheekę Tuli i bezczelną krytykę, jakiej go poddała. Było w niej coś, co go wyjątkowo irytowało.

Wyszedł z jaskini i nie myśląc, dokąd zmierza, skierował się w stronę statku Sheeki Tuli. Dzień pracy i tak dobiegł już końca. Jego trzej bracia zajmą się czyszczeniem broni i porządkowaniem toru przeszkód. Może sobie chwilę odpocząć. To tylko spacer, powtarzał sobie. Sam się oszukiwał.

Znalazł Sheekę przy składanym stoliku przed statkiem. Zdierała rdzę z jednego z koreliańskich konwerterów przepływu „Spindragona” i patrzyła na gwiazdy. Nie wydawała się zdziwiona jego widokiem.

- Skąd wiesz, że to ja, a nie jeden z pozostałych? - zapytał wyzywająco.

Zaśmiała się.

- Masz inny chód. Nie byłeś przypadkiem ranny w nogę?

Zatrzymał się. Broca, wielka gadopodobna istota, która nawiedzała bagna przeklętej dziury zwanej Altair Dziewięć, omal nie pozbawiła go biodra. Myślał, że rana zagoiła się zupełnie. Ciekawe. Ta kobieta miała zmysł obserwacji żołnierza!

- Byłem - odparł, ale resztę swoich myśli zachował dla siebie.

Uśmiechnęła się i wróciła do przerwanej zajęcia.

- Jak minął dzień?

- Kilku niezłych kandydatów. Energicznie się nimi zajęliśmy, a i tak odeszło tylko czterdzieści procent. Mają dobry towar na Cestusie.

Sheeka uśmiechnęła się znowu, wyraźnie zadowolona z jego odpowiedzi. Zajęła się czyszczeniem, a on po prostu siedział i wpatrywał się w gwiazdy. Wiedział, że wiele z tych błyszczących kul ma własne planety i zastanawiał się, ile z nich zniszczy ogień bitewny, zanim skończą się Wojny Klonów.

Po chwili uwaga Sheeki znowu skupiła się na Nacie. Z nadzieją czekał, aż przemówi. Ale kiedy to uczyniła, jej pytanie zaskoczyło go zupełnie.

- Co widzisz, kiedy na mnie patrzysz? - Wybrała tę chwilę, aby ziewnąć i przeciągnąć się lekko, a on po raz pierwszy zobaczył w niej kobietę, odkrył, jaki ma na niego wpływ i zdziwił się intensywnością własnej reakcji. Żadna istota humanoidalna płci męskiej nie mogłaby nie podziwiać tego hipnotycznego połączenia siły i delikatności, długiej, eleganckiej linii nóg, delikatnego łuku szyi...

Nate otrząsnął się i przypomniał sobie, że zadała mu pytanie. Szperał przez chwilę w głowie, aż znalazł odpowiedź, ale niezupełnie przyzwoitą. Wymyślił więc coś innego.

- Widzę kobietę - rzekł - której kolor skóry przypomina mi generała Windu.

- Kogo? - roześmiała się. Był to głęboki, radosny śmiech i Nate zrozumiał, że jego pierwsze wrażenie - że ona z mego drwi - było całkowicie mylne. Zrozumiał, że go podziwia, a jej śmiech rozgrzał go tak, że na kilka drogocennych minut zapominał o kontrolowaniu emocji. Interesujące.

I nagle stwierdził, że z jego ust wyrzywa się pytanie, którego przedtem nie przemyślał i nie przeanalizował.

- A kiedy ty na mnie patrzysz, co widzisz?

Prawie natychmiast pożałował swoich słów, bo uśmiech kobiety przeszedł w wyraz smutku i tęsknoty.

- Ciebie najlepszego... - szepnęła i urwała, jakby w pół zdania się rozmyśliła - ...najlepszego wojownika, jakiego znałam.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku, po czym wdzięcznie, jak kwiat wirujący na wietrze, odwróciła się i weszła na statek.

Po kilku pierwszych dniach strumień kandydatów zmienił się w cienką strużkę. Nate był więc dość zdziwiony, kiedy ujrzał zbliżającą się grupę chudych, brudnych kobiet i mężczyzn. Przybyli w różnych, pozbieranych nie wiadomo skąd ślizgaczach, tak zakurzonych, jakby woziły nie tylko pasażerów. Ich dowódcą był wysoki, rudobrody, starszy człowiek, szeroki w barach, ale zaokrąglony w pasie, mocno wysmagany wiatrem i bardzo zmęczony.

- Chcemy rozmawiać z waszym dowódcą - odezwał się.

Sirty zmierzył go wzrokiem.

- A kto prosi?

- Nazywam się Thak Val Zsing - odparł przybyły.

- To mnie szukasz - rzekł Nate, występując naprzód.

Thak Val Zsing wodził wzrokiem od Sirty'ego do Nate'a i z powrotem; po chwili jego twarz rozjaśnił niewesoły uśmiech. Zęby miał duże, popękane i brązowawe.

- Jesteście rekrutami? - zapytał Sirty.

Val Zsing skrzywił się.

- Nie powiedziałem tego.

- A więc?

- Reprezentujemy Pustynny Wiatr i jeśli spodoba nam się to, co zobaczymy, będziemy walczyć.

A więc to byli ci anarchiści, tak brutalnie zmiażdżeni przez siły bezpieczeństwa Cestusa zaledwie kilka miesięcy temu. Jeśli zostało im bodaj ćwierć dawnej siły, to Nate był Jawą. A teraz znowu chcieli walczyć? Dzielni ludzie, choć niezbyt bystrzy.

- Nawet na Coruscant słyszeliśmy o waszej odwadze.

Thak Val Zsing skinął głową, widocznie usatysfakcjonowany odpowiedzią.

- Wiecie, kim jesteśmy. Ale my nie jesteśmy was pewni.

Mężczyźni i kobiety za jego plecami pokiwali głowami. Nate przyjrzał się ich odzieży i uzbrojeniu.

Wszystko stare i połatane było jak. Skóra obwisała im ze zmęczenia i niedożywienia. Wydawało się, że broń jest w lepszym stanie niż oni sami.

A jednak, choć zmęczeni i podłamani, ci ludzie mieli motywację.

- Każdy z nas jest przygotowany, aby umrzeć, obalając ten dekadentcki system.

To prawda. Mieli wszelkie powody, aby obwiniać rząd o swoje problemy, ale Nate nie mógł użyć Pustynnego Wiatru w jego obecnej kondycji. Byli zbyt nieokrzesani, zbyt wściekli. Sytuacja stawała się delikatna, musiał ją bardzo ostrożnie rozegrać.

- Widocznie źle zrozumieliście nasze intencje - rzekł ostrożnie. Nie przybyliśmy, aby obalić legalny rząd. Jesteśmy tu po to, aby zapewnić przestrzeganie przez rząd zasad ustanowionych przez Republikę. Jako obywatele Republiki, macie pełne prawo do rekompensaty za krzywdy.

Thak Val Zsing szarpnął swoją szkarłatną brodę i splunął na ziemię.

- Rody mają gdzieś wasze zasady. Ładnie gadacie, ale nic nam nie oferujecie.

Były to bardzo prawdziwe słowa i Nate poczuł się trochę zawstydzony.

Nagle za ich plecami pojawił się Jedi.

- Oferujemy wam możliwość służenia waszej Republice - odezwał się generał Fisto. Nate był tak zajęty rozmową z członkami Pustynnego Wiatru, że nie słyszał jego kroków.

Wielkie, czarne jak jeziora oczy Nautolanina wyraźnie urzekły anarchistów. Thak Val Zsing jako pierwszy otrząsnął się z transu, pozostali szybko poszli za jego przykładem i zaczęli burczeć między sobą:

- Służyć? Teraz?

- Przyłączcie się - rzekł z naciskiem generał. - Walczcie razem z nami.

- Innymi słowy, mamy słuchać waszych rozkazów.

- Macie być naszymi towarzyszami.

Szczerść jego słów była hipnotyzująca, a nautolańska charyzma podwójnie skuteczna tu, w tym pustynnym świecie. Większość obszarpanych członków Pustynnego Wiatru przyjęła to jako objawienie.

Większość, ale nie wszyscy.

- Nic z tego. Nie podoba nam się to. Mieliśmy już dość obietnic i dość rozkazów. Wywalczyliśmy sobie własną wolność - mówili.

- Jeśli będziecie działać samotnie, staniecie się zwykłymi kryminalistami - ostrzegł Fisto. - Z nami będziecie patriotami. - Były to twarde słowa, ale ci ludzie znajdowali się u kresu swoich możliwości. Nie mieli nic do stracenia.

Obszarpani członkowie Pustynnego Wiatru wodzili wzrokiem od Thaka Val Zsinga do Kita Fisto i z powrotem. Jednego diabła znali, drugiego nie. I jak większość istot, trzymali się tego, co znajome. Będą dalej nękać rząd, aż w końcu zostaną złapani, zamknięci lub zabici, i to będzie ich koniec. I nikt nic na to nie poradzi.

Generał Fisto wyciągnął dłoń do Thaka Val Zsinga.

- Zaczekaj – rzekł.

- Na co? - Val Zsing był zmęczony, ale także dumny.

- Mogę wam zaproponować ułaskawienie, jeśli będziecie z nami pracować. Kiedy skończycie zadanie, wasze zbrodnie pójdą w zapomnienie, a wy powrócicie do swoich farm, kopalń i sklepów. Nie pozwolę wam marnować życia.

Nate widział, że Val Zsing bije się z myślami. Był dobrym człowiekiem, ale zbyt zmęczonym, aby zachować w sobie choć trochę optymizmu. Słyszał już zbyt wiele kłamstw, by od razu uwierzyć Jedi czy żołnierzom-klonom. Nat prawie słyszał myśli starca.

- A co mówią pozostali? - Zapytał generał Fisto.

- Mówią, że mi ufają- odparł Thak Val Zsing i wyprężył tors. - A ja ci nie wierzę. Przyjechałem tu tylko dlatego, że mnie o to poproszono.

Ale teraz, kiedy was już zobaczyłem...

Generał spojrział w twarze członków Pustynnego Wiatru i zwrócił się znów do Thaka Val Zsinga:

- To twoi ludzie. Jak zdobyłeś ich serca?

- Krwią - odparł przywódca. Nate widział to w jego oczach. Ten człowiek bardzo chciał im uwierzyć, ale nie mógł.

- Rozumiem - odparł Nautolanin.

- Może być też inny sposób - powoli powiedział Thak Val Zsing.

Znużeni wojownicy wyprostowali się nagle i spojrzeli na niego.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby konfrontacja miała przybrać fizyczną formę, gdy nagle ramiona Thaka Val Zsinga opadły.

Ten człowiek kiedyś pewnie był wielkim wojownikiem, ale te czasy dawno minęły. Wciąż jednak

członkowie grupy szanowali go i poważali, jakby był ich ojcem. Bez wątpienia przeprowadził ich przez niejedną trudną sytuację.

Jak można zmienić ten układ? Jak to rozwiązać?

Thak Val Zsing bardziej niż ktokolwiek inny z jego grupy zdawał się rozumieć wysokość stawki. Ostatnia akcja. Ostatni osąd. Może oznaczać dla jego bandy łachmaniarzy ocalenie lub destrukcję. Ale co robić?

- Trzydzieści lat temu przejąłem dowództwo tej grupy - rzekł Val Zsing, nie spuszczać wzroku z generała. - Możesz ich poprowadzić, jeśli zechcesz przejść tę samą próbę co ja.

- Próbę?

Przywódcą skinął głową.

- Bracie Fate! - zawołał półgłosem.

Podszedł do niego porośnięty szarym futrem samiec X'Ting w brązowej szacie. Za nim szła nieco większa samica X'Ting, tak samo ubrana. Oboje nieśli pleciony kosz z łyka.

Kosz był dość duży, aby pomieścić spore ludzkie dziecko. Nate przez chwilę podejrzewał, że tak rzeczywiście jest. Słyszał o ekstremistycznych grupach, które czciły dzieci lub niemowlęta jako wcielenie boga lub inkarnację jakiejś świętej duszy.

Po chwili jednak wiedział już, że się myli. Cokolwiek znajdowało się w koszu, nie był to z całą pewnością człowiek. Było to cięższe od dziecka - pewnie ważyło około dziesięciu kilogramów. I syczało. Kosz zakołysał się lekko, a sądząc po wysiłku, z jakim niosący utrzymywali go w równowadze, coś się w środku ruszało. Przypominało to węża.

- Czy zaufasz nam tak, jak chcesz, abyśmy my zaufali tobie? - zapytała stara samica X'Ting. - Co miałbym zrobić? - Włóż tu rękę - rzekła. - I co? - Zobaczymy. Generał Fisto spojrzał na nią, a potem na Thaka Val Zsinga. Nate wstrzymał oddech. Był to test zarówno na odwagę, jak i na intuicję. Zaufanie i zdrowy rozsądek. Co jest w koszyku? Pleciony pojemnik był dość duży, by zmieściło się w nim z tysiąc jadowitych stworzeń. A jeśli któreś ukąsi generała, to co? Czy Kit Fisto miał w magiczny sposób zneutralizować truciznę w swoim ciele? Czy może zaczarować zwierzę tak, aby nie ukąsiło? A może to część jakiegoś bardzo skomplikowanego planu morderstwa? Cokolwiek to było, Nate nie mógł opanować lęku. Co zrobi Jedi?

Wyraz twarzy generała Fisto nie uległ zmianie. Skinął głową.

- Dobrze.

Starsi X'Tingowie postawili kosz na ziemi. Pokrywa wciąż zasłaniała jego zawartość. Generał podwinął rękaw szaty i wsunął dłoń do pojemnika. Nate zauważył, że zrobił to bez pośpiechu, ale też nie nazbyt wolno.

Oczy generała Fisto nie opuszczały twarzy samicy. Jego ramię znikło w koszu po łokieć. Świadkowie patrzyli w napięciu.

A jednak... działo się tu coś dziwnego, co wymykało się wszelkim definicjom.

Wreszcie jedna ze starszych kobiet skinęła głową, a generał w tym samym spokojnym, równym tempie wyjął ramię z kosza. Lśniło, jakby było mokre. Opuścił rękaw, nawet nie ocierając tej wilgoci. Twarz miał nieprzeniknioną.

Dwoje X'Tingów w brunatnych szatach wycofało się na neutralną pozycję. Usiedli ze skrzyżowanymi nogami, a pierwsze i drugie ramiona złożyli jak do modlitwy, opierając się o siebie czołami. Pozostali partyzanci utworzyli ścianę pomiędzy klonami, generałem Fisto i koszem. Schylili się, jakby chcieli coś zbadać.

Wreszcie się podnieśli.

- Mówi prawdę - rzekła jedna z kobiet. Pozostali skinęli głowami.

Val Zsing odetchnął głęboko. Nate widział, że mu ulżyło, ale duma nie pozwoliła mu przyznać się do tego.

- Doskonale - rzekł tylko. - Przewodnicy nigdy dotąd się nie mylili. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - I mam nadzieję, że nie popełniam największego błędu mojego życia.

Kit Fisto zawrócił do jaskini. Nate dogonił go i zapytał przyciszonym głosem:

- Co było w koszyku? Jakaś skalna zmija?

- Nie wiem - odparł Kit, zaledwie poruszając wargami. - Nie próbowało zrobić mi krzywdy. Ale poczułem... coś. Obecność, którą czułem już wcześniej.

Kit nie chciał powiedzieć już nic więcej i Nate przyjął to do wiadomości. Wrócił do braci.

Idąc w stronę jaskini, Thak Val Zsing pokręcił głową.

- Nigdy bym w to nie uwierzył - rzekł. Jego oczy płonęły. - Nie jestem osobą, która chciałaby ci zaufać, Jedi. Pamiętaj o tym.

- Na pewno - obiecał Kit.

- No cóż - mruknął tamten, drapiąc się w głowę. - Obietnica jest obietnicą.

- Dobrze, że dotrzymujesz słowa.

- Czasami - wyjaśnił Thak Val Zsing, opuszczając ramiona - słowo człowieka jest jego najcenniejszym majątkiem.

- Przyniosłeś nam coś więcej niż słowa - odparł Kit. - Zjecie z nami?

Thak Val Zsing i jego ludzie z trudem zmieścili się przy prymitywnie skleconym stole. Kiedy pojawiły się pierwsze tace z parującym mięsem, grzybami i gorącym chlebem, starzec spojrział na Kita.

- Nie jedliśmy do syta od tygodni. Czy możemy...

- Ile tylko dacie radę - uśmiechnął się Kit.

Thak Val Zsing i jego ludzie rzucili się na posiłek jak stado głodnych Huttów. Wreszcie zwolnili; czekali z przejedzenia i wybuchali śmiechem. Dopiero wtedy można było z nimi porozmawiać.

- Czytałem dokumenty - zaczął Kit. - Ale chciałbym znać wasze zdanie. Co się stało z Cestusem?

- Historia stara jak świat - odparł Thak Val Zsing. - Teraz pewnie wyglądam jak górnik, ale kiedyś byłem profesorem historii. Straciłem pracę, gdy rząd obciął programy socjalne i medialne dla obszarów na peryferiach.

- Rząd wybrany w wyborach? Regentka G'Mai Duris?

Starzec prychnął wzgardliwie.

- Ona nie jest tu prawdziwą władzą gwiazdny chłopcze. Lepiej zaktualizuj swoje wiadomości. W każdym razie poszedłem pracować do kopalni. Reszta, jak powiadają jest historią. - Zachichotał. - Cóż, historia jak każda inna. Są uciskający i uciskani. Tak było nawet wtedy, zanim jeszcze Republika trafiła na tę planetę: X'Tingowie wypchnęli w góry pająki i prawdopodobnie dokonali eksterminacji paru innych plemion, które przybyły tu przed nami. Przybyliśmy, kupiliśmy ziemię za kilka skrzyń bezwartościowych kamieni syntetycznych, a kilkaset lat później jakieś tajemnicze plagi zabiły dziewięćdziesiąt procent ludności. Wygodne, nie?

- Wyjątkowo. Uważasz, że te plagi to nie przypadek?

Val Zsing westchnął.

- Nie ma na to dowodów, którymi warto by zawracać głowę twojemu drogocennemu kanclerzowi. Każde więzienie, w którym tłoczy się kilka gatunków z całej galaktyki, prędzej czy później stanie się rozsadnikiem egzotycznej zarazy. Powiedzmy tylko, że Pięć Rodów nie szalało z rozpaczy.

Thak Val Zsing oderwał kawał pieczonego ptaka i wbił w niego zęby, aż sok pociekł mu na brodę i koszulę.

- Jeszcze mój dziadek śmiał się z tego, ale teraz to już przestało być zabawne. Ci na dole naprawdę nie mają nawet chleba. Nasze dzieci płaczą po nocach z głodu.

- Myślałem, że Cestus Cybernetics to bogata firma.

- To fakt. Ale naprawdę niewiele z tych kredytów dociera na samo dno.

- To się teraz zmieni - odezwał się Skot OnSon. - Obalimy rząd, odbierzemy im nasz świat.

Nasz świat, pomyślał Kit. A właściwie do kogo należy ten świat? Do Pięciu Rodów? Do imigrantów? Do rojów X'Ting? A co z paskudnymi pajakami, które żołnierze przepędzili z jaskini? Teraz było mu przykro, że zabrał im to miejsce, ale cieszył się, że powstrzymał żołnierzy od pościgu.

Obi-Wan i mecenas Snoil nie opuszczali kwatery od powrotu z sali tronowej. Boye kręcili się wokół nich w nadziei na napiwki, przynosili posiłki i dość niezdarnie próbowali podsłuchiwać ich rozmowy. Wreszcie Obi-Wan musiał interweniować u kierownictwa hotelu.

Snoil miał niewyczerpane zasoby zapasu do pracy. Ślęczał nad dokumentami, konsultował się z prawnikami cestiańskimi, przysyłał przez statek wiadomości na Coruscant, żądając kolejnych opinii.

A przy tym Obi-Wan nie wyczuwał w nim ani śladu desperacji, wyłącznie radość z możliwości spłacenia starego długu doskonałą pracą. Gdyby Snoilowi udało się znaleźć drogę poprzez ten prawniczy labirynt, zrozumieć ścieżkę, która mogłaby doprowadzić do pokojowego rozwiązania, wszyscy wyjechaliby z Cestusa szczęśliwi.

Obi-Wan pomagał, jak umiał, udzielał rad, próbował zdjąć część ciężaru ze skorupy Snoila, ale wreszcie poczuł się prawie bezużyteczny. Ich kolejne spotkanie z G'Mai Duris miało się odbyć za niecałe osiemnaście godzin, a jeszcze nie wymyślili żadnego sposobu, aby powstrzymać falę.

Ale może wreszcie coś się pojawi. Zawsze się pojawia.

Trzysta kilometrów na północ od bazy dowodzenia znajdował się zębaty łańcuch gór Tolmea. Jego największy szczyt, Tolmeatek, wznosił się na trzydzieści dwa tysiące metrów ponad dolinę, a pokryty czapą śnieżną wierzchołek był jak latarnia morska dla wszystkich poszukiwaczy przygód.

W ciągu ostatnich stu lat nie zdarzyło się, aby jakiś nie tubylec zdołał wejść na szczyt bez aparatu oddechowego. Samo słowo „tolmeatek” w języku X'Ting oznaczało „nieprzebyty”. Mniejsze góry miały ten sam nieprzyjazny charakter i ostre zbocza, a liczne burze z błyskawicami sprawiały, że podróż dla przyjemności stawała się zbyt niebezpieczna.

Idealne miejsce na nielegalną działalność. W cieniu potężnego Tolmeateka schowała się kolejna platforma ładownicza, ukryta przed przypadkowymi obserwatorami.

Trzyosobowa delegacja X'Tingów spoglądała w górę. Po chwili jedno ze światel zaczęło zmieniać pozycję. Wydawało się dziwnie małe, aż do momentu, kiedy nagle mały obiekt zaczął rosnąć z niewiarygodną prędkością.

Komitet powitalny niewzruszenie stał na swoich pozycjach. Dwóch z jego członków nosiło ciemne szaty, jeden był ubrany na wzór pozaświatowca, choć strój przystosowano do owadziej sylwetki X'Tinga. Wąska rampa spłynęła z lśniącego statku. U jej szczytu pojawiła się humanoidalna kobieta. Miała na sobie długi do ziemi płaszcz i widzieli tylko jej sylwetkę. To jednak, co zobaczyli, odebrało im oddech.

Kabina za plecami nowo przybyłej była ciemna. Kobieta miała ogoloną głowę, a czaszkę symetryczną i dość dużą, co dowodziło niezwykłej inteligencji. Jej blada skóra była czysta i jasna, prawie przejrzysta. Sześć wytatuowanych sztyletów, po trzy na każdej skroni, kierowało ostrza w stronę uszu. Cała wydawała się mżyć i migotać, jakby emanowała jakimś wewnętrznym światłem. Z pewnością była to sztuczka polegająca na odpowiednim oświetleniu.

Kiedy ruszyła w ich stronę, zauważyli, że jej oczy mają zimny, martwy kolor jasnego błękitu. Spojrzała na Fizzika przelotnie, nie mówiąc ani słowa. Był tak bardzo poniżej poziomu, który raczyła zauważać, że zaledwie odnotowała sobie jego obecność. Ani zagrożenie, ani sprzymierzeniec. Z podobnym wyrazem twarzy mogła spojrzeć na robota astromechanicznego.

Fizzik bał się tej kobiety, ale jednocześnie dziwnie go to podniecało.

Wystąpił naprzód, przygotowany, aby wygłosić planetarne powitanie.

-Pani...?

Przekrzywiła głowę i popatrzyła na niego tak, jakby był nieoswojoną formą zwierzęcego życia niższego rzędu. Dziwne uczucie, które zrodziło się w duszy Fizzika, wypełniło go całego. Zamilkł.

Kobieta zrobiła jeszcze dwa kroki i dotknęła swojego paska. Wokół statku, w kręgu o średnicy około dwudziestu metrów, piasek zasyczał groźnie. Fizzik zauważył szereg małych osi piaskowych, bezmyślnie taszczących swoje brzemie do gniazda. W miejscu, gdzie krąg przeciął piasek, pół tuzina małych istot zmieniło się w dymiące, zwęglone kulki. Pozostałe, po obu stronach linii, nie doznały szwanku.

Kobieta przemówiła po raz pierwszy.

- Jeśli twoi ludzie zbliżą się do mojego statku - rzekła - będziesz potrzebował nowych ludzi.

- Tak, pani.

- Doskonale - odparła drwiąco. - Zabierz mnie do Trillota.

Fizzik otworzył tył tęponosego, szybkiego wagonu tunelowego i kobieta weszła bez słowa. Miała niezwykle płynne i zwinne ruchy, jakby była raczej felinoidem niż humanoidem. Dziki i piękny drapieźnik.

Wagonik uniósł się nad ziemię i okręcił, kierując w stronę jednej z najbliższych dróg. Niewielki pojazd przeznaczony był do szybkich i ciasnych manewrów w labiryncie tuneli pod powierzchnią Cestusa.

Tunele te zostały zbudowane przez techników roju w zamierzonych czasach, ale dopiero niedawno stworzono ich elektroniczną mapę może parę standardowych dziesięcioleci temu. Wagon był wyposażony również w najnowsze i najpotężniejsze urządzenia skanujące, dzięki czemu śmigał przez tunele jak thrinx na smyczy.

Fizzik siedział obok pilota na przednim siedzeniu, ale dyskretnie zerkał za siebie, żeby sprawdzić, czy ich gość nie czuje bodaj najmniejszego dyskomfortu z powodu nagłych skrętów, jakie wykonywał pojazd.

Kobieta wydawała się niewzruszona; jej przenikliwe niebieskie oczy lśniły lekkim rozbawieniem, a blade, pełne wargi krzywiły się lekko, kiedy mijali zbyt ostre zakręty. Obserwowała ściany tunelu, notując wszystko w pamięci. Po chwili zwróciła się ku Fizzikowi.

- A więc Pięć Rodów obawia się spotkać ze mną otwarcie? - zapytała.

- Uważają to za ryzykowne. Ale wkrótce będzie pani z nimi.

Prychnęła wzgardliwie.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała, wskazując na mury.

Stwierdził, że jej głos brzmi jak muzyka miedzianych dzwonek.

- Planeta poryta jest kopalniami i tunelami. To najlepszy sposób, żeby podróżować niezauważenie.

Zaśmiała się, choć nie całkiem rozumiał, co ją tak rozbawiło. Wreszcie odwróciła się i spojrzała prosto na niego.

- A ty jesteś...?

- Fizzik, brat Trillota, który oczekuje twojego przybycia.

Nie wymieniła w odpowiedzi swojego imienia. Fizzik cofnął się. Popatrzył na nią spode łba. Oczy kobiety nagle pociemniały.

- Może powinna pani odpocząć po długiej i na pewno uciążliwej podróży - rzekł.

Pasażerka przymknęła powieki. Pojazd wykonywał ostre skręty, szarpał, odskakiwał od ścian tunelu, lecz ona nie otworzyła oczu do chwili, aż się zatrzymali.

W tej samej chwili, gdy wagonik znieruchomiał z cichym sykiem, Assajj Ventress otworzyła oczy i natychmiast stała się czujna jak Gotal na łowach. Krótka drzemka wyraźnie ją odświeżyła. Oczywiście na tyle, na ile taka istota potrzebowała jakiegokolwiek regeneracji.

Przybyli do jaskini pod samym centrum miasta. Pięciu najbardziej zaufanych asystentów Trillota czekało na nich. Kiedy wysiadała ze statku, wyglądała jak królowa lub mroczna księżniczka, lecz teraz rozchyliła płaszcz i przyjęła całkiem inną postać. Fizzik uznał, że wygląda na dowódcę armii. Pod czarnym, przylegającym do skóry kombinezonem jej ciało było muskularne i gładkie jak ciało węża, jedynie lekka wypukłość piersi i bioder przydawała nieco kobiecości bezpłciowym kształtom.

Trillot oczywiście opowiadał Fizzikowi o komandor Ventress. Krążyły o niej różne plotki, ale nawet jego własny brat nie wiedział, w co wierzyć. Powiadano, że jest Jedi, że porzuciła dawny zakon, zabierając ze sobą broń. Inni twierdzili, że jest akolitką jakiejś okropnie tajnej organizacji, przewyższającej nawet otoczonych respektem Jedi.

Pierścień komitetu powitalnego rozstąpił się i grupa weszła na platformę turbowindy, na której mogły zmieścić się tylko cztery osoby. Fizzik zauważył, że asystenci nie wsiedli z nimi, jakby woleli trzymać się bezpiecznej odległości. Pojechali zatem sami.

Kobieta pachniała jakimiś owocami.

Ciemność otoczyła ich na chwilę i znikła, gdy dotarli na górny poziom.

Kiedy znaleźli się w kwaterze głównej Trillota, twarde, zimne stwory, które na nich czekały, rozstąpiły się nagle jak płytka woda. Nikt nie odważył się dotknąć kobiety, nikt nie śmiał się nawet zbliżyć. Na całym piętrze zaległa cisza. Fizzik w milczeniu poprowadził ją na spotkanie z bratem.

Weszli do gabinetu Trillota, który siedział przy biurku. Był teraz okropnie wzdęty, gdyż działanie hormonów przemiany, wspomagane przez egzotyczne zioła, doszło właśnie do punktu kulminacyjnego. Wiercił się i kręcił prawie bez przerwy, jakby nie mógł znaleźć sobie wygodnej

pozycji.

Ventress z kolei wydawała się teraz dziwnie uprzejma i pełna szacunku. Z worka, który miała ukryty gdzieś w ubraniu tak sprytnie, że Fizzik w ogóle go nie zauważył, wydobyła kilka przedmiotów i delikatnie ułożyła je przed Trillotem.

Czerwone, fasetkowe oczy złocistego króla gangów przesunęły się po tym, co leżało na stole. Trillot czekał. Powietrze zawirowało, Fizzik wyczuł delikatny, piżmowy zapach. Wiedział, że Trillot w czasie Przemiany wydziela piżmo z gruczołów szyjnych, ale ta woń intensyfikowała się w chwilach zdenerwowania. Przez cały czas, odkąd znał brata, czuł od niego piżmo tylko dwa razy.

Kobieta głęboko skłoniła głowę. Worek zadygotał. Coś czarno-czerwonego wystawiło łebek spod kłapy. Rozwidlony języczek badał powietrze obcego pomieszczenia.

' - Dary - rzekła Ventress. Czy w jej głosie nie krył się leciutki ślad drwiny? - Sól, woda i mięso.

Trillot wytrzeszczył oczy, nie wiedząc, co począć. Rytualne posiłki były popularną i wysoko rozwiniętą sztuką w polityce roju X'Tingów. Trillot jednak nie był królewskiego pochodzenia, nie był nawet szlachcicem. Co miał z tym począć? Drwina czy nie, nie miał odwagi odpowiedzieć nieuprzejmością. Spojrzał najpierw na Ventress, a potem na stół. Czerwono-czarna głowa należała do pasiastego węża, powoli wynurzającego się z worka. Nie... to chyba nie był wąż. Krótkie, grube łapki poruszały się szybko, kiedy zwierzę opuszczało więzienie. Ruszało się ociężale, jakby oszołomione narkotykami.

Trillot spojrział na robota protokolarnego, potem znów na stworzenie... nie, na stworzenia, ponieważ w ślad za pierwszym pojawiło się też drugie.

Robot protokolarny skłonił się i rzekł grzecznie.

- Sądzę, że oczekuje się od pana, aby spożył pan wiatrowęże. Ze smakiem, proszę pana.

Tak, teraz na twarzy Ventress pojawił się delikatny uśmiezek. Trillot nie wiedział jednak, czy jest on sztuczny, czy szczery.

Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą i Fizzik zastanawiał się, co jego brat zamierza uczynić. I znów pojawił się nieoczekiwany przebłysk emocji. Ta kobieta z każdą chwilą wydawała się coraz bardziej intrygująca.

Ruchem tak szybkim, że oko nie mogło nadążyć, dłoń Trillota wystrzeliła, chwyciła jednego z wiatrowęży tuż za głowę i uderzyła jego ciałem o stół. W sekundę później zrobił to samo, tylko jeszcze szybciej, z drugim wężem.

- Wezwij Janu - rzekł. Robot wybiegł i w chwilę później do gabinetu wtoczyła się ogromna, brunatna istota z obwisłym podgardlem, rogowym grzebieniem na czaszce i ciężkimi fałdami skóry spływającymi aż na podłogę.

- Tak, proszę pana?

- Woda, sól i dwa soczyste wiatrowęże. Co mógłbyś z tego przyrządzić?

Janu przekrzywił głowę na bok, jakby brał miarę. Wziął bezwładne ciała i przybliżył do płaskich, wilgotnych nozdrzy. Nagle grube wargi rozciągnęły mu się w uśmiechu.

-Ach! Zapiekanka glymphijska! Wiatrowęże pochodzą z Ploo Dwa, a Glymphidzi znani są z różnych doskonałych dań. Mogę do tego skombinować grzyby fantazi...

-Nie! -przerwał Trillot nieco drżącym głosem. Fizzik zmrużył oczy. Zmiana głosu zdradziła go po raz kolejny; jego brat znajdował się już w bardzo zaawansowanym stadium przejścia w kierunku przeciwnej płci. Wkrótce jego oczy zmienią się z rdzawoczerwonych w szmaragdowe. - Będę dziś potrzebował całego mojego rozumu.

Mówiąc to, spojrzął na Ventress, która trwała w bezruchu; przycupnęła na piętach z absolutnie prostymi plecami, nieruchoma jak posąg. I znów Fizzik stwierdził, że po raz pierwszy słyszy, aby jego brat dyskutował o swoich prywatnych obyczajach z kimkolwiek z zewnątrz. Czy w ogóle z kimkolwiek, skoro już o tym mowa. Poczuł, że ogarnia go wręcz perwersyjna fascynacja.

- Doskonale - rzekł Janu. - Wobec tego wezmę... zioło banthy.

- To powinno wystarczyć. - Trillot machnął dłonią w kierunku tacy. Ogromny Janu porwał ją i wyniósł z pokoju.

- Dziękuję ci za dary - rzekł Trillot. - Zapewniam, że będę się rozkoszował ich smakiem.

Ventress skłoniła głowę ze skromnością tak fałszywą, że nikt by się na to nie nabrał.

- To drobny dar od hrabiego Dooku - wyjaśniła. - Prawdziwy przysmak. Pamiętaj: Yanthanie, którzy usuwają worki jadowe, popełniają błąd. - Uśmiechnęła się. - Nawet jeśli... to dobra śmierć.

Fizzik nie był pewien, czy chce się dowiedzieć, co istota taka jak Ventress uważa za „dobre”. Trudno było stwierdzić, kiedy mówi poważnie, a kiedy się bawi torturowaniem swojego gospodarza.

Tak czy owak, wyniki były fascynujące.

- Mam nadzieję, że miała pani dobrą podróż? - zapytał Trillot.

Jej wyraz twarzy nie uległ zmianie.

- To nieważne. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie wita mnie Pięć Rodów. A przynajmniej dlaczego nie zaprowadzono mnie natychmiast przed ich oblicze.

- Mamy w stolicy nowego gościa - wyjaśnił Trillot, próbując ją ułagodzić. - Dopóki nie dowiemy się, czego naprawdę chce, uznałem, że należy zachować maksymalną dyskrecję.

Spojrzała na niego, a choć nie powiedziała ani słowa, Fizzik miał wrażenie, że potrafi odczytać jej myśli: „Nędzne tchórze”.

Obserwował też ogromnych ochroniarzy Trillota, którzy widzieli wielki szacunek, z jakim ich szef traktował gościa. W okolicy gniazda Trillota kręciło się z tuzin młodych samców X'Tingów, zbirów gotowych na łatwy zarobek, szukających silnego mecenasa. Niekoniecznie złych, może raczej zagubionych w snach o minionej wspaniałości. Nie wiadomo było, jak mogą zareagować. Może okażą typowe zachowania roju i po prostu pójdą za nim. Mniej lojalni mogą uznać to za okazję do zmycia się i dołączenia do silniejszej opcji. Ale pojawił się jeszcze jeden rodzaj reakcji. Fizzik zobaczył to w przymglonych oczach jednego z mniej ważnych ochroniarzy, członka klanu zabójców X'Ting. Nazywał się Remlout.

- Wybacz mi - odezwał się Remlout do kobiety wysokim, skrzypiącym głosem, jakim mówił zawsze, gdy używał basica. - Słyszałem opowieść o tobie.

Wstała i zwróciła się ku niemu. Kąciki jej ust uniosły się znowu, jakby wiedziała, co za chwilę usłyszy i była z tego zadowolona.

- Z całym szacunkiem - wysyczał Remlout - ale słyszałem, że nigdy, przenigdy nie omijasz wyzwania. Czy to prawda?

Popatrzyła na jego ramiona, dłonie, zajrzała w oczy.

- Byłeś na Xagobah - stwierdziła. - Aby poznać Tal-Gun.

- Tak - odparł, lekko zażenowany. Niewielu X'Tingów wystawiało nos poza planetę.

Asajj Ventress uśmiechnęła się.

- Szyję masz bladą; palące ślady ich niebieskiego słońca zdążyły już zblednąć. Długo nie miałeś kontaktu z nauczycielami.

Skinął głową, otwierając usta ze zdumienia.

- Hrabia Dooku powiedział, że jeśli mam czynić postępy w tej sztuce, muszę odpowiedzieć na każde wyzwanie. - Leniwie przechyliła głowę i spojrzała na Trillota.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Czy to byłoby niewłaściwe? - zapytała.

Trillot spoglądał to na nią, to na Remlouta. Fizzik wiedział, że jego brat myśli gorączkowo. Nie podobała mu się ta kobieta, ale z jakiegoś niejasnego powodu zmuszony był ulegać jej fanaberiom. Fizzik był świadkiem pokazu umiejętności Remlouta, ale nie wiedział, czy one wystarczą, aby pokonać Ventress, a nie chciał stracić ochroniarza.

Z drugiej strony...

Wyzwanie napełniło powietrze elektrycznością.

Trillot odchylił się w tył, krzywiąc się, kiedy spróbował wygodniej ułożyć worek jajowy. Król gangu - jeszcze nie królowa - złączył ze sobą końce palców.

- Jeśli obaj uczestnicy są chętni, nie zamierzam się sprzeciwiać.

Ventress skinęła głową i odwróciła się, by stanąć przed Remloutem. Zrobiła to tak gładko, jakby miała w stopach łożyska kulkowe. Jej palce wygięły się jak szpony.

- Komandor Ventress - dodał szybko Trillot - bardzo proszę... tak trudno o dobrych ochroniarzy.

- Nie zabiję go - obiecała, a przeciwnikowi rzuciła tylko: - Jestem do dyspozycji.

Remlout skłonił się. Jego szcążkowe skrzydła zatrzepotały ostrzegawczo, gdy rozłożył pierwsze i drugie ramiona. Stworzenia, które służyły Trillotowi i jego fanaberiom, rozstąpiły się pod ściany.

Teraz oboje znaleźli się pośrodku pustej przestrzeni. Remlout krążył po łuku wokół Ventress.

Nagle wywinął kozła i balansując na pierwszej parze rąk, zwracał stopy w stronę Ventress, jakby to były detektory. Pierwsze dłonie miał szerokie i mocne i Fizzik wiedział, że Remlout może tak stać godzinami.

Fizzik widział już wcześniej takie numery: Remlout rzucał podobne wyzwanie każdemu wojownikowi, który hołdował tej samej etyce lub choćby lekko uraził jego pana Trillota. Sam fakt, że teraz zrobił to tak szybko, był zastanawiający, ale Fizzik przypuszczał, że kryje się za tym jeszcze inny, głębszy sens. Widział już próby przeniknięcia przez obronę Remlouta. Przeciwnik lądował na ścianie odrzucony tak zwinnie, jakby stopy Remlouta były ramionami.

Większość traciła ducha na sam widok.

Ventress jednak była zbudowana z innej materii. Kołysała się w przód i w tył, przez jej ciało przebiegały fale, jak przez morski wodorost. Dziwne - z całą pewnością była kobietą, a jednak poruszała się jak samiec X'Ting.

Remlout zaatakował - lewa-prawa-lewa. Stopy śmignęły w zapierającej dech kombinacji trzech uderzeń. Ventress nawet nie przesunęła nóg, a jednak jakimś sposobem uniknęła potrójnego zagrożenia. Fizzik w myśli powtórzył sobie sekwencję: Ventress odchyliła się tak, jakby nie miała kości, usunęła się całkiem bez napięcia; wystarczył centymetr w bok, albo nawet mniej, żeby zejść z drogi kolejnym kopnięciem. Wydawało się, że ma do dyspozycji niczym nieograniczony czas.

Nagle coś się wydarzyło, choć trudno było to uchwycić poprzez migające w powietrzu członki. Fizzik nie wiedział, jakim cudem, ale Remlout znalazł się na ziemi, wijąc się z bólu. Twarz czerwieniała mu coraz bardziej; przewrócił się na bok i z trudem sięgnął do pancerza.

Wtem zadygotał konwulsyjnie, mięśnie pleców zeszywniały, twarz stała się nieruchoma, zniekształcona napięciem. W pewnej chwili zawył, jakby doznał najpotworniejszego, najbardziej obezwładniającego bólu w historii świata. Całe jego ciało wygięło się w łuk, a potem napięte do granic możliwości mięśnie z ostrym trzaskiem rozsadziły pancerz. Opadł bezwładnie, tocząc z ust

ślinę i znieruchomiał, bezwiednie kręcąc głową.

Robot medyczny podtoczył się do niego, dokonał szybkiej analizy i złożył raport Trillotowi.

Trillot spojrział na Ventress nagle pociemniałymi oczami. Fizzik wiedział, że jego pracodawca chciałby jej przypomnieć o obietnicy, ale nie ma odwagi.

Ventress chyba odczytała myśli Trillota.

- On żyje - oznajmiła rzeczowo.

- To dobrze - odparł Trillot. - I za to jestem wdzięczny.

Skloniła się z wdziękiem, czekając, aż podwładni Trillota wyniosą bezwładne ciało. Remlout za każdym silniejszym wstrząsem wydawał z siebie rozpaczliwy krzyk. Ci, którzy go nieśli, chyba nie byli tak delikatni, jak powinni; Fizzik przypuszczał, że zła sława Remlouta jako zabijaki tym razem zemściła się na nim.

Zauważył też, że choć nie padło ani jedno słowo, wszystkie istoty, które były świadkami wydarzenia, samą postawą wyrażały szacunek i czujność. Gdyby nawet Ventress sama to sobie wymyśliła, efekt nie mógł być bardziej spektakularny. Kobieta strzepnęła niewidzialny pyłek z nieskazitelnego płaszcza i znów stanęła przed Trillotem. Fizzik policzył uderzenia pulsu na jej szyi, wyraźnie widoczne, ale niespieszne. Węzeł mięśni u nasady jednego z tatuaży również drgał lekko w tym samym powolnym rytmie.

Trillot wyraźnie chciał jak najszybciej zmienić temat.

- Pojawił się jeszcze jeden aspekt sprawy - rzekł.

- Tak? - Ventress stanęła nieruchomo. Gwałtowna bójka sprzed chwili mogła nie mieć wielkiego znaczenia, ale w imię wszystkich galaktyk, co ona zrobiła biednemu Remloutowi? I czy on, Fizzik, zbierze się na odwagę, żeby ją o to zapytać?

- Tak - odparł Trillot. - W tej chwili pewien Jedi prowadzi negocjacje z naszą regentką.

To wreszcie zwróciło uwagę gościa.

- Jak się nazywa?

- Obi-Wan Kenobi.

Po raz pierwszy od pojawienia się w gabinecie Ventress stanęła jak wryta.

- Obi-Wan? - Jej niebieskie oczy załśniły. I znów Fizzik poczuł, że dużo by dał za wyjaśnienie powodu tego błysku. - Znam go. Trzeba go zabić.

- Daj spokój - szepnął Trillot. - Trzeba załatwić interesy. Może nie być czasu...

Ventress rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Nie przypominam sobie, żebym cię prosiła o radę. - Przymknęła powieki i trwała tak nieruchomo, niczym oko cyklonu. Znów spojrzała na niego. - Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Obi-Wan i ja jesteśmy tutaj w tej samej sprawie. - Przesunęła różowym koniuszkiem języka po wargach. - Chyba go jednak zabiję.

Fasetkowe oczy Trillota napotkały jej wzrok, ale zaraz uciekły w bok.

- Sprowadziłem cię tutaj, bo myślałem, że Jedi są górą. A to wymaga specjalnych przygotowań przed spotkaniem...

Głowa Ventress lekko przechyliła się na bok. Jej głos brzmiał jak syk węża.

- Nie. Obi-Wan będzie próbował przekonać Rody. Może już ma wśród nich swojego szpiega. Nie. Kto wie, że jestem tutaj?

- Rody wiedzą, że hrabia Dooku przysłał przedstawiciela - odrzekł Trillot. - Ale nie wiedzą, kogo i kiedy.

- Znakomicie - powiedziała. - Niech tak zostanie. Najpierw zniszczę Kenobiego, a potem pogadam o interesach z waszymi Pięcioma Rodami.

Po niedawnym wybuchu Ventress stała się teraz niezwykle spokojna; działała jak czarna dziura, wysysająca ciepło i światło z pomieszczenia. Była niebezpieczna jak żmija piaskowa. Nigdy nie widział takiej kobiety.

- Tak, oczywiście. - A co innego miał powiedzieć Trillot?

Fizzik zaczął się zastanawiać. Z pewnością odsłuży resztę kontraktu, ale kiedy już to załatwi... ciekaw był, czy ta Ventress nie potrzebuje przypadkiem asystenta...

Protokół. Kanclerz Palpatine często mawiał, że protokół jest smarem, dzięki któremu kręcą się koła dyplomacji.

Po wymianie uprzejmości przeszli do biura Duris na bardziej prywatne rozmowy. Regentce towarzyszyło trzech doradców, a choć powstrzymywali się oni od zbyt częstych wtrętów, Obi-Wan wiedział, że są mocno zaangażowani w proces negocjacji.

Mecenas Snoil dyskutował jeden z punktów, gdy Shar Shar, Zeetsa, potoczyła się do przodu. Duris schyliła się, aby asystentka mogła swobodnie sięgnąć do jej ucha. Słuchała przez chwilę uważnie, po czym przejrzała kilka holodokumentów, które wyświetlono na ekranie przed nimi.

Popatrzyła na nich i uśmiechnęła się.

- Mecenasie Snoil - zagadnęła - czy zna pan sprawę Gadona Trzy?

Szypułki oczne Snoila wsunęły się teleskopowo, po czym wróciły do poprzedniego położenia.

- Tak - zaskrzeczał. - Ale tu są co najmniej cztery sprawy, które można pod to podciągnąć. Proszę o więcej szczegółów.

Duris wydawała się zadowolona z erudycji Snoila i podniosła palec, wskazując na obraz, który z ich perspektywy wydawał się cieniem jakiejś postaci.

- Chodzi o wyłom dokonany przez górników Kifu.

- Ach, tak! - Mecenas zebrał się w sobie. - Około pięćdziesięciu standardowych lat temu górnicy zaczęli wyprzedawać wysokoenergetyczne rudy na otwartym rynku. Część tej rudy trafiła do kolonii pozostającej w sojuszu z wrogami reżimu Gadona. Gadonianie zjawili się w Senacie Republiki w celu uzyskania wyroku. Uznano, że intencja samej sprzedaży była właściwa, a ostateczne przeznaczenie rudy nie leżało w zakresie odpowiedzialności górników.

Obi-Wan na chwilę przymknął oczy. To była fatalna decyzja. Republika nie ukarała górników, ponieważ podobna sytuacja miała miejsce w niestowarzyszonej gromadzie planet, które kanclerz miał nadzieję skłonić do zaopatrywania Republiki w ważne surowce. Łaskawy wyrok mógł w tym wypadku zaowocować przyjaźnią w innym miejscu galaktyki.

Błyskotliwa polityka, ale teraz wróciła rykoszetem. Obi-Wan czuł, że dawno zapomniany ból głowy zaczyna powracać.

Kiedy wycofywał się w głąb swojego umysłu, Duris i Snoil nadal dyskutowali. Wiedział, że to

początek, ale i tak dyskusja przekraczała zdolności pojmowania Kenobiego. Mówili o jakichś niejasnych traktatach, podatkach, przepisach i zasadach.

Niech kosmos pochłonie te prawne zakrętasz! Trzeba to zakończyć!

Obi-Wan odczekał, aż rozmowa tych dwojga nabierze rozpędu, po czym podniósł rękę, żeby zabrać głos.

- Proszę wybaczyć, regentko Duris. - Był już spokojniejszy. Czy ona naprawdę jest taka tępa? - Wyobraża pani sobie, że Republika pozwoli spokojnie na produkcję tych zabójczych maszyn na Cestusie? - Obi-Wan sam był zaskoczony, jak ostro zabrzmiał jego głos. - Jest tylko jeden sposób, aby zakończyć tę sprawę.

W jednej chwili zerwał oficjalne, uprzejme i pożyteczne rozmowy. Niech to szlag! Obi-Wan nie był politykiem. Widział tylko śmierć i zniszczenie, jakie staną się udziałem tej planety, jeśli nie zdoła ich zmusić, aby wyrzeli spoza tych swoich kontraktów.

- A co to za sposób? - lodowatym tonem zapytała Duris. Wyprostowała segmentowane ciało i wyprężyła ramiona. Pod pozornym spokojem kipiała gniewem. Ale Obi-Wan czuł tu coś jeszcze. Strach?

Opanował drżenie głosu i odpowiedział:

- Roboty ZJ nie mogą się znaleźć na planetach poza Republiką. Może nawet żadne z robotów, które opuszczają wasze warsztaty.

- Czy pan nas próbuje zastraszyć? Republika nie jest w stanie wykpić naszych produktów i już teraz zalega z płatnościami. Nałożyliście restrykcje na kryształy Gabonna. Dziesiątki tysięcy straciły pracę, Mistrzu Jedi. Nasza gospodarka omal nie upadła. Na całej planecie ^buchwały zamieszki, brakowało żywności i wody. - Pochyliła się naprzód. - Tysiące poniosły śmierć. A teraz każe nam pan przestać robić interesy z planetami, które oferują solidne kredyty. Czy kanclerz zapłaci nam tyle samo? Z góry?

Cóż, Palpatine nigdy by tego nie zrobił. To by zostało zinterpretowane - zresztą słusznie - jako szantaż.

- Nie jestem tutaj po to, by grozić - odparł Obi-Wan. - Jedynie po to, aby działać jako linia komunikacyjna pomiędzy Republiką a ludźmi dobrej woli na Cestusie. Wiemy, że wszyscy walczyacie o dobro swojego ludu.

- Całej ludności Cestusa - odparła. - Nie tylko X'Tingów. Nie tylko rady roju. Jestem odpowiedzialna za każdą żywą istotą na planecie.

To bardzo szlachetne podejście... jeśli to prawda, pomyślał Obi-Wan.

- My za to walczymy o los całej galaktyki. Może pani być pewna jednego: nie pozwolimy, aby wasze maszyny zabijały naszych żołnierzy. Czy to spowoduje zniszczenie waszej cywilizacji, czy nie, to już

zależy od pani.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała zupełna cisza. Duris i Obi-Wan spoglądali na siebie w napięciu, tocząc wojnę charakterów.

Wreszcie Duris powoli skinęła głową.

- Zanim nas zniszczycie - rzekła - może powinien pan wiedzieć, czemu chcecie położyć kres.

Jej głos załamał się lekko. Tylko wiele pokoleń starannego wychowania i wewnętrzna siła sprawiły, że się opanowała. Żadne emocje, żaden strach nie obezwładni jej zupełnie.

- Dzisiaj wieczorem odbędzie się bal roju na waszą cześć. Byłabym szczęśliwa, gdybyście zechcieli wziąć w nim udział. Może pewne sprawy lepiej będzie omówić na mniej formalnym gruncie.

Obi-Wan odetchnął głęboko. Nie lubił takich formalnych okazji, ale protokół obowiązywał.

- Jestem wdzięczny za zaproszenie - rzekł. - Mam nadzieję, że Wasza Wysokość nie zinterpretuje moich słów jako braku szacunku dla pani lub jej ludu.

- Oboje mamy zadanie do wykonania - odparła i znów odniósł to dziwne wrażenie, że jej słowa mają jeszcze jakiś inny, ukryty sens. Ale to nie znaczy, że nie możemy być wobec siebie uprzejmi.

- W istocie - odparł z ukłonem.

Galowa szata Obi-Wana wyglądała identycznie jak codzienny strój - spływała z ramion na podłogę fałdami w kolorze sjeny, lecz utkana była z jedwabiu demikota. Robot astromechaniczny wypucował jego buty na wysoki połysk i wyczyścił zapasową tunikę.

Płaska skorupa Snoila lśniła, a fałdy skóry, starannie oskrobane ze śluzu, zostały wypolerowane na połysk nie ustępujący butom Obi-Wana. Wkrótce przyniesiono im dwa płaskie pudełka. W każdym znajdowała się elastyczna maska. Skośne oczy, wypukłe łuki nad oczami, płaskie, szerokie usta były karykaturą fizjonomii X'Tingów. Kiedy Obi-Wan włożył swoją i spojrzał w lustro, efekt był porażający.

- A cóż to takiego?

Snoil blokował już wyjście, kiedy Obi-Wan kończył przygotowania. Twarz głowonoga wykrzywił radosny uśmiech.

- Mistrzu Jedi - rzekł Vippit - wyglądasz oszałamiająco. I - A ty lśniesz jak gwiazda - odparował Obi-Wan. - A teraz, mecenasie Snoil, musimy się dobrze zastanowić, co tu się właściwie dzieje. I Snoil uniósł pulchne dłonie.

- Mistrzu Jedi, wiem, że wydaję się niezgrabny, a czasem wręcz niezdarny, ale bywałem już na takich misjach nie raz i nie dwa. Ten bal nie jest wydarzeniem towarzyskim, lecz posunięciem taktycznym.

· Obi-Wan odetchnął z ulgą. Jego towarzysz doskonale znał się na takich grach. Może nawet lepiej od niego. Możliwe, że tym razem to Snoil zamierza działać, za co byłby mu ogromnie wdzięczny.

- To bal roju - zauważył Snoil, oglądając maskę. - Może i rój ma niewielkie znaczenie, ale pozaświatowcy lubią chyba sądzić, że jest inaczej.

- Pewnie masz rację - odparł Obi-Wan, pomagając Snoilowi włożyć maskę. Zgiął ramię, a Snoil delikatnie wsparł na nim drobną, ale silną dłoń. Ręka Snoila była przyjemnie gładka i chłodna, wilgotna, ale nie lepka. - Dołączymy do ogólnej zabawy?

Muzyka otuliła ich jedwabistym płaszczem, zanim jeszcze Obi-Wan i Doolb Snoil wysiedli z wahadłowego pojazdu. Na miejscu było już kilkuset gości. Większość obwieszonych klejnotami obecnych była ludźmi lub humanoidami, z niewielką domieszką innych gatunków rozumnych. Wielu przybyło parami lub trójkami, choć co najmniej jedna gromada klanowa właśnie obsiadła przystawkę. Roboty pokojowe podawały drinki i przekąski w niesamowitym tempie. Tylko kilkoro obecnych było rzeczywiście X'Tingami, choć, jak zauważył Obi-Wan, większość nosiła maski X'Tingów. Obyczaj, tradycja czy głupi żart? Nie był zupełnie pewien.

Zamaskowani i okryci kostiumami goście rozstąpili się, przepuszczając Obi-Wana i Snoila. Z grzecznymi ukłonami i uprzejmymi minami pozwolili im przejść, przezornie zachowując szeptane spekulacje do momentu, aż dziwna para znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

Na spotkaniu pojawiła się cała śmietanka towarzyska Cestusa. Była to doprawdy elita. Wielogatunkowa orkiestra grała na różnych instrumentach strunowych i dętych, nie licząc przynajmniej jednego syntezatora. Muzyka przypominała hymn miłosny klanów Tkaczy z Alderaana - wesoła melodyjka, wymagająca całkiem niezłej pracy nóg.

Po wejściu prawie natychmiast zlokalizowali G'Mai Duris, uczestniczącą w rytmicznym x'tingiańskim tańcu przypominającym nieco alderański Krąg. Pary i trójki wykonujące precyzyjne figury zatrzymały się. Muzyka przestała grać. Teraz zamaskowani goście powitali przybyszów brawami.

Gdyby rzeczywiście wszystko, co się tu dzieje, miało podwójne znaczenie, to dlaczego przyjęto ich w tak uroczysty sposób? Obi-Wanowi przychodziła do głowy tylko jedna myśl: tubylcy mieli nadzieję, że taki pokaz kultury wywrze odpowiednie wrażenie na wędrowcu, który poznał już całą galaktykę, i udowodni jasno, iż nawet tu, na Rubieżach, istnieje cywilizacja warta kultywowania.

Te uśmiechy, te ukłony... były szczere i pełne nadziei. Cestianie pragnęli, aby Jedi zrozumiał, jak subtelna i czarująca jest kultura, którą stworzyli przez te lata. Poczul, że serce wyrывa mu się do nich. Gdyby lepiej zrozumiał ich naturę, łatwiej byłoby mu podejmować wiążące decyzje albo ustalać właściwą taktykę.

Miał na to nadzieję.

Pełen mieszanych uczuć wyszedł na spotkanie Duris, która pojawiła się z maską przy twarzy, i ujął ją pod ramię ze szczerą radością.

- Mistrzu Jedi - powiedziała - co za radość, że poświęciłeś czas, aby dołączyć do naszej małej uroczystości.

- Nie można przebyć połowy galaktyki - odparł dwornie - i nie skorzystać ze słynnej gościnności Cestusa.

Duris wydawała się emanować wewnętrznym światłem. Niezwykła inteligencja i energia promieniowała z jej pokażnej sylwetki. Była najbardziej żywym i barwnym X'Tingiem, jakiego Obi-Wan spotkał na swej drodze.

Za jej plecami zebrał się niewielki tłumek dygnitarzy - wszyscy w maskach, ale niektórzy również w kostiumach, które szczelnie okrywały ich sylwetki, dzięki czemu byli właściwie nierozpoznawalni.

- G'Mai - poprosiła jedna z kobiet - przedstaw nas swoim gościom. , - Ależ bardzo chętnie - odparła Duris. - Rycerzu Jedi Obi-Wanie Kenobi i mecenasie Doolbie Snoilu z Coruscant, przedstawiam wam głowy Pięciu Rodów. - Pierwszy skłonił się szczupły, niski mężczyzna. - To Debbikin od badań. - Połowiczna maska X'Tinga na dumnej twarzy kobiety, która podeszła po nim, nie ukrywała starannego makijażu i tatuaży wokół ust. - Lady Por'Ten, energetyka. - Następny mężczyzna był

wysoki i szeroki w ramionach, tak blade, jakby nigdy nie oglądał słońca. - Kefka od spraw produkcji - przedstawiła go Duris. Kefka prawdopodobnie był człowiekiem, może z niewielką domieszką Kiffara w kodzie genetycznym. Teraz pojawił się mężczyzna o błękitnej skórze Wroonianina. - Llitishi od sprzedaży i marketingu - oznajmiła Duris. Kolejny w szeregu był smukły X'Ting, jeden z pięciu czy sześciu w całej sali balowej. - A to mój kuzyn Caiza Quill, odpowiedzialny za górnictwo.

) Caiza Quill był wyższy od Duris, prawie wzrostu Obi-Wana. Wyciągnął prawą dłoń pierwszej pary rąk w geście szacunku. Miał złociste, szczupłe ciało owada i ogromne, fasetkowe, czerwone oczy.

i Każdy z nich kłaniał się po kolei. Rozpoczęli niewinną, towarzyską rozmowę. Wszyscy wyrazili swoją gotowość do rozpoczęcia negocjacji nazajutrz i wycofali się, aby Jedi i mecenas Snoil mogli zacząć się bawić.

Duris zaprowadziła ich na parkiet taneczny.

- Umie pan tańczyć? - spytała Obi-Wana.

- Bardziej w teorii niż w praktyce - wyznał grzecznie, przez moment marząc, aby na imprezie pojawiła się banda płatnych morderców i pozwoliła mu wybrnąć z honorem z niezręcznej sytuacji.

Miał już grzecznie się wymówić, kiedy odniósł dziwne wrażenie jakby elektroda spawalnicza przesunęła mu się po plecach. Zorientował się, że w tym pomieszczeniu jest ktoś niebezpieczny. Rozejrzał się na lewo i prawo, ale widział jedynie tancerzy. Wreszcie mignęła mu postać gdzieś w najdalszym kącie pokoju. Smukła sylwetka w kostiumie. Mężczyzna? Kobieta? Nie był pewien, nie wiedział nawet, skąd ten sygnał alarmowy. Nie widać było żadnego rzeczywistego zagrożenia, ale wolał się upewnić. Duris stała przed nim, cierpliwie czekając, aż odpowie na zadane przez nią pytanie.

Obi-Wan zmusił się do uśmiechu.

- Poeksperymentujemy?

Zaśmiała się gardłowo i -jak mu się zdawało - z prawdziwą radością. Obejrzał się ostrożnie. Mecenas Snoil był otoczony przez trzy zamaskowane postacie, jedną kobietę, Cortheniankę i samicę Wookie. Wszystkie trzy zajmowały go ożywioną konwersacją. To dobrze. Niewielka ruchliwość Snoila była doskonałą wymówką przed tańcem, ale przynajmniej miał miłe towarzystwo.

Tak myśląc, Obi-Wan wyciągnął lewą rękę, a Duris położyła pierwszą i drugą prawą dłoń na jego ramieniu. Dołączył do szeregu naprzeciwko partnerki. A potem rozpostarł delikatne macki Mocy.

Zespół przygrywał skoczną cestiańską wersję alderańskiego Kręgu Tkaczy. Był to szczególnie wariant tego tańca - choć oryginał był dość uniwersalny, oni stworzyli własną interpretację i Obi-Wan wiedział, że goście będą go obserwować, oceniając, czy zdoła się do niej dostosować. Dzięki temu dowiedzą się, czy pochodzi z tej samej klasy społecznej co oni, i spróbują zgadnąć, jakich reakcji mogą spodziewać się od niego w przyszłości.

Obi-Wan miał dwa cele - możliwie najszybciej opanować figury tańca i odnaleźć tajemniczą postać,

żeby się dowiedzieć, dlaczego wszystkie jego zmysły krzyczą: „Uwaga! Coś tu nie gra!”

Jest. W białej szacie, czyżby umyślnie ukrywała swoją płęć? Wśliznęła się pomiędzy dwóch ludzi i tubylczego cestiańskiego służącego. Człowiek? Nie. Zbyt płynne ma ruchy...

Duris delikatnie ścisnęła go za ramię.

- Mistrzu Jedi! Nie miałam pojęcia, że jesteś równie doskonałym bon vivantem, jak wojownikiem i dyplomata. Tańczysz wspaniale!

Zachichotał. Przez całe stulecia taniec stosowany był w Świątyni Jedi jako metoda ułatwiająca przyswojenie rytmu i synchronizację ruchów. Na każdym świecie galaktyki, gdzie trafiali się tańczący mężczyźni lub dominujące kobiety, często było to towarzyską przykrywką dla sztuki walki. Obi-Wan znał gesty i kroki co najmniej tuzina pięknych i dumnych tradycyjnych tańców.

- Ja tylko naśladowuję pani ruchy - rzekł z uśmiechem, koncentrując wzrok ponad jej ramieniem w poszukiwaniu tamtej postaci.

Znikła!

Pokój wirował, Obi-Wan płynął wraz z nim, a jego refleks i koordynacja ruchów, wynikająca z treningu Jedi, ściągała pełne podziwu spojrzenia.

Przypomniał sobie dzieciństwo w Świątyni Jedi. Mistrz Yoda wymyślał mnóstwo interesujących sposobów przekazywania istotnych informacji. Pamiętał, jak obserwował wielkiego Jedi stawiającego taneczne kroki, by namówić młodych studentów do przeistoczenia się w „kompletnych” artystów gestu. Wojownik, który nie umie tańczyć? Niezdarny walce i w pokoju jest!

Z tego wynika, że ambasador, który nie potrafi przebrnąć przez alderaański Krąg, jest doprawdy kiepskim ambasadorem!

Wokół nie zauważał nic podejrzanego; nawet uczucie zagrożenia znikło, jakby go nigdy nie było.

- Wszyscy cię obserwują, mistrzu - szepnęła Duris, podchodząc bliżej. - Większość nigdy nie widziała prawdziwego Jedi.

Obi-Wan zachichotał w duchu i cofnął się, gdy muzyka zmieniła rytm. Okręcił się i przeszedł do kolejnej damy w szeregu. Taniec zaczął się znowu.

Wycofał się z parkietu przy pierwszej okazji i pod pretekstem poszukiwania tacy z napojami rozejrzał się po całym pomieszczeniu od stalaktytów po stalagmity.

Ani śladu.

Jakby nikogo takiego nigdy tu nie było.

Asajj Ventress pobiegła tunelem w stronę swojego śmigacza, zdejmując po drodze maskę X'Tinga.

Fizzik czekał na nią na siedzeniu szofera; żaden z gości spacerujących poza salą balową nie zwracał na nich uwagi.

- Widziała go pani? - zapytał Fizzik.

Zaśmiała się bez wesołości.

- Oczywiście - odparła - Prawie mnie wyczuł.

Przez kilka miesięcy hrabia Dooku uczył ją medytacji Quay'Tek. Dobrze było teraz sprawdzić wyniki. Uśmiech Ventress był złowieszczo nieruchomy, niczym machinalne szczyrzenie się krakena.

- Obi-Wan Kenobi - mruknęła, usiadła w fotelu pasażera i przymknęła powieki. - Ta gra należy do mnie.

- Czy to nie było zbyt ryzykowne? - zapytał Fizzik.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, jakby się zastanawiając, czy sprawi jej przyjemność zabicie go tu i teraz.

- Życie to ryzyko - odparła i obejrzała się na mijane budynki. Może również śmierć.

Fizzik wolał się więcej nie odzywać.

Ventress przymknęła oczy i zaczęła planować.

Jedi. Zabiła już wielu Jedi, a jednak nie darzyła ich nienawiścią. Nienawidziła raczej tego, że zabili swoją ścieżkę, zapomnieli o prawdziwym celu, dla jakiego sana tym świecie, że stali się pionkami dekadentckiej, skorumpowanej Republiki.

Większość Jedi została wykryta we wczesnym dzieciństwie i wychowywana w Świątyni Jedi, lecz Asajj Ventress odkrył Mistrz Ky Narec na odległej planecie Rattatak. Osierocone dziecko głodujące w ruinach rozdartego przez wojnę miasta, Ventress poszłaby za każdym, kto ofiarowywał jej jakąkolwiek nadzieję, a w ciągu kilku kolejnych lat nauczyła się czcić i wielbić wspaniałego Nareca jak ojca. Zaopiekował się on dzieckiem Mocy, odkrył ją, rozwinął jej potencjał. Wtedy wyobrażała sobie, że pewnego dnia pojedzie na Coruscant, by stanąć przed Radą i stać się częścią dawnego Zakonu.

A potem jej mistrz został zamordowany. Rada Jedi, która opuściła Ky Nareca i zostawiła go na pastwę losu, stała się teraz obiektem jej niepohamowanej, ślepej nienawiści. Zzerana żądzą zemsty poczuła w sobie niszczycielską siłę, o jakiej jej mistrz Jedi nigdy nie śnił.

Hrabia Dooku trafił na nią na Zewnętrznych Rubieżach. Zaatakowała go, została pokonana i rozbrojona, lecz Dooku, zamiast ją zabić, uczynił z Asajj swoją współpracowniczkę, dokończył jej szkolenia i ustawił na właściwej drodze. Właśnie Dooku zawdzięczała swoje istnienie. Skorumpowanym, bezlitosnym Jedi nie była winna nic, prócz śmierci.

Tak, często ścierała się z Jedi. Wielu zabiła. Stała przed mistrzem Windu i mało brakowało, żeby go wykończyła. Starła się ze Skywalkerem w pojedynkach, które oboje zapamiętają do śmierci. Obi-Wan dwukrotnie wymknął jej się z rąk, ale po raz trzeci mu się to nie uda.

Tym razem poprzysięgła na swoją lojalność wobec Dooku. Na śmierć mistrza Ky Nareca.

Obiecała to samej sobie dla czystej przyjemności.

Zmrużone powieki Asajj Ventress zatrzepotały, a jej różowe usta wygięły się w uśmiechu.

Jedi i jego towarzysz Vippit wrócili już do wspólnej kwatery, lecz G'Mai Duris wciąż przyjmowała gości, aż do chwili, gdy muzyka zwolniła rytm i światła zapłonęły jaśniej, obwieszczając koniec balu.

Stanąła u drzwi, żegnając gości, kiedy pojawili się Caiza Quill i jego partnerka Sabit. Kilka miesięcy temu to Quill był zielonooką samicą, a Sabit mężczyzną, lecz nawet wówczas Quill miał w sobie coś onieśmielającego. W najgorszych swoich chwilach budził większy szacunek niż Duris w najlepszych momentach. Teraz, w najbardziej agresywnym stadium rozwoju, jego męskie feromony były obezwładniające.

Pochylił się nad nią i poczuła jego intensywną woń.

- Nie myśl, że nie zauważyłem, jak próbujesz wychować sobie tego Jedi na naszego sprzymierzeńca - rzekł. - Nie myśl też, że zamierzam to tolerować. Pamiętaj, co się stało z Filianem.

Zesztywniała. Jak mogłaby zapomnieć? Nie minęło jeszcze pięć lat od czasu, kiedy Quill i jej partner Filian stoczyli oficjalny pojedynek. X'ting nazywali to „iść na piasek”. Tam, przed radą, zabójczo skuteczny Quill zabił jej miłość. Jeśli nawet dożyje tysiąca lat, nie zapomni tego widoku.

- Nie bądź słaba - rzekł. - Nie wahaj się, bo będziesz cierpieć.

I odszedł.

G'Mai Duris pożegnała pozostałych gości i wsiadła do wahadłowca, który zawiózł ją z powrotem do apartamentu. Kochała Filiana bezwarunkową miłością. Kiedy wspólnie unosili się na odwiecznej spirali tańca pierwiastków męskich i żeńskich, każda chwila i każdy podział ról były na swój sposób doskonałe.

Ale zginął, zanim rozpoczął się taniec płodności. Teraz - bezdzielna, samotna, z pustym workiem jajowym - zakłęsała się w ciemności, a łzy samotności i przerażenia zalewały jej fasetkowe oczy...

Nate przyglądał się, jak nowi rekruci ćwiczą na manewrach, notował, dokonywał poprawek w biegu z przeszkodami lub w strzelnicy. Forry podbiegł do niego lekkim truchtem, który normalny człowiek uznałby za męczący już po kilku minutach, żołnierz zaś mógł tak kłusować przez cały dzień.

- Szefie! - zawołał, salutując zgrabnie. - Przybywają kolejni rekruci.

-Ilu?

Forry uśmiechnął się z satysfakcją.

- Dwa tuziny, szefie!

Nate poczuł falę ciepła. Właśnie takich nowin się spodziewał.

- Chyba jeszcze zrobimy z nich wojsko - mruknął.

Był zadowolony z tego, co zobaczył. Właśnie odrobinę zwiększył tempo, kiedy nadeszła Sheeka.

- I co? - zapytała. - Co o tym sądzisz?

Z radością stwierdził, że potrafi domyślić się intuicyjnie, o co jej chodzi.

- Nie najgorzej. To chłopcy z farmy i górnicy dołowi, ale potrafią słuchać rozkazów.

- To twardzi ludzie - przypomniała Sheeka. - Wielu z nich uważa, że czas już na walkę.

- A ty?

- Ja tylko latam - odparła.

- Mogłabyś być niezła - odrzekł. - Silne nogi i plecy, dobry refleks. Może się zaciągniesz?

Zaśmiała się.

- Nie mam doświadczenia. A doświadczenie się liczy. - Spojrzała na niego. - Z drugiej strony... ty też nie zawsze byłeś takim steranym w bojach weteranem, co?

Nate pokręcił głową i z lekkim uśmiechem dodał:

- To prawda, ale nasze symulacje są... dość stymulujące. - Wzruszył ramionami na samo

wspomnienie Vondara Trzy.

- Jestem tego całkowicie pewna.

Obserwował, jak ramiona robota szkoleniowego wyginają się we wszystkich kierunkach, dając każdemu z rekrutów motywację, aby chciał być jeszcze lepszy.

- Są dość chętni... ale doświadczeni żołnierze czy roboty bojowe wciąż jeszcze mogłyby podać im ich własne głowy na tacy.

- Obserwowałam cię przy robocie - rzekła. - Myślę, że wasza czwórka jest odpowiednim facetem do tego zadania.

Przez moment sądził, że się przejęczyła i ma na myśli zupełnie co innego, ale nagle stwierdził, że utrzymanie powagi musi ją bardzo wiele kosztować.

Roześmiała się na głos.

Nate poczuł, że wargi go swędzą, kiedy zrozumiał żart; choć był jego kosztem, musiał go docenić.

- Masz rację - odrzekł.

Oddalił się do swoich podopiecznych, żeby osobiście urozmaicić im trening. Nie był nawet zdumiony, że instynktownie wyprostował ramiona, że poruszał się odrobinę szybciej, pokazując chwyt bojowy bez broni, że był bardziej czujny niż zwykle, bo wiedział, że Sheeka go obserwuje. A choć czuł się z tym absurdalnie, jednocześnie radowało go, że poświęca mu uwagę i że spotka ją, kiedy dzień ćwiczeń dobiegnie końca.

W Chikatlik operacje dyplomatyczne posuwały się żółwim krokiem lodowca. Snoil spędzał poranki i większość popołudni, ślęcząc nad kontraktami, aż wreszcie złożył szypułki z frustracji.

- Ach! - jęknął wreszcie. - Straciłem dziesięcioletni pierścień ze skorupy. Widziałeś coś takiego?

- Co? - zainteresował się Obi-Wan, który pracował nad ustanowieniem bezpiecznej łączności z Coruscant. Wymagało to połączenia się przez Xutoo na zadekowanym statku. Na razie jednak wydawało się, że wiatr słoneczny zniszczył połączenie.

- Mówię o tych drobnych pęknięciach i szczelinach w miejscu, gdzie tworzy się nowa chityna. - Snoil wciągnął długą szyję, żeby sobie pooglądać dekoracyjne zakrętasy i zwoje na skorupie. Miał rację. W miejscach, gdzie tworzyły się nowe segmenty, widać było sporo pęknięć.

- Tak, rzeczywiście, widzę - odparł z roztargnieniem Obi-Wan. A co to oznacza?

Szypułki oczne Snoila skrzyły się w rozpacz.

- Stres! Stres, mówię ci.

- No cóż, wolałbym nie dodawać ci zmartwień...

-Och , proszę...

Hololink oczyścił się nagle i w powietrzu przed nimi zawisła podobizna kanclerza Palpatine'a. Snoil ucichł natychmiast.

- Panie kanclerzu... - skłonił się Obi-Wan.

- Witaj przyjacielu Jedi. Jakie masz nowiny?

- Uważam, że regentka ma dobre chęci, ale obawia się o swoje życie, gdyby miała działać zgodnie ze swoim sumieniem.

- A jak sądzisz, co podyktuje jej sumienie?

- To, co najlepsze dla Cestusa: zawieszenie produkcji.

- Więc w czym problem?

- Sądzę, że prawdziwa władza należy do grupy zwanej Pięcioma Rodami, właścicieli Cestus

Cybernetics. A oni myślą tylko o zyskach.

- Możesz zatem przenieść rokowania na następny poziom. O ile wiem, podano ci niezawodne kontakty. Wykorzystałeś je już?

- Sądzę, że Mistrz Fisto użył jednego. Ja spotkam się z drugim dziś wieczorem.

- Życzę szczęścia, mistrzu Kenobi. Pamiętaj, jeśli mamy uniknąć katastrofy, trzeba się spieszyć.

- Tak jest, kanclerzu - odparł Obi-Wan, lecz zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, Palpatine przerwał połączenie.

Jedi westchnął i obejrzał się na Snoila.

- Mecenasiu - zagadnął - gdybyś miał listę poufnych dokumentów, do których zechciałbyś uzyskać dostęp... co położyłbyś na wierzchu?

- Och, ja nieszczęśliwy - jęknął Doolb. - Co mam powiedzieć?

- Prawdę.

Szypułki oczne zwinęły się i splotły ze sobą.

- Chyba poprosiłbym o oryginalne papiery spółki i dowody zakupu ziemi... i oczywiście same zlecenia pomiędzy Cestus Cybernetics i hrabią Dooku lub jego pośrednikami.

- Może być. - Jedi klepnął Snoila po skorupie. - Gdyby ktoś pytał, wybrałem się na degustację kuchni lokalnej. Trzymaj się.

Z tymi słowami Obi-Wan opuścił apartament.

Zdołał wśliznąć się do pustego pokoju, a stamtąd wyszedł przez okno niemonitorowane przez siły bezpieczeństwa, które bez wątplenia obserwowały z daleka wszystkie jego poczynania.

Wspiął się na dach i zjechał zsuwnią serwisową na ulicę, lądując w alejce na lekko zgiętych kolanach, by zamortyzować wstrząs. Trzy kroki - i wmieszał się w tłum, który nawet nie zauważył jego obecności.

Obi-Wan słyszał, że są inne planety, które rozpoczęły swoją karierę jako więzienia, ale nigdy ich nie widział. Teraz był zachwycony otaczającą go atmosferą energii i żywotności. Gdzie tylko spojrzął, ulice wrzały ruchliwym tłumem pozaświatowców. Chociaż tylko niewielki procent przechodniów stanowili X'Tingowie, ulice i tak przypominały rój. Handel działał o każdej porze dnia i nocy, a każda istota, którą mijał, coś sprzedawała lub kupowała. Jeden na dziesięć sklepów był zamknięty, lecz pozostałe dziewięć kipiało aktywnością; przypominało to taniec na skraju przepaści. Ilu Cestian zdawało sobie sprawę, jaką grę rozgrywają ich władcy? Nawet bez tej wiedzy wszyscy tutaj wydawali się odrobinę zbyt czujni i zbyt radośni. To była nerwowość, a nie radość życia.

Wezwał jedną ze starszych i tańszych taksówek powietrznych, uznając że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, aby była ona śledzona. Zresztą nawet jeśli tak, to nie robił niczego nielegalnego, co mogłoby zaszkodzić misji. Holokarta kierowcy głosiła: GRITT CHIPPLE. Gritt był X'Tingiem, a czerwone futerko na korpusie wskazywało na pochodzenie z niższego klanu.

- Dokąd? - zapytał.

- Mrok Nocy - odparł Obi-Wan. Gritt Chipple skrzywił się. Widocznie znał to miejsce, ale uważał, wyprawa tam nie należy do przyjemności.

- Twarde kredyty - dodał Obi-Wan i dał małemu X'Tingowi kilka cestiańskich banknotów. Oczywiście kierowcy zapłonęły. Banknoty były planetarne, więc łatwiejsze do wymiany, nie tak jak związane z galaktyczną siecią kredytową banknoty Republiki. Nie do prześledzenia. Zachłanność pokonała lęk.

- Ta-jes - zawołał i ruszyli.

- Jesteś Jedi? - zapytał po chwili.

Obi-Wan skinął głową. Nie był w przebraniu, ale miał nadzieję, że nikt nie zauważy.

- Słyszałem o tobie. Chcesz ze mną wrócić z Mroku Nocy?

- Tak, to by się przydało.

Małuch wydał parsknięcie, które Obi-Wan odebrał jako oznakę radości.

- No to na ciebie zaczekam. Bądź ostrożny. Czasem pozaświatowcy nie są tu bezpieczni. - Jeszcze jedno parsknięcie.

Taksówka poruszała się wzdłuż jednej ściany wielkiej jaskini, ale wkrótce pograżyła się w chaosie ChikatLik. Kompleks mógł przyprawić o zawrót głowy nawet osobę, która całe życie spędziła w sławnej Świątyni Jedi. Kierowca unosił się w tym labiryncie tak swobodnie, jak może to robić jedynie rodowity Cestianin. Obi-Wan pomyślał, że Anakin doceniłby tę cechę małego X'Tinga.

Pięć minut później znaleźli się w ciemniejszej, bardziej ponurej okolicy, z dala od głównych dzielnic biurowych. Szanujący się obywatele zaglądali tu jedynie po to, aby załatwić swoje najmroczniejsze sprawy. Podczas gdy w innych dzielnicach miasta Obi-Wan widział jednego X'Tinga na setkę obywateli, tu wreszcie owadzie istoty pojawiały się w obfitości.

Kierowca podał mu trójkątny holożeton.

- Włącz to, jeśli będziesz chciał wracać - rzekł i drzwi się otworzyły. Obi-Wan obdarował Gritta sowitym napiwkem i wysiadł. Poobijana taksówka znikła z pola widzenia, pozostawiając go samego.

Postępując zgodnie z zapamiętanymi instrukcjami, Obi-Wan zbliżył się do drzwi strzeżonych przez dwóch masywnych strażników X'Ting, bez wątplenia kobiety. Mężczyźni byli mniejsi i

niebezpieczniejsi, ale kobiety bardziej oneśmielały pozaświatowców, którzy rzadko się orientowali, że większość potężnego ciała stanowi worek jajowy.

- Czego sobie życzysz? - zapytała większa z nich zaskakująco miłym głosem.

Wypowiedział hasło, po czym dodał:

- Mam spotkanie z Trillotem. - Nie była to cała prawda, ale Obi-Wan wiedział, że szpiedzy powiadomili króla gangów o jego możliwej wizycie.

- Chwila - rzekła niższa i wśliznęła się do środka. Wyszła po chwili i przytrzymała drzwi.

- Wchodź.

Poczuł, że obserwuje go wiele par oczu. Nie wszystkie były przyjazne, choć przeważnie okazywały jedynie ciekawość, zastanawiając się, czy jest typowy dla swojego gatunku, czy Jedi rzeczywiście są tak silni, jak powiadają, czy tak słabi, jak twierdzą Separatyści.

Jaskinia była ciemna, a w mroku lśniły wpatrzone w niego obce ślepia.

Nikt go nie prowadził, jakby oczekiwano, że sam znajdzie drogę.

Z postawy i zachowania istot, jakie napotykał, wnioskował, gdzie w tym labiryncie szukać Trillota. Jeśli nawet był to rodzaj testu, zamierzał przejść go koncertowo.

Z obu stron dochodziły zapachy, widoki i dźwięki dowodzące całkowitej degrengolady moralnej. Wiadomo, że to wyrzutki społeczeństwa, ale... znaleźć się tak blisko wewnętrznych kręgów organizacji otaczającej potężnego Trillota oznaczało, że mieli odpowiednie argumenty, choćby nawet było to wyłącznie zaufanie szefa. Obi-Wan mógł uważać, że znalazł się w prywatnej siedzibie gangstera, w miejscu, które X'Ting utrzymywał dla własnej wygody. To mu zapewniało miejsce we wszechświecie, nawet jeśli wymagało zniszczenia innych istot.

Obi-Wana trochę zmroziła ta myśl, ale zachował ją, podobnie jak inne uczucia, wyłącznie dla siebie.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi, a przed nimi stała następna para gotowych na wszystko strażników X'Ting. Tym razem mężczyźni, i to na oko bardzo niebezpieczni. Otworzyli drzwi, zanim jeszcze Jedi do nich dotarł.

Jego oczy potrzebowały krótkiej chwili, aby przywyknąć do ciemności. Trillot siedział na wysokiej poduszce, z zadowoleniem pykając z fajeczki, a cienkie i delikatne smużki dymu unosiły się ze szczelin po obu stronach szyi. Nabrzmiały korpus, gotów do wypełnienia zapłodnionymi jajami, powiedział Obi-Wanowi, że Trillot właśnie przeszedł ze stadium męskiego w żeńskie.

- Jedi - odezwała się samica Trillot, a jej fasetkowe oczy spoczęły na Obi-Wanię. - Witam w moich progach.

- Pani Trillot - odparł Obi-Wan, kłaniając się lekko i wypowiadając skomplikowaną serię dźwięków

w języku X'Ting.

Jej oczy zabłyśły.

- Jesteś bardzo dobrze wychowany, jak na człowieka. Proszę, zbliż się i usiądź.

Obi-Wan podszedł i zajął miejsce, a Trillot kilka razy pyknęła z fajki.

- Nie obraziłabym Jedi - rzekła - oferując mu publicznie owoce fantazi.

Przesłanie było oczywiste.

Kenobi uśmiechnął się.

- Mamy sprawy do załatwienia - zgodził się. - Fantazi zaćmiewa umysł.

- Ale wyostrza zmysły - odparła, kiwając głową.

- Oboje wiemy, po co tu jestem - rzekł Obi-Wan. - Wojna przetacza się przez galaktykę. Cestus również nie jest niewrażliwy na jej dotyk.

- Wojna czy pokój... - oznajmiła Trillot, z widoczną satysfakcją pociągając z fajeczki - Tak czy tak, mam swoje zyski.

Blef.

- Jeśli wojna zniszczy potencjał przemysłowy Cestusa, wówczas nie będzie już robotników do wyzyskiwania. Wtedy i ty ucierpisz.

Trillot powoli skinęła głową, jakby Obi-Wan istotnie ją przekonał.

- Chciałabym uniknąć pracy rąk, o ile to w ogóle możliwe.

- Myślę, że tak.

- Więc zamieniam się w słuch. Co mogę dla ciebie zrobić?

Bardzo dobrze. Zachłanność to pożyteczny argument.

- Moi przyjaciele na Coruscant mówią, że maczasz palce we wszystkim, co się tu dzieje - rzekł Obi-Wan.

Trillot zachichotała.

- Spozstrzegawczy jesteś.

Obi-Wan lekko zniżył głos.

- Chciałbym poznać sekretne kodycyle pomiędzy Pięcioma Rodami a Konfederacją.

Trillot była wyraźnie zaskoczona.

- Naprawdę? To bardzo trudna do zdobycia informacja.

- Mam środki.

- Tak? Ja też mam środki. Wołałabym ich nie narażać w takiej misji.

- Powiedziano mi, że jeśli ktokolwiek może ujawnić słabości systemu przemysłowego, to tylko ty.

Trillot odetchnęła głęboko. Długi, cienki strumyk dymu uniósł się z jej płytkich skrzelii.

- A jeśli... co nie znaczy, że tak jest... jeśli miałabym się z tobą podzielić tą wiedzą, jaką korzyść odniosę ja i moi poddani?

- Aby zachować pokój i utrzymać te urządzenia z dala od rynku, Republika gotowa jest zaoferować hojny kontrakt na roboty. Twoja informacja byłaby cenna, gdybym osiągnął... pozytywny wynik w moich negocjacjach. Mógłbym ci dostarczyć informacji na temat wielkości i specyfikacji zlecenia.

- A dlaczego miałoby mnie to interesować?

Obi-Wan wiedział, że oboje doskonale zdają sobie sprawę z tego, jaka jest stawka.

- Ponieważ dzięki temu będziesz mogła kupić i zmagazynować pewne komponenty, urządzenia i surowce. Jestem pewien, że taka przedsiębiorcza dama dostrzeże w tym właściwy potencjał.

Trillot odetchnęła, a jej twarz przybrała wyraz, który Obi-Wan zinterpretował jako uśmiech.

- Myślisz jak przestępca - zauważyła.

- To jedna z moich wielu wad.

- Lubię to w mężczyźnie - odparła Trillot, pochylając się tak blisko, że Obi-Wan mógł wyczuć zapach jej feromonów. Może dla X'Tingów była to podniecająca i uwodzicielska woń, ale Obi-Wanowi skojarzyła się ze starą garbarnią.

- A więc? - spytał.

Trillot westchnęła.

- To prawda. W tym systemie jest słaby punkt. Zabije on tych, którzy będą próbowali go wykorzystać.

Interesujące.

- Wyjaśnij to.

- Chodzi o promieniowanie - odparła Trillot. - Powiadają, że pod przemysłowym miastem Clandes znajduje się węzeł połączeń. Tam krzyżują się wszystkie linie na- i podziemne. Nie cała nasza łączność jest bezprzewodowa od czasu, kiedy sto lat temu wybuchło powstanie. Te linie mogą wchodzić bezpośrednio do terminala głównego z niewielkimi tylko zabezpieczeniami. Cały ten obszar został uznany za niezdatny do zamieszkania, po czym robotnicy się wyprowadzili. A kiedy ostre przepisy przestały być przestrzegane, zaoszczędzono na ekranach. Promieniowanie zabije cię w ciągu kilku minut... chyba że masz kombinezon przeciwradiacyjny Baktoid klasy sześć.

- Przyjmuję, że ty masz coś takiego?

- Powiedzmy raczej, że ktoś o moich możliwościach wie, gdzie go zdobyć - łagodnie zauważyła Trillot. - To, co chcesz zrobić, jest dość szczególnym wyzwaniem. Jeśli się na to zdecydujesz i kupisz kombinezon, każdy, kto się o tym dowie, będzie wiedział również, że ma szukać Trillot.

- Ile by to kosztowało?

- To się nigdy nie uda... ale powiedzmy pół miliona kredytów.

Pół miliona. Więcej niż zamierzał zapłacić, jednak nie o wiele więcej. Ale jeśli zbyt szybko się zgodzi, gangster straci dla niego szacunek. Dalsze negocjacje staną pod znakiem zapytania.

- Absurd - mruknął.

Trillot jakby czytała w jego myślach.

- Drogo, prawda?

Przez kilka minut się spierali, wreszcie Obi-Wan trochę ustąpił.

- A zatem... używając tego terminala, można zamknąć linie produkcyjne... a nawet je zniszczyć? Oczywiście, o ile agent nie zginie od promieniowania?

- Tak, to się może zdarzyć. - Trillot wydawała się zachwycona sobą.

- Nawet gdybym miał te pół miliona kredytów, nie jestem przygotowany na sabotaż w fabryce Clandes - odparł. - Może przedyskutujmy inne alternatywy?

- Mam pytanie - rzuciła niedbale Trillot. - Jeśli centralny komputer zostanie wyłączony, to całą gospodarkę diabli wezmą. Niezbyt to dobre dla biznesu, co?

- Niezbyt - potwierdził Obi-Wan, teraz pewny siebie. - Produkcja luksusowych robotów zostanie przerwana. Tańsze roboty nadal będą mogły być produkowane, ale na licencji.

- Aha. Wobec tego Cestus wpadnie wprost w ramiona Republiki, a interesy będą szły tak jak przedtem...

- Więc jak? - Obi-Wan wstał, wyciągając obie ręce dłońmi do góry. Był to typowy gest

grzecznościowy u X'Tingów. - Umowa stoi?

- Szczegóły do uzgodnienia, tak?

- To na razie wszystko. I zajmij się kombinezonem.

- Załatwione.

Obi-Wan dotknął dłoni Trillot, skłonił się, odwrócił i wyszedł.

Trillot odczekała kilka minut, powoli pykając fajeczkę. Dym unosił się leniwie ze skrzeli.

Jakby na zawołanie w drzwiach stanęła Ventress. Jej wytatuowana czaszka wydawała się świecić własnym światłem w półmroku. Była zamyślona, ale spokojna.

- A zatem Kenobi chce dostać notatki hrabiego Dooku ze spotkań z Pięcioma Rodami oraz tajne kodycyle pomiędzy Cestus Cybernetics a rojem.

Trillot zamruwała.

- Czy to cię niepokoi?

- Nie. Raczej podnieca. - Przymknęła oczy i uśmiechnęła się, zatopiona w rozmyślaniach. - Obi-Wan i ja mamy spotkanie.

Trillot nagle przestała rozkoszować się dymem i zakasłała lekko, wściekła, że w tak niezręczny sposób ujawniła własne nastroje. Jej towarzysze z miotu byliby zażenowani.

- Co mam zrobić? Jeśli to takie ważne, powinnam chyba odmówić mu dostarczenia tych dokumentów.

Ventress wywróciła oczami, które nagle zasnuły się mgłą, jakby obserwując odległe krajobrazy.

- Nie, nie trzeba.

- Może przekazać mu fałszywe informacje... - podsunęła.

- Nie ma mowy. - Ventress jakby odzyskała przytomność i wydawała się jeszcze bardziej pewna siebie. - Może mieć inne źródła. Może to zresztą tylko test, nic więcej. Jeśli go nie zaliczysz, on ci już nigdy nie zaufa.

Urwała, a jej oczy na moment uciekły w bok, jakby szukając w mózgu prawdy i jasności.

- A poza tym - ciągnęła - myślę, że zanim to się skończy, jego zaufanie do ciebie okaże się potrzebne. - Zadumała się, a blade wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. - Tak... sądzę, że to się nam przyda.

Obi-Wan Kenobi wysunął się z gabinetu Trillot. Odnosił wrażenie, jakby z każdym krokiem z jego umysłu opadały warstwy toksycznych zasłon.

Gritt Chipple czekał na niego, chociaż Jedi nie zdążył uruchomić żetonu. Kierowca wydawał się nieco zdziwiony.

- Witam, Jedi - rzekł. - Dostałem informację. Kazano mi połączyć pana z inną taksówką.

Obi-Wan uniósł brwi.

-Tak?

- Nie wiem, kto to taki. Połączyć?

Interesujące. Kto próbowałby tak niezwykłego kontaktu?

- Oczywiście.

Kierowca pochylił się nad klawiaturą i po chwili pojawiła się twarz. Nie była ani męska, ani kobieca, tak zmyślnie zamaskowana, że nie dało się rozpoznać płci ani gatunku. Głos też był zmieniony.

- Proszę uprzejmie szanownego gościa o spotkanie Pod Rozciętą Głową. Możemy wypić filiżankę herbaty pobudzającej i zamienić kilka słów. Sądzę, że gościowi przyniesie to korzyść.

Pojawiła się mapa.

- Dokąd jedziemy? - spytał Obi-Wan.

- Dzielnica imigrantów. Ani dobra, ani zła. Dziwna. - Chipple wzruszył ramionami. - Nie umiem powiedzieć, sir.

Obi-Wan przemyślał ostatnie wydarzenia. Nie przypominał sobie niczego szczególnie podejrzanego. Jeśli to nawet była pułapka, to dlaczego nie udawać, że wszystko jest w porządku, dopóki coś się istotnie nie wydarzy?

- Jedźmy tam - rzekł. Kiedy pojazd uniósł się nad ziemię i ruszył, Obi-Wan poczuł krzepiący ciężar miecza świetlnego u boku.

Obi-Wan wszedł do Rozciętej Głowy przez drzwi, które przypominały poczwórne komory rojowe

X'Tingów. Przechodząc przez próg, usłyszał chrapliwy krzyk. Tłum X'Tingów i pozaświatowców rozstał się, robiąc miejsce walczącym.

Dwaj młodzi X'Tingowie okrążali się ostrożnie. Nagle jeden skoczył do przodu, drugi się cofnął i obaj skurczyli mięśnie brzucha, odsłaniając ćwierćmetrowej długości żądło. X'Tingowie obojga płci mieli żądła, ale w męskiej wersji były one nieco dłuższe, a trucizna mocniejsza. Zwiększony współczynnik siły do wagi po odrzuceniu worków jajowych czynił też samców o wiele szybszymi.

Walczący dźgali się nawzajem żądlami. Wreszcie jeden popełnił błąd i żądło pograżyło się głęboko w jego ciele. Ugodzony nim X'Ting wydawał się sparaliżowany strachem, zanim jeszcze toksyna naprawdę zaczęła działać. Wreszcie zadygotał i upadł z pianą na ustach, wstrząsany konwulsjami. A potem znieruchomiał...

Klienci baru wrócili do swoich drinków, jakby nic się nie stało.

Bar Pod Rozciętą Głową serwował dziesiątki środków stymulujących z różnych zakątków galaktyki, co pozwalało pracownikom biur przetrwać noc w dobrej formie. Wszystko było całkiem legalne, choć Obi-Wan nie wątpił, że w czterech ścianach baru dostęp do mniej legalnych środków nie był wcale trudny.

Wybrał stolik, który pozwalał mu obserwować drzwi, i zamówił filiżankę naparu z ziaren tatooińskiego H'Kak. Zaledwie przyniesiono mu pachnący, pomarańczowy napój, gdy na krześle naprzeciwko przycupnęła otulona płaszczem, krępa postać.

- G'Mai Duris? - zdziwił się, pociągając kolejny łyk. Ziarna H'Kan potrafiły zdziałać cuda, usuwając trujące pozostałości miazmatów gabinetu Trillot. - Miałem nadzieję, że to jedna z twoich emisariuszek, ale nie śmiałem sądzić, że zjawisz się osobiście. - Nie podnosił głosu. Twarz gościa skryta była pod fałdami kaptura, ale natychmiast rozpoznał błysk fasetkowych oczu. Jeśli Duris zechciała kręcić się incognito wśród swoich poddanych, musiał przyjąć, że ma ważne powody. Poza tym musiał znać odpowiedź na jeszcze parę pytań. - Jak mnie znalazłaś?

- Mam własne sposoby i własnych szpiegów - odparła. - A niektórzy wolą składać raporty mnie zamiast Radzie. Ci z niższych warstw kiedyś mi ufali. Czysty przypadek, że zauważyli, jak wchodzisz do Trillota.

Przekrzywiła głowę, a choć ledwie widział jej oczy, wiedział, że lśnią wyzywająco.

- Chyba nie poszedłeś do Trillota po narkotyki? Mogę zapytać, co tam robiłeś?

- Powiem ci, kiedy się trochę lepiej poznamy - odparł, usiłując zyskać na czasie.

- Na pewno?

Zaśmiała się, a Obi-Wan stwierdził, że jej śmiech brzmi bardziej szczerze i naturalniej niż kiedykolwiek dotąd.

- To dzielnica imigrantów ChikatLik. Przybyli tu w czasach boomu, a teraz wielu z nich utkwiło na tej

planecie, bo nie mają dość kredytów, aby wrócić do domu. Są bardziej zajęci szukaniem pracy i transportu niż podsłuchiowaniem cudzych rozmów. Nie zwracają na nas uwagi, mistrzu Kenobi. Czasem najciemniej jest pod latarnią.

- Rzeczywiście. Bar Pod Rozciętą Głową, faktycznie.

- Miałam nadzieję, że się wyrwiesz od Trillot, a wtedy będę mogła spotkać się z tobą. Po raz pierwszy mogę mówić swobodnie... - urwała. - Albo prawie swobodnie.

- Zamieniam się w słuch - uśmiechnął się Jedi.

- Niezależnie od tego, co sobie myślisz, regencja na Cestusie to parodia... rządy przychodzą i odchodzą, ale Pięć Rodów, które kontrolowały pierwsze prace nad robotami i uzbrojeniem... górnictwo, produkcję, sprzedaż i dystrybucję, badania i energetykę... kontrolują nadal wszystko. Myślę, że oni wolą Konfederację.

- Tak sądzisz?

Westchnęła.

- Nie mam dowodów. Jestem spokrewniona z królewskim rodem roju. Mój kuzyn Quill również jest królewskiej krwi, ale odkąd zabił mojego partnera i zawłaszczył sobie dowództwo rady - spuściła oczy - nie uczestniczę już w wewnętrznych naradach Pięciu Rodów ani rady roju. Nie wiem, czy swoje decyzje podejmują na drodze głosowania, czy też władzę sprawuje jedna lub dwie jednostki. Nikt nie wie, kto naprawdę rządzi. Nikt nie potrafi przeniknąć zasłon korporacji.

- Zasłon korporacji? - zadumał się Obi-Wan. - Raczej zasłon rodzinnych.

- Tak czy owak, nikt z zewnątrz nie wie, co się dzieje na takich spotkaniach.

- A co z pierwotnymi mieszkańcami planety?

- Pająkami? - Wzruszyła ramionami. - Większość nie żyje, wybita lub wypchnięta na Złe Ziemie. Pająki kiedyś były silne, ale wątpię, czy na powierzchni pozostał choć jeden cały klan.

Szum w Rozciętej Głowie narastał, potem znów przycichał, zalewając ich falami.

- Obawiam się, Mistrzu Jedi, że z tej sytuacji nie ma wyjścia.

- Czy mogą cię usunąć ze stanowiska?

- Nie - odparła. - Jestem regentką dożywotnio.

Spuściła głowę.

- Gdyby to nie było tak bezczelnie jednoznaczne, Quill sam przejąłby regencję. Kontroluje radę roju, a sam z kolei jest kontrolowany przez Pięć Rodów.

- A co to oznacza?

- Oznacza to, że kontrole, które powinny chronić interesy tubylców, nie istnieją. Oznacza też, że wszelkie kontrakty z rojem mogą być zmanipulowane w sposób korzystny dla Rodów.

To było przerażające.

- Nie możesz mu się przeciwstawić?

- Jeśli się przeciwstawię Quillowi, po prostu mnie wyzwie, zabije i zajmie moje miejsce. - Urwała. - To właśnie zrobił z moim partnerem Filianem.

- A ty się go boisz.

- Jest jednym z najniebezpieczniejszych zabójców w roju. - Zadrżała na samo wspomnienie.

- Dlaczego się ze mną spotykasz?

Oczy Duris zabłyśły.

- Kiedy obejmowałam urząd, znalazłam notatki zrobione przez jednego z moich poprzedników sto pięćdziesiąt lat temu. Pisał on o innym Jedi, zwanym Yoda.

Obi-Wan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Yoda? Nie przypominał sobie, aby ktokolwiek wspominał o wizycie wielkiego Mistrza Jedi na Cestusie.

- Yoda ugrzązł tutaj, eskortując więźnia, i wyświadczył rojowi wielką przysługę. Mój poprzednik ufał Jedi, więc i ja to robię. Uważam, że mogę z tobą rozmawiać uczciwie i otrzymać uczciwe odpowiedzi.

- Zrobię, co w mojej mocy, o ile to nie zaszkodzi mojej misji.

- Z pewnością nie - zapewniła go.

- A więc jesteśmy po prostu przyjaciółmi, spędzającymi wspólnie spokojną godzinkę nad H'Kak.

Odetchnęła głęboko.

Właśnie. Ty i ja znajdujemy się w gabinecie luster, Obi-Wanie. Zamówienie od hrabiego Dooku zmusi mój lud do wyboru pomiędzy zapaścią ekonomiczną a klęską militarną. Myślę, że osoba, która składała zamówienie, dobrze o tym wiedziała... a może nawet miała nadzieję na taką sytuację.

Rozsądna uwaga.

- W jakim celu?

- Nie wiem. Obawiam się że Cestus jest pionkiem w większej i znacznie bardziej niebezpiecznej

grze.

Obi-Wan nachylił się bliżej.

- Co to za gra?

- Nie wiem. Powiem tylko, że czuję w niej rękę mistrza, ale nie znam jej wyniku.

Zastanowił się nad tym, co do tej pory usłyszał i stwierdził, że nie było to nic takiego, czego sam nie mógł się dowiedzieć. Czy G'Mai próbowała nim manipulować, czy jednak powinien zaufać swojej intuicji Jedi? Wojny Klonów wrzały już od jakiegoś czasu. Czy G'Mai wie coś więcej? Powinna mieć jakieś pojęcie, na czym polega ta większa gra.

Gra, w której Obi-Wan, pomimo swojego doświadczenia i Mocy, nie miał wielkich szans.

- Wygląda to tak, jakby rzeczywiście ktoś chciał doprowadzić wszystko do upadku - rzekła. - Nie potrafię inaczej sobie tego zinterpretować.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Zgarbiła się.

- Nie wiem. Może dlatego, że jestem bardzo samotna w tej wiedzy. Dzieląc ją z tobą, czuję się nieco mniej izolowana.

Jeśli mówiła prawdę, przyczyna jej nagłej wylewności mogła leżeć w tym, że pochodząc spoza planety, Obi-Wan nie mógł być bezpośrednio uwikłany w strukturę władzy na Cestusie. Duris nie widziała żadnego wyjścia z obecnego dylematu, więc zwróciła się do niego, aby pomógł rozwiązać węzeł, którego splątanie zajęło całe stulecie. Nie po to tu przyjechał! Był tu wyłącznie z jednego powodu - aby powstrzymać Cestus przed produkcją i eksportem robotów ZJ.

Kantyna Pod Rozciętą Głową pękała w szwach od żadnych stymulacji klientów. Nietrudno było Ventress wmieszać się w tłum. Znów użyła energii Mocy, aby ukryć się przed czujnymi zmysłami Obi-Wana. Był jednym z najpotężniejszych Jedi, jakich знаła. Uważała wprawdzie, że ona jest silniejsza, ale nie była już tego taka pewna jak kiedyś.

Jednak siła Obi-Wana sprawiała, że smak nieuniknionego zwycięstwa nad nim stawał się jeszcze słodszy.

Ventress niepostrzeżenie wśliznęła się w wielogatunkowe środowisko Rozciętej Głowy; obserwowała, pozostając niezauważona. Podobała jej się ta ryzykowna gra: ukrywanie się przed Obi-Wanem, prześlizgiwanie się tak blisko, że czuła pulsowanie jego świadomości, wycofywanie się, igranie z jego percepcją.

Chwila była tak niebezpieczna, że wypełniła jej zmysły potężniej niż jakakolwiek rozkosz cielesna czy narkotyk. Czuła niebezpieczeństwo w najczystszej formie. Igranie ze zmysłami mistrzowskiego przeciwnika stanowiło dobry test panowania nad emocjami, które trzymała zawsze pod ścisłą

kontrolą. To było... upajające. Tak, to właściwe słowo.

Właśnie. Na moment podeszła bliżej, pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi, mały flirt z powierzchnią aury Obi-Wana, którą widziała jako pole drobnych, miękkich światełek.

W gruncie rzeczy ryzyko było niewielkie - mogła go obserwować i odgadnąć, kiedy zacznie kierować uwagę na zewnątrz, poza rozmowę, którą był zajęty. Wiedziała doskonale, że bez trudu potrafi się wycofać, zanim on sobie uświadomi jej obecność.

Rozkoszne.

- Rozkoszne - szepnęła tak cicho, że prawie nie słyszała własnego głosu. - Tak blisko. Tak łatwo. Nie wie nawet, że istniejesz. - Wstrzymała oddech. - Nie. Nie. Patrz... prawie coś poczuł, ale zniknął, zanim zauważył. Będzie się pilnował, ale nic nie zobaczy. Jesteś nicością.

Widziała, że pomiędzy Obi-Wanem a Duris nawiązała się nic porozumienia. Nieważne, zupełnie nieważne.

Ventress była gotowa na wszelkie sztuczki, których próbował Obi-Wan. Jeśli miał jakiś plan, ona była przygotowana na jego udaremnienie. Cokolwiek ta para teraz knuła, może to posłużyć do wciągnięcia go w pułapkę. Tym razem jej nie ucieknie.

Jeszcze nie spotkała się z Pięcioma Rodami, ale i tak może ich użyć. Przynęta, oto, co należało zrobić. Zaopatrzy ich ubrania i pojazdy w małe aparaciki. Będzie znała każdy ich krok, zapisywała każdy czyn i każde słowo.

A gdzieś tam po drodze rozprawi się również z Kenobim. Czowała to. To była jej planeta, to był jej czas.

Obi-Wan Kenobi również będzie należał do niej.

Rozkoszne.

Od chwili wylądowania na planecie Obi-Wan Kenobi już dwukrotnie coś poczuł. Nie dość, aby całkiem obudzić jego czujność. Z pewnością nie dość, aby dokonać wyraźnej identyfikacji. Zrozumienie mu umykało, jakby szukał po omacku czegoś, co znajduje się niemal w zasięgu ręki. Ale choć żaden z jego zmysłów nie był w stanie dotknąć tak widmowego obiektu bezpośrednio, samo jego przesuwanie się pozostawiało fale na wodzie... lub w powietrzu. A teraz takie same fale czuł w Mocy. Prawie... obecność. Coś, co się cofnęło. Coś, co znikło.

Nie wyczuwał tego świadomie. Właściwie im bardziej się koncentrował, tym bardziej się od niego oddalało, jak gdyby wszystko sobie tylko wyobraził. Skoncentrował się więc na rozmowie z G'Mai, pozostawiając obserwację otoczenia jedynie cieniutkiej nitce świadomości, delikatnemu włókienku, którym poszukiwał nie obecności, lecz jej kolejnego... braku. Tak. Kolejnego wrażenie ucieczki.

Było to zbyt nikłe uczucie, aby zintegrować się z jego świadomością. .. na razie. Dopiero później, w otchłani medytacji Jedi, może coś z tego wyniknie. Ale mógł czekać.

Przez dwanaście pokoleń przywódcy Pięciu Rodów rządili prawem niemal boskiego przywileju. Jak długo ruda płynęła do odlewni, jak długo odlewnie te zaopatrywały fabryki produkujące roboty i pancerze, przekazując kredyty do kufrów Cestusa, ta władza mogła trwać i trwać.

Lecz blichtr królewskiej władzy sprawił to, czego nowoczesności nie udało się uczynić. Bogactwo dzieł sztuki, cudowne, subtelne zapachy, meble, które mogły równać się z wyposażeniem najświetniejszych pałaców w całej Republice... Jeśli Cestus nie chciał pójść w kierunku cywilizacji, cywilizacja sama przybyła na Cestusa.

W tym momencie dyskusja w sali tronowej daleka była od bodaj pozorów uprzejmości. Kłótnia trwała już od wielu godzin, a choć używano w niej grzecznych słów, nikt nie miał wątpliwości, że pod tą przykrywką szaleje wściekłość. .

- Każde wydarzenie może mieć rozmaite konsekwencje – mówił Llitishi, którego rodzina pochodziła od córki górnika rudy i syna mordercy.

- Jestem tego świadoma - odparła Duris.

Quill, jedyny poza nią X'Ting w pomieszczeniu, oznajmił:

- Rój jest wzburzony, bo senat Republiki zadeklarował, że planety nie mają prawa do secesji.

Pięciu przywódców Rodów siedziało półkolem wokół tronu Duris. Teoretycznie siły, które reprezentowali, nie były potężniejsze od jej władzy. W praktyce Duris znajdowała się niemal całkowicie pod ich kontrolą.

- To nie są głupcy - przypomniała Duris. Jeśli Palpatine wtrąci się w nasze prawo handlowe, to tylko odstręczy inne planety.

Quill podjął:

- Jeśli Republika zastosuje argument siły, sytuacja zrobi się jeszcze gorsza.

Duris westchnęła. Milczała, gdy odezwał się jej szacowny gość. Już tydzień temu Obi-Wan przedstawił sprawę kolejnej grupie przedstawicieli i prawników Pięciu Rodów i teraz Duris zaczęła się martwić, że porozumienie nigdy nie zostanie osiągnięte.

- Przynoszę wam uczciwą i sprawiedliwą ofertę - rzekł Obi-Wan. Możemy zakończyć blokadę kryształów Gabonna i wpłacić zaliczkę na zakup dwóch tysięcy robotów klasy JL i ZJ.

G'Mai zdziwiła się. To była całkiem nowa propozycja. Wiedziała, oczywiście, że Obi-Wan komunikował się ze swoimi zwierzchnikami na Coruscant, tym bardziej, że część jego rozmów została przechwycona i zdekodowana.

Drugi X'Ting wydawał się równie zaskoczony.

- To mogłoby... - zaczął i natychmiast się poprawił: - To musiałyby wystarczyć, aby nam zapewnić pozycję na rynku.

- Gotów jestem uwierzyć, że Jedi mówi uczciwie - odezwał się Debbikin.

Obi-Wan skłonił głowę.

- Doceniam tę opinię.

Siostrzeniec Lady PorTen podniósł kościstą rękę, jakby protestując przeciwko tak szybkiemu załatwieniu sprawy.

- Ale nawet ta oferta jest ryzykowna. Koszty wojny rosną. Podatki szaleją. Rząd centralny oferuje płatności w obligacjach kredytowych, wypłacanych w późniejszym terminie. Takie obligacje można wymienić na towary, lecz zazwyczaj po niższej wartości niż nominalna.

Obi-Wan zachowywał spokój, przynajmniej zewnętrznie, ale uważał całą tę dyskusję za nudną, bezowocną i beznadziejną. Nie było czasu, a jemu kończyły się sztuczki, do których mógłby się uciec kanclerz narzucił mu granice ustępstw.

A jeśli zabraknie mu możliwości... zadrżał na myśl, ile to będzie kosztować. Wyczuwając jego nastrój, Snoil schylił się i szepnął mu do ucha:

-Czas się kończy. To jest coraz bardziej niepokojące: jeśli Republika zwycięży, zbuntowane planety zostaną surowo ukarane za próbę odejścia. Jeśli jednak Republika przegra, to planety należące do niej poniosą ciężary finansowe.

Obi-Wan poczuł za lewym uchem rozszerzający się chłód. Poziom stresu zaczął wzrastać poza granice wytrzymałości.

- Mój głowonogi przyjacielu, przyprawiasz mnie o ból głowy. Ty i jeszcze wrażenie, że Duris może mieć rację...

- W jakim sensie? - zapytał Snoil.

Przywódcy Pięciu Rodów byli tak zajęci kłótnią między sobą, że przez chwilę nikt nie zwracał na nich uwagi.

- To mogą być próby zmylenia śladów - rzekł Obi-Wan. - Obawiam się, że ten brak jasności jeszcze się na mnie zemści.

Duris podniosła obie pary rąk, prosząc o ciszę.

- Mamy obowiązek wykazywać dobrą wolę przy tych negocjacjach. Moim szanownym współnikom powinna leżeć na sercu pomyślność Cestus Cybernetics. Reprezentuję planetę wraz z jej wszystkimi obywatelami, a także rój i jego interesy. Cestus Cybernetics może teoretycznie przenieść się na inną planetę, dla nas jednak jest to jedyny dom. Pozostawcie kłótnie na inną okazję. Tu chodzi o nasze przeżycie.

W sali zapanowało pełne zdumienia milczenie, po czym dyskusja rozgorzała znowu, lecz już mniej agresywna.

Po wielu godzinach negocjacji Jedi i prawnik wrócili do swojego apartamentu. Pozostali członkowie Pięciu Rodów spakowali swoje pliki i opuścili salę, ale Quill podszedł jeszcze do Duris.

, - Po raz ostatni mnie zablokowałeś - warknął ze złością. - Całe życie spędziłem na przygotowywaniu takiego kontraktu i nie będę tolerował twojego wtrącania się. Masz się stawić dzisiaj przed radą. Możesz zakończyć życie albo iść na zieloną trawkę. Innych możliwości, nie masz.

Pochylił się niżej.

- Osobiście mam nadzieję, że wybierzesz walkę. Chętnie cię zabiję, jak zabiłem twojego partnera. Umarł, błagając o litość. Chcę od ciebie usłyszeć te same słowa. A potem, rzecz jasna, i tak cię zabiję.

Ludzie Trillota przynieśli Obi-Wanowi potrzebne dokumenty pod osłoną nocy. Mając je w rękę i porównując z oficjalnymi zapisami, Snoil zdobył dostęp do informacji, z którymi jego sekretarze mieliby robotę na wiele lat.

Ale oni nie mieli ryle czasu.

Wchłaniał zatem, przyswajał, notował, ściągał streszczenia do późna w nocy. O ile Obi-Wan mógł stwierdzić, Vippit od przyjazdu jeszcze nie zmrużył oka. Nie był pewien, jak wygląda fizjologia Vippitów, więc nie wiedział, czy traktować to jako wyjątek, czy jako normę. Martwił się jednak coraz bardziej, dopóki wreszcie wykończony Snoil nie oznajmił mu, że jest gotów do snu.

Prawnik powlókł się do sypialni i nikt go nie oglądał przez następne dziesięć godzin. Kiedy jednak pojawił się w drzwiach, jego twarz opromieniał szeroki uśmiech.

- Co się dzieje? - zdziwił się Obi-Wan.

- Obi-Wanie! - zawołał zachwycony Snoil - Obi-Wanie! Kiedy spałem, obie połówki mojego mózgu rozmawiały ze sobą. Znalazłem!

- Co znalazłeś? - zapytał.

- Popatrz tutaj - emocjonował się Snoil. - W tym dokumencie szefowie Cestus Cybernetics chwala się tym, że za ziemię zapłacili syntetycznymi kamieniami. Po prostu śmieją się z głupich tubylców.

Oszustwo. Obrażliwe w każdej formie.

- I co teraz?

- Technicznie rzecz biorąc, syntetyczne kamienie stanowią fałszywą monetę. - Oczy Snoila lśniły. - Uważaj pilnie, Obi-Wanie. Cestus Cybernetics był licencjonowaną placówką więzienia. Więzienie zbudowano i eksploatowano na podstawie kontraktu z Republiką.

- Wiem. Co z tego? - Wciąż nie wiedział, do czego to rozumowanie miało doprowadzić.

- Obi-Wanie - jęknął z rozpaczą Snoil. - Przecież Cestus Cybernetics w tym momencie był przedstawicielem Republiki, miał te same uprawnienia co ambasador. Zakup dokonany fałszywą walutą nie jest w ogóle zakupem. To powoduje anulowanie pierwotnej transakcji. Ziemia pod wszystkimi fabrykami Cestusa wciąż należy do roju!

Obi-Wanowi zakręciło się w głowie. Jeśli ta informacja się rozejdzie, będzie to koniec Pięciu

Rodów. Coruscant przejmie kontrolę nad sytuacją i tylko rój na tym zyska. To dobra nowina dla X'Tingów, ale jeśli gospodarka runie, brak wody i żywności zabije miliony. Byłaby to straszliwa, ostateczna broń, niewiele lepsza od zwykłego bombardowania.

Ale jednak lepsza...

Rozległo się pukanie do drzwi. Kierowca Chipple stał w wejściu, a w drugiej parze rąk trzymał dysk z danymi.

- Klient kazał to puścić.

Obi-Wan wprowadził dysk do robota astromechanicznego i czekał, dopóki ten nie wygeneruje obrazu.

W powietrzu przed nimi pojawiła się podobizna G'Mai Duris.

- Sprawy przybrały zły obrót - rzekła. - Moje przywództwo rady roju zostało zakwestionowane. Nie ma nikogo innego, komu mogłabym zaufać, więc proszę cię o przybycie do moich apartamentów, gdzie będziemy mogli porozmawiać spokojnie. Jestem w tragicznej sytuacji.

Duris mieszkała w eleganckiej dzielnicy ChikatLik. Służący wprowadził Obi-Wana do luksusowego apartamentu.

Wnętrze było mieszaniną nowoczesnej techniki i tradycyjnej dla X'Tingów architektury „przeżutego durabetonu”.

Obi-Wan poszedł za Duris do kuchni, gdzie zauważył jaskrawo oświetlony, piękny ogródek różnych grzybów i porostów. Zatkano go na chwilę. Stworzenie takiego miniaturowego lasu grzybów stanowiło mistrzowską sztukę, której trzeba uczyć się przez całe życie.

- Piękne - wyszeptał.

- To nasze leki i jedzenie, nasze medytacje i rozrywka - rzekła Duris. - Każda rodzina ma swój ogródek grzybowy, mieszankę różnych gatunków, które przechodziły z pokolenia na pokolenie.

G'Mai Duris skubnęła kilka kawałków grzybów. Obi-Wan z zainteresowaniem obserwował, jak wykańczała posiłek, który wydawał się składać z setki różnych dań, wykorzystujących grzyby o rozmaitej konsystencji, przyrządzonych na odmienne sposoby. Jej prywatny ogród dostarczał i przypraw, i dodatków. Większe, bardziej mięsiste grzyby czerpała z oddzielnego pojemnika. Kuchnię wypełniały rozkoszne, smakowite aromaty. Duris odezwała się nagle:

- Muszę dziś wieczorem walczyć z Quillem. Słyszałam, że Jedi są najlepszymi wojownikami w całej galaktyce. Czy możesz nauczyć mnie sztuki walki?

Obi-Wan spuścił głowę w zamyśleniu.

- Przykro mi. Nie mamy na to dość czasu - odezwał się w końcu.

Duris dalej szykowała posiłek, ale obie pary jej rąk wyraźnie drżały.

- Czy nie możesz wybrać sobie obrońcy? - zapytał Obi-Wan. - Albo zastępcy?

- Tego się nie robi - odparła ze smutkiem. - Miałam nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, ale chyba zawsze wiedziałam, że to tylko nadzieja głupca. - Podniosła głowę. - Cóż, musiałam spróbować. Proszę, zostań i zjedz ze mną kolację. Proszę...

Drżała tak rozpaczliwie, że nie mógł jej odmówić.

Podawała mu jedzenie, które nazwała „posiłkiem śmierci”. Ostatni, rytualny akt. Podobnie, jak w sytuacjach oficjalnych, jej zachowanie było nienaganne, ruchy precyzyjne, eleganckie, opanowane.

Obi-Wan pytał ją o rój, o rytuały, a ona co chwila zerknęła na chronometr. Wiedział, że nadchodzi jej czas.

- Nie mogę stanąć przed Quillem na arenie, żeby mnie publicznie zaszlachtował. Boję się tego, co mogłabym zrobić - błagać o litość i skompromitować mój ród. Wolę umrzeć już dzisiaj. W moim lesie grzybów są takie, jakich potrzebuję, aby zakończyć życie. - Uśmiechnęła się blado. - Mój lud powiada: „Śmierć jest ciemnością. Dzieci są bezpieczne”. To znaczy, że trzeba mieć odwagę.

Więc sprawy zaszły aż tak daleko. Był przerażony, że ich rozmowa przybrała tak niebezpieczny obrót.

Nagle przyszła mu do głowy całkiem nowa myśl.

- A co się stanie, jeśli zginiecie oboje, ty i Quill?

- Wtedy rada będzie mogła sama podejmować decyzje. Myślę, że bez Quilla byłiby rozsądniejsi.

- Mam na to odpowiedź - rzekł Obi-Wan. - Rozwiązanie jest w twoim posiłku śmierci.

- Co takiego?

- Posłuchaj mnie - powiedział i nachylił się do niej. - Mam odpowiedź, a ty masz odwagę.

Razem wsiedli do turbowindę jadącej w głąb miasta, poniżej dzielnic, gdzie mieszkali i pracowali pozaświatowcy, uważający się za właścicieli całej planety. Udali się do najdalszych, najstarszych dzielnic. Tu mieszkało jeszcze parę tysięcy X'Tingów, tworząc coś w rodzaju społeczności.

Jaskinie były wynikiem erozji, a nie aktywności wulkanicznej. Ściany pokrywały znajome wgłębienia z typowego dla roju, przeżuwanego durabetonu. Tu, na dole, wszystko było po staremu.

Przy stole rady roju siedziało dwunastu wiekowych X'Tingów, po jednym z każdego roju planety. Jak potężni i pełni majestatu musieli być niegdyś! Teraz ci władcy rozbitych, rozproszonych rojów

czepiali się szczątków dawnej chwały. Pomimo codziennych upokorzeń cała dwunastka stała przed regentką i pozaświatowcem z wielką godnością.

Quill zdjął szatę, obnażając potężny odwłok.

- A więc postanowiłaś, że nie odbierzesz sobie życia - Powiedział wesoło. - To dobrze. Niech cała rada poczuje odór twojej śmierci.

Duris drżała tak mocno, że z trudem zdjęła płaszcz; o mało go nie upuściła, próbując oddać Obi-Wanowi.

- Odwagi - rzekł cicho Jedi. - Śmierć to ciemność. Dzieci będą bezpieczne.

- Nie mam dzieci - szepnęła w odpowiedzi.

- Każda żywa dusza na tej planecie zależy od ciebie - rzekł - To są twoje dzieci.

G'Mai skinęła głową.

Arenę stanowił krąg zagrabionego piasku o średnicy około dwudziestu metrów. Quill, emanując pogardą, zaczął dokładnie tak, jak się tego spodziewała Duris - krótkimi, szybkimi ciosami żądła. Zamiast odpowiedzieć paradą czy atakiem, Duris przymknęła oczy i złożyła palce pierwszych i drugich dłoni.

- Odpowiedzią jest twój posiłek śmierci - podpowiedział jej Obi-Wan. Rytualny posiłek, którego celem było usunięcie z umysłu wszelkich emocji. Jedynie mistrz, przygotowujący od chwili narodzin do podawania posiłku śmierci, mógłby jej dorównać w sztuce, jaką zademonstrowała u siebie w domu. Nawet spodziewając się, że niebawem umrze, G'Mai Duris była całkowicie spokojna.

„To właśnie musisz zrobić” - wyjaśnił jej Obi-Wan. - „Zamkniesz oczy, pomyślisz, że przygotowujesz swój posiłek śmierci i zachowasz spokój. A kiedy cię ugodzi, jak tylko poczujesz w ciele jego żądło, ty również go przebij. Nie staraj się przeżyć. Zachowuj się jak ktoś, przed kim jest już tylko ciemność”.

Quill zbliżał się do niej, a ona czekała.

Miotał się, usiłując ją przestraszyć. Nie udawało mu się, choć próbował różnych sztuczek.

„W sztuce walki jest ukryta tajemnica” - mówił Obi-Wan. - „Nie ma to nic wspólnego ze szkoleniem. Tu nie chodzi o spektakularne gesty. To gotowość, aby wymienić swoje życie na życie nieprzyjaciela. Dlatego nie warto walczyć o nic, za co nie oddałbyś życia. Ci, którzy walczą dla chwały, złota lub władzy, stoją na ruchomych piaskach, a nie na twardej skale prawdziwej odwagi. Walcz za swój lud. Walcz za swojego partnera. Dla ciebie śmierć oznacza zwycięstwo. Arena to nie krąg wysypany piaskiem. Arena to twoje serce”.

Quill skakał, płaśał i potrząsał żądłem. Syczał, krążył i robił groźne miny. A G'Mai Duris po prostu stała.

Gotowa podzielić z nim śmierć.

Wreszcie Quill zatrzymał się zaskoczony; po raz pierwszy jego maska pewności siebie pękła.

Pod nią był strach.

G'Mai Duris stała z zamkniętymi oczami. Czekwała.

Usta Quilla zadrżały, spuścił oczy i wbił je w piach.

- Ja... ja poddam się - warknął z nienawiścią.

Najstarszy X'Ting z rady powstał i rzekł:

- G'Mai Duris zwyciężyła. Caiza Quill musi oddać swoje miejsce.

G'Mai Duris wyprostowała się na całą wysokość, składając uroczyście palce pierwszych i drugich rąk.

- Moi bracia i krewniacy - rzekła. - Drogi przyjaciel mistrz Kenobi powiedział mi zdumiewającą rzecz. Przez stulecia wiedzieliśmy, że nasi przodkowie zostali oszukani przy sprzedaży ziemi, kupionej za bezwartościowe błyskotki, które miały być prawdziwymi klejnotami. Przez lata nie mieliśmy możliwości naprawić tego błędu. Mogliśmy tylko akceptować ochłapy, jakie Cestus Cybernetics rzucał nam pod nogi. Ale to się zmieniło. - Jej fasetkowe oczy zaśniły. - Mistrz Kenobi sprowadził ze sobą z Coruscant prawnika, Vippita, który doskonale zna prawo. Zgodnie z decyzją centralnych władz, jeśli zechcemy wytoczyć proces, możemy zniszczyć Cestus Cybernetics. Jeśli jesteśmy właścicielami ziem pod fabrykami, możemy zażądać od nich, dowolnej ceny za korzystanie z tej ziemi, możemy nawet przejść samą fabrykę.

- Co? - zawołał najstarszy z rady, a jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Czy to prawda?

Quill prychnął wzgardliwie.

- Nie działasz w ten sposób nic, zniszczysz tylko planetę! Zniszczysz Cestus Cybernetics i naszą gospodarkę!

Starszy spojrział na Quilla miażdżącym wzrokiem.

- Rój był tu, zanim powstał Cestus Cybernetics. To nie rój ucierpi, jeśli ta firma zmieni właściciela. A nawet jeśli upadnie, ucierpią ci, którzy sprzedali się pozaświatowcom za obietnicę władzy.

- Moi panowie - powiedziała Duris - mamy jednak zobowiązania wobec tych pozaświatowców, którzy przybyli na Cestusa z sercem i zręcznymi dłońmi, chcąc zbudować tu sobie życie. Nie możemy wykorzystać tej okazji, by ich zniszczyć. Musimy budować i leczyć.

Starsi pokiwali głowami, jakby zadowoleni z jej empatii.

Quill zatrząsł się ze złości.

- Nic nie wygrałaś, Duris! Będę blokował twoje decyzje, przysięgam. Nieważne, co ci się zdaje, że wiesz. Uważasz, że masz rację?... To się jeszcze nie skończyło. - Wybiegł z sali, ponizony i wściekły.

- Czy on to może zrobić? - zapytał Obi-Wan.

- Prawdopodobnie tak. Każdy członek Pięciu Rodów może zawetować każdą transakcję, jeśli uważa, że leży to w jego interesie. Może też zrobić to z czystej nienawiści. A na pewno będzie próbował. Przyszła jej nagle do głowy alarmująca myśl. - Będzie chciał uniemożliwić przekazanie tej informacji do Palpatine'a. Może powinienś wysłać ją od razu?

Obi-Wan niechętnie pokręcił głową.

- Kanclerz wykorzystają tylko po to, aby legalnie zamknąć Cestus Cybernetics. Nikt nie zwycięży. Myślę, że naszą największą szansą jest wykorzystanie tej informacji jako broni ostatecznej, której użyjemy tylko w razie konieczności.

Przyjrzał się temu pomysłowi ze wszystkich stron, lecz nie znalazł błędu w rozumowaniu.

No cóż, w tym zadaniu nie było łatwych elementów.

- Rody działały w kategoriach finansowych i politycznych. Jak długo tak pozostanie, mogą podejmować decyzje w tych dziedzinach. Najwyższy czas to zmienić, najwyższy czas, aby zainteresowali się tym... osobiście.

Później tego samego wieczoru Obi-Wan odbył szalenie tajną konferencję z Kitem Fisto.

- Potrzebowałem twojej rady, bo zapanował stan chwiejnej równowagi.

- Obi-Wanie - powiedział Kit - wiem, że niełatwo ci się pogodzić z koniecznością oszustwa, ale ci ludzie nie mają pojęcia, jak niebezpieczny może być Dooku. Jeśli teatralny gest może uratować wiele istnień, chyba musimy w to brnąć.

Obi-Wan westchnął. To fakt, ale chciałby wierzyć, że Kit rzeczywiście jest zadowolony z tego, co zamierzają zrobić.

- W porządku - rzekł wreszcie. - Masz w tej chwili wszystkie dane sprawy. Jeszcze jedno, najważniejsze: ćwicyłeś?

- Oczywiście - odparł Kit. - Bądź gotów na życiową rolę.

Smużki dymu fantazi snuły się po labiryncie katakumb Trillot jak macki ognistego krakena. Małe roboty kręciły się wokół, podając drinki - od czasu, gdy ochroniarz Remlout został okaleczony, niewielka, choć nerwowa grupa podwładnych zaproponowała, aby ich pani osobiście nadzorowała dystrybucję rozmaitych naparów i środków odurzających.

Teraz jednak Trillot czuła, że traci całą kontrolę. Z trudem panowała nad głosem i gestami, udając neutralność. Ventress stała przed nią nieruchomo, jakby wyrosła z ziemi; patrzyła w górę, zaledwie zauważając istnienie władczyni gangów. Trillot nie mogła sobie nawet wyobrazić, jakie przedziwne miejsca odwiedza w tej chwili jej umysł.

- Czy mam powiedzieć Kenobiemu prawdę? - zapytała znów Trillot, splatając i rozplatając palce obu par dłoni.

- Cóż, jeśli sobie życzysz - odparła Ventress. - Od razu się domyśli, że albo kłamiesz, albo jesteś niekompetentna. W obu przypadkach nie będziesz mu potrzebna.

Zimne niebieskie oczy Ventress rozszerzają się jak przepaść dzieląca dwa światy.

Gruczoły pod ramionami Trillot zaczęły wydzielać zapach kapitulacji; mogła mieć tylko nadzieję, że Ventress ich nie poczuje. Pokiwała energicznie głową.

- Tak... tak, oczywiście. Proszę pani...

-Tak?

Odchrząknęła.

- Czy mogę zadać jedno pytanie: dlaczego ten jeden Jedi jest taki ważny? Z pewnością mamy ważniejsze...

Kolejne mrozące krew w żyłach spojrzenie.

W tej samej chwili jeden z ochroniarzy wsadził głowę do pomieszczenia.

- Nadchodzi!

Trillot obejrzała się na ułamek sekundy, ot, jeden ruch głowy, a jednak kiedy odwróciła się znowu, Ventress już nie było.

Obi-Wan wszedł do jaskini, oddychając powoli, aby zredukować efekty trującej atmosfery. Tylko

że... w powietrzu było coś takiego, co sprawiało, że miał ochotę oddychać głębiej. Nie miał jednak odwagi, bo wiedział, że istnieją granice, do jakich jego metabolizm potrafi sobie poradzić z przetworzeniem trucizny.

- Ten zapach... - odezwał się.

- Zapach? - zdziwiła się Trillot.

- Tak. Piżmo banthy i... coś jeszcze. Niektóre kobiety Pięciu Rodów stosują to jako perfumy, albo... - Czuł, jak kółka kręcą mu się w głowie. Z pewnością niektóre przedstawicielki klas wyższych Cestusa mogły odwiedzać Trillot w jej jaskini. Nic w tym niezwykłego. Wątpił jednak, aby jego organizm zareagował w ten sposób, gdyby to o to chodziło. A więc co jest grane?

Nie wyglądało to dobrze. Z jakiegoś powodu, odkąd pierwszy raz postawił stopę na Cestusie, czuł się wytrącony z równowagi. W mieście, na balu, na salonach, u Trillot, w kantynie...

Czy coś łączyło te miejsca, czy on już jest po prostu zmęczony?

Usta Trillot drgnęły.

- No cóż, przyłapałeś mnie - uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Mam parę... eee... przyjaciółek w wyższych sferach. Mam nadzieję, że potrafisz dochować tajemnicy.

Obi-Wan zachował swoją opinię dla siebie. Wszelkie perwersje, jakie miały miejsce wśród śmietanki towarzyskiej Cestusa, w ogóle go nie interesowały. A jednak...

w Oczywiście. Tak, to ten sam zapach. Widocznie po raz pierwszy poczułem go na balu. A teraz... - Odetchnął i zmusił się do skupienia. - Potrzebuję od ciebie informacji.

- Na jaki temat? - Podziemnego systemu transportu. Możesz to załatwić, prawda?

- Oczywiście.

Obok fotela Trillot wystrzelił promień światła. Przesunęła nad nim kilkakrotnie dłonią i przed nimi pojawiła się sieć węzłów oraz ruchomych linii. Obi-Wan wszedł w sam środek obrazu i skoncentrował się. Teraz, po raz pierwszy od wielu dni, całkowicie stopił się ze swoim planem. Być może te zakłócenia były jednak kwestią nerwów.

- Tu - wskazał palcem. - I tu...

Kilka godzin później robot astromechaniczny Obi-Wana za pośrednictwem kodowanego linku technicznego przesłał mapę do obozu szkoleniowego, gdzie dokładnie ją przeanalizowali żołnierze i ponury Kit Fisto.

- ...aż dotąd - powiedział Nate.

Za ich plecami płonęło obozowe ognisko. Szkolenie szło zwykłym trybem. Mieli takich żołnierzy,

jakich potrzebowali, nauczonych słuchania rozkazów nawet w warunkach znacznego stresu. Trzeba było przyznać Cestianom, że ich mężczyźni i kobiety niezwykle szybko i skutecznie uczyli się wojskowej dyscypliny.

- No, to chyba wszystko - powiedział generał, a w jego ogromnych oczach odbijała się mapa, płomień ogniska i gwiazdy na górze. Nate obserwował go, czekając na znak albo słowo. Nie rozumiał generała Fisto i przypuszczał, że nigdy go nie zrozumie, ale miał nadzieję, że tajemniczy Jedi będzie zadowolony z ich postępów. Z jakiegoś powodu potrzebna mu była akceptacja ze strony Nautolanina.

Kit Fisto skinął głową.

- Dobrze sobie poradziłeś - pochwalił i wrócił na statek. Żołnierze rozmawiali przyciszonymi głosami, wybuchając śmiechem z opowiadanych dowcipów; połączyło ich świeże koleżeństwo, które Nate natychmiast sobie przyswoił. Zapomniał już o lekkim niepokoju, jaki widział w oczach generała. Stawka była wysoka, zasoby ograniczone. I tak niewiele opcji.

I żadnej możliwości porażki.

Planety umierały, wykrzykując swój ból w nieskończoną pustkę. Gwiazdy eksplodowały w wielkie aureole ognia, mgławice kurczyły się w czarne dziury. Statki pełne krzyczących ludzi pękały, wpuszczając do środka bezlitosną próżnię.

Ventress leżała bez ruchu na plecach, z zamkniętymi powiekami i śniła, a jej duch wędrował po wszechświecie nieskończonej wściekłości.

Śniła o Ohma-D'un, księżycu Naboo, gdzie po raz pierwszy spotkała Obi-Wana Kenobiego. Operacja Naboo przeistoczyła się w jatkę. Zdecydowanie nie doceniła odwagi i inteligencji Jedi. A przecież Ventress szła ścieżką prawdy, którą Jedi opuścili. Tak jej powiedział mistrz Dooku, tego ją nauczył. Galaktyka potrzebowała porządku, a dekadencyjni Jedi zapomnieli, że najważniejsza jest powinność wobec samej Mocy, nie zaś wobec skorumpowanego, egoistycznego reżimu. Nie popełniła tego błędu i nigdy go nie popełni.

Zupełnie nagle Asajj Ventress zbudziła się i usiadła. Sny były takie jak zawsze, nic szczególnego. Właściwie były jedynie próbą zgłębienia przez jej umysł wszystkich opcji. Złożyła już hołd, a dla kobiety takiej jak Ventress dane słowo oznaczało zobowiązanie na całe życie. Postrzegала siebie jako wypadkową swoich zobowiązań i kontraktów. Nie miała głębszych uczuć, więc nie odczuwała dysonansów emocjonalnych. Robiła po prostu to, co trzeba było zrobić.

Mistrz Kenobi z jakiegoś powodu tkwił w samym centrum tego problemu. Na razie jeszcze nie wiedziała, jak sobie z tym poradzi.

Tuż pod jej drzwiami stała Trillot, walcząc z bólem głowy. Zaproponowała tej przerażającej Ventress wspaniałą komnatę w swoich katakumbach, a ona przyjęła zaproszenie. Trillot miała zamiar szpiegować wysłanniczkę hrabiego Dooku, ale wszelkie próby spełzły na niczym. Poczula się wręcz... zakażona, kiedy jej gość śnił. Pod powiekami widziała obrazy śmierci i zniszczenia na przerażającą skalę.

Strach przeszywał ją głęboko niczym żywe stworzenie wżerające się we wnętrzości. Czy uczyniła wszystko, co możliwe, aby Ventress była zadowolona? Czy dostarczyła wszelkich informacji? Mieszkania? Czy umieściła urzędników śledzących na Quillu i Lady Por'Ten? Zrobiła to wszystko, a nawet jeszcze więcej...

Więc dlaczego jest taka przerażona?

Skłębiona czerwono-czarna chmura pod jej powiekami pulsowała bezlitośnie. Trillot chwiejnym krokiem pobiegła przed siebie, wpełzła do swojej sypialni i desperacko szukała ukojenia w śnie. Ból głowy zmienił się w defiladę koszmarów, które paradowały aż do świtu, kiedy to musiała stawić

czoła kolejnemu dniu.

Słońce Cestusa wzniosło się nad wschodnim horyzontem, wydłużając cienie górskie, które przypominały usta pełne połamanych zębów. Tam, gdzie nie sięgały cienie, ostre światło wypalało grunt promieniami tak jaskrawymi, że rośliny pozwijały liście, czekając na następny zmierzch.

Nate wstał jak zwykle przed świtem i ubrał się. Wykonał serię ćwiczeń SOZ, skłony, rozciągania i pady. Nie miał skurczu w mięśniach ani ran, które utrudniałyby mu ruchy. Napełniała go zdrowa energia. Czuł się silny, twardy, zły i zabójczy. Wystarczająco gotowy.

Odnalazł generała Fisto w głównej jaskini, wpatzonego w mżącą mapę. Generał siedział na kolanach i palcach, z pośladkami wspartymi na piętach. Nate widział nieraz, jak Nautolanin wytrzymuje w tej pozycji wiele godzin. Skrzywił się lekko; jego własne nogi odmówiłyby posłuszeństwa po paru minutach.

- Gotów, sir?

Generał wstał. W dłoni trzymał uchwyt z przymocowanym długim, elastycznym sznurem.

- Już czas - oznajmił.

Nie było nic więcej do powiedzenia.

Tryb postępowania został ustalony od samego początku: przedstawiciele Pięciu Rodów jechali do centralnego pałacu na codzienną rundę negocjacji, rozmów i dyskusji. Niektórzy przybywali prywatnym pojazdem powietrznym lub kolejką. Mniej więcej jedna trzecia podróżowała bezpiecznymi, prywatnymi wahadłowcami podłączonymi do linii magnetycznych, wykorzystujących podziemną sieć pod Chikatlik. Był to najbezpieczniejszy system transportu miejskiego i nigdy nie został zniszczony, nawet w okresie powstania, które zrodziło Pustynny Wiatr.

Lord i lady Por'Ten, Debikkin młodszy oraz Quill wykorzystali jazdę podziemnym wagonikiem, aby porozmawiać.

- Wierzysz, że Jedi osiągnął już granicę dozwolonych ustępstw? zaczął Por'Ten.

Młody Debbikin przechylił głowę na jedną stronę, naśladując ulubioną postawę swojego ojca.

- Trudno powiedzieć. Szpieg ojca na Coruscant twierdzi, że nastroje tam nie sprzyjają negocjacom. Palpatine jest twardy; każdej nielojalnej planecie wytoczy wojnę. - Nachylił się do pozostałych, jakby się bał, że go ktoś podsłucha, choć ruchomy wagonik był bez wątpienia jednym z najbezpieczniejszych miejsc na całej planecie. - Wydaje mi się jednak, że sytuacja, kiedy wszystkie oczy skierowane są na Cestusa, daje nam dość interesujące szanse na uzyskanie przewagi. Po pierwsze, w bezpośrednich negocjacjach możemy im udowodnić, że mamy prawo produkować roboty. Możemy też udowodnić, że wojna zniszczyła nam linie zaopatrzenia, narażając nasze życie. Że walczymy nie o przetrwanie ekonomiczne, lecz tylko o prawo do nakarmienia naszych obywateli.

Potrójny podbródek Por'Tena drgał, jakby właściciel przechowywał w nim wszystkie zjedzone potrawy.

- Ale powiedziałaś, że istnieje też inny motyw?

- Istotnie - odparł Quill. Od początku podróży nie odzywał się wiele i coraz bardziej przypominał gęstą burzową chmurę, ciskającą błyskawice fasetkowymi oczami. - Nieważne, co się stanie, zawsze wygrywamy.

- Nawet jeśli opuścimy Cestusa, wciąż będziemy mieć pakiet kontrolny akcji Cestus Cybernetics, co wystarczy, aby zachować prawo weta, a jednocześnie osiedlić się na innej planecie, gdzie tylko zechcemy. Pięć Rodów znajdzie się wśród prominentów galaktyki...

- Tak - syknął Quill. - Ale jest jeszcze jedna możliwość, nie widzicie jej? Niezależnie od tego, czy będziemy prowadzić interesy z Palpatine'em, czy hrabią Dooku, musimy mieć odpowiednie środki nacisku. Należy usunąć Duris.

Spojrzeni na niego zimno.

- Podobno miałeś osobiście załatwić ten problem. - rzekł Debbikin. - Zostałeś przyjęty do Rodów tylko pod tym warunkiem. Właśnie się dowiedziałem, że usunięto cię z rady roju. Więc na co nam właściwie jesteś teraz potrzebny?

- Zajmę się wszystkim - warknął Quill. - Mamy umowy, których nie odważycie się zerwać. Kontroluję kopalnie, Debbikin. Rada roju może mnie zrzucić ze stołka, ale nie tak łatwo mnie zastąpić. - Jego spojrzenie przypominało roztopioną durastal. - Zajmę się Duris i znajdę bardziej... ugodową marionetkę na tron, wierzcie mi.

Rozległ się głośny łomot.

Na twarzach obecnych pojawiło się zmieszanie.

- C o to by...?

Poczuł dźwięk, zanim go jeszcze usłyszeli. Coś głucho stuknęło na dachu wagonu magnetycznego, a pojazd gwałtownie zmienił kierunek jazdy.

Ściany tunelu za oknami śmigały z ogromną prędkością, ale taką samą rozmazaną plamę widywali przez lata; takie same warstwy skalne prowadziły od ich prywatnych rezydencji do pałacu. Teraz jednak w widoku za oknami zaszła niewielka, subtelna zmiana, co wystarczyło, żeby ich zaniepokoić. No i zmienił się kierunek jazdy.

- Co się dzieje? Lord Por'Ten podniósł głos. - Kierowca!

Robot na przedzie wagonika obejrzał się na niego. Jego metalowa twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

Przykro mi, ale moje układy sterowania zostały zablokowane przez nieznane siły.

Przedstawiciele Rodów spojrzeli po sobie, a na ich twarzach malowało się przerażenie.

- Skontaktuj się z siłami bezpieczeństwa!

- Przykro mi - powtórzył robot z nienaturalną cierpliwością, właściwą jedynie istotom nieożywionym. - Muszę panów poinformować, że cały wagon otoczony jest czymś w rodzaju pola interferencyjnego.

- A niech mnie! - warknęła lady PorTen i wyjęła osobisty komunikator. Manipulowała nim chwilę, wreszcie podniosła wzrok; z twarzy odpłynęła jej cała krew, gdzieś się zapodziały jej zwykłe nienaganne maniery. - On ma rację!

- Gdzie nas zabierają? - zapytał Debbikin.

Robot przez chwilę myślał, zanim odpowiedział:

- Zostaliśmy wpuszczeni do jednego ze starych systemów tuneli i teraz przekierowują nas na tory kopalniane. Naszym prawdopodobnym miejscem przeznaczenia, jak sądzę na podstawie informacji dotyczących różnych scenariuszy porwania/morderstwa...

- Morderstwa? - wrzasnęła lady.

Robot zignorował ją i ciągnął:

- Przykro mi, ale jest przynajmniej trzynastoprocentowa szansa, że ostatecznym celem tej akcji jest śmierć wszystkich osób w wagonie.

Reprezentanci Rodów wytrzeszczyli oczy, usta zadrżały im z przerażenia.

Wagonik przejechał jeszcze paręset metrów i skręcił ostro. Potem się zatrzymał, a pasażerowie poczuli, jak się pod nimi powoli lecz nieuchronnie zapada.

- Tak jak przypuszczałem - odezwał się znów robot - to jeden z torów kopalnianych. To zły znak; ponieważ nie jest on częścią centralnego systemu, więc może go nie być na mapach. Jeśli boja została wyłączona, co jest bardzo prawdopodobne, przewiduję, że nasze szanse na ocalenie wynoszą jeden do dwunastu.

- Jeden do... dwunastu?

- Chyba że chciałby pan poznać prawdopodobieństwo uratowania nas dwojga albo wszystkich z was. W tym wypadku szansa mogłaby wynieść jeden do sześciuset pięćdziesięciu, w oparciu o statystyki porwań i morderstw...

- Zamknij się! - ryknął lord Por'Ten i zerwał się z miejsca. Wagon wreszcie stanął. Usłyszeli na dachu odgłosy kroków. Wodzili oczami za tym dźwiękiem, za każdym pojedynczym tupnięciem, odprowadzając je aż na tyły pojazdu.

Spojrzeli wreszcie po sobie, a Quill otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy jakaś postać o grubych mackach wijących się wokół głowy zwiesiła się z dachu i kopniakiem wywaliła plastynową ściankę. Przybysz wylądował wśród spadających ostrych odłamków zupełnie bezgłośnie, co przeczyło słyszany na dachu ciężkim krokom.

Nautolanin? Ale co on tu robi?

Jego oczy, wielkie i nieruchome, pozbawione były widocznych źrenic i wydawały się jakby powleczone cienką błonką, która zmieniała przejrzystość w zależności od oświetlenia. Nie miał broni, jeśli nie liczyć wetkniętej za pas rękojeści. Debbikin momentalnie wyczuł, że stanowi ona jakieś zagrożenie.

- Kim jesteś? - warknął Quill.

- Nazywam się Nemonus. Pozdrowienia od hrabiego Dooku - rzekł Nautolanin.

- Cze... czego chcesz?

- Próbuje zmienić umowę - odparł intruz.

- Co? O czym ty mówisz?

Intruz obrócił się powoli niczym maszyna pracująca na ruchu jałowym. Stanowiło to niepokojący kontrast z oszłamiającą prędkością, z jaką przebił się przez dach.

- Musicie się nauczyć, że nie ma miejsca, gdzie moglibyście się ukryć. Transakcja została zawarta. Ci, którzy będą próbowali renegeować cenę, mogą stwierdzić nagle, że inne warunki też ulegają zmianie.

PorTen, zazwyczaj bardzo wojowniczy, dziwnie zmiękł pod płonącym spojrzeniem przybysza.

- O... o czym ty mówisz?

Intruz podszedł bliżej. Zaciśnął wargi. Macki wokół jego głowy zwinęły się powoli, wymownie, drgając w rytm jego słów, napędzane własną energią. Wyszepiał, choć nie wiadomo dlaczego jego szept brzmiał głośniejsz od krzyku:

- Mój pan obiecał, że utrzyma was z dala od wojny i że nie będziecie w nią zaangażowani. Ale to się może zmienić, przyjaciele. Wszystko może się zmienić.

Młody Debbikin spojrzał na pozostałych, bliski paniki.

- Nieprawda! Dotrzymaliśmy wszystkich obietnic, jakie wam złożyliśmy! Wszystkich!

Intruz prychnął ironicznie.

- Więc dlaczego podnieśliście ceny i zagroziliście, że bez dalszych kredytów wstrzymacie dostawy?

Pasażerom wyraźnie ulżyło. Spojrzeli po sobie. Przez chwilę myśleli, że chodzi mu o negocjacje z Jedi Kenobim. Ale to było coś całkiem innego. Cestus Cybernetics rzeczywiście zażądała dodatkowej zapłaty w wysokości dziesięciu procent. Llitishi, odpowiedzialny za sprzedaż i marketing, przysiągł, że hrabia Dooku zgodzi się, jeśli będą stanowczy.

- To wszystko przez tę wojnę - Debbikin nachylił się, usiłując stworzyć przyjazną atmosferę. - Odcięto dostawy...

Obcy wydawał się niewzruszony.

- Przygotowaliśmy dla was coś innego.

- Tak, ale czas się skończył i musieliśmy kupować dodatkowe surowce, żeby wszystkie urządzenia do siebie pasowały. Pracujemy, ale wszystko trwa dłużej i dlatego jest kosztowniejsze...

Nautolanin podniósł dłoń. Nawet ich nie dotknął, a mimo to siła jego osobowości sprawiła, że jak jeden mąż wrócili na swoje miejsca.

- Nie można wam ufać.

Quill drugą parą rąk usiłował sięgnąć po niewielki miotacz, który zawsze nosił przy sobie. Wszyscy wiedzieli, że jako potomek rodu płatnych morderców, odziedziczył swoje umiejętności po poprzednich pokoleniach sprzed pięciuset lat. Jeśli ich porywacz popełni bodaj najmniejszy błąd, miotacz dojdzie do głosu, Nautolanin zginie, a oni będą mieli szansę zawładnąć na nowo wagonikiem. A Quill przy okazji się zrehabilituje.

Jak możesz tak mówić! Interesy z wami postawiły Cestusa w niezręcznej pozycji wobec Republiki. Nie zdradzimy cię. Gdybyśmy to zrobili, nie mielibyśmy już nikogo! - Plecy intruza znajdowały się prawie dokładnie naprzeciw Quilla. Miotacz już był prawie w ręku...

W powietrzu czuć było napięcie. Debbikin wbił oczy w intruza, starając się nie zdradzić wzrokiem czy drzeniem głosu, że coś jest nie w porządku.

Po raz pierwszy Nautolanin zmienił wyraz twarzy. Błona na czarnych oczach jakby zawirowała.

- Wasze Rody potrzebują nauki... Chyba trzeba będzie zapisać ją krwawymi zgłoskami.

Miotacz Quilla unosił się już do poziomu, a jego lśniąca lufa kierowała się powoli w plecy obcego. Intruz nawet się nie obejrzał, tylko jego dłoń wykonała szybki gest. Lśniąca rękojeść u pasa nagle otoczyła się mgiełką. Pręt przypominający kawałek rozżarzonego drutu wygiął się nagle i śmignął w kierunku miotacza Quilla. Miał ze trzy metry długości, był cienki jak nić i błyskawicznie owinął się wokół lufy. Przybysz leciutko skrzył nadgarstek i miotacz został nagle przecięty na pół, a jego rękojeść rozżarzyła się do białości. Quill rzucił broń, wyjąc z bólu. Podniósł poparzone palce do ust, ssąc je i chłodząc na przemian.

- A teraz - Kit Fisto uśmiechnął się posępnie - czy możemy już zacząć negocjacje?

Zanim Obi-Wan dotarł do pałacu, w korytarzach wrzało. Natychmiast zaprowadzono go przed oblicze G'Mai Duris. Królowa X'Tingów siedziała skulona na tronie, słuchając słów małej, krótkonogiej Zeetsy z bardzo zafrasowaną miną.

- ...regentka Duris - zakończyła zdanie błękitna istota. Jej pulchne dłonie wskazywały coś na mapie w powietrzu, a oczka z troską przyglądały się rysunkowi.

- Wybacz mi, Shar Shar - rzekł Obi-Wan możliwie jak najdelikatniej - jeśli macie jakieś problemy z siecią transportową, które wymagałyby przesunięcia negocjacji, może powinienem wrócić do innych...

Duris podniosła wzrok. W jej fasetkowych oczach pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem łzy wdzięczności.

- Mistrz Jedi! - wykrzyknęła. - Obi-Wanie, obawiam się, że mamy tu sytuację awaryjną. Dobrze, że jesteś!

- Doprawdy? - zdziwił się. - Jak mogę pomóc?

- Pięć Rodów powinno było się tu zjawić godzinę temu. Wygląda na to, że ich prywatna salonka zaginęła.

Zaginęła? - Obi-Wan zdołał ukryć zadowolenie w głosie.

- Cała planeta poryta jest tunelami. Wiele z nich nawet nie jest zaznaczonych na mapie. Możliwe, że ktoś w jakimś sobie tylko znanym celu przekierował wagon z głównej trasy do jednego z tych drugorzędnych tuneli.

- I nie mieliście z nimi łączności?

- Żadnej - odparła Duris.

Obi-Wan uważnie przyjrzał się mapie i zrobił posępną minę.

Mam nadzieję, że wszystkie inne wagony, które jeżdżą po terenie zaznaczonym na tej mapie, są zaopatrzone w czujniki umożliwiające uniknięcie kolizji?

- Mój inżynier może odpowiedzieć na to pytanie - powiedziała regentka.

Inżynier był niskim, siwiejącym człowieczkiem, który wyglądał tak, jakby obecne problemy mogły go

kosztować ostatnie kępkę włosów i - Tak, mamy doskonałe czujniki.

- Powiedz mi - zwrócił się Obi-Wan do Duris - co do tej pory wiadomo na ten temat.

- Grupa zarządu Pięciu Rodów prawdopodobnie została porwana.

- Czy to ten Pustynny Wiatr, o którym słyszeliśmy?

- Nie wiemy - odparła. - Niewiele było słyhać o nich od zeszłego roku, więc uznaliśmy, że już nie stanowią zagrożenia. Poza tym to nie wygląda na ich styl...

Obi-Wan przymknął oczy i doliczył do pięciu, po czym otworzył je znowu i zapytał z niewinną miną:

- Czy można zrobić mapę całego systemu?

Inżynier skinął głową.

- Tak, oczywiście, ale po co?

- Aby sprawić, że wagonik znikł, trzeba by było odłączyć go od zasilania. Pojedyncze wagony magnetyczne powinny zareagować na nieobecność ruchomego obiektu, zwalniając lub przyspieszając. Stopień zakłócenia będzie się zwiększał w miarę, jak zbliżamy się do punktu wyjścia.

- A więc prawdopodobnie mieli dostęp do naszych komputerów. Nie pozostawili śladów...

- Nie pozostawili bezpośrednich śladów, to prawda. Czy wagonik widmo może wpływać na czujniki zbliżeniowe innych pojazdów?

- No cóż... - usta inżyniera rozciągnęły się w uśmiechu, bo wreszcie zrozumiał, co Obi-Wan ma na myśli. - Nie. System bezpieczeństwa pozostaje poza główną siecią. Zabezpieczamy się w ten sposób, aby pojedynczy błąd w sterowaniu centralnym nie spowodował całkowitej katastrofy.

- Dobrze - rzekł Obi-Wan, obserwując, jak cały system ożywa w postaci unoszącej się w powietrzu sieci srebrnych nitek. ~ Teraz przefiltruj mi informację o zbliżeniach od samych wagoników, pokazując ich rzeczywistą pozycję i miejsce, gdzie powinny być zgodnie z rozkładem.

Inżynier pobladł.

- Ależ, proszę pana... nie jesteśmy na Coruscant. Nie mamy dość szybkiego komputera, aby znaleźć punkt wyjścia...

Obi-Wan podniósł rękę.

- Nie szukam czegoś konkretnego. Chcę tylko znaleźć to, czego nie ma. Tam, gdzie komputer nie poradzi, być może zadziała Moc. Przedstaw mi obraz sieci.

Inżynier wytrzeszczył oczy na Obi-Wana. Duris skinęła głową i zamachała pierwszą parą rąk.

Wkrótce każdy element na obrazie został zdublowany.

- Zrób tak, żeby projekcje były czerwone, a rzeczywiste obrazy niebieskie - polecił Obi-Wan, zniżając głos.

Duris pamiętała opowieści o mitycznych wojownikach; teraz z trudem powstrzymywała dreszcz prawie nadnaturalnej trwogi. Skinęła inżynierowi głową i w obrazie zaczęły się kształtować przezryste, nakładające się obrazy. Rysunek stał się niewyobrażalnie skomplikowany, ponieważ każdy wagonik przyspieszał lub zwalniał, aby skompensować brak jednego z nich. Wreszcie zaczęły one przeszkadzać innym wagonikom na trasie, powodując, że i te musiały zwalniać lub przyspieszać. Efekt przypominał rozchodzenie się fal po wodzie.

Obi-Wan stał pośrodku ogromnego falującego labiryntu z przymkniętymi oczami, a wyciągniętymi dłońmi starał się wyczuwać ten ogromny ruchomy układ. Nagle powoli się odwrócił i wskazał na fragment tunelu pomiędzy jednym z zewnętrznych pierścieni luksusowych apartamentów a centralną częścią miasta.

- Stąd właśnie wyjechał wagon-widmo. A więc prawdopodobnie w tym miejscu prawdziwy wagon znikł.

Duris spojrzała na inżyniera, który zgarbił się lekko.

Jedi wykreślił linię wzdłuż jednego z odgałęzień tunelu.

- Pojechał tutaj... - tunel rozgałęział się znowu. Przesunął palcem po jednej z tras, potem zawrócił i spróbował drugiej. - A potem zwolnił i zmienił poziomy.

W sali tronowej zapadła pełna przerażenia cisza. Na tym tle następne słowa zabrzmiały okropnie głośno.

- I znów ruszył, aż...

Obi-Wan przekrzywił głowę.

- Dziwne. Nie ma tu zaznaczonych żadnych torów. Czy nie powinno ich być?

Inżynier odchrząknął. Mierzył gościa wzrokiem przerażonym, ale pełnym podziwu.

- No cóż... Przyjrzał się uważnie hologramowi obracającemu się nad jego walizeczką; po chwili podniósł głowę i zmarszczki wokół jego zaciśniętych ust pogłębiły się. - Jest tu korytarz serwisowy, który usunięto z mapy, ponieważ był w fatalnym stanie technicznym i nie spełniał norm.

Obi-Wan wciąż miał zamknięte oczy.

- A tak naprawdę?

- W istocie, jeśli wciąż jeszcze jest zgodny z dawnymi specyfikacjami, może bezpiecznie przyjąć

obciążenie.

Znowu zapanowało milczenie. Obi-Wan skinął głową.

- A więc tam znajdziecie swój brakujący wagon.

Inżynier z trudem przełknął ślinę.

- Regentko Duris - rzekł - pozostaje problem dotarcia do tunelu. Jeśli przyjmiemy, że porywacze są podłączeni do centralnej sieci, mogą zobaczyć na monitorach wszystko, co robimy w celu przekierowania pociągu. To uniemożliwia działania poprzez sieć. Dotarcie z grupą uderzeniową zajmie kilka godzin. Czy mamy tyle czasu?

Obi-Wan spojrzał na regentkę. Duris gryzła chitynową dolną wargę. Jeśli to Pustynny Wiatr, nie musiała się obawiać o życie przedstawicieli Pięciu Rodów. Pustynny Wiatr porywał, ale nigdy nie zabijał z zimną krwią. Nie ich styl. Mogli jednak przygotować uprowadzenie jeńców w jakieś sekretne miejsce - a tam nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Oczywiście, istniała i taka możliwość, że to nie Pustynny Wiatr. Na Cestusie trudno się było czegoś dowiedzieć...

Patrząc na Obi-Wana, Duris stwierdziła, że ani przez chwilę nie wątpiła, iż ten zdumiewający człowiek zrobi to, z czym nie dałyby sobie rady komputery Cestusa. Wykorzystując jedynie moc umysłu i tajemniczą Moc, mistrz Kenobi zdołał znaleźć zaginionych członków Rodów. Wszystkim, co zdarzyło się do tej pory, Duris była oszołomiona, zdumiona i zmieszana jak nigdy przedtem, od dnia, gdy wstąpiła na tron. Czowała się niepewnie.

- Możesz mieć rację - mruknęła. - Chyba rzeczywiście nie mamy czasu, a zwykłe środki nie na wiele się zdadzą. Mistrzu Jedi, czy masz jakiś plan?

- Powiedzcie swoim ludziom z ochrony, żeby nie strzelali, dopóki nie zidentyfikują porywacza.

- Co zamierzasz zrobić?

Obi-Wan zawiesił głos, aby uzyskać dramatyczny efekt, i rzucił:

- Coś drastycznego.

Wagony z rudą, ciężkie transportery, pojazdy pasażerskie, maszyny górnicze i roboty naprawcze - wszystko to płynęło tym samym labiryntem szyn magnetycznych i torów lewitacyjnych, śmigając jedno obok drugich, jakby były żywymi, oddychającymi istotami, indywidualnymi strukturami wewnątrz większego organizmu, komórkami w ciele zwanym Cestus, trutniami w technologicznym roju.

Na dachu jednego z tych pojazdów, przylegając do powierzchni siłą mięśni wyćwiczoną przez dziesięciolecia szkolenia, przycupnął rycerz Jedi Obi-Wan Kenobi. Wyjątkowo szybkie i ostre zakręty, przyspieszenia i hamowania kompensował głębokim zrozumieniem rytmów wszechświata i jego niewidzialnych prądów.

W zaciszu swojego apartamentu Obi-Wan przez długą, bezseną noc samotnie zgłębiał i przyswajał wzorzec systemu wahadłowców. W obecności G'Mai aktualizował jeszcze tę wiedzę przez kilka minut. Wszyscy obserwowali go ślęczącego nad mapą przez wiele godzin, ale i tak próba, jakiej się podjął, pozostawała dla nich imponującym wyczynem. Dzięki nabytym w tajemnicy informacjom i praktycznym umiejętnościom kolejne działania Jedi wydadzą się jego gospodarzom cudem, co powinno wytrącić ich z równowagi - zwłaszcza podstępного Quilla.

Najpierw jednak Obi-Wan musiał tego dokonać, mimo iż wiedział, że czujniki na pojazdach śledzą każdy jego ruch.

Wagonik zaczął zwalniać i kierować się w lewo. Używając instynktów wykraczających daleko poza poziom świadomych myśli, Jedi skoczył, zanim jeszcze zobaczył kolejny wagon.

Przez chwilę wisiał na ścianie tunelu, lecz już po chwili poczuł pęd powietrza spowodowany zbliżaniem się kolejnego wagonu magnetycznego. Przez moment jego transpastalowe ściany przypominały wielkie jarzące się ślepiea jakiegoś podziemnego stworzenia. Obi-Wan zauważył nawet pasażerów, zajętych czytaniem lub rozmową, którzy nagle podnosili głowy i wytrzeszczali oczy na widok człowieka zwisającego ze sklepienia tunelu. Jakaś żółtoskóra Xexto zamachała rozpaczliwie wszystkimi czterema ramionami, wrzeszcząc, że biedak próbuje chyba popełnić samobójstwo.

- Przepraszam - mruknął Obi-Wan, po czym skoczył i przylgnął do przedniej części wagonika, kiedy ten zwolnił na zakręcie. Uderzenie i tak było dość silne, by pozbawić go oddechu.

Przywarł do pojazdu z desperacką siłą. Osiemnaście sekund do następnego punktu; musiał je odliczać sam, uśmiechając się w duchu na widok cywili wpatrzonych w niezwykle zjawisko.

Zanim ktokolwiek zdołał energiczniej zareagować, już go nie było.

Obi-Wan zaklinował się teraz pomiędzy sufitem i ścianą, opierając się na dłoniach i stopach. W tym miejscu tunel krzyżował się z innym, towarowym. Minęło ledwie dziesięć sekund, zanim usłyszał wycie nadjeżdżającego kolejnego wagonu i ujrzał pojedyncze oko reflektora na ułamek sekundy, zanim znalazło się pod nim. Zeskoczył na wagon z rudą. Nierówna sterta kamieni była tak stroma, że omal nie zjechał po niej na tory. Gorączkowo szukał czegoś, czego mógłby się chwycić; znalazł, stracił i znalazł znowu. Sztuczny huragan szarpnął nogi Obi-Wana w bok, a on podkulił je o ułamek sekundy za późno. Prawą piętą uderzył w ścianę, obrócił się, poleciał w tył. Szarpnięcie zmusiło go do zwolnienia uchwytu; z trudem złapał za coś nieco niżej.

Wiatr chłostał go niemiłosiernie, ale nie mógł z tym nic zrobić, nie teraz. Wiedział, że cestiańskie komputery przyswoiły jego opierającą się na Mocy analizę kinetyki systemu i uznały ją za prawidłową. Teraz być może nawet zaadaptowały swoje programy, aby dało się nimi wyśledzić jego miejsce pobytu; pewnie mogły skontrolować niezidentyfikowanego osobnika przeskakującego z wagonu na wagon w całym systemie.

Ta świadomość i obecność monitorów nad głową upewniły go, że jego jednoosobowe przedstawienie ma publiczność równie krytyczną, co podejrzliwą.

Przenosił się z wagonu na wagon, aż wreszcie dotarł do rozjazdu, gdzie mógł zeskoczyć, lądując na metalowych szynach. Oddychał szybko i urywanie, nie pozwalając, aby lęk czający się tuż pod powierzchnią spokoju dał o sobie znać.

Czas. Czas.

Obi-Wan pochylił się i wyczuł tor, wzdłuż którego poruszał się wagonik magnetyczny. Właśnie nadjeżdżał. To już niedługo, a on nie ma czasu na inny plan. Może tylko kontynuować to, co zaczął. Nagła fala powietrza uderzyła w niego jak przypływ, pokonując starannie skonstruowane blokady umysłowe.

Teraz. Obi-Wan odwrócił się i pobiegł wzdłuż tunelu tak szybko, jak tylko mógł, uciekając przed wagonem toczącym się wprost na niego. Słyszał już jego ostrzegawczy sygnał. W ostatniej chwili skoczył do przodu, wykorzystując resztki sił, jakie mu pozostały, aby przyspieszyć i obrócić się w powietrzu.

Na krótki moment jego ciało, napędzane doskonale wyćwiczonymi mięśniami i systemem nerwowym zgranym z najgłębszymi prądami Mocy, nabrało prędkości wagonu - około pięciu metrów na sekundę. Naprężył pierś, wypuszczając z płuc powietrze dokładnie w chwili uderzenia, wykorzystał ramiona jako amortyzatory. Zderzenie wycisnęło z niego oddech, ale to pozwoliło mu w znacznym stopniu osłabić cios, a co za tym idzie, przeżyć skok. Gdyby nie udało mu się osiągnąć takiej szybkości...

Gdyby nie zdążył się obrócić...

Gdyby wydech nie został dokładnie skoordynowany...

Byłby teraz zmiażdżony, wciągnięty pod pojazd i rozszarpany na kawałki.

Obi-Wan zdołał wciągnąć się wyżej na wagon, potem jeszcze wyżej, aż posiniaczony, z trudem chwytając oddech, położył się na dachu, aby przeczekać do końca jazdy.

W pomieszczeniach rady członkowie Pięciu Rodów, którzy mieli dość szczęścia, aby nie dać się porwać, obserwowali cały pokaz z zapartym tchem.

- Co to za istoty, ci Jedi? - szepnął Llitishi, ocierając pot z niebieskiej, pomarszczonej skóry.

- Nie wiem... ale jestem głęboko wdzięczny, że mamy ich po swojej stronie - odparł Debbikin starszy, mając nadzieję, że jego syn jest bezpieczny. - Sądzę, że musimy dokładnie przemyśleć naszą postawę.

Jego słowa zostały przyjęte pomrukiem aprobaty, Wszyscy rzucili się do czujników, żądając dalszych danych.

Ponad godziną po odcięciu zasilania od wagonu i osadzeniu go na dnie szybu nastroje w jego wnętrzu bynajmniej nie uległy poprawie. Pojmani przywódcy Pięciu Rodów z zaniepokojeniem obserwowali, jak do ich samotnego porywacza dołącza trzech osobników ubranych w mundury khaki Pustynnego Wiatru. Intruzi wymienili kilka cichych uwag, po czym rozeszli się, by realizować swoje plany. Widocznie chcieli możliwie jak najszybciej oddzielić swoje ofiary od miejskiej sieci.

- Co zamierzacie z nami zrobić? - zapytała lady Por'Ten.

- Zaczekaj - odparł zamaskowany żołnierz Pustynnego Wiatru. Sama zobaczysz.

Ciemnooki Nautolanin nie powiedział nic.

Z początku mieli nadzieję na ratunek, ale kiedy zobaczyli, że ich porywacze przygotowali elektroniczne urządzenia zakłócające, aby ogłupić czujniki i monitory w tunelu, stracili wszelką nadzieję na ocalenie.

Jeden z bandytów patrolował okolice wagonu, dwaj zostali wewnątrz z Nautolaninem. Młody Debbikin obserwował tego na zewnątrz. Napastnik spacerował tam i z powrotem wokół wagonu, ale... nagle znikł. Debbikin się zdumiał, ale po chwili porywacz pojawił się znowu. Tylko... czy to na pewno był ten sam żołnierz? Czy mu się zdawało, czy przez barwione okna wagonu zobaczył krótką a gwałtowną walkę?

Nadzieja była luksusem, na który bali się sobie pozwolić. A jednak...

- A teraz... ~ zaczął wyższy z bandytów z Pustynnego Wiatru. Nie dane mu było dokończyć zdania. Na szyję spadła mu pętla z czarnego sznura. Pętla się zacisnęła, a żołnierz, wierzgając, wrzeszcząc i szarpiąc sznur zakrzywionymi palcami, znikł we włazie awaryjnym na dachu. Nautolanin obejrzał się i warknął wściekle.

Obi-Wan wskoczył do wagonu, powiewając płaszczem jak drapieżny ptak skrzydłami. Ubrany w płowy uniform żołnierz Pustynnego Wiatru był najbliżej i dlatego najszybciej został pokonany krótkim ciosem miecza świetlnego. Odskoczył, a rękaw jego kurtki dymił i tlił się.

Nautolanin spojrział na przeciwnika i przez moment widać było/że zapomniał o zakładnikach.

- Jedi! - warknął.

Oczy Obi-Wana zwężyły się w szparki. Po dworskich manierach nie pozostało nawet wspomnienie. W jednej chwili z ambasadora przeistoczył się w najniebezpieczniejszego z wojowników.

- Nemonus - syknął i dodał: - Nie po raz pierwszy próbujesz krwawej dyplomacji.

- I nie ostatni - odparł Nautolanin. - Ale po raz ostatni toleruję twoje wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

Bez dalszych wstępów rzucili się na siebie. Rozpoczęła się walka.

Żaden ze zgromadzonych w wagonie nie zapomni tych kilku chwil do końca życia. Nautolanin z demoniczną precyzją wymachiwał jarzącym się pejczem, który wił się krętą plamą. Bicz wyginał się w łuk, wił i skręcał jak żywa istota. Lecz gdziekolwiek był, czegokolwiek próbował, zawsze trafiał na Jedi.

Wiele razy zastanawiano się, dlaczego Jedi wolą miecz świetlny od miotacza. Wszelkie wady broni o tak krótkim zasięgu były oczywiste. Teraz jednak, kiedy więźniowie obserwowali rozgrywający się na ich oczach dramat, jedno stało się jasne - miecz Obi-Wana poruszał się niczym przedłużenie jego własnego ciała, rozżarzona ręka lub noga, przepojona tajemniczą potęgą Mocy.

Obaj przeciwnicy byli prawie idealnie równi wzrostem, można się więc było spodziewać, że dłuższy pejcz świetlny będzie zaletą, lecz w ograniczonej przestrzeni to sienie sprawdzało. Co dziwniejsze, choć bicz Nautolanina sypał wokół iskrami, odrywał gorące kawałki metalu z paneli i zasypywał nimi wszystkich, żaden z pasażerów nie odniósł obrażeń. Nautolanin wydawał się uosobieniem agresji. Jego twarz wykrzywiała się w bojowym grymasie; pluł przekleństwami w obcych językach, a ciało poruszało się z elastyczną zwinnością, przekraczającą normalne możliwości kręgowców.

Z pewnością Jedi się wystraszy i ucieknie, by ratować własną skórę. Nic nie jest w stanie oprzeć się takiemu przerażającemu, morderczemu atakowi.

Lecz mistrz Kenobi trzymał się dzielnie. Kluczył w wąskiej przestrzeni, a jego miecz świetlny lśnił jak pustynna błyskawica, odbijając każdy cios pejcza. Szybkość i zacięcie Nautolanina znalazły godnego przeciwnika w chłodnej i bezlitosnej determinacji Jedi. Skakali, przetaczali się, krążyli po pomieszczeniu i wykonywali salta, które sprawiały, że wydawali się stąpać po suficie. Robili uniki i atakowali, osiągając poziom hiperkinezy równie pierwotny, co piękny.

Mistrz Kenobi jako pierwszy przebił się przez zasłonę przeciwnika, a pejcz świetlny miał spore problemy z przechwyceniem lśniącej klingi, żeby się obronić. Rękaw szaty Nautolanina zapłonął krótkim, intensywnym błyskiem. Wtedy nagle zachowanie porywacza zmieniło się diametralnie. Nautolanin warknął, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Jedi miał przewagę! Jeszcze jedno starcie, najwyżej dwa i mistrz Kenobi rozwiąże zagadkę pejcza, a wtedy... zabije.

Nautolanin ciał to w tę, to w tamtą stronę, jakby zbierając siły na nowy atak. A potem jednym gładkim, nieuchwytnym dla oka ruchem chwycił rannego żołnierza Pustynnego Wiatru, jakby był małym dzieckiem. Skoczył przez dach i już go nie było. Usłyszeli tylko oddalający się tunelem odgłos kroków. A potem... cisza.

Mistrz Kenobi zwrócił się ku zakładnikom. Jego rysy rozluźniały się powoli, nie przypominały już bitewnej maski. Gdyby pierwszy się nie odezwał, w wagonie przez najbliższą godzinę nie padłoby

ani jedno słowo.

- Nic wam nie jest? - zapytał.

Quill stracił całą swoją elokwencję.

- Nie, nic! Ja... to było niesamowite! Zawsze słyszałem opowieści o Jedi, ale nigdy... Chciałem tylko powiedzieć: dziękuję! Bardzo dziękuję!

Mistrz Kenobi zignorował go. Podchodził do każdego z więźniów po kolei, upewniając się, czy wszyscy się dobrze czują. Następnie sprawdził, przeanalizował i odłączył urządzenie zakłócające. W ciągu kilku chwil w wagoniku znów zapłonęły światła. Robot zaczął się wiercić, zbudzony z drzemki. Spojrzał na Kenobiego.

- Ach, Mistrz Jedi. Przypuszczam, że to pan przywrócił mi zdolność działania.

- To prawda. - Jakie ma pan rozkazy?

- Odwieź tych ludzi z powrotem do stolicy.

- Tak jest, natychmiast.

Robot w jednej chwili wprowadził swoje słowa w czyn. Ocaleni zakładnicy wydali niezbyt pewny okrzyk radości - nawet Quill, którego fasetkowe oczy lśniły podziwem. Młody Debbikin nieśmiało pociągnął zbawcę za brzeg szaty.

- Mistrzu Jedi - szepnął. - Jak możemy się odwdzięczyć?

Jedi uśmiechnął się ponuro.

- Powiedz ojcu, żeby pamiętał o swojej powinności.

Głęboko w górach, sto klików na południowy wschód od stolicy, odbywała się huczna zabawa. Były śpiewy i mnóstwo śmiechu, a przy okazji trochę pijackich żartów.

Nate z głęboką satysfakcją oparł się plecami o skałę. Operacja rzeczywiście poszła gładko, bez żadnych strat własnych. Wprawdzie gardło nieco go bolało od garoty Kenobiego, ale uchwyt ukryty w kołnierzu kurtki sprawił się znakomicie. Dodatkowe wzmocnienie w mundurze Pustynnego Wiatru OnSona ochroniło go przed starannie wymierzonym ciosem miecza świetlnego Kenobiego. Pod każdym względem, począwszy od uzyskania niezbędnych informacji od przestępczyni Trillot, po jej przekazanie, od oceny po opracowanie planu, od przeniknięcia do sieci zabezpieczeń transportu po uprowadzenie wagonu, od przebrania się za zdziętkowane siły Pustynnego Wiatru po zdławienie oporu Pięciu Rodów, od symulacji walki z generałem Kenobim po przeprowadzenie ucieczki...

Wszystko poszło gładko, bez jednego błędu.

Nate miał jeszcze jedną, dodatkową satysfakcję- ze swojego miejsca na dachu wagonu był świadkiem „pojedyńku” pomiędzy dwoma Jedi. Sądził, że widział i wie już wszystko na temat walki wręcz: teraz zrozumiał, że najbardziej zaawansowane sztuki walki, jakie Poznał na Kamino, były jak prymitywne zabawy łobuzów w ciemnej uliczce.

Nate wiedział teraz, że Jedi mają coś, co uratuje żołnierzom życie, Jeśli zdołają się czegoś więcej dowiedzieć na ten temat.

Ale jak? Z tą palącą myślą w głowie oparł się o skałę i zapatrzył w gwiazdy, z rozkoszą wspominając każdy ruch miecza świetlnego i pejcza.

Sheeka Tuli posadziła „Spindragona” w bezpiecznej odległości i powędrowała do obozowiska w świetle przybywającego podwójnego księżyca. Właśnie zakończyła męczącą przejażdżkę pomiędzy trzema z sześciu głównych węzłów miejskich Cestusa, dostarczając ładunek, którego przewożenie tunelami było nielegalne.

Znajoma postać, bez hełmu, za to w ciemnozielonym kombinezonie, zbliżyła się do niej, machając ręką.

- Sheeka, jak miło cię widzieć.

Wszystko w tym człowieku było znajome, od brązowej skóry po mocno umięśnione ciało, ale zmierzyła go wzrokiem.

- Nie jesteś Nate - odparła, choć w swobodnym stroju żołnierza nie było miejsca na insygnia czy inne

oznaki identyfikacyjne.

Fony zamrugał, udając urażoną niewinność.

- A kimże innym mógłbym być?

Zachichotała i dziabnęła go palcem.

- Nieźle, nieźle. Ale on ma małą bliznę tu, na szczęce, a ty nie.

Zza pleców Forry'ego wyszedł Sirty, śmiejąc się z porażki brata.

Forry z wyrzutem wyszczerzył zęby.

- No dobrze, masz rację. Chciałem tylko zażartować. - Podniósł w górę kciuk. - Nate jest po drugiej stronie obozowiska.

- Nieźle ci poszło - klepnęła go w ramię i ruszyła na spotkanie z... przyjacielem? Czy byli przyjaciółmi? Uznała, że może użyć tego słowa. Przyjaźń z klonem jej martwego ukochanego. Trochę makabryczne, ale też dziwnie ekscytujące.

Znalazła go opartego o skałę, pogrążonego w rozmyślaniach. Uśmiechnął się na jej widok i uniósł w salucie kubek cestiańskiego młodego miodu.

- Co to za święto? - zapytała, podejrzewając, że zna już odpowiedź.

- Mała operacja, która poszła nawet lepiej niż się spodziewano. I nie, nikt nie zginął.

Spojrzała mu w twarz bardzo uważnie.

- Rozczarowany?

Zmarszczył brwi.

- Jasne. Miałem nadzieję na ludzką jatkę z barbecue.

Usiadła obok i również oparła się o kamień.

Touche. Nie powinnam cię winić o to, że lubisz swoją pracę. Do tego zostałeś wyszkolony.

- I to doskonale - zgodził się. Sheeka była zadowolona, że nawet ci zabójczy, świetnie wytrenowani wojownicy z próbówki mieli poczucie humoru.

i - Czy zostałeś przeszkolony we wszystkich aspektach żołnierskiego zachowania? - zapytała.

- Absolutnie we wszystkich.

Spojrzała na niego nieco uważniej.

- A czy żołnierze tańczą?

Teraz to on stracił humor i poważnie się zadumał.

- Oczywiście. Jakaliański taniec z nożem to główne narzędzie do nauki oceny dystansu, synchronizacji i rytmu w walce.

Jęknęła. I znowu ta pragmatyka. I - Aleja mówię o innym tańcu. Wiesz: kobieta, mężczyzna. Taniec.

Wzruszył ramionami.

- Współtowarzysze często urządzą zawody w tańcu. Grupowe i indywidualne.

Sheeka spróbowała zwalczyć rosnące uczucie beznadziejności.

- Więc nigdy nie robiłeś tego dla zabawy?

Skrzywił się.

-To jest zabawa.

- Męczysz mnie - odparła i wyciągnęła ramiona. - Chodź.

Zawahał się, ale podszedł.

Muzycy zagrali jakąś szybką melodię na flet i bębenek. Kroki tańca były lekkie i skomplikowane. Rekruci śmiali się, rozmawiali, klaskali, obracając swoje partnerki z entuzjazmem, jaki mogą okazywać jedynie ludzie, którzy pragną rozładować emocje. Żołnierze ich obserwowali, postukując stopami do rytmu. Od czasu do czasu któryś z nich wykonywał w rytm muzyki serię precyzyjnych, bojowych ruchów, okraszonych padami i przewrotami. Rekruci witali te wyczyny brawami i okrzykami.

Co się właściwie dzisiaj stało? Nie wiedziała, czy powinna pytać. Nate miał niezłą koordynację ruchów, ale niewielkie pojęcie o tym, jak się poruszać z partnerką. Ale i tak jej się to podobało. Bardzo jej się podobało.

- Słyszałam na skanerze różne rzeczy - rzuciła niewinnie.

- Naprawdę? - zdziwił się. - A co mówili?

Trzymał Sheekę mocno i jakoś udało mu się zgrać z muzyką, aby ją obrócić. Zrobiło to również kilka innych par i powietrze wypełniło się radosnymi pohukiwaniami.

- A, coś tam o porwaniu grupy przedstawicieli Pięciu Rodów. I uratowaniu ich.

- Porwaniu? Uratowaniu? - zawołał, wytrzeszczając oczy. - Nieźle. Brzmi ekscytująco.

Aha, czyli nic nie powie. Cóż, może to nie jej sprawa, choć z liczby świętujących osób można było sądzić, że operacja była dość szeroko zakrojona. Przyszło jej do głowy, że szczegóły spróbuje później wydobyć od farmera lub górnika.

Musiał zauważyć jej zmarszczone brwi i zamyśloną twarz i błędnie to zinterpretował.

- Widzę - rzekł - że nie podobała ci się nasza misja.

- Nie o tym myślałam.

- Ale ci się nie podoba. Dlaczego nam pomagasz?

- Nie robię tego z własnej woli.

- Więc dlaczego? Co tamci mają na ciebie?

Zaśmiała się w odpowiedzi, ale był to śmiech bardzo wymuszony.

- Gdzieś na Coruscant jest plik komputerowy, w którym wymieniono wszystkie niedyskrecje, jakie ktokolwiek popełnił w całej galaktyce. Pojawiła się potrzeba, więc znaleźli moje nazwisko i... no cóż, lepiej wyświadczyć przysługę, niż spędzić dziesięć lat w obozie pracy na jakiejś zapyziałej planecie.

- Twoje nazwisko było na liście?

Skinęła głową.

- Szybko wyciągasz właściwe wnioski.

- Zdaje się, że to się nazywa sarkazm.

- Właśnie - mruknęła. - Z każdą minutą stajesz się bardziej ludzki. Następnym razem wypróbujemy ironię.

Skrzywił się gniewnie, aż zachichotała.

- No w i ę c . co zrobiłaś?

- Moja młodsza siostra wstąpiła do sekty religijnej na Devonie Cztery. Kiedy odmówili płacenia podatków, Coruscant nałożył na nich embargo. Potem kolonię nawiedziła zaraza, groziła im śmierć, wszystkim, kobietom, mężczyznom i dzieciom. Nikt nic nie chciał zrobić, więc...

Skinął głową ze zrozumieniem.

- Przywiozłaś im leki. A twoja siostra?

Zachichotała.

- Gdzieś na Zewnętrznych Rubieżach wychowuje stado wrzeszczących bachorów. I tak zrobiłabym to jeszcze raz.

- Nawet gdyby to miało cię znów doprowadzić tutaj?

Dziwne, ale czuła się teraz o wiele lepiej. Przyszło jej do głowy, że to „tutaj” oznacza nie tylko planetę, ale i jego ramiona.

- Nawet wtedy.

- Zauważyłem, że częściej rozmawiasz ze mną niż z moimi braćmi - szepnął z ustami tuż przy jej uchu. - Dlaczego?

- Intrygujesz mnie.

- Czym?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Może dlatego, że jako jedyny jesteś szkolony w dowodzeniu. To sprawia, że jesteś podobny do Jango.

Spojrzał na nią uważnie.

- Powiadali, że był samotnikiem.

- Tak - przyznała. - Ale także i urodzonym przywódcą. Potrafił wręcz stawać się niewidzialny. O ile wiem, sporo ludzi przekonało się o tym i ciężko tej wiedzy żałowało.

Nate zaśmiał się twardo i sucho. O, tak, z pewnością.

- Ale kiedy chciał, ściągał na siebie wszystkie spojrzenia. - Urwała na ułamek sekundy. - Zwłaszcza moje. - Jej głos złagodniał. - Ale to było dawno temu. Miałam osiemnaście lat, a Jango dwadzieścia pięć.

- Czy już wtedy był łowcą nagród?

Przymknęła oczy, próbując sięgnąć do dawniejszych wspomnień.

- Chyba właśnie znalazł się w okresie przejściowym. Był wolny zaledwie od dwóch lat, Mandalorianie zostali już wtedy rozbici. Spotkałam go w sektorze Meridiana. Zgubił gdzieś swoją broję i właśnie jej szukał. - Uśmiechnęła się w zadumie. - Byliśmy razem przez rok. Potem sprawy przybrały niebezpieczny obrót. Zostaliśmy napadnięci przez kosmicznych piratów. Nasz statek został zestrzelony, a my, w samym środku naprawdę koszarnej bitwy, musieliśmy wsiąść do od dzielnych kapsuł ratunkowych. Nigdy więcej go nie widziałam. - Zamilkła na chwilę. - Słyszałam, że przeżył i odzyskał broję. Nie wiem, czy mnie szukał. - Wzruszyła ramionami. - Życie czasem takie jest dodała smutno.

Nagle roześmiała się, aż odchylił się w tył i spojrzał na nią zdumiony.

- Z czego się śmiejesz?

- Przypominasz mi Jango. Zawsze tak samo ukrywał swoje uczucia. Ale pamiętam chwile, kiedy wypuszczał je z klatki.

- Na przykład?

Poczuła, że łagodniejsza, bardziej namiętna strona jej osoby bierze górę i to ją uradowało. Obawiała się, że nigdy już nie doświadczy tego uniesienia.

- Może kiedyś ci powiem, jeśli będziesz miał szczęście.

Wiedziała, że teraz rozbudziła jego ciekawość, że chyba trochę przesadziła. Jango był małomównym człowiekiem, który starannie ukrywał uczucia. W wybranej przez niego profesji taka rezerwa była niezbędna do przeżycia.

Z kilku rozmów zdążyła się zorientować, że pomimo ogromnej wiedzy praktycznej i wojskowej, Nate nie miał najmniejszego pojęcia, jak żyją normalni ludzie. Do tej chwili, do momentu, kiedy wziął ją w ramiona, wiedziała, że traktuje ją z pewnym respektem i dystansem, trochę jak siostrę. Prawdopodobnie znał tylko dwa typy kobiet. Jedne to odległe obiekty, których trzeba bronić, a czasem też słuchać, i należy traktować je co najmniej z kurtuazją. Pozostałe to takie, które ofiarowują się żołnierzom w zamian za kredyty lub protekcję, do wykorzystania i odrzucenia. Rozbicie tego prostego światopoglądu mogło stanowić duże emocjonalne ryzyko.

Musiała jednak przyznać, że miała wielką ochotę przełamać jego rezerwę. Ciekawa była, co pod nią znajdzie.

Co się stanie, jeśli Nate zareaguje, jeśli dopuści do tego, by więź między nimi się pogłębiła? A jeśli przyjmie całkiem nowy kierunek? Odciągnęła go od bawiącego się tłumu w głęboki cień.

- I co teraz? - zapytała.

- Jesteśmy wolni od służby aż do rana. Dlaczego pytasz?

Wzięła go za rękę.

- Chodź - powiedziała. - Chciałabym ci coś pokazać.

- Muszę być na miejscu...

- Podobno nie jesteś na służbie. Nie możesz wychodzić poza bazę?

- Nie bardzo... - Przystanął. - Jeśli mnie wezwą, muszę być z powrotem w ciągu dwudziestu minut. Możesz mi to zagwarantować?

W myśli przeliczyła odległości.

- Mogę.

Pięć minut wspinania się po pokruszonych skałach doprowadziło ich do „Spindragona”. Nate zapiął pasy, a Sheeka szybko przygotowała się do startu i poderwała statek. Z widoczną wprawą skręciła najpierw na południowy wschód, pokonując sto kilometrów w dwanaście minut. Początkowo trzymała się blisko ziemi, żeby uniknąć skanerów. Potem, gdy znaleźli się już w bezpiecznej odległości, wzniosła się na standardowy szlak transportowy, pełen cywilnych pojazdów i podwójnych statków towarowych, wiozących towary klientów, którzy nie chcieli płacić podatku orbitalnego.

Nate obserwował umykający grunt, rozkoszując się łatwością i zręcznością, z jaką Sheeka pilotowała swój statek. Zawsze potrafił docenić kompetencję. Ta kobieta różniła się od wszystkich, jakie znał, i ta jej inność trochę go dezorientowała. Dziwne, ale nawet lubił to uczucie.

Pozwolił więc chętnie, by porwała go poza łańcuch ostrych, zębatych turni i łagodnie osadziła statek na podłożu. Znajdowali się zaledwie o osiemnaście minut lotu od obozowiska.

Osadę wykopano w zboczach góry, a otwory wejściowe mogły być zarówno naturalnego, jak i sztucznego pochodzenia. Zaledwie Sheeka wylądowała, na jej spotkanie wyszło kilku pozaświatowców i dwóch X'Tingów. Wszyscy wesoło machali rękami na powitanie.

- Kto to jest? - zapytał Nate.

- To moja przybrana rodzina - odparła. - Nie z natury, lecz z wyboru.

- Tu mieszkasz?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Tak dobrze jeszcze się nie znamy. Ale... mój dom bardzo przypomina te.

Teraz bez trudu rozróżniał kolejne siedziby. Wydawały się zamaskowane, jakby kolory dobrano umyślnie, by uczynić je niewidocznymi z powietrza. Jednak z perspektywy gruntu również stapiały się z cieniami i skałkami.

- Dlaczego się ukrywają?

- Nie ukrywają się. Po prostu lubimy góry i chętnie jednoczymy się z nimi, jeśli to możliwe.

I znów pewnie się okaże, że patrzy na wszystko oczami żołnierza.

Ze zbocza dobiegły nagle dźwięczne, wysokie głosy. Nate obejrzał się i zobaczył grupkę małych chłopców i dziewczynek, bawiących się w jakąś grę. Pełno było śmiechu i okrzyków. Dzieci nawoływały się po imieniu, piszczały i chowały się w długich cieniach.

W dole, wokół domów o barwie skał, kręciły się starsze dzieciaki. Niektóre z nich były X'Tingami - wdzięczne, smukłe, wielkookie, nieco podobne do Kaminoan. Przypuszczał, że to młodzież pracująca

z dorosłymi. Zajmują się budową, może naprawą narzędzi.

Obserwował ich przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co widzi. Stwierdził, że nie wszystko rozumie. A może to sama Sheeka przyprawiała go o takie zmieszanie? Przypomnił sobie własne, przyspieszone dzieciństwo i gry edukacyjne, w które się bawił.

I znów Sheeka Tuli wydawała się czytać w jego myślach.

- Jaki byłeś jako dziecko? - zapytała. Sprytne. Czy po to go tu przywiozła, żeby zobaczyć dzieci, w nadziei, że obudzi to jego własne wspomnienia?

Wzruszył ramionami.

- Nauka, dorastanie, praca. Tak jak wszyscy.

- Zwiedziłam wiele planet. Większość dziecięcych zabaw pomaga malcom odkryć własne silne strony. Jak to się dzieje u was? Przecież mieliście być tacy sami.

Czy znowu się z nim drażni? Z przyjemnością stwierdził, że właśnie tego od niej oczekuje.

-Nie całkiem. Oczywiście, pewną część edukacji musieliśmy sobie przyswoić wszyscy, ale potem nastąpiła specjalizacja. Uczyliśmy się różnych rzeczy, przygotowując do różnych funkcji, przechodziliśmy też odmienne treningi do walki w różnych wojnach. Nie było dwóch takich, którzy by żyli dokładnie w takim samym środowisku, dlatego jesteśmy silniejsi. Każdy przeżył niejedno życie i skumulował ich doświadczenia. Jesteśmy WAR, a ona żyje.

- Mógłbyś trochę odpuścić? - zauważyła i wyciągnęła do niego rękę. Zawahał się. Sprawdził komunikator, czy w razie potrzeby można go będzie szybko zlokalizować, po czym ruszył za nią.

Wąską, piaszczystą ścieżką Sheeka poprowadziła Nate'a w górę, ku wylotowi jednej z jaskiń. Południowy wiatr wiał im w plecy. Wylot tunelu miał cztery na sześć metrów. Po wejściu Nate stwierdził, że zamaskowane budynki na zewnątrz nie były w istocie domami mieszkalnymi, jak przypuszczał. Raczej jakimiś warsztatami. Wewnątrz jaskini znajdowało się jedno wspólne pomieszczenie, oświetlone fluorescencyjnymi grzybami porastającymi ściany. Grzyby były zwilżane płynnymi odżywkami, ściekającymi z wąskich rurek. Falowały luminescencyjną tęczą, a kiedy przysunął do nich dłoń, poczuł lekkie mrowienie.

- W większości miejsc na Cestusie pozaświatowcy zdominowali X'Tingów. Uważają ich za prymitywne istoty, choć twierdzą że to z szacunku. Ale jest też kilka takich enklaw jak ta, gdzie rzeczywiście uczą się od nich. Oni mają dużo do zaoferowania, jeśli tylko im na to pozwolić.

Stadko dzieci ludzkich i innych ras biegało tu i tam razem z młodymi X'Tingami, spalając energię jak eksplodujące gwiazdy i wypełniając radością życia całą jaskinię. Główne zajęcia wyraźnie już dobiegły końca, lecz kilkoro dorosłych wciąż jeszcze czyściło i naprawiało narzędzia, przyjaźnie wymieniając żarty i docinki.

Widząc zbliżającą się, Sheekę powitali ją przyjaźnie, Nate'a zaś obrzucili spojrzeniem wyrażającym niepewną, lecz szczerą akceptację. Wydawali się mówić: skoro jesteś w towarzystwie Sheeki, to... Powietrze pełne było cudownych zapachów. W wielu domostwach właśnie przygotowywano posiłki, składające się z mnóstwa pachnących, egzotycznych produktów. Ten radosny bałagan wydał się Nate'owi dziwnie przyjemny.

Gdy jednak ta myśl do niego dotarła, odezwało się uwarunkowanie, które natychmiast ją zdławiło.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Sheeka.

Zmusił się, aby udzielić odpowiedzi zarówno uczciwej, jak i zgodnej z jego systemem wartości i uczuciami.

- Wydaje mi się... że to dobre życie. Łatwe. Ale nie jest to życie dla żołnierza. Nie dla mnie.

Nate przypuszczał, że kobieta zaakceptuje tę odpowiedź, ale Sheeka zjeżyła się.

- Myślisz, że to takie łatwe? Wychowywanie dzieci, miłość, nadzieja... A ty? - Parsknęła krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. - Ty jesteś otoczony przez części zamienne. Statki, sprzęt, ludzie. Modułowy świat. Coś się zepsuje? Trzeba to zastąpić. - Jej drobne, silne dłonie zwinęły się w pięści. - Nigdy nie wychodzisz z domu, nie spodziewając się, że możesz zginąć. Jak sądzisz, jak to jest martwić się, czy twoje dzieci przeżyją? Kochać? Jak sądzisz, jak ten świat wygląda dla kogoś,

komu na nim zależy? Jak silny musi być człowiek, by ochronić nadzieję?

Jej wybuch przywrócił go do równowagi emocjonalnej.

- Może... Może wiem, co masz na myśli.

Ale ona mówiła dalej, jakby przygotowywała sobie tę przemowę przez wiele dni.

- Jak sądzisz, ile hartu ducha trzeba, aby zachować siłę, kiedy wszystko, co zdobyłeś przez całe życie... wszystko, co przez całe życie zdobywali twoi rodzice i dziadkowie... może ulec zniszczeniu dzięki decyzji kogoś, kto jest zbyt daleko, by go dosięgnąć?

Teraz to on się zjeżył.

- Ludzie tacy jak ja są po to, aby was bronić.

- Przed innymi ludźmi, takimi jak ty.

Powinien się obrazić o te słowa, ale poczuł jedynie smutek, przekonując się, że Sheeka nie jest aż tak odmienna, jak mu się zdawało. Po prostu była kolejnym outsiderem.

- Nieprawda. Tacy ludzie jak ja nie wszczynają wojen. My tylko w nich ginimy. Zawsze w nich umieraliśmy i zawsze będziemy umierać. Nie spodziewamy się z tego powodu żadnych pochwał, żadnych parad. Nikt nie zna naszych imion. Właściwie zgodnie z waszymi normami nawet ich nie mamy.

Coś w jego twarzy, głosie lub zachowaniu przebiło się przez jej gniew, bo nagle złagodniała.

-Nate...

Wyciągnęła rękę, jakby chciała ująć jego dłoń, ale cofnął się przed nią.

- Nie. To właśnie chciałaś usłyszeć? Tak, to prawda. Nie mamy imion. Nikt nigdy się nie dowie, kim jesteśmy. Ale my wiemy. Zawsze wiemy. - Wyprostował ramiona, wypowiadając tę prostą prawdę. Żołnierze zawsze wiedzieli, kim są. I zawsze będą to wiedzieć. - Jesteśmy Wielką Armią Republiki.

Sheeka pokręciła głową.

- Nate, przykro mi... nie chciałam cię osądzać.

Ale on nie złagodniał. Sheeka wyszła ze swojej obronnej skorupy i wiedział, że nie powinien jej teraz atakować, ale nie umiał się przed tym powstrzymać. Szkolenie było jego jedyną wiedzą i motywacją.

- Nigdy nie miałem twoich możliwości wyboru - dodał. - Za każdym krokiem w życiu mówiono mi, co mam robić.

- Wiem - szepnęła cicho. Bardzo cicho.

Podszedł bliżej, spoglądając na jej ciemną, piękną twarz.

- I wiesz co? Znaleźliśmy się w tym samym miejscu.

Urwał. Sheeka nie wiedziała, co powiedzieć.

- Więc co za różnica, jaką decyzję podejmujesz?

Podniosła na niego wzrok; ich oczy spotkały się na krótką, brzemienną napięciem chwilę. Nagle jakieś dziecko wpadło pomiędzy nich i czar prysł. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Chodź - szepnęła i wyprowadziła go z jaskini.

Siedzieli na zboczu, wpatrując się w księżyc i wsłuchując w odgłosy zabawy. Sheeka opowiedziała mu trochę o swoim życiu tu, na Cestusie, o drobnych radościach i chwilach próby.

- Widzisz - zakończyła - czasem możemy jedynie czekać i mieć nadzieję. Nie sądzisz, że to też wymaga wytrwałości?

K - Czy tak to właśnie wyglądało?

Nie odpowiedziała, gniotąc w palcach kulkę skręconą ze źdźbła trawy. Po chwili cisnęła ją daleko od siebie.

- Przepraszam - rzekł Nate. Żyję tylko po to, aby bronić Republiki. Żałuję, jeśli niektórzy przez to cierpią, ale nie zamierzam przepraszać za to, czym i kim jestem.

Sheeka bez słowa przysunęła się do niego. Kiedy znów zaczęła mówić, zapomniał o własnych myślach i stwierdził, że przestało go interesować wszystko, poza dźwiękiem i rytmem jej głosu.

- Ty masz do stracenia jedynie życie, na którym nie bardzo ci zależy - mówiła. - Taki jesteś silny, Nate? Tak silny, jak pierwszy lepszy hodowca grzybów?

Ich oczy spotkały się znowu, a on nagle poczuł, jak rodzi się w nim uczucie, którego do tej pory nie znał: rozpacz. Ona nigdy go nie zrozumie.

Ale Sheeka, do tej pory kipiąca gniewem, nagle złagodniała.

- Nie - szepnęła. - Źle robię. To naprawdę jest problem... chodzi o imiona. Przykro mi. Przyzwyczaiałam się, że roboty nazywa się numerami i literami. Ludzie mają imiona, wy macie tylko skróty numerów.

- Przepraszam... - zaczął, ale podniosła rękę, żeby go uciszyć.

- Czy czasem miewacie prawdziwe imiona? - zapytała.

- Rzadko.

- Co byś powiedział, gdybym ci nadała imię?

Spoglądała na niego z tak szczerym zainteresowaniem, że omal się nie roześmiał. Ale nie zrobił tego, choć wszystko to było rzeczywiście zabawne.

- O jakim imieniu myślałaś?

- Myślałam o Jangotat - szepnęła. - To mandaloriańskie tłumaczenie słów „brat Jango”.

Zaśmiał się, ale poczuł, że głos mu się łamie.

- Jasne - rzekł. - Jeśli to ci ułatwi życie... Pewnie.

Uśmiech, jakim obdarzyła go w odpowiedzi, był pełen ulgi.

- Dziękuję, dziękuję, Jangotacie. To dobre imię, wiesz? - rzekła, dając mu kuksańca w bok. Oboje śmiali się z tego przez chwilę, po czym wesołość ustąpiła miejsca przyjaznemu milczeniu.

Jangotat, myślał.

Brat Jango.

Jej uśmiech.

To ja.

Opancerzony transporter towarowy był kompletnie zniszczony. Ze strzaskanych wnętrzności unosiły się kłęby płomieni. Gąsienice odchodziły od kół jak strzępy skóry z obieranego owocu. Sam ładunek był spalony, a częściowo rozkradziony; cały transport bonów kredytowych znikł. Pieniądze przydadzą się na zakup towarów, kupowanie milczenia i wspomaganie wdów i sierot zabitych członków Pustynnego Wiatru.

Ciemny, oleisty dym buchał z rozdartego brzucha transportera i wznosił się wysoko w chmury. Jego załoga, z rękami związanymi na plecach, rozpoczęła swój dwudziestokilometrowy marsz w stronę Chikatlik. Nieśli wyraźny przekaz: nadchodzi chaos.

Pięć Rodów, ze swoim zamiłowaniem do porządku i wygody, będzie teraz szukać bezpieczeństwa i ochrony, może nawet współpracy z siłami Pustynnego Wiatru. Jediną alternatywą może być zacieśnienie więzi z Republiką.

- Jak idzie? - zapytał świeżo przechrzczony „Jangotat”.

- Całkiem nieźle - odparł Kit Fisto, spoglądając przez elektrolornetkę. - Uderzamy, oni próbują schwytać cienie, a my im obcinamy łapy. Wkrótce Pięć Rodów zacznie się modlić o porządek i bezpieczeństwo. - Słowa brzmiały stanowczo, ale w tonie głosu kryła się odrobina niepewności.

- Nie wydaje się pan całkiem zadowolony.

- Nie podobają mi się takie wybiegi, choć doceniam ich wartość.

Jangotat z trudem ukrył zadowolenie. Jego spostrzegawczość wyostrzyła się, a to zawsze pozwalało żołnierzom przeżyć nieco dłużej.

Może ta sprawa z „Jangotatem” nie była aż taką pomyłką. Nie bój się ryzykować. Pozwalaj sobie na dziwne myśli. No dobrze. Tego Jedi na pewno się nie spodziewa.

- Jeśli wolno mi zauważyć, to ten niekonwencjonalny sposób walki pozwala zaoszczędzić wiele istnień.

Ku jego zdumieniu kąciki warg generała Fisto uniosły się w rzadkim wyrazie rozbawienia.

- Naprawdę?

- Tak, proszę pana.

Generał odłożył lornetkę.

- No cóż, jeśli żołnierz Republiki uważa ten cel za godny uwagi, czy Jedi może zaprzeczyć?

Jangotat zorientował się wreszcie, że Nautolanin zażartował, i również się uśmiechnął. Ta krótka chwila poufałości dodała mu odwagi, aby zapytać o coś, co chodziło mu po głowie już od dwóch dni.

- Proszę pana...

-Tak?

- Czy to, co pan robił z Mistrzem Kenobi... czy normalny człowiek może się tego nauczyć?

Generał Fisto spojrział na niego nieruchomymi, wielkimi oczami.

-Nie .

- Nikt? Nawet częściowo?

Nastąpiło długie milczenie, wreszcie generał skinął głową.

- No, może. Przynajmniej niektórzy.

- Naucz mnie pan?

-Nate...

Jangotat rozejrzał się szybko wokół, przekonał się, że są sami i zniżył głos.

- Proszę się ze mnie nie śmiać...

Nautolanin poważnie pokręcił głową.

- Ależ skąd.

- Chciałbym przybrać imię.

Zęby generała Fisto zabłyśły w uśmiechu.

- Słyszałem, że niektórzy tak robią. Uważaj - ostrzegł. - Imiona mogą mieć wielką władzę.

Żołnierz skinął głową.

- Przyjaciel zaproponował mi imię: Jangotat. Brat Jango. - Zmrużył oczy, jakby oczekiwał nagany. - Czy to będzie... dobre?

Kit Fisto z szacunkiem rozważył jego pytanie. Po prawie minucie odparł:

- Jango był człowiekiem o wielkiej sile, wrogiem godnym szacunku. Będę dumny, mając u boku jego imiennika... - Klepnął żołnierza po ramieniu - ...Jangotacie.

- Powie pan generałowi Kenobiemu? Ja już powiedziałem moim braciom.

- A co oni na to? - Nautolanin uniósł brew.

Jangotat zaśmiał się.

- Żalowali, że nie pomyśleli o tym pierwsi.

Kit Fisto zdawał się patrzeć na sprawę nieco inaczej.

- Wśród mojego ludu przyjęcie imienia to poważna rzecz - wyjaśnił. - Okazja do obdarowywania.

-Ja nie dlatego...

Generał podniósł dłoń.

- Pytałeś, czy mógłbyś się nauczyć sztuki walki. Zaproponuję coś, co może ci się... spodobać. Mogę nauczyć ciebie i twoich braci paru najbardziej podstawowych ćwiczeń, jakich uczy się dzieci wrażliwe na Moc w Świątyni Jedi.

- Ale nigdy nie będę tak dobry jak Jedi, prawda? - powiedział Nate, ale bez smutku czy urazy. Zwykle stwierdzenie faktu.

- Nie - odparł Jedi. - Nie będziecie. Ale poznacie siebie i wszechświat lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Uśmiechnęli się do siebie. Był to moment niezwykłej więzi pomiędzy tymi dwoma całkiem odmiennymi żołnierzami. Cennej więzi. > - No to zaczynajmy - rzekł Jangotat.

Czterej żołnierze przysiedli w kręgu przed jaskinią, otaczając Kita, który rozpoczął swoją lekcję. I - Mam coś na początek - powiedział Nautolanin. - To gra, której uczy się nawet najmłodszych padawanów. Nazywa się Strumieniem Jedi. - Urwał i rozejrzał się. - Czy wszyscy tego chcecie?

Byli tak skupieni i uważni, że Kit z trudem powstrzymał uśmiech.

- Dobrze - rzekł i zamyślił się na chwilę. - Jedi wyczuwa Moc jako ocean energii, w którym się zanurza, płynie z jego prądami, lub kieruje jego falami. Dla przeciętnej osoby subtelne uczucia związane z życiem nie są oceanem, ale strumieniem lub rzeką. Możecie to pojąć?

Powoli pokiwali głowami.

- Wasze ciało nosi w sobie pamięć bólu, gniewu, strachu. Przechowuje to w waszych tkankach jako ostrzeżenie, które pozwala bodaj częściowo ochronić się przed dalszymi obrażeniami. I - Jak blizna? - zapytał Fony.

- Właśnie - odparł z aprobatą generał. - To jest jak zaciśnięta pięść! Gniecie was, odkształca. Kiedy zbierzecie dość tych blizn, staną się jak zbroja. Lecz Jedi nie nosi zbroi. Zbroja chroni, ale

jednocześnie znieczula. Jedi musi odsłonić się całkowicie na prądy wszechświata. Mogę was nauczyć, jak usunąć niektóre z tych blizn. Myślcie o nich jak o głazach, przeszkodach w rzece energii. Nauczcie się przepływać wokół waszych lęków i gniewów, zamiast rozbijać się o nie. Nauczcie się robić to dobrze, a będziecie mogli nawet skierować rzekę tak, aby usuwała dla was te głazy, rozszerzając swoje koryto, zwiększając przepływ energii.

-Ale jak?

Kit szukał prostego sposobu, by wyrazić swoje myśli.

- Działanie fizyczne to jedność oddechu, ruchu i harmonii - powiedział wreszcie. - Oddech powstaje na skutek ruchów waszej przepony i klatki piersiowej. Ruch jest wynikiem oddychania i właściwej postawy. Harmonia to jedność oddechu i ruchu. Aby pamiętać o całej tej triadzie w czasie ćwiczenia sztuk walki, należy technikę walki lub wyzwanie fizyczne przekształcić w coś innego. - Uśmiechnął się drapieżnym uśmiechem Nautolanina. - Dość teorii - rzekł. - Najwyższy czas zająć się praktyką.

Przez następne dwie godziny Kit uczył ich ćwiczeń udoskonalających oddech; koncentrowali się na powolnym wydychaniu powietrza, pozwalając, by ciśnienie wypełniało płuca, gdy klatka piersiowa się rozszerzała. Wkrótce generał przekonał się, jak pojętnymi są uczniami i chętnie przekazywał im dalsze informacje.

Nautolanin pokazał im też, jak przekształcić dwuwymiarowe ćwiczenia w gimnastykę trójwymiarową, jak przejść ze statycznych pozycji ćwiczebnych w pozycje ruchome i dynamiczne, a wszystko to połączyć z triadą oddechu, ruchu i harmonii. Zademontrował również, jak wykonywać te ćwiczenia i łączyć je ze sobą, przechodzić płynnie od jednego do drugiego, tworzyć własne kombinacje i kierować je w miejsce, gdzie potrzebna jest dodatkowa porcja wysiłku.

Zawsze jednak, po prostu zawsze należało pilnować oddechu, ruchu i harmonii.

Kiedy skończyli, byli złani potem, ale szczęśliwi. Błagali o jeszcze.

- Nie - sprzeciwił się Kit. - Na jeden dzień wystarczy. Pamiętajcie tylko: najważniejsze nie są same ćwiczenia, lub raczej nie tylko one. Największa wartość to przejście od jednego ćwiczenia do następnego. Całe życie jest przemieszczaniem się pomiędzy kolejnymi stanami, pomiędzy momentami. Pracujcie tak, aby każdy moment był symfonią tych trzech aspektów. Rozwijajcie się i udoskonalajcie. Wykorzystujcie narzucone wam zadania tylko w celu sprawdzenia waszej spójności i jasności. To właśnie jest droga, aby stać się doskonałym wojownikiem.

W najgłębiej położonych komnatach Chikatlik negocjacje przybrały na tempie i intensywności. Niewiele osób w stolicy wiedziało cokolwiek oprócz plotek: że przywódcy Pięciu Rodów zostali porwani, że okradano konwoje z pieniędzmi, niszczone transportery, sabotowana elektrownie. Ogólnie przepowiadano zmiany, i to duże. W części publicznej jaskini Trillot panowała nietypowa cisza i spokój. W jej prywatnych apartamentach biesiady nie były już takie radosne.

O tej późnej porze w krętych, głębokich katakumbach panowała niemal zupełna cisza.

Trillot leżała na otomanie, pykając fajeczkę i próbując się leczyć. Przyspieszenie przejścia od płci męskiej do żeńskiej było trudnym procesem: ten grzyb uśmierzał stesy, tamten liść eliminował zmęczenie! Inny jeszcze stabilizował nastroje. Choć było to niezbyt przyjemnej Trillot wołała to, aniżeli miesięczny okres płodności, gdy jej organizm zmieniał płeć. W tym czasie miewano prawie nieopanowane napady] zmiennych emocji, więc X'Tingowie najchętniej spędzali go w zamknięciu, najlepiej z partnerem.

Taka izolacja nie interesowała jednak Trillot. Od czterech dni nie spała. Liczyła się z tym, że jej organizm wreszcie się załamie, domagając się trzydziestu godzin snu podobnego do letargu, na razie jednak, zdołała uniknąć najgorszego. Tymczasem szpiedzy znosili jej informacje z całego miasta. Filtrowała je, zastanawiając się, które można wykorzystać, a które lepiej będzie przekazać Ventress, która miała z kolei własne, tajemnicze źródła. Na przykład holowideo, które poleciła przekazać Quillowi... Jednak odkrycie Snoila dotyczące sztucznych kamieni było niepokojące. Nawet z nowymi informacjami to datujące się od stu lat oszustwo stanowiło niewątpliwie asa w rękawie. Kto wie, co Jedi zrobią z taką informacją? Im szybciej zginie Kenobi, tym lepiej.

Takie myśli też by wystarczyły, aby przerwać jej cykl snu, lecz było coś jeszcze - nieodparta potrzeba, aby zakradać się i węszyć pod drzwiami pokoju Ventress. To doświadczenie nieodmiennie wyprowadzało ją z równowagi.

Trillot była zadowolona, że w jej żyłach krążyły narkotyki. Gdyby była całkowicie przytomna, mogłaby to uznać za niepokojące, ale teraz wydawało się jej, że chodzi jedynie o zaspokojenie ciekawości. Dziwne. Gdyby Ventress miała ochotę, potrafiłaby zasłonić się nawet przed najpotężniejszym Jedi. Najwyraźniej jednak miała Trillot w zupełnej pogardzie i wcale się przed nią nie ukrywała.

Trillot zaciągnęła się dymem i przymknęła szmaragdowe oczy. Zamiast ciemności, widziała pod powiekami fantazje z ognia i krwi.

Statki wojenne wznosiły się w niebo.

Wieże padały w gruzy.

Republika może się rozpaść, a separatyści rozpętać falę secesji, która przetoczy się po całej galaktyce. Marzenia o zyskach, nawet wielkich, mogą wkrótce okazać się płonne. Tak samo jak marzenia o przetrwaniu.

- Ogień i krew - szepnęła Trillot.

W pomieszczeniach rady wiele godzin przed przybyciem Obi- Wana toczyła się burzliwa dyskusja. Jedi uznał to za zabawne. Od podziemnego porwania i „bitwy” głównym tematem rozmów nie był problem, czy powinni zgodzić się na żądanie Republiki, lecz jak tę zgodę przyspieszyć.

Obi-Wan wiedział to, nawet nie uczestnicząc w obradach. Jedi ma swoje sposoby. Zwłaszcza Jedi, który ma do wydania twardą republikańską walutę.

- Czy ktoś mnie wzywał?

Snoil siedział przy okrągłym stole konferencyjnym naprzeciwko rady. Wokół jego głowy unosiło się pół tuzina holodokumentów. Skinął na Obi-Wana.

- Nastąpił przełom w negocjacjach. Postanowili zgodzić się na warunki kanclerza.

Całe szczęście. Im szybciej pozostawią za sobą tę niesmaczną sytuację, tym lepiej.

Ogromne pomieszczenie wypełnione było od ściany do ściany przedstawicielami Pięciu Rodów. Nie tylko tymi, którzy zajmowali najwyższe pozycje, lecz również kilkudziesięcioma delegatami kierownictwa Cestus Cybernetics, którzy tłoczyli się, zaglądali do holodokumentów, kłócili i zadawali pytania. Składali podpisy i odciski kciuków pod ekranami dotykowymi, które natychmiast ładowały dokumenty do komputerów prawniczych na całym Cestusie; stamtąd przesyłano je na Coruscant w celu natychmiastowej weryfikacji.

Powietrze przed Obi-Wanem zamigotało i pojawił się holodokument.

- Czy to jest w porządku? - zapytał Snoila.

Zauważył zmarszczki zmęczenia na pulchnych ramionach Vippita i stwierdził, że prawnika bardzo musiał zmęczyć wczorajszy dzień.

-Ja k najbardziej.

Obi-Wan podpisał dokument jako przedstawiciel Republiki i poczuł ogromną satysfakcję. Wymienił uśmiechy z Duris.

- Kiedy Wielki Kanclerz przeczyta kontrakt, na pewno wyrazi swoją aprobatę. Jeśli z tej strony nie będzie żadnych problemów, sądzę, że dojdziemy do zgody.

- Im szybciej, tym lepiej, Mistrzu Jedi - odparła.

Jeden z prawników Duris wyjął notatnik.

- A teraz, Mistrzu Kenobi, potrzebujemy pańskiego podpisu na następujących dokumentach...

Niespodziewanie do pomieszczenia wpadł Quill, powiewając nad głową prostokątną holokartą, jakby zawierała ona wszystkie sekrety wszechświata.

- Stać! Przerwać prace! Nie zatwierdzać tego dokumentu!

Duris spojrzała na Quilla podejrzliwie.

- Co to znaczy?

- Lepiej spytajcie Jedi, co to znaczy? - Położył kartę na notatniku i skrzywił się triumfalnie. W powietrzu pojawił się natychmiast rozpoznawalny obraz. Nie nagrały go standardowe kamery ochrony - te zostały wyłączone w całym tunelu. Ten obraz został sfilmowany przez niewidzialną osobę, która dotarła na miejsce, zanim jeszcze znalazł się tam Kenobi.

Obi-Wan poczuł, że żołądek ściska mu się w supeł. Jak to się mogło stać? I jak nieznany obserwator ukrył swą obecność?

Nie znał odpowiedzi na te pytania. Wiedział jednak, co zaraz zobaczy i że zaraz nastąpi katastrofa.

W polu projekcyjnym odtwarzacza unosił się obraz wojownika Pustynnego Wiatru. Wywiązała się walka pomiędzy Jedi a buntownikiem. Z miejsca, z którego filmowano, było widać bardzo wyraźnie, że to oszustwo, bo miecz świetlny przeszedł mniej więcej ćwierć metra od celu. Porywacz upadł, dramatycznie wymachując ramionami. Obi-Wan „zaatakował” drugiego z nich. Tym razem starcie było jeszcze wyraźniej sfingowane. W pomieszczeniu zapadła lodowata cisza. Nikt nie wydał z siebie nawet westchnienia.

Była to kompletna, całkowita, nienaprawialna katastrofa. Misja poniosła całkowite fiasko. Może nawet od pierwszej chwili była na nie skazana. Nieznany przeciwnik czekał na najgorszy możliwy moment, żeby dokonać sabotażu.

Obi-Wan nie wiedział, co powiedzieć.

- Teraz rozumiem - wysyczała lady Por'Ten - jak Jedi zdobywają swoją imponującą reputację.

G'Mai Duris wstała. Jej drugie ramiona drgały nerwowo, a złociste ciało pobladło z wściekłości. Cała postać dygotała, jakby za chwilę miała się rozpaść na kawałki.

- Proszę natychmiast opuścić salę - rozkazała.

Umysł Obi-Wana szukał gorączkowo wyjścia z pułapki, jakiegoś wyjaśnienia, choćby najmniej skutecznego.

-G'Mai... - zaczął.

Wyprostowała się na całą imponującą wysokość, emanując potęgą i władzą.

- Dla ciebie regentka Duris. - Jej głos był zimny jak arktyczny wiatr. - Wy, Jedi... Czego nie możecie osiągnąć dyplomacją, próbujecie zyskać terrorem. A jeśli się nie uda, również oszustwem. - Przy ostatnich słowach zaczerwieniła się lekko.

Odrzucił wszelkie hamulce i powiedział tak otwarcie, jak to tylko możliwe, wiedząc, że wszystko stracone:

- Jeśli negocjacje nie zakończą się pozytywnym wynikiem, zawita do was wojna.

- To już się stało - odparła Duris, dygocząc z gniewu. Perfidia tego Jedi zniweczyła wszystko, nawet wdzięczność, jaką wobec niego odczuwała. - Mamy zniszczenie, zdradę i śmierć wszelkiej nadziei. Jeśli to nie jest wojna, to widocznie źle rozumiem to pojęcie. - Czuła wściekłość, ale i strach.

Jej następne słowa zabrzmiały cicho i chrapliwie:

- Ufałam ci... ufałam! - Wreszcie zebrała się w sobie. - Odejdź. Dopóki możesz.

Obi-Wan skłonił się nisko, omiatając spojrzeniem całe pomieszczenie. Jego oczy napotkały wzrok Quilla, który nawet nie próbował ukryć jadowitej radości.

Zza jakiego niewidocznego węgła padł ten nieoczekiwany cios? Jem wyszedł, a w chwilę później podążył za nim Snoil. Obi-Wan pod poi wiekami wciąż jeszcze miał obraz G'Mai Duris na tronie. Najgorsza w tym wszystkim było nie poniżenie, nie zagrożenie wojną, lecz osobista krzywda, jaką wyrządził tej dobrej istocie, komuś, kto uwierzył w niego. Ona lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jaka jest stawka, orientowała się, że otacza ją sieć kłamstw. A teraz pozostawił ją bez jednej zaufanej osoby. Samotną.

Trillot poczuła zdenerwowanie na widok wchodzącej Ventress. Kiedy jednak stwierdziła, że gość jest w dobrym humorze, odprężyła się.

- Więc już po wszystkim? - zapytała. - Jedi się stąd zabiera?

Ventress z zimnym uśmiechem pokręciła głową.

- Będzie próbował wrócić. Znam go.

- Mówiłam, że moi szpiedzy...

- Widzą tylko to, co oczywiste - odparła tamta ze wzgardą. - Teraz Rody wykonają ruch. Quill poinformował, że jeśli Kenobi przekaże swoje informacje Palpatine'owi, Cestus Cybernetics jest skończony. Palpatine odpowie... raczej definitywnie.

Zamordować Jedi? W co, w imię wszystkich miotów, wpakowała się Trillot? Teraz za późno, żeby się skarżyć. Trillot przeklęła dzień, w którym zgodziła się pomóc Konfederacji, dzień, kiedy zdradziła Jedi. Wdepnęła w bance łajno po kolana. A skoro już o tym mowa, to czemu nie przekląć od razu dnia, w którym się wykluła? Po dokładnej analizie wszystko sprowadzało się właśnie do tego.

Żadna gwardia honorowa nie pojawiła się w porcie kosmicznym,! żeby pożegnać Obi-Wana i Doolba Snoila. Cóż, skoro wszystkie jego próby dyplomacji legły w ruinie, Jedi był zadowolony, że w ogóle pozwolono mu odjechać.

Strażnicy, którzy eskortowali go do portu kosmicznego, nie odezwali się ani słowem, dopóki nie dotarli na miejsce. Jeden z nich odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i wbił wzrok w ziemię. Odszedł, kręcąc głową.

Obi-Wan podszedł do rampy ładowniczej wiodącej do statku trans \ portowego Republiki. Snoil włókł się za jego plecami, pozostawiając po sobie ślad śluzu.

- Obi-Wanie - zapytał żałośnie - co się stało?

- Nie jestem całkiem pewien, przyjacielu - odparł Jedi, kiedy włąz zamknął się za nim. Powoli zapinał pasy. Jego myśli wciąż krążyły wokół tej sprawy. Coś było nie w porządku od pierwszej chwili, gdy się tu zjawił. No, może nie od pierwszej. Nie od tamtej chwili. Ale wkrótce potem wszystko zaczęło się rozłazić. Co było tego przyczyną? Nie miał pojęcia. Niech to! Gdyby tylko wiedział, skąd pochodził ten nieszczęsny hologram! Odwrócił się do prawnika.

- Powiesz na Coruscant wszystko, co wiesz. Dobrze sobie poradziłeś. Wszystkie błędy należy przypisać mnie... - zawahał się, bo w jego głowie zrodziło się niejasne podejrzenie. - A może...

-Co ?

Obi-Wan westchnął.

- Nie wiem, ale coś wyczułem. Od początku widać było, że działają tu czynniki, które wykraczają poza moje pojmowanie. Coś przeoczyłem, a to był błąd, przez który zawaliło się wszystko.

- Och, nie - jęknął Snoil. - Całe to planowanie, cała ta praca... Nigdy nie sądziłem, że sprawy mogą potoczyć się tak fatalnie.

Obi-Wan pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Nie miał słów pociechy dla swojego zrozpaczonego przyjaciela. Pod każdym względem ponieśli całkowitą i katastrofalną klęskę.

Jak tylko Xutoo skończył konieczne przygotowania, statek uniósł się z płyty. Obi-Wan popatrzył na Snoila.

- Podjąłem decyzję - rzekł. - Nie jesteś już bezpieczny na Cestusie. Wyjedziesz, aleja muszę zostać. Moje zadanie tutaj jeszcze nie dobiegło końca. Wracam do mistrza Fisto.

Szypułki oczne Snoila zadrżały ze zdumienia, gdy Jedi rozpoczął listę kontrolną przygotowań do opuszczenia statku w kapsule ratunkowej.

- Ale przecież kazali ci wyjechać! Stanowczo tego zażądali, a wszelkie odstępstwa będą stanowić pogwałcenie Kodeksu Cztery-Dziewięć-Siedem-Kropka-Osiem...

- Trochę za daleko się zapędziłem, aby przejmować się takimi drobiazgami - odparł Jedi. - Mamy inne kłopoty. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Żegnaj, Doolb. Dobry z ciebie przyjaciel. Wracaj do domu. Nie ma tu już roboty dla prawnika.

-Ale...

Obi-Wan spojrział na Xutoo i chwycił go za ramię.

- Dostarcz go bezpiecznie do domu.

Tak jest, proszę pana.

Obi-Wan nie czekał na odpowiedź; wcisnął odpowiedni guzik i kapsuła się zhermetyzowała. Wyglądało to, jakby wtapiała się w ścianę. W chwilę potem rozległ się cichy syk i Jedi znikł.

Ich statek właśnie dotarł do górnych warstw atmosfery, przechodząc w próżnię. Skanery naziemne i orbitalne śledziły każdy wylatujący lub przybywający obiekt, ale w tym miejscu, gdzie dane się nakładały, łatwiej było ukryć to, co zamierzali zrobić.

Zapaliło się czerwone światełko, wskazujące, że system awaryjny właśnie rozpoczyna sekwencję edukacyjną. Obi-Wan wyłączył go głosem komputera tylko by rozpraszał jego uwagę. Zamierzał pilotować swój pojazd tylko za pomocą swoich umiejętności i instynktu. Kapsuła ratunkowa miała sterowanie zarówno ręczne, jak i automatyczne, mogła też manewrować, licząc na promieniowanie naziemnej boi naprowadzającej, lecz Obi-Wan nie odważyłby się zbyt szybko odpalić repulsorów; ich promieniowanie było zbyt łatwo wykrywalne.

Spadał zatem, licząc na osłony termiczne kapsuły i prymitywną aerodynamikę. Aby przelecieć nad górami Dashta, lekko skorygował kurs.

Musiał bardzo starannie zsynchronizować wszystko w czasie - odczekać, aż znajdzie się tak nisko, aby jego pojawienie się na skanerze nie zostało skojarzone z odlotem transportowca skompromitowanego dyplomaty. Niech myślą, że ta kapsuła to jakiś nielicencjonowany stateczek spacerowy.

W miarę jak odliczał sekundy, upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Pianka amortyzacyjna, udająca izolację cieplną, znajdowała się już na poziomie ramienia. Temperatura zewnętrznej powłoki osiągała tysiące stopni. Obi-Wana otrzeźwiła myśl, że spada na ośle, powierzając swój los nieznanym technikom montującym kapsułę. Nienawidził tej zależności jeszcze bardziej niż samego latania, zdecydowanie wolał liczyć na własne głębokie zespolenie z Mocą. Ale nie mógł tego uniknąć. Tym razem musiał zaufać.

Nadszedł czas. Jego palce znalazły przycisk włączający repulsory i...

Nic się nie stało.

Obserwował wysokościomierz i pędzącą w jego stronę ziemię, walcząc z ogarniającą go paniką. Coś było nie tak. Jego metalowa trumna pędziła w kierunku ziemi z taką prędkością, że jeśli w nią uderzy, nie zostaną z niego nawet atomy.

Obi-Wan usiłował dosięgnąć miecza świetlnego, ale gęsta, ciężka piana wypełniająca kapsułę utrudniała każdy ruch. Kiedy wreszcie otoczył dłońmi srebrzystą rękojeść, z trudem oderwał ją od ciała i włączył ostrze. Piana zaczęła się palić. Dym i iskry wypełniły wąskie, ciasne pomieszczenie. Kapsuła zadygotała, wiatr zaczynał zdzierać zewnętrzne osłony od miejsca, gdzie ostrze miecza uszkodziło aerodynamikę. Mijały krytyczne sekundy, a zewnętrzne warstwy spadały zbyt powoli... ale wreszcie osiągnął żądany efekt - obwody uruchamiające repulsory znajdowały się w pobliżu jego ramienia, pomiędzy dwiema warstwami powłoki. Jeśli nie może wysłać sygnału za pomocą przycisku, pole energetyczne miecza świetlnego uruchomi obwód bezpośrednio.

Nic się nie stało. No cóż... teraz kilka centymetrów w lewo.

Spróbował znowu, wypalając w kapsule drugą dziurę. Oderwały się kolejne płyty zewnętrznej powłoki i tym razem obwód odpalił.

Jeden potężny wstrząs, potem kolejny. Na szczęście uszkodzone zewnętrzne powłoki odpadły. Kapsuła rozdzieliła się na dwie połówki, jak skorupa orzecha, i Obi-Wan znalazł się w cienkiej, przezroczystej, skrzydlatej bańce. Wiatr świstał w otworach po mieczu świetlnym, ale wewnętrzna warstwa, podtrzymująca życie, była wykonana z prawie niezniszczalnego, zwijanego monowłókna, które trzymało się lepiej niż zewnętrzna powłoka.

Po pierwszych kilku chwilach powietrze zaczęło przepływać swobodnie. Obi-Wan obserwował śmigające wokół fragmenty metalu i wstrzymał oddech, gdy automatyczne obwody repulsorowe wprowadziły kapsułę w łagodny ślizg. Spadał teraz długim, pozbawionym zasilania łukiem. Zaczął zwalniać. Wiatr wył, chłoscząc zewnętrzny pancerz. Pod nim rozpościerała się bezkresna pustynia, brązowa, pokryta plamami mdłej zieleni. W dali widoczne były góry Dashta, ni czym ciemne fałdy pod pokrywą chmur. W ciągu kilku minut dotarł tak blisko, że widział już pierwsze szczegóły. Miał jedynie minuty na myślenie, planowanie i zamienienie rezygnacji na czystą energię.

Obi-Wan obserwował, jak fragment powłoki odlatuje gdzieś w bok. Inne kawałki wirowały, spadając w dół. Nikt nie zwróci uwagi, jeśli taki obiekt pojawi się na skanerze. To niekoniecznie musi być mój błąd, pomyślał. Jeśli ktoś się za tym kryje, jeśli uszkodzili moją kapsułę, mogą też przepatrywać niebo. A kiedy zobaczą odłamki metalu, pomyślą że plan się powiódł..."

Doolb Snoil obserwował iluminator, gdy statek uwalniał się powoli od grawitacyjnego przyciągania Cestusa, a następnie zawisł nieruchomo, aby komputer pokładowy mógł obliczyć parametry skoku w nadprzestrzeń. Snoil już tęsknił za swoim przyjacielem Obi-Wanem i próbował wymyślić, co ma powiedzieć kanclerzowi. No właśnie, jak się wytłumaczyć? Czy dałoby się przedstawić tę katastrofę w lepszym świetle? Wątpił, ale należało spróbować.

Jego rozważania przerwał głos Xutoo.

- Proszę pana, możemy mieć pewien problem. - W głosie pilota brzmiał ton, jaki Snoil znał i rozumiał aż za dobrze: kontrolowana panika.

- Problem? Problem? Mistrz Kenobi obiecał, że nie będzie problemów.

- Ale nie sądzę, aby to także przewidział...

-Co?

Z przestrzeni pomiędzy dwoma księżycami Cestusa zbliżał się ku nim mały stateczek, zachowujący się niczym drapieżny ptak. Był niewielki, czarny, o oszczędnej linii, świadczącej o tym, że został zbudowany przede wszystkim funkcjonalnie. Wojownik. Łowca-zabójca.

Snoil poczuł, że jego umysł zaczyna pracować z podwójną szybkością. Zdołał nawet wyjaśnić sobie obecność statku. Na pewno po prostu odwiedza Cestusa i niechcący trafił na trajektorię zbieżną z naszym punktem wyjścia, pomyślał.

Wkrótce jednak wszystkie te optymistyczne spekulacje wzięły w łeb. Nowy statek wystrzelił w ich kierunku robota-sondę. Inteligentna broń okrążyła ich spiralą, namierzyła i zaczęła się zbliżać. Wyglądała jak wirująca, kulista śmierć. Pozdrowienie od Pięciu Rodów?

Xutoo, stuprocentowy profesjonalista, zdołał zachować spokój w głosie, choć Snoil miał ochotę wrzeszczeć na całe gardło.

- Rozpocząłem manewr unikowy, ale nie wiem... Proponuję, aby poszedł pan w ślady generała Kenobiego i ewakuował się.

- Ajjjjj! - to było wszystko, co Snoil zdołał wykrztusić.

Statek zaczął wykonywać pętle i uniki. Widocznie do pierwszego robota sondy dołączyły następne, bo choć Xutoo bardzo się starał, jego maszyna kołysała się od wybuchów.

- Proszę pana - odezwał się znowu Xutoo. - Sugeruję, aby pan się oddalił.

- Nie, zostanę tu z tobą. Mistrz Kenobi obiecał, że będę bezpieczny.

- Nie mogę pana zmusić, ale za chwilę odrzucę pozostałe kapsuły, aby zmylić pociski. - Spokojny głos Xutoo zdołał przebić mechanizmy obronne Snoila skuteczniej niż uczyniły to eksplozje. Nie będzie więcej kapsuł ratunkowych? Załamał się.

- Nie! Nie! Zaczekaj na mnie!

W pośpiechu Snoil poruszał się mniej więcej w tempie spacerowym człowieka. Dotarł do kapsuły i wcisnął się do środka. Wcisnął przycisk automatycznej sekwencji, a szypułki oczne splotły mu się z przerażenia. Pianka amortyzująca wypełniła przestrzeń wokół niego, stracił zdolność widzenia i

przez chwilę ledwie mógł oddychać. Po chwili jednak natrafił ustami na awaryjną dyszę powietrza i napełnił nim płuca.

Zapanowała ciemność; kapsuła zapadła się w tunel w burcie statku. Poczul nagle przyspieszenie, potem wstrząs i głęboką ciszę. A potem wrażenie unoszenia się w powietrzu.

Snoil nie miał nad lotem żadnej kontroli - wszystko odbywało się przy użyciu programu awaryjnego. Przed jego oczami pojawił się ekran - skomputeryzowany wyświetlacz, ukazujący zewnętrzną powłokę statku, z której wystrzeliło sześć pozostałych kapsuł.

Dwie z nich natychmiast przyciągnęły roboty-sondy, dzięki czemu Snoil mógł spokojnie spadać ku atmosferze, ekran jednak ukazywał statek uciekający już nie przed jedną, ale dwiema... nie, trzema sondami. Poczul falę optymizmu.

Nagle ekran zajaśniał mocnym blaskiem. A kiedy przygasł znowu, Snoil zobaczył jedynie dym i strzępy metalu. Xutoo i statek zostali zniszczeni.

Gapił się na tę scenę, przerażony, niezdolny wykrztusić słowa, obserwując pociski ścigające pozostałe kapsuły. Był półżywy ze strachu. Stateczek kręcił się i podskakiwał jak szalony, w miarę jak włączały się kolejne programy unikowe. Jeden z robotów wykrył uciekającą kapsułę i ruszył wprost za nią.

Prawnik obserwował, jak kolejne kapsuły zostają zmiecione z nieba, które zaczynało już robić się niebieskie dzięki coraz grubszej warstwie atmosfery. Gdzieś daleko słyszał niezrozumiały bełkot i z przerażeniem stwierdził, że to jego własny głos wyrzuca słowa, jakie przychodziły mu do głosu w oczekiwaniu na ból i śmierć.

- Zaskarżę ich! Nie, to moi spadkobiercy ich zaskarżą! Za szkody moralne i emocjonalne... - Robot sonda śmignął z lewej strony, ścigając kolejny element programu maskującego. Wybuch pomalował niebo na żółto i odepchnął kapsułę w prawo, dzięki czemu kolejny robot chybił celu.

- Ojej, to było tak blisko i... - kolejna potworna eksplozja. Snoil wydał z siebie bulgoczący, jękliwy dźwięk.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, co się dzieje na górze - najpierw musiał określić, gdzie jest ta „góra” - i zobaczył kolejny pocisk kierujący się wprost na niego.

- Nie, nie, żartowałem! Wycofuję skargę! Przedstawię pełne przyznanie się do winy i popełnienia przestępstwa, albo... ajajajajaj!

W chwili, kiedy jego przemowa miała ulec gwałtownemu przerwaniu, jedna z pozostałych kapsuł zawróciła i przejęła groźny pocisk.

Snoil zamknął oczy i powierzył swoją duszę Władcy Miotów, kiedy nowa eksplozja zagłuszyła wszystkie; wywarło to na nim piorunujące wrażenie. Zorientował się, że jego skorupa po tym wszystkim jednak będzie wymagała mycia.

Nagle na zewnątrz zapanowała cisza. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że przeżył ten kataklizm. Teraz pozostawało już tylko wylądować.

Na panelu kontrolnym zapaliło się czerwone, migające światelko. Kapsuła zażądała serii operacji ręcznych, ostrzegając go spokojnym, kobiecym głosem, że pewne „skutki eksplozji uszkodziły automatyczne systemy kapsuły. Proszę się nie obawiać, ponieważ ręczny system zapasowy działa doskonale. Proszę wykonać w odpowiedniej kolejności następujące działania...”

Wykonywał zatem działania w odpowiedniej kolejności, jednocześnie obserwując, jak grunt zbliża się ku niemu z oszałamiającą szybkością. Wysokościomierz przesuwiał się w tempie przyprawiającym o mdłości. „Teraz odłączyć osłony zewnętrzne”. Wyłączył, „...a teraz proszę w ciągu pięciu sekund odłączyć po kolei pierwotne węzły zasilające, przełączając całą ich moc na drugą komorę...” Jak to się robi? Wysokościomierz szalał, ale Snoil nie miał odwagi na niego spojrzeć; bał się też zerknąć na ziemię, wirującą w dole niczym ogromna dłoń, która podnosi się, aby zmieść go z nieba.

„A teraz proszę włączyć główny repulsor”.

Katastrofa była o ułamek sekundy. Cokolwiek zrobi, to już nie będzie miało żadnego znaczenia. Na pewno następna chwila będzie jego ostatnią. Na pewno...

Ostre uderzenie w bok omal nie pozbawiło Snoila zawartości żołądka. Kapsuła podskoczyła, podbita w górę repulsorami, a powietrze na zewnątrz zapłonęło różowym blaskiem. Snoil zdołał złapać oddech, a jego szypułki oczne zaprzestały gorączkowego, dzikiego tańca. Pojazd powoli opuszczał się na ziemię.

Daleko w dole, na zachód od niego, Obi-Wan Kenobi przetoczył kapsułę w cień i zasypał ją piaskiem i kamieniami. Instynkt zmusił go do spojrzenia w niebo, gdzie na tle chmur rozbłyły smugi czerwieni i bieli. Zmarszczył brwi, usiłując rozróżnić kształty, ale w chwilę potem rozpoznał je bezbłędnie - to strzaskane kawałki statku spadały w atmosferę. Poczul wielki ciężar w sercu; miał niemal pewność, że nieudana misja kosztowała życie Xutoo i nieszkodliwego, mądrego Snoila. Jak to się mogło stać? Jakie sekretne siły ich tu prześladowają...?

Nagle ujrzał purpurowy żar repulsorów i odrobinę mu ulżyło. Więc ktoś jednak uciekł ze statku. A że Snoil zawsze miał szczęście, istniało spore prawdopodobieństwo, że stary przyjaciel pozostał przy życiu.

To bardzo dobrze. Na Cestusie przyda mu się teraz każda silna dłoń i krzepki umysł - to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Obi-Wan zamaskował swój sygnał awaryjny za pomocą wąskoimpulsowych kodowanych komunikatów. W niecałe dwie godziny później znaleźli go Thak Val Zsing i Sirty wraz grupą rekrutów. Obi-Wan połowę ekipy wysłał na poszukiwanie Snoila, a sam z pozostałymi udał się do obozu, gdzie spotkał się z Kitem Fisto i klonami.

Z zadowoleniem popatrzył na wszystko, co do tej pory udało im się osiągnąć. Został nakarmiony, wysłuchano zwięzłej relacji o jego ucieczce, a potem wszyscy zasiedli do poważniejszych rozmów.

- Ostatnim naszym problemem jest niepowodzenie negocjacji z G'Mai Duris i przywódcami Cestusa - rzekł Obi-Wan.

- Zgadzam się - odparł Kit. Jego czarne oczy zaślniły. - Tu w grę wchodzi inne siły. Od początku byliśmy manipulowani. Najwyższy czas, aby operacja weszła w kolejną fazę. Nate?

Ostatnie słowo wypowiedział głośniejsz, kierując je w stronę klonów. Każdy z nich wstawał po kolei i składał raport.

Obi-Wan czuł, jak posiłek powoli go rozgrzewa i z przyjemnością wsłuchiwał się w spokojne, rytmiczne słowa klonów. Czasami ich pozbawiona uczuć precyzja trochę go irytowała, ale teraz znajdował w niej uspokojenie. Trudno było przecenić ich kompetencje. Teraz ta spokojna fachowość może ocalić im życie i cały plan.

Był zresztą zaskoczony, jak dokładne, spostrzegawcze i interesujące są raporty klonów.

Po ich zakończeniu Kit Fisto pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, kiedy Obi-Wan milczał prawie przez minutę.

- Imponujące - odparł zapytany. - Jak tego słucham, moje własne zachowanie wydaje mi się dziecinadą.

Wstał, uderzając się dłońmi w uda.

- Sytuacja uległa zmianie - rzekł. Zmieniły się nasze możliwości, podobnie jak nasz przeciwnik. Panowie - powiódł wzrokiem po zgromadzonych. - Jakież nieznane osoby zniszczyły nasz statek transportowy i zabiły jednego z waszych braci. Był to czyn haniebny i tak też należy go potraktować.

Rekruci, stanowiący trzon nowego i lepszego Pustynnego Wiatru, byli twardzi. Ostry trening wypełnił spośród nich ostatnich słabeuszy i przekształcił ich w ekipę zdolną do wykonywania rozkazów i do odważnego marszu w sam środek bitwy, choć wciąż trudno było odpowiedzieć na najważniejsze

pytanie: czy naprawdę są gotowi oddać życie i zabijać? Nigdy nie da się z góry określić, jak zachowa się człowiek w ogniu walki. Jedyne sama bitwa może dać odpowiedź na pytanie, wypalone w sercu każdego z rekrutów:

„Czy zechcę? Czy potrafię?”

Teraz także Obi-Wan widział przed sobą to pytanie. Widział też, że ostatnie niepowodzenia nie zmieniły zdania rekrutów na jego temat. Wydawało mu się wręcz, że dopiero teraz ocaleli członkowie Pustynnego Wiatru zaakceptowali go jak sprzymierzeńca, jak kogoś, kto może wreszcie wyjść poza swoje ograniczenia i stać się kimś naprawdę niebezpiecznym.

Ktoś próbował go zamordować. Ale kto? Kto mógłby coś zyskać na jego śmierci?

Zmusił się, aby zająć się bieżącymi sprawami.

- Będziemy działać jak do tej pory - zapowiedział. - I dokończymy to, co zaczęliśmy. Nie znacie mnie, ale dzięki doskonałym raportom moich przyjaciół ja znam was. - Panował nad ich oczami i umysłami. Teraz musiał jeszcze dotrzeć do serc. - W najbliższych dniach nasza sytuacja na pewno się wyjaśni. Mam też nadzieję, że żadne z was nie zawaha się przed wykonaniem zadania, jakie nas czeka. To już nie jest zabawa. Wasz gniew jest słuszny, ale zachowajcie nad nim kontrolę. Proszę, abyście w waszych przyszłych zadaniach używali jak najmniej gwałtu i siły. Bądźcie łagodni, jak długo będzie to możliwe i bezwzględni, kiedy już tej możliwości nie będzie.

Urwał i przez chwilę zbierał myśli.

- Przyjechaliśmy na Cestusa w poszukiwaniu rozwiązania dyplomatycznego. Zdaje się, że wyczerpaliśmy w tym względzie wszelkie możliwości. Panie, panowie... - Każdemu po kolei uważnie spojrzął w oczy. - Nie ulega wątpliwości, że grozi nam niebezpieczeństwo.

G'Mai Duris przez wiele godzin ślęczała nad raportami i sugestiami doradców, usiłując lepiej zrozumieć swoją obecną pozycją. Republika podjęła próbę wpłynięcia na jej decyzję, uciekając się do oszustwa. Jedi wywalczył dla niej przywództwo w radzie roju. Dał jej informację, która może zniszczyć Cestus Cybernetics lub ofiarować jej ludowi nowe życie.

Ale popełniając to oszustwo, Obi-Wan pogrążył ją w koszmarze. Nie mogła mu już pomóc ani przyjąć pomocy od niego. Informacji, którą miała w rękach, nie mogła też użyć do wpłynięcia na Cestus Cybernetics. Bez pomocy ze strony Republiki ta informacja mogła najwyżej sprowadzić na nią śmierć.

Pozostawało jeszcze jedno pytanie, na które z każdą chwilą trudniej jej było udzielić odpowiedzi. Jak to się właściwie stało, że Jedi poniósł porażkę? Ani przez chwilę nie wierzyła, że to przebiegły Quill zastawił na Obi-Wana taką pułapkę. Zbyt wiele wyczynów swojego żądnego władzy kuzyna widziała w przeszłości, by teraz przypuszczać, że jest on zdolny do takiego sprytnego działania. Quillovi ktoś pomógł. Ale kto?

Tu działała jeszcze jedna siła, która może okazać się naprawdę niebezpieczna.

Do pokoju wtoczyła się asystentka Shar Shar; jej błękitna skóra była cała w plamach z emocji.

- Regentko Duris! - wykrzyknęła. - Mam okropne wieści! - Shar Shar wyciągnęła rączkę i wprowadziła do maszyny kod; machała pulchnymi ramionami wśród strumienia informacji, dopóki nie wyłowiła właściwej. To przyszło dosłownie kilka minut temu.

Widok pochodził z orbity, z jednego z satelitów, wykorzystywanych do monitorowania i ochrony całego systemu planetarnego, począwszy od księżyców, a skończywszy na kopalniach. Razem obserwowały statek Obi-Wana wznoszący się ponad atmosferę.

- Na chwilę straciliśmy obraz, bo zanikł w trakcie przejścia od monitorów naziemnych do orbitalnych. Być może to tamten statek...

W okolicach księżycy pojawił się nagle niezwykle, czarny, dziwnie ukształtowany obiekt. Przez chwilę Duris myślała, że wzrok ją myli, bo wyobraziła sobie, że to drapieźny ptak. W chwilę potem jednak stwierdziła, że nie może to być żywa istota, tylko statek nieznannej konstrukcji.

Lecz czy aby na pewno nieznannej? Czy nie widziała takiej formy wśród serii statków zakupionych przez służby ochrony Cestus Cybernetics nie dalej, jak w zeszłym roku? Obiekt pojawił się jakby znikąd, przemknął poza obrazem, aż uchwycił go kolejny satelita, a wtedy on i statek Jedi pojawiły się jednocześnie w polu widzenia. Czarny obiekt plunął czymś w stronę statku Jedi, który natychmiast

rozpoczął manewry.

- Kto jest w kapsule ratunkowej? - zapytała G'Mai.

- Zobaczmy... - Asystentka manipulowała przy polu. - Kapsuła nie jest dokładnie osłonięta... może nam się uda... jest! Nie, to nie człowiek... to ten prawnik Vippit.

- Więc Jedi w dalszym ciągu pilotuje statek?

- Może, ale... - nagle cały obraz wypełnił się światłem, zalewając cały pokój blaskiem tak mocnym, że wypędziło cienie z kątów, a przy okazji częściowo oślepiło obecnych.

-A to co takiego? - zapytała Duris i w jednej chwili zrozumiała, jak absurdalne było to pytanie. Wiedziała przecież doskonale, co to oznacza.

Jakieś nieznane siły lub osoby zniszczyły właśnie statek Republiki, a wraz z nim Jedi, osobiście wybranego przez Wielkiego Kanclerza Palpatine'a do negocjacji z Cestusem. Duris jęknęła. Co za koszmarna sytuacja! Odkrycie oszustwa Obi-Wana i jego publiczne ujawnienie związało jej ręce. Teraz jednak sprawy zaszły stanowczo za daleko; G'Mai nawet nie wiedziała, jak to określić. Ale to musi poczekać, aż zdoła zebrać myśli.

Gniew nie zaślepił jej aż tak, żeby się nie orientowała, że Obi-Wan Postąpił tak, a nie inaczej, bo bardzo chciał sprowadzić Cestusa z powrotem na bezpieczne łono Republiki. Z wielką ulgą stwierdziła że podczas sfingowanego porwania nikt nie został ranny. W duchu podziwiała tak głęboką troskę o życie i zdrowie nawet najmniej ważnych ochroniarzy, a cóż dopiero samych Rodów. Ktokolwiek jednak działał przeciwko Jedi, nie miał takich skrupułów. Bez wątpienia cała wina spadnie na Cestusa, a ona będzie zmuszona poprzeć Konfederację.

A choć nie całkiem rozumiała intencje wszystkich stron tego konfliktu, wiedziała, że bez względu na tanto oszustwo zdecydowanie woli Obi-Wana od tych mrocznych zabójców.

- Co robimy? - zapytała Shar Shar, podskakując niespokojnie.

- Możemy zrobić tylko jedno - odparła. - Zapewnić bezpieczeństwo ocalałym. Może chociaż Snoil żyje. Szukajcie boi ratunkowej!

Jangotat i reszta ekipy ratunkowej przeszli już większość drogi do miejsca wskazanego przez boję naprowadzającą mecenasa Snoila. Lecieli na skuterach, trzymając się blisko powierzchni gruntu. Znajdowali się mniej niż trzy kliki od celu, gdy przechwycili pierwsze sygnały ze statku ratunkowego nadlatującego od strony Chikatlik.

- Mamy problem, kapitanie - rzekł Sirty.

- Zgadza się, sierżancie. - Ucieczka Obi-Wana ze statku została przewidziana i udała się bez problemów. Jego kapsuła była prawie niewidzialna dla skanerów. Nieoczekiwane pojawienie się Snoila stworzyło nowe kłopoty. Boja ratunkowa Vippita była widoczna dla każdego, kto tylko miał skaner ustawiony na częstotliwości awaryjne. Żołnierze otrzymali polecenie, aby odnaleźć Snoila. Nie wiedzieli tylko, kim są i czego chcą ci, którzy teraz zmierzali w tym samym kierunku. Czy nadal należało zachować w tajemnicy obecność wyszkolonych sił Republiki na planecie? Co robić?

Nate wybrał jedną możliwość spośród innych, równie niekorzystnych.

- Forry i Pustynny Wiatr skierują się na północ, żeby przechwycić cel. Okopcie się i zróbcie wszystko, żeby wyglądało, że jest was więcej niż w rzeczywistości. Nie będą się spodziewali nieprzyjacielskiego ostrzału, więc powinni się wycofać. I - Tak jest, proszę pana!

- Wykonać.

Dwa skutery odłączyły się od grupy i skręciły na północ. Do pozostałych Nate skierował zakodowaną informację: „Za mną. Na pełny gaz.”.

Dramat transportowca Republiki przyciągnął uwagę członków Pięciu Rodów. Kipiący złością Quill właśnie wrócił do sali tronowej, Lliltishi zaś podobno był w drodze. Quill emanował nienawiścią, ale i triumfem. Ile czasu upłynie, zanim znajdzie sposób, by zabić Duris? Miesiąc? Tydzień? Kilka dni?

- Regentko Duris - rzekła Shar Shar, zataczając się z przerażenia z boku na bok. - Nasze siły bezpieczeństwa zbliżają się do miejsca lokalizacji boi z kapsuły ratunkowej, ale jest pewien problem.

- Co mianowicie?

Mała niebieska kulka zmarszczyła się.

- Proszę spojrzeć. - Na polu projekcyjnym z kierunku gór Dashta posuwało się kilka niewielkich kropek. Wyraźnie zmierzały w stronę kapsuły.

- Co to takiego?

- W innym wypadku sądziłabym, że to tubylczy koczownicy, ale poruszają się nieco zbyt szybko.

Quill zaśmiał się szyderczo, a jego skrzydła zatrzepotały od tłumionej złości.

- Wiemy, że Pustynny Wiatr współpracował z Jedi. Mamy przed sobą pojazdy, jakie kupili sobie za tę współpracę, Regentko.

- A teraz zamierzają wyratować Vippita?

- Mogą być nawet odpowiedzialni za sam atak.

- Nie mają odpowiedniej broni - odparła Duris i ugryzła się w język. Te wody były coraz głębsze. Czy Pustynny Wiatr mógł być w to zamieszany?

A co, jeśli jednak mieli innych sprzymierzeńców? Sprzymierzeńców gotowych dostarczyć technologii odpowiedniej do popełnienia takiej zbrodni? Poza tym byli jeszcze anarchiści, którzy grali z obu stronami przeciwko środkowi, wspierający każdego, kto da więcej broni. Czy sprawdzi się jej przecucie, że Quill uzyskał taśmę z nielegalnych źródeł? A jeśli tak, to czyja właściwie jest to pułapka? I kto w nią wpadł?

Duris zaczęła podejrzewać, że Obi-Wan mógł być bliższy prawdy, niż przypuszczał. Dlaczego zatem nie udowodnił swojej niewinności? Skoro chodziło o kwestie bezpieczeństwa, dlaczego nie poprosił o prywatną audiencję? Widziała jego twarz, kiedy się to wydało: zaskoczenie, szok, konsternacja i... wstyd.

- Madam! - krzyknęła Shar Shar. - Ekipa ratunkowa jest pod ostrzałem!

Duris pokręciła czujnikiem wbudowanym w poręcz fotela, przez chwilę nie mogąc znaleźć sygnału.

- Masz kontakt wizyjny?

Shar Shar próbowała obrócić satelitę, ale nie mogła uzyskać wystarczającego zbliżenia, aby zobaczyć coś więcej niż kilka kropek i rozbłysków na pustyni.

- Nie mam - rzekła wreszcie. - Ale używają broni podobnej do tej, którą według naszej informacji posiada Pustynny Wiatr.

Oczywiście, ale to jeszcze nu- nie znaczy. Albo znaczy wszystko. Duris coraz bardziej bolała głowa.

- Powiedz, żeby się wycofali. Wprowadź tam mniejszą ekipę.

Pozostałe kropki zaczęły się przemieszczać. Czyżby dotarli do kapsuły i wydobyli rozbitka?

- Uciekają- zabalgotała Shar Shar. Kropki na mapie znikły. - Chyba dotarli już do gór, bo nasz satelita nic nie widzi.

Czy Snoil został uratowany? A może porwany? Zamordowany? Torturowany, aby wydobyć informację? Powitany jako przyjaciel? Na razie trudno było cokolwiek powiedzieć. Ale wybór między tymi możliwościami mógł kosztować G'Mai Duris jej płaszcz regentki.

A co gorsza, również życie każdej istoty na Cestusie.

Anarchiści atakowali na wielu frontach, więc ChikatLik miał niewiele spokojnych dni. Ataki zawsze przeprowadzano z laserową precyzją, nieodmiennie przy niewielkich szkodach w zabudowie i całkowitym braku ofiar. Jednak za każdym takim atakiem uszkodzeń doznawał kolejny kompleks produkcyjny, co powodowało spowolnienie lub całkowite zatrzymanie produkcji. Kopalnie stawały się zbyt niebezpieczne, aby górnicy mogli pracować, pojazdy były uszkodzone, siły bezpieczeństwa zaś poniżone i wściekłe. A pod tym, pod każdym znaczkiem na mapie, oznaczającym kolejny wysadzony most, kolejny zniszczony port kosmiczny, jeszcze jedną stację uzdatniania nie nadającą się do użytku, Duris czuła umysł Obi-Wana: inteligentny, gniewny, ostrożny i pełen szacunku dla życia w każdej formie.

Czy możliwe jest, że Jedi nadal żyje?

Jeśli większość zakładów zostanie zablokowana, a produkcja spowolniona prawie do zera, Duris będzie miała związane ręce. Będzie musiała albo walczyć o pokój, albo wezwać siły Konfederacji, by chroniły ich interesy, tym samym kierując Cestusa na ścieżkę destrukcji. Bo po takim posunięciu Cestusa Republika uzna go za wrogą planetę produkującą śmiertelnościaną broń. Cestus nie ma floty, która odparłaby ataki którejkolwiek ze stron. Politycznie i ekonomicznie Duris zostanie rozszarpana na strzępy, Cestus zaś skończy jako drobny przypis w nudnych akademickich wydawnictwach opisujących nieudane próby secesji.

Ostatnio regentka spała niewiele. Wydawało jej się, że co pięć godzin pojawia się nowy raport, przynoszący wieści o płonących rafineriach, uciekających siłach bezpieczeństwa, grupach komandosów może z Pustynnego Wiatru, może innych - uderzających z mroku i ciszy, niszczących jedynie urządzenia, by zaraz rozpląnąć się w powietrzu.

W środku nocy krzyki Shar Shar obudziły Duris z niespokojnego snu.

- Schwytaliśmy Pustynny Wiatr! - krzyczała. - Proszę zaraz przyjść!

G'Mai Duris owinęła rozłożyste ciało szlafrokiem i pobiegła za swoją niebieską asystentką, która odbijała się od podłogi, zdążając w kierunku pokoju obserwacyjnego.

Rozpoznała lokalizację hologramów: stacja geotermalna Kibo na zachód od wzgórz Zantay. Kibo znajdowała się na liście celów o wysokim priorytecie i dlatego przydzielono tam ekipy ochroniarzy. Widocznie te środki ostrożności przyniosły odpowiedni skutek.

- Co mamy?

- Oddział Pustynnego Wiatru. Nie więcej niż dziesięć osób. Przeprowadzali sabotaż w jednej z

chłodni i drugi obchód ich dopadł. Wpadli, zanim zdążyli uciec. Chyba odcięli im odwrot.

- Dobrze, dobrze - odparła Duris. - Okazuje się, że można ich złapać, a potem wypytać.

Może teraz dowiedzą się wreszcie choć części prawdy. Może.

Obi-Wan Kenobi ugrzązł w bunkrze na piargowym zboczu jeziora Kibo, niedaleko białej durabetonowej kopuły elektrowni. Przez ostatnią godzinę wiatr prawie ustał. W powietrzu unosił się piaskowy pył, zmniejszając celność ognia. Nieprzyjacielowi zdawało się to nie przeszkadzać: jeden z rekrutów został ranny z broni snajperskiej. Zaskoczenie i celny ogień obrońców wyraźnie pozbawiły ducha pozostałych.

Żołnierze-klony byli w dalszym ciągu przebrani za wojowników Pustynnego Wiatru. Nawet jeśli Obi-Wan wiedział o istnieniu obciążającego holowideo, to przy braku dodatkowych świadków łatwiej będzie na Coruscant zaprzeczyć wszelkim powiązaniom.

Pięćdziesięciokilometrowej średnicy krater wulkaniczny jeziora Kibo był czwarty co do wielkości na planecie. Aktywne szczeliny w dnie sprawiały, że ten jeden z największych zbiorników wody na Cestusie przypominał kocioł z geotermalną zupą; był miejscem, gdzie żyły dziwne, prymitywne formy wodne i skąd czerpało energię wiele pobliskich kopalń.

Elektrownie geotermalne wykorzystywały te szczeliny wulkaniczne, koncentrując ciepło i zasilając nim serię turbin parowych. Energie, sprzedawano potem na całej planecie.

Aby znaleźć dobrą pozycję do ataku, potrzebna była zarówno odwaga, jak i zręczność. Cicho przecinali musującą alkaliczną zupę jeziora i wspinali się na ściany krateru od strony pustyni, zamykając precyzyjną pułapkę.

Ładunki wybuchowe rozmieszczono bardzo starannie. Strażników unieszkodliwiono bez ofiar. Gdyby wszystko poszło dobrze, zniknęliby na pustyni w ciągu godziny, zanim jeszcze pierwsza eksplozja rozświetli nocne niebo.

Ale miało się stać inaczej. Nie sposób było przewidzieć takiego wypadku. Na trzydzieści godzin przed atakiem wystąpiła awaria systemu alarmowego Kibo. Cały system został więc wyłączony i poddany remontowi. Obi-Wan nie miał żadnych szans, żeby wypróbować to, co przygotowali. Co gorsza, nikt nie wiedział, kiedy system może zostać włączony na nowo.

Doskonała okazja? Czy doskonała pułapka?

Przez pół godziny Pustynny Wiatr obserwował i czekał, zanim zdecydował się działać zgodnie z planem. Połowa z nich weszła do rafinerii, podczas gdy druga połowa czekała na zewnątrz, mając nadzieję, że jeśli nawet system alarmowy włączy się znowu, nie zdradzi wtargnięcia tamtych. A jeśli nawet się to nie uda, rozbroją system całkowicie.

Ich plan mógł się powieść, gdyby nie to, że ochrona fabryki wcale nie zamierzała testować starego

systemu alarmowego. Pracownicy elektrowni zainstalowali system całkowicie nowy, taki, którego nie było na planach dostarczanych przez nigdy niesytą łąpówkę Trillot.

Obi-Wan wszedł prosto w pułapkę.

- Jesteśmy otoczeni? - syknął Thak Val Zsing.

- Nie - spokojnie odparł Obi-Wan. Val Zsing wystawił głowę na zewnątrz i natychmiast schował, wypłoszony przez celny ogień z laserów.

- Jesteśmy zablokowani - poprawił Obi-Wan - ale nie otoczeni. O, tam - wskazał na ceramiczne spirale w pobliżu głównej kopuły znajdują się wymienniki ciepła dostarczające gorącą wodę do turbin. - Staraj się mówić spokojnie, ale wiedział, że cierpliwość jego towarzysza też może się wyczerpać. - Jangotat?

Jangotat cierpliwie obserwował swój kwadrant od chwili, gdy wykryto zasadzkę.

- Tak jest - odpowiedział.

- Możesz ich ode mnie odciągnąć. Będę cię osłaniał. - Jangotat przykląkł w kurzu, na którym Obi-Wan kreślił linie planu produkcji.

Żołnierz momentalnie pojął, o co tu chodzi, ale Thak Val Zsing wciąż nie był przekonany.

- Patrz i ucz się - polecił Obi-Wan. - Na razie potrzebujemy ognia osłonowego.

- Mocnego ognia osłonowego - dodał Jangotat. - Czy wy, Jedi, jesteście równie dobrzy w walce na miotacze, jak na miecze świetlne?

- Lepsi - zażartował Obi-Wan. - Wykorzystujemy miecze świetlne tylko po to, żeby walka była bardziej... wyrównana.

SOZ roześmiał się.

- No to do roboty.

Obi-Wan zachichotał do siebie. Wraz z nowym imieniem Jangotat zyskał nową osobowość.

Całym oddziałem zaczęli ostrzy ostrzał, który chwilowo zaabsorbował strażników przycupniętych za kopułą. Korzystając z okazji, Jangotat wychylił się z ukrycia i strzelając na oślep, zdołał trafić jednego ze strażników. Teraz już się nie da uniknąć zabijania. Obi-Wan wiedział, że ta akcja może kosztować czyjeś życie, miał jednak nadzieję...

Porzucił te myśli, bo Jangotat wyskoczył z boku i ruszył zygzakiem, ciągnąc za sobą niszczycielski ogień z miotaczy. Strumienie energii darły podłoże wokół jego stóp, gdy wysokim łukiem skoczył w czeluść wulkanu. Obi-Wan skrzywił się. Woda na pewno jest gorąca!

Tak jak przypuszczali, przeciwnicy, którzy do tej pory trzymali ich w szachu, teraz lekko się przesunęli, aby mieć lepszy dostęp do parującej powierzchni. W tym momencie Obi-Wan starannie wymierzył i wypalił dziurę w spirali wymiennika ciepła.

Buchnęła świeża para i ochroniarze zaczęli krzyczeć, na chwilę zapominając o swoich zamierzeniach. Prysunic z wrzącej pary zapewnił przerwę w ostrzale.

Obi-Wan zaczekał, aż skuter przechwyci Jangotata i uniesie go w bezpieczne miejsce. Wtedy dopiero poprowadził atak na zdezorganizowane siły ochrony.

Dzieliła ich odległość czterdziestu metrów. Gdyby udało się zyskać bodaj kilka sekund, mogłoby to skompensować nierównowagę sił. Jeden z oślepionych, poparzonych mężczyzn zwrócił broń ku nacierającym intruzom, lecz zbyt późno, aby zamknąć lukę.

Któryś z członków Pustynnego Wiatru upadł ciężko z dymiącą dziurą w piersi. Walka została podjęta.

Miecz Obi-Wana błyskał, strażnicy padali. Z uszkodzonego wymiennika ciepła z sykiem uchodziła para. Piekła go w oczy, a przecież był dalej niż tamci. To musiało być bolesne.

Powietrze wokół mżyło od cięć miecza świetlnego. Wycie skuterów dochodziło teraz z góry i Obi-Wan dostrzegł Kita Fisto, który śmignął* przed nim i rzucił się w sam środek potyczki. Wymachiwał mieczem na prawo i lewo, odbijając promienie laserów i ucinając miotacze przy samej kolbie. Strażnicy, którzy mieli trochę szczęścia, odpełzali szybko w bezpieczne miejsce. Ci, którzy go nie mieli, leżeli, trzymając się za zranione części ciała, a kilku miało się już nigdy nie poruszyć.

Zostali schwytani w pułapkę i przechytrzeni. Katastrofy uniknęli tylko dzięki temu, że Jangotat miał zwyczaj wypełniać rozkazy dokładnie, co do joty, choćby się nawet wydawały absurdalne. Gdyby było inaczej, gdyby tego nie powstrzymał, katastrofa zmieniłaby się w rzeź. Pomachał do Nautolanina, dając mu znak do wycofania się. Narobili więcej szkód, niż początkowo planowali. Kiedy ładunki eksplodują, cała instalacja zmieni się w kupę gruzu.

A jednak nie czuł dumy, choć bardzo się starał.

Zginęły żywe istoty. Drzwi do krainy chaosu stały otworem i z każdą chwilą przejście stawało się coraz szersze.

W okresie po wypędzeniu Jedi z ChikatLik Pustynny Wiatr zniszczył trzy rafinerie, elektrownię i fabrykę.

Duris wiedziała, że to dopiero początek.

Nie miała pojęcia, do kogo się zwrócić. Mogła jedynie nakazać, aby wzmożono ochronę. Oczywiście, jej rozkazy wypełniane były bez wahania, tyle że ona nie wiedziała, czy to jeszcze ma jakiegokolwiek znaczenie.

Nie wiedziała też, komu może zaufać. Przedstawiciele Pięciu Rodów nieustannie kłamali. Tacy już byli, przyswoili sobie nieuczciwość wraz z pierwszymi posiłkami. Co kilka godzin mapa Cestusa rozkwitała nową czerwoną plamą. To oznaczało, że czasu było coraz mniej. Wiedziała już, że Pięć Rodów snuje swoje własne plany. Albo zamierzają ją usunąć z urzędu, albo jeszcze coś gorszego.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że tak bardzo pragnęła raz jeszcze porozmawiać z Obi-Wanem. Poprosić o wyjaśnienie. Może gdyby zostali sam na sam, stałoby się to możliwe. Ale teraz...

- Jakież rozkazy, madam? - zabalgotała Shar Shar.

- Zbieraj informacje, Shar Shar - poleciła. - I miej nadzieję na cud.

Aby zachować wszystko w tajemnicy, przywódcy znani jako Pięć Rodów spotykali się w najtajniejszym z możliwych pomieszczeniu w kompleksie bunkrów położonym siedemdziesiąt kilometrów od ChikatLik. Bunkier oficjalnie nazywano kompleksem rozrywkowym, ale było tu dość profesjonalnego wyposażenia, aby monitorować całą planetę, jak również dość wody, by wystarczyło dla dziesięciorga lu47i przez sześć miesięcy. W zewnętrznej części znajdowało się holoatrium, pomieszczenia do ćwiczeń i restauracja, luksusowe apartamenty oraz lokale rozrywkowe. Wewnętrzne pomieszczenie było jeszcze bezpieczniejsze, a jego ściany dość grube, żeby oprzeć się strumieniom energii przez cały dzień.

Pomimo swoich układów z klanem X'tingów, Trillot nigdy wcześniej nie bywała w tym bunkrze, wątpiła też, żeby zdarzyło jej się to jeszcze raz. W tej chwili przebywała tu jako gość dalekiego kuzyna Quilla, który był jej winien przysługę. Nerwowość wisiała jednak w powietrzu jak chmura dymu. Nastrój nie uległ poprawie, kiedy z mrocznego korytarza weszła do pokoju wysoka kobieta o ogolonej głowie i skroniach pokrytych tatuażami. Ventress miała na sobie obcisły jak druga skóra kombinezon z czarnej sullustańskiej skóry, który podkreślał jej niepokojąco giętkie ruchy.

Trillot wstała, aby poznać ją ze zgromadzonymi.

- Przedstawiam wam Asajj Ventress.

Obecni powstali uprzejmie, po czym usiedli, oczekując komentarzy.

- Jestem komandor Asajj Ventress - odezwała się kobieta. Jej tatuowana czaszka przykuwała wzrok, jakby rysunki na skórze nagle nabrały życia. - Reprezentuję hrabiego Dooku. Nasze nowe przedsięwzięcie, roboty ZJ, dadzą wam bogactwo i nieograniczoną potęgę. Ale nie popełnijcie błędu: mój pan jest zainteresowany czymś więcej niż tylko zyskiem. Jeśli będziecie prowadzić uczciwy handel, zostaniecie nagrodzeni. - Przedstawiciele zaczęli szeptać między sobą entuzjastycznie kiwając głowami, aż Ventress musiała lekko podnieść głos, aby znów przyciągnąć ich uwagę. - Spróbujcie potraktować to jak zwykłą transakcję - dodała ostrzegawczo - a pożałujecie, że się w ogóle urodziliście.

Pani PorTen uniosła smukłą błękitno pożyłkowaną dłoń.

- Proszę tak nie mówić, pani komandor. Może i straciliśmy na chwilę orientację, ale po... odejściu Obi-Wana Kenobiego mogę panią zapewnić, że wróciliśmy na stare tory.

Ventress skłoniła głowę.

\ ~ To dobrze - odparła, a jej wargi wygięły się w zimnym uśmiechu.

~ Porozmawiajmy o szczegółach.

Rozmowa toczyła się gładko, zanim ktoś wreszcie spytał uczciwie:

- Czego pani od nas żąda?

Ventress spojrzała uważnie na mówiącego, ale zaraz spuściła wzrok.

- Abyście przez cały czas robili to, co jest dla was najlepsze.

Odpowiedź spodobała się zebranych.

- A co to znaczy?

Ventress podniosła oczy, świecące jak węgle.

- Że przeżyjecie. Gdybyście przyłączyli się do Jedi, już byście dzisiaj nie żyli, a przynajmniej nie wszyscy. Wiemy, że przynajmniej jedna kapsuła przetrwała. Przypuszczam, że zarówno Kenobi, jak i jego sprzymierzeńcy wciąż żyją. Czuję to. Będą próbowali zniszczyć nasz układ.

Lady Por'Ten aż się cofnęła przed gniewną miną Ventress.

- C... co powinniśmy zrobić?

Wąskie wargi wykrzywił delikatny uśmiech.

- Macie mnie słuchać - odparła Ventress. - Dostarczcie mi najpierw danych, które będą mogła umieścić na mapie.

- Po co?

Jej oczy stwardniały.

- Nie proście o odpowiedzi, których nie potraficie zrozumieć - odparła. - Może po prostu zamierzam udowodnić, że jestem lepsza od Kenobiego. Jego kłamstwa to moja rzeczywistość.

Dane zostały zebrane i wprowadzone do komputerów. Ukazywały wszystkie widoki planety, wszystkie akty sabotażu, wszystko, co było wiadome, włącznie ze zniknięciem kapsuły ratunkowej.

Wszystko.

Asajj Ventress spacerowała pośrodku pola projekcyjnego z przymkniętymi oczami i wyciągniętymi rękami. Wyglądała jak ślepa dziewczyna orientująca się w nieznanym pomieszczeniu.

Takie skojarzenie samo się nasuwało. Dla większości widzów jednak była ona dziwną, przerażającą syreną przemierzającą morze żywej energii, ślizgającą się po liniach marzeń.

Trillot uznała, że to najpiękniejszy, najbardziej niepokojący widok, jaki zdarzyło jej się oglądać.

Wreszcie Ventress odwróciła się i spojrzała na nich. Jej wyciągnięta dłoń lekko drżącym palcem wskazywała punkt pośrodku jarzących się linii.

- Są w tym miejscu.

- Jest pani pewna? - zapytała lady PorTen. - Może pani bez wątpliwości wskazać miejsce ich pobytu?

Pozostali wstrzymali oddech, myśląc o potencjalnym zagrożeniu, jakie stanowiło zadawanie tej kobiecie pytań w jakiegokolwiek formie.

Jej pierś falowała lekko, gdy udzielała odpowiedzi.

- Wy z Rodów nie macie kontaktu z Mocą. Ale Obi-Wan... tak. On jest nią przepełniony. On, a także... Przymknęła oczy. - Nautolanin. Tak. On także jest Jedi. Czuję to. Czuję zafalowania, jakie wywołują w Mocy.

Uśmiechnęła się do nich.

- Jeśli widzicie drobne fale na wodzie, wiecie, gdzie spadł kamień. Jeśli te mapy i wasze informacje są właściwe, moja analiza również jest prawidłowa.

Podczas gdy Ventress rozmawiała z zebranymi, Trillot czuła, jak napięcie narasta. Jeśli ta operacja się nie powiedzie, pani gangster może popaść w niełaskę obu stron. Ale jeśli się uda...

Quill nachylił się do niej.

- Dobrze sobie poradziłaś. Pracuj tak dalej, kuzynko. Jeśli Pięć Rodów zyska na tym, twoja nagroda będzie większa niż mogłoby ci się przyśnić.

- Mam bardzo odważne sny - zapewniła Trillot, odwracając się ku niemu. - Co proponujecie?

- Pięć Rodów istnieje od trzystu lat - odparł Quill, okrążając zalotnie Trillot. - Kopalnie, produkcja, sprzedaż i dystrybucja, badania i energetyka. Ale wszyscy doskonale rozumieją, że to wymaga pracy.

- Więc?

- Więc... jeśli Duris umrze, w radzie roju znajdzie się miejsce dla Trillot.

Oczy Trillot zabłyśły.

- Pomyśl o tym. Twoje larwy nie będą już pełzały w mroku.

- Zaproszenia na bale?

Quill uśmiechnął się.

- Posiłki przy głównym stole, Trillot, przyjaciółko, moja siostró. Najwyższy czas, abyś wraz ze swoją rodziną wynurzyła się z mroku i zajęła należne sobie miejsce.

Najwyraźniej trafił na słaby punkt Trillot.

- Co mam zrobić?

Ventress obserwowała ich bez słowa. Dłonie wciąż trzymała wyciągnięte, jakby mogła coś czuć poprzez końce palców. Trillot słyszała, że Obi-Wan Kenobi zaledwie kilka dni temu sfingował niezwykle zdarzenie. Czy Ventress istotnie może dokonać równie nieprawdopodobnej rzeczy? A jeśli tak, czy to nie oznacza, że jest potężniejsza od Jedi?

- Pamiętaj, kto jest twoim przyjacielem i sprzymierzeńcem. Z pewnością nie Duris.

To prawda.

Ani Kenobi - dodał łagodnie, upewniając się, czy ich groźny sprzymierzeniec znajduje się poza zasięgiem słuchu który używa naszej planety jako pionka w galaktycznej grze w szachy.

Tak. - Trillot zadygotała.

- Boisz się Kenobiego?

Skinęła głową.

- Nie bój się. Nasz sprzymierzeniec, wielka Asajj Ventress, zniszczy go, Musisz dostarczyć jej

wszystkiego, czego zażąda, bez zadawania pytań. Kenobi może wciąż ci ufa, więc przybędzie do ciebie po pomoc. Jeśli to zrobi, musisz działać bez wahania. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, będziesz mogła wyjść na światło słoneczne.

- Musimy działać - zwróciła się do nich Ventress.

- Co pani ma na myśli? - zapytała lady Por'Ten.

Ventress przespacerowała się po komnacie, jakby znalazła się w niej całkiem sama.

- Mam na myśli test dla waszych robotów ZJ.

Członkowie Pięciu Rodów spojrzeli po sobie nerwowo.

Nie mogą zabijać, dopóki nie wymieni się im kryształów Gabonna, pani.

- Nieważne, chodzi tylko o ich umiejętności. Potrzebne jest jednak jeszcze coś: wiele miesięcy temu hrabia Dooku zaprojektował i zamówił specjalne roboty infiltracyjne. Zgodnie z waszymi raportami, są one już skonstruowane i gotowe do prób.

- To prawda - odparł jeden z techników.

A więc będą razem z ZJ służyć pod moimi rozkazami - powiedziała Ventress i uśmiechnęła się tak lodowato, że w porównaniu z jej grymasem wyszczerzone kły dzikiej bestii wyglądały sympatycznie.

Nie było w nich życia, ale pełzły poprzez mrok. Nie miały uczuć, ale marzyły o śmierci. Nie miały potrzeb cielesnych, ale odczuwały przerażający głód.

Cztery roboty na przedzie wyglądały jak przejrzyste worki galarety. Mdłe światełka w głębi ich półstałych ciał odsłaniały zarysy metalowych części w środku.

Te z tyłu były twardsze, złociste, o kształcie klepsydry. Ich cienkie nóżki swobodnie poruszały się po ścieżce wypalanej przez ich starszych braci, ZJ.

Cztery roboty infiltracyjne wykorzystywały swój nieokreślony kształt, aby przeciskać się przez najciaśniejsze tunele. Znajdowały miejsce zaczepienia, gdzie tylko się dało, a potem przyjmowały kształt, jaki odpowiadał im najlepiej. Węzły laserowe na powierzchni paliły skałę, topiły ją i cięły, aby poszerzyć przejście.

Wędrowały tak całymi kilometrami; ich ciała twardniały, kiedy musiały odsunąć na bok jakąś przeszkodę, i stawały się bardziej płynne, gdy trzeba było badać drogę i torować ją dla ZJ.

Śmiercionośna procesja posuwała się pod ziemią, poniżej zasięgu wszelkich czujników, z dala od wszelkich potencjalnych obserwatorów. Roboty poruszały w niemal całkowitym milczeniu, a kiedy napotykały przeszkodę, przekopywały ją lub przepalały.

Metr po metrze zbliżały się do swojej ofiary. Bez zmęczenia, bez Wahania, bez litości i pragnienia przeżycia, parły nieubłaganie naprzód, poruszane jedynie zaprogramowanym głodem.

Głodem, który wkrótce zostanie nasycony.

Przez setki lat głębokie cienie gór Dashta dostarczały schronienia przemytnikom, uciekinierom, złodziejom, politycznym malkontentom, a także młodym kochankom. Nikt nie znał wszystkich ścieżek, które wiodły do jaskiń, i pewnie nikt ich nigdy nie pozna. Dlatego właśnie głębiny jaskiń wybrano na miejsce uroczystości.

To prawda, pierwotny plan wymknął się spod kontroli, ale dalsze zamiary zrealizowano bezbłędnie. Jeśli nawet Jedi żałowali straconego życia, odmłodniałe siły Pustynnego Wiatru czuły, że wreszcie zadają decydujący cios Pięciu Rodom.

Dzięki zdolnościom łącznościowca Sirty'ego i talentowi Doolba Snoila do poszukiwań, po włączeniu się do sieci holovideo ChikatLik uzyskano istotną informację na temat strat poniesionych przez nieprzyjaciela w ostatnich sześciu napadach: produkcja robotów spadła o ponad trzydzieści procent. Gdyby udało im się utrzymać to tempo, Pięć Rodów i rząd będą musieli zasiąść przy stole rokowań... i spełnić wszystkie żądania.

Obi-Wan jednak wcale nie był pewien, czy podjęty kierunek działań rzeczywiście doprowadzi ich do upragnionego rezultatu. Było już tyle brutalnych działań, tyle ucieczek w ostatniej chwili; zginęły trzy osoby. Napięcie narastało do punktu, poza którym była już tylko śmierć. Odrobina radości na pewno im nie zaszkodzi.

Zabawa trwała już od wielu godzin. U wejścia do jaskini stali strażnicy. Choć wszyscy zachowywali czujność, apetyty walczących zostały zaspokojone jednocześnie posiłkiem, napojami, grami, przechwałkami i tańcami.

Resta Shug Hai przez większość czasu siedziała samotnie, popijając miód, napój, który działał podobnie i na Cestian, i na ludzi. Od pierwszego dnia szkolenia trzymała się nieco z boku, jako jedyna przedstawicielka rasy X'Ting pośród rekrutów-ludzi. Bariera działała w obie strony po tylu latach walki o ziemię i prawo do życia niewiele w niej zostało miłości do pozaświatowców. Nawet kiedy żołnierze cieszyli się zwycięstwami, a normalne w tych warunkach koleżeństwo związało ich jeszcze bardziej, ona wciąż pozostawała z boku. Teraz jednak podniosła się, lekko kołysząc się w biodrach, jakby miód rozwiązał jej język.

- Śpiewam piosenkę - oznajmiła.

Doolb Snoil radośnie zaklaskał w pulchne rączki i zaczął zachęcać ją okrzykami.

- Pieśni X'Ting jak lekcja historii Thak Val Zsing - wyjaśniła. Każdy klan ma swoją pieśń. Opowiada historie ludu. Kiedy pieśń umiera, lud umiera. Resta ostatnia zna pieśń swój klan.

I zaśpiewała. Obi-Wan nie znał języka, ale wcale nie musiał. Rozumiał emocje kryjące się pod obcymi słowami. A jeśli emocje były prawdziwe, to pieśń mówiła o odwadze, ciężkiej pracy, miłości, nadziei i snach.

Uderzyła go duma i odwaga Resty. Jeśli ona i G'Mai Duris były typowymi przedstawicielkami swojego ludu, X'Tingowie byli niewiarygodnie silną rasą. Pomimo zarazy, pomimo tego, że nie zostawiono im prawie nic, pomimo braku wszelkich oznak, że może być inaczej, oni wciąż marzyli.

Kiedy Resta skończyła, jaskinia zatrzęsa się od braw.

Jangotat dokonywał obchodu zewnętrznych jaskiń, od czasu do czasu zatrzymując się, aby porozmawiać z braćmi. Wszyscy odmówili wzięcia środków odurzających. Następnie skontrolował rekrutów, którzy trzymali straż ukryci pomiędzy skałami albo monitorując skanery. Mogli uważać, że są znakomicie schowani, ale prędzej czy później ich kryjówka skazana była na ujawnienie. Góry stanowiły jednak naturalną barierę przed bombardowaniem, więc zdobycie zboczy osłanianych ogniem zajęłoby napastnikom wiele godzin, wszystkie tylne wejścia zaś były albo zamknięte, albo przynajmniej dobrze strzeżone.

W świecie działań wojennych było to miejsce stosunkowo bezpieczne.

Po trzeciej rundzie Jangotata ogarnęło uczucie spokoju. Wprawdzie pierwszy spisek generała Kenobiego zakończył się fiaskiem, za to nowa operacja wydawała się całkiem udana: niszczenie sieci energetycznych uszkodzenie stacji uzdatniania wody i łupienie transportów z wypłatami, aby zasilić własne fundusze. Lokalni ochotnicy sprawiali się doskonale nawet w warunkach stałego napięcia.

Nieznany nieprzyjaciel storpedował ich pierwszy wybieg. Jangotat uważał cały świat dyplomatycznych kombinacji za niegodny prawdziwego żołnierza, a nawet tych niezwykle, fascynujących istot, jakimi są Jedi. Dziwne. Myślał o Jedi nie w kategoriach szacunku, lecz raczej braterstwa, które zazwyczaj rezerwował wyłącznie członków WAR. W niezmiennym porządku rzeczy znajdowali się wysoko ponad nim, ale jednocześnie byli wojownikami i genialnymi przywódcami.

Najnowsza przygoda udowodniła, że jednak nie są doskonali, podobnie jak wszystkie inne istoty. Zanurzenie we wrzącej wodzie sprawia ból, intensywny, choć chwilowy. Obfitość syntciała z zestawów pierwszej pomocy przykryła rany i zmniejszyła opuchliznę i zaczerwienienie w ciągu kilku godzin.

A co najważniejsze, zwyciężyli.

Jangotat stwierdził, że ogarnia go uczucie zadowolenia, które rzadko bywa udziałem kogoś z jego współbraci. Spełniał funkcję, do której został przeznaczony, i cieszył się możliwością nauki od dwóch znakomitych nauczycieli. Istniały również inne... interesujące czynniki.

Kręcił się po okolicy w nadziei, że znajdzie Sheekę Tuli, ale nie trafił na nią. Bez wątpienia przewoziła kolejny ładunek zapasów. Myśl o niej sprawiła, że ciepło mu się zrobiło na sercu.

Stary Thak Val Zsing w ostatnich chwilach, zanim stracił honor, **był** wdzięczny i zadowolony. Przez lata walczył, aby dać swoim ludziom lepsze życie i te ciężkie czasy zebrały swoje żniwo, nawet zanim nadeszły te straszne lata, kiedy to zdrada i mordercze, bezlitosne represje zdziesiątkowały Pustynny Wiatr, z którego pozostał ledwie cień jego wcześniejszej potęgi.

Pomimo jednak poprzednich zastrzeżeń wydawało się, że Jedi stanowią odpowiedź na jego modlitwy; może więc jego prawnuki nie będą musiały żywić się kurzem, jak robił to Val Zsing przez wiele długich, bolesnych lat.

Obserwował zatem zabawę, z pewną aprobatą stwierdzając, że obaj Jedi zachowują lekki, stosowny dla przywódcy dystans, nie włączając się do ogólnego rozgardiaszu. Robili to dyskretnie, bez ostentacji.

Jedi byli godni szacunku i jednocześnie nim przepełnieni. Dziwne towarzystwo, wszyscy, co do jednego. Ludzie, klony, Nautolanin... i ten najdziwniejszy, Vippit. Kiedy grupa ratunkowa odnalazła kapsułę, trząsł się ze strachu jak galareta, zaledwie jednak dostarczono go Jo obozowiska, natychmiast znalazł sobie zajęcie, koordynując grupę wywiadowczą. Inteligencja ostra jak skalpel laserowy.

W ostatecznym podsumowaniu Thak Val Zsing stracił dowództwo Pustynnego Wiatru, lecz zwyciężał w wojnie. Niezły interes. Niezły ostatni rozdział w długim, dziwnym życiu prawnuka mordercy, nauczyciela historii, który został górnikiem i przywódcą anarchistów.

Thak Val Zsing znalazł sobie więc butelkę chandrilańskiej brandy i powędrował z powrotem do jednej z jaskiń w głębi, aby w spokoju się rozkoszować tym smakiem rodzinnego świata, którego być może już nigdy nie ujrzy...

Thak Val Zsing lubił tylko dwie rzeczy: walkę i alkohol.

Butelka była już w trzech czwartych pusta, kiedy na chwilę stracił przytomność. Oparł się o ścianę jaskini, obserwując, jak stalaktyty wirują dokoła niego. Patrząc na tę radosną karuzelę, z okrzykiem radości dokończył butelkę. Był już półprzytomny i zsuwał się w ciepły, mroczny tunel w kierunku rozkosznej drzemki, kiedy usłyszał trzask. Potem drugi. A potem ziemia pod nim zaczęła się poruszać. Spojrzał na nią z zainteresowaniem. Gdzieś w oddali, w głębi jaskiń słychać było dźwięki tanecznej muzyki. Wprawdzie nie słyszał radosnych głosów, ale wiedział, że tam są. Wiedział też, że po niepewnym starcie, kiedy to Jedi próbowali przeskoczyć sami siebie, cały plan wrócił na właściwe tory; oto kończyli dzieło nękania i sabotażu, które Pustynny Wiatr rozpoczął tyle lat temu. A teraz wszystko się uda.

Właśnie napawał się tą myślą, kiedy znów rozległ się trzask. Thak Val Zsing przetoczył się na twarde, okrągłe brzuch, aby jaskinia znalazła się znowu na swoim miejscu, i zamrugał zamglonymi oczami.

Jeden z kamieni odpadł, ukazując szczelinę w ziemi. Mógł to być jeden z miliardów mikrotuneli biegnących przez każdy kilometr tych gór. Większość z nich była zbyt mała dla człowieka, więc nie trzeba Się było martwić bezpieczeństwem. Co to więc było? Czyżby jakiś rodzaj aktywności

wulkanicznej? Może przegrzebujący się samiec chitlika...?

Ze szczeliny wyłonił się pierwszy mroczny, amorficzny kształt...

Cztery plastiroboty i towarzyszące im ZJ przewędrowały sto kilometrów przy średniej prędkości niewiele mniejszej niż dziesięć kilometrów na godzinę. Do osiągnięcia celu potrzebowały pół dnia. Niezmordowanie przedzierały się przez zakurzone tunele, podkradając się pod miejsce, gdzie przebywały ofiary. Roboty nie zawsze wędrowały po linii prostej; jeśli tunele się rozgałęziały, wybierały inną drogę, podkopując się lub wspinając, aby utrzymać mniej więcej prawidłowy kierunek. Kiedy docierały do przeszkody, której nie mogły odepchnąć ani się pod nią podkopać, cofały się i okręzały ją. W momencie gdy czujniki na powierzchni wykryły dźwięk muzyki, zaczęły kierować się w jej stronę, kasując wszystkie alternatywne ścieżki. Maszyny nie mogły odetchnąć z ulgą, ale ktoś, kto lubi sobie wyobrażać różne rzeczy, mógłby dopatrzeć się w ich zachowaniu przyływu energii z jaką przedzierały się przez podłoże jaskini.

Plastoidowy robot infiltracyjny precyzyjnie przecisnął się przez otwór, roztopiając i krusząc wokół siebie skałę. Za nim wygramolił się drugi, trzeci i czwarty.

Wreszcie wynurzyły się ZJ. Po chwili wszystkie roboty przycupnęły w wielkiej jaskini, która wydawała się pusta, jeśli nie liczyć jednej istoty ludzkiej w stanie całkowitego upojenia. Istota obserwowała je półprzytomnym wzrokiem, przyjmując widocznie, że ten sam napój, który zagłuszył ból, zesłał także halucynacje.

Cztery plastiroboty wyglądały jak gigantyczne pierwotniaki, zaopatrzone w ciemne mechaniczne elementy w miejscach, gdzie powinno znajdować się jądro i wypustki. Osiągnąwszy upragnione miejsce przeznaczenia, magnetycznie zawieszony w każdym z worków części popęzły ku sobie i zaczęły się łączyć. Powoli, w miarę, jak kawałki metalu i plastynu odnajdywały się wzajemnie, powstawały groźnie wyglądające, skryte pod przezroczystą skórą kształty, które stopniowo rosły w ich wnętrzach.

ZJ wydawały się obserwować, jak cztery worki z plastynu i metalu dygoczą i pulsują. Teraz każdy z nich stawał się rozciągnięty i zniekształcony metalowym szkieletem; niebawem na miejscu czterech niekształtnych worków pojawiły się cztery w pełni ukształtowane roboty infiltracyjne - potwory na gąsienicach, wysokie jak trzech ludzi, w ciężkich, grubych zbrojach i o długich elastycznych szyjach.

Thak Val Zsing przyglądał im się, nie rozumiejąc, co właściwie widzi. Śmiał się, patrząc na tę dziwną halucynację. Stan upojenia już nieraz sprawiał mu psikusy, wywołując z przeszłości przedziwne obrazy. Nie było ich jednak tak wiele. A teraz wszystko wydawało mu się ogromnie zabawne. Śmiał się jeszcze, kiedy pierwsza maszyna uzyskała ostateczny kształt. Jej sylwetka stała się nagle potwornie, przerażająco znajoma przypominała robota mordercę, który pięć lat temu rozniósł na gąsienicach strajk górników.

Świadomość ta przedarła się przez mgłę oszołomienia; dotarło też do niego, że śmierć wyłaziła teraz przez wszystkie szczeliny w skale, na której stał. Podniósł się i chwiejnym krokiem wycofał ku najbliższej ścianie. Nadeszła chwila, gdy zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku; że to, co widzi, wcale nie jest halucynacją, lecz czymś bardzo żywym i przerażającym.

Istnieje w życiu każdej istoty chwila samookreślenia; musi wtedy podjąć działania - albo ich zaniechać. A kiedy już coś się zrobi, nie można zawrócić z obranej drogi. Thak Val Zsing był pijany, więc należałoby mu wybaczyć. Był również weteranem, który więcej razy brał udział w akcjach Pustynnego Wiatru, niż mógłby zliczyć. Być może życie daje każdej istocie określoną dawkę zimnej krwi, a kiedy ta porcja się wyczerpie, następuje pustka.

Aż do końca swoich dni Thak Val Zsing próbował wyjaśnić, najpierw sobie, a później innym, dlaczego nic nie zrobił, tylko wpełzł pod kamienną półkę i leżał tam, drżąc, szlochając ze strachu i rozpacz. Nie podniósł alarmu, który zwróciłby na niego uwagę morderczych maszyn.

To wybór, do którego nikt nie powinien być zmuszany: życie za cenę duszy.

ZJ czekały cierpliwie, aż nasycona specjalnym smarem plastynowa skóra, naciągnięta na całkowicie zmontowane korpusy, dokładnie obciążone metalowe konstrukcje infiltratorów. Gdy tak się stało, skóra naciągnięta na metalową konstrukcję pękała, niczym błony płodowe otaczające metalowe dzieci.

ZJ wciągnęły powietrze jak żywe istoty; zupełnie jakby spieszyły się wypełnić swoje zadanie.

I być może na ich mechaniczną modłę tak właśnie było.

Kit Fisto oparł się o nierówną skalną ścianą, a jego czułki poruszały i się lekko w rytm muzyki. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale ku własnemu rozbawieniu stwierdził, że reaguje na te prymitywne melodie. Podobnie jak większość Jedi, Kit nie wychował się na rodzinnej planecie, lecz w komnatach Świątyni. Jednak dla czystej przyjemności dowiedział się wiele na temat obyczajów z Glee Anselm, zwłaszcza zaś polubił tamtejszą muzykę. Na Glee Anselm nikt nie byłby tak' prymitywny, żeby zagrać melodię o mniej niż trzech różnych rytmach, tańce zaś z pewnością były znacznie bardziej skomplikowane. Tak się spodobały Kitowi, że wreszcie nie wytrzymał, uniósł dłoń i rzekł:

- Czekaście! Przyłączę się do was.

Muzycy przestali grać, zaskoczeni, że ponury zwykle Nautolanin nie tylko przemówił, ale nawet zdecydował się wziąć w coś udział. Nerwowo podsuwali mu różne instrumenty do wyboru. Kit przyjrzał im się i po chwili namysłu wybrał jeden, który łączył w sobie cechy instrumentu dętego i strunowego.

- To wystarczy.

Zauważył, że Obi-Wan i Snoil przyglądają mu się uważnie i uznał, że musi się bardzo postarać. Obi-Wan okazał się jednym z najlepszych: wojowników, jakich znał Kit Fisto. Może ktoś uznałby to za niegodne, ale Nautolanin pragnął wyrzucić wrażenie na swoim towarzyszu bodaj za pomocą narodowej muzyki.

Ujął instrument w dłonie i zaczął jednocześnie dąć i trącać struny, na przemian wzmacniając obie linie melodyczne. Kilka chwil trwało, zanim dobrze zapoznał się z instrumentem; nawet po nabraniu wprawy nie wszystkie nuty mógł odpowiednio zagrać, ale to nie miało znaczenia. Podobnie jak jego przodkowie, Kit opanował sztuką wykonywania muzyki pod wodą, a choć i w powietrzu nieźle mu to wychodziło, dźwięk w innym środowisku nabierał całkiem nowego charakteru. Należało więc dokonać pewnych korekt, a jego zwinne palce i inteligentny umysł zrobiły to w ciągu kilku chwil. W miarę jak tony stawały się coraz bardziej płynne, pozostali muzycy zaczęli mu akompaniować na instrumentach dętych i strunowych. Potem włączyły się głosy, nucąc pieśń bez słów, pod której wpływem Kit zatęsknił za domem. Pomimo braku wody na ich planecie, Cestianie wydawali się dobrym ludem.

I wtedy, co uznał za największy komplement, co śmielsi z obecnych zerwali się i zaczęli tańczyć. Początkowo mieli problemy z odnalezieniem rytmu, bo w muzyce nautolańskiej istotniejsze są pauzy pomiędzy nutami aniżeli same nuty, pogrupowane w nieregularne sekwencje. Wydawało się, że dość szybko odnaleźli rytm i zaczęli się dobrze bawić. Nawet gruba szyja Snoila poruszała się do taktu, a oczy podkreślały kontrapunkty.

Nagle Kit zeszytywniał, a jego ciemne oczy zwięzły się lekko, zanim do świadomej części jego umysłu dotarło uczucie zagrożenia.

Chropowate podłoże jaskini zadrżało, jakby kawałki skał próbowały wyrwać się na wolność i pełzły ku nim z ciemności.

Z głębi jaskiń wybiegł brodaty górnik z regionu Clandes, krzycząc:

- Napadnięto nas!

Błysnął promień światła, a górnik upadł na ziemię jak worek dymiących łachmanów. Już nie krzyczał.

- A to co, do ciemnej przestrzeni? - wrzasnął Skot OnSon, aż zafalowały jego długie do ramion, jasne włosy.

- Coś takiego nie powinno być możliwe - wychrypiał Fisto, przez chwilę sparaliżowany zaskoczeniem.

Jakiś kształt wychynął z ciemnego przejścia wiodącego do tylnej części jaskiń. Postać miała długą, metalową szyję, a na niej osadzoną głowę, która była jednocześnie bronią i sondą czujnikową. Szyja tkwiła na ciele wysokości dwóch ludzi stojących jeden na drugim, ale składającym się z elementów tak drobnych, że wydawało się niemożliwe stworzenie z nich tak olbrzymiej konstrukcji. Korpus postaci wyglądał jak złożony z fragmentów zabawek, wyciągniętych z pudełka jakiegoś dziecka. Stwór poruszał się na gąsienicach. Konstrukcją opinała cienka warstwa plastynu. Umysł Kita pracował gorączkowo, usiłując zidentyfikować przybysza..

Wokół gąsienic, na których sunęło cielsko uwijały się dwa... trzy, I nie, cztery roboty ZJ.

- Wiejemy! - krzyknął Skot. To jedno słowo odniosło skutek, jakiego potworowi nie udało się wywołać samym przybyciem: zmusiło ludzi do działania.

Uczestnicy zabawy rzucili się w kierunku wyjścia. Ogólny chaos utrudniał celowanie: żołnierze Pustynnego Wiatru bali się strzelać, żeby nie trafić swoich współtowarzyszy. Miotacz robota infiltracyjnego wypalił raz jeszcze, powalając dwóch kolejnych wojowników.

Kiedy żołnierze próbowali pomóc przyjaciom, do akcji wkroczyły mniejsze roboty ZJ. Nie można ich było powstrzymać ani negocjować z nimi; niemożliwe było ich zniszczenie i ucieczka przed nimi. Dysponowały oszałamiającą różnorodnością końcówek wstrząsowych, siatek pod napięciem, grotów ogluszających i promieni laserowych.

Nie można było przewidzieć ich zachowania ani się wymknąć! ZJ chwyciły i owijały w kokony sieci jednego górnika po drugim, przechodząc do każdej kolejnej ofiary z mechaniczną systematycznością.

- Co to takiego? - krzyczał Skot, biegnąc w kierunku wyjścia. - To niemożliwe!

Kit podniósł miecz i uruchomił szmaragdowe ostrze. Czuł, że każdy nerw jego ciała drży z napięciem. Obi-Wan miał rację. Cała ta operacja była jedną wielką katastrofą, i to od samego początku.

- Niemożliwe? Przecież nikt im nic nie powiedział! warknął Sirty. Jego sarkazm znikł jednak równie szybko, jak się pojawił. - Co robimy, proszę pana?

Kit szybko rozejrzał się wokół, próbując dostrzec Obi-Wana. Jeśli drugi Jedi znajdował się na dobrej pozycji, może dałoby się...

Nie było czasu na myślenie. Jeden z robotów przygwoździł czteroosobową rodzinę na skraju szczeliny. Macka wyposażona w miotacz skierowała się w ich stronę.

- Osłaniajcie mnie! - zawołał Kit i runął do przodu. Poczł ukłucie energii, zanim jeszcze promień uderzył, i zdążył uskoczyć. Biegł szalonymi zygzakami, koziółkując i przetaczając się, stosując styl Formy I do czystej ucieczki. Skakał i robił uniki, i błyskawicznie zbliżał się do przycupniętej, skupionej w ciasną grupkę rodziny.

Syczące promienie minęły go o parę centymetrów. W miejscu, gdzie trafiły, skała pękła i zaczęła dymić. Poczł krótki, potężny wstrząs, gdy jeden z promieni musnął jego biodro i dosięgnął ziemi. Nautolanin na szczęście zrobił unik, zanim jeszcze promień skierował się w jego stronę. Kit dziękował swoim talentom Jedi, wiedząc, że jego jedyną nadzieją jest pozostawanie poza zasięgiem strzałów. Te roboty były przewidziane do ochrony osobistej: nie wymieniono im przypuszczalnie pamięci taktycznej. To nieco ograniczy ich skuteczność jako agresorów, ale...

Teraz był już całkiem blisko robota infiltracyjnego, a jego miecz świetlny świsnął w powietrzu, przecinając gąsienice. Robot zachwiał się i przechylił na bok. Drugi - również uszkodzony - zdołał mimo wszystko utrzymać się w pozycji pionowej i okręcił się, aby wziąć Kita na cel.

Wreszcie Nautolanin zlokalizował Obi-Wana. Jedi przyczał się w cieniu, z ponurą i zdeterminowaną miną próbując zająć roboty od tyłu. Ich miecze nie wystarczyłyby, aby zatrzymać potężne maszyny, ale doskonale odwracały ich uwagę. Obi-Wan mógł podchodzić je z innego kierunku. Nagle jego miecz świetlny błysnął, tnąc po gąsienicach. Jeden z robotów upadł na bok, a wtedy Obi-Wan podbiegł i rozorał mechaniczne podbrzusze maszyny. Plastynowe zwoje i przekładnie wysypały się jak wnętrzności.

Jaskinię wypełnił oleisty dym. Górników, żołnierzy i Jedi otoczyły duszące, ciemne opary. Może nie były one trujące, ale wkrótce w pieczarze rozległy się odgłosy kaszlu i wymiotów. W zamieszaniu ZJ wychwytywały jednego górnika po drugim. Wydawały się celować w miejsce, w którym dana osoba znajdzie się za chwilę, nie zaś tam, gdzie była teraz. Roboty infiltracyjne miały swoje słabości, ale ZJ wydawały się nie mieć ich wcale.

Zmysły Obi-Wana drgnęły nagle i Jedi w ostatniej chwili odwrócił się, by zobaczyć, jak jeden z robotów infiltracyjnych oddaje strzał w jego kierunku. Nie było miejsca ani czasu, by uciec, zdążył jedynie podnieść miecz świetlny i nakierować go na śmiertelny promień.

W tej samej chwili oślepiający błysk wypełnił jaskinię i robot, uderzony od tyłu, zachwiał się. Wystarczyło to Kenobiemu, aby pokonać dzielącą ich odległość i przeciąć gąsienice. Mechaniczny potwór cofnął się i upadł na bok, miażdżąc stalaktyt.

Obi-Wan spojrział w kierunku, z którego oddano ratujący mu życie strzał... i ujrzał Snoila, który wesoło machał mu ręką, drugim tłustym mamieniem przytrzymując na skorupie działko laserowe.

Pomimo rozpaczliwej sytuacji Obi-Wan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przez czas pobytu na Cestusie Snoil zdołał spłacić swój dług wobec Jedi co najmniej kilka razy, nawet jeśli oznaczało to postępowanie wbrew rozkazom...

Nagle z góry dobiegł złowieszczy trzask. Jeden ze stalaktytów ukruszył się widocznie, gdy robot na niego naparł. Teraz oddzielił się od sklepienia i zaczął spadać.

- Snoil! - krzyknął Obi-Wan, ale było za późno. Prawnik spojrział w górę w tej samej chwili, gdy skała przebiła jego skorupę, przez zewnętrzną twardość docierając do wrażliwego ciała pod spodem.

Obi-Wan w ułamku sekundy znalazł się przy nim. Objął ramionami ciężką, mięsistą głowę Snoila i poczuł, że temperatura ciała Vippita szybko spada. To potwierdziło jego najgorsze obawy. Przyjaciel umierał. Szypułki oczne Snoila zdrząły.

- Udało mi się, prawda?

- Tak, oczywiście. - Obi-Wan nigdy wcześniej nie zauważył drobnych kolorowych plamek wokół szyi Snoila. Były jasnozielone i szafirowe na tle brązowiejącego ciała i bladły na jego oczach.

- Jeśli istnieje jakaś renta kombatanka, dopilnuj, żeby moi współpracownicy ją dostali... i... - Oczy na szypułkach zamglily się i nabrały szklanego wyrazu - ...i dopilnuj, żeby jej nie opodatkowali...

Umowa, którą podpisaliśmy z Republiką, a którą negocjował mój dziadek... - dodał z dumą. Odkaszlnął, na ustach pojawiła mu się zielona bańka i zanim pękła, ciało Snoila znieruchomiało.

Obi-Wan łagodnie złożył głowę przyjaciela na ziemi.

- Zmarł wielki prawnik z wielkiego rodu - powiedział cicho.

I wrócił do walki.

Jangotat znalazł się w pułapce pomiędzy stłoczonymi górnikiemami i nadchodzącymi ZJ. Ucieczka przez frontową jaskinię wydawała się jedynym wyjściem, choć instynkt mówił mu, że oddziały wroga powinny stacjonować właśnie przy jej wylocie, czekając tylko, aby przejąć uciekających anarchistów.

Jak podobna katastrofa mogła się przydarzyć? Generał Kenobi miał rację - tu działo się coś więcej, niż to, na co wskazywały pozory.

Jednak obowiązkiem Jangotata było wypełnianie rozkazów i słuchanie własnych uwarunkowań do bronięcia nieuzbrojonych, niewinnych cywilów.

Z ukrycia za potężnym stalagmitem strzelał z rusznicy laserowej raz po raz. Niebieskie promienie ze świstem odbijały się od zewnętrznej obudowy robotów, nie czyniąc szkody. Resta i jeszcze jeden wojownik Pustynnego Wiatru również strzelali. ZJ ruszył na nich, powalając mężczyznę kablem

paraliżującym. Resta jednak odskoczyła w bok z zaskakującą zwinnością.

Czy to jedyny sposób, aby uciec przed tymi demonicznymi maszynami? Poświęcić przyjaciela? Jaskinią wstrząsnął potężny huk, kiedy padał kolejny robot infiltracyjny. W serce Jangotata wstąpiła otucha. Wejście do jaskini zatrzęsło się od następnej eksplozji, po której rozległy się krzyki. Ciało i kamienie wpadły do środka w kłębach dymu. Spod gruzu dochodziły wrzaski i jęki.

No właśnie. Pułapka się zamknęła. Byli w sytuacji bez wyjścia.

- Boczne jaskinie! - krzyknął ktoś. Górnicy, farmerzy i żołnierze z Pustynnego Wiatru zawrócili i rzucili się w tamtym kierunku. Jangotat stał oparty plecami o ścianę, kiedy górnicy uciekali do bocznych pieczar. Cała góra była nimi zryta. Nie istniał sposób, aby wróg mógł wyłapać ich wszystkich. Wielu z jego współtowarzyszy zdołało uciec, by walczyć znowu... taką miał nadzieję.

Jeszcze jeden robot przewrócił się z łoskotem. Czy to już trzeci? Ile jeszcze pozostało? Jeśli strzały z zewnątrz ustaną, istnieje nadzieja... Ale nie ustawały. A to oznaczało, że tamci już nie żyją.

Widok zielonej cieczy bulgoczącej wokół strzaskanej skorupy Doolba Snoila wzbudził w Jangotacie głęboką, gorącą falę żalu. Prawnik był wspaniałą istotą. I na swój sposób odważną.

Popatrzył na Jedi, nieustraszonych w walce, zagrzewających innych słowem i własnym przykładem. Widział jedynie błyski mieczy; poruszali się błyskawicznie z jednej kryjówki do drugiej, z jednej zasadzki do kolejnej, tylko po to, aby ciąć robota lub ochronić niewinnego farmera. Poczul napływ otuchy. Może...

Nagle z przerażeniem zauważył Sheekę Tuli. Kiedy wróciła do jaskini? Dlaczego dotąd jej nie widział? Wiedział, że powinien opuścić pieczarę wraz z innymi, ale Sheeka była odcięta. Przycupnęła za głazem, wyraźnie nie wiedząc, co robić dalej.

- Sheeka! - zawołał. Jego głos zginął w ogólnym tumultcie. Mógł zrobić tylko jedno - rzucił się w jej stronę i wciągnął za wielki kamień w tej samej chwili, gdy ostatni z robotów infiltracyjnych strzelił w tamtą stronę. Usłyszał własny krzyk - świat rozplynął się w bieli, a potem wszystkie widoki, dźwięki i wrażenia pograżyły się w ciemności.

Sheeka Tuli długo walczyła ze sobą, zanim przysłała na uroczystość. Niezbyt dobrze znosiła rosnącą zażyłość z klonem, którego teraz nazywała Jangotatem. Gdyby zjawiała się w obozie, istniała spora szansa, że ich związek pogłębi się jeszcze bardziej. Mimo wszystko postanowiła jednak pójść, a teraz była w równym stopniu przerażona, co uszczęśliwiona swoją decyzją.

Nieoczekiwana napaść robotów oszołomiła ją. Nie mogła opanować nerwowych dreszczy. Roboty były niczym istoty z jej koszmarów; czuła, że jej umysł próbuje się odciąć od rzeczywistości i od niej samej, usiłując pozbawić ją świadomości i oszczędzić cierpień bolesnej śmierci. Stopy Sheeki jakby wrosły w ziemię; dziewczyna bezsilnie wpatrywała się w robota, który powoli brał ją na cel. Nagle mocne uderzenie z boku wytłoczyło z jej płuc resztki powietrza. Ktoś wrzucił ją za głaz - okazało się po chwili, że to Jangotat we własnej osobie. Zaryzykował własne życie i, aby ją ocalić, osłonił swoim ciałem. Strzał odłupał wielki kawał skały, który uderzył Jangotata; wykrzywił się z bólu i tak mocno zacisnął zęby na dolnej wardze, że przegryzł na wylot. Spalone ubranie odsłoniło poparzone plecy. Przetoczył się na bok. Był nieprzytomny, z koszuli i spodni unosił się dym. Czy jeszcze żyje?

Sheeka sprawdziła puls. W porządku. Tylko ogłuszony. Nawet półprzytomny, macał wokół siebie w poszukiwaniu miotacza. Sheeka odnalazła go i łagodnie włożyła mu do ręki. Zacisnął palce wokół kolby i zadygotał, jakby próbując się ocknąć.

Zachowywał się, jakby wojna była wszystkim, co znał, co miał kiedykolwiek poznać.

Wrzaski i wycia zlały się w jeden przeraźliwy hałas, po czym ucichły- Kolejna eksplozja wstrząsnęła posadami jaskini. Sheeka odważyła się wyrzeć zza głazu.

Kilku rekrutów walczyło bohatersko przeciwko jednemu robotowi, tak wielkiemu, że głową dotykał sklepienia. Połączona siła ognia ich miotaczy zmusiła go nawet do odstąpienia o krok. Po jej lewej stronie złocisty, klepsydrowaty robot także nic sobie nie robił z ostrzału; jego macki wysuwały się na przemian, powalając jednego górnika za drugim.

Boczne jaskinie wydawały się wolne. Pociągnęła Jangotata w ich kierunku. W połowie drogi natknęła się na wysokiego, jasnowłosego, chudego górnika, Skota OnSona. Ledwo go poznała. Wczoraj był młodzieńcem. Dziś miał oczy starca.

- Mogę ci pomóc? - zapytał, nie odrywając wzroku od toczącej się bitwy. Powietrze jarzyło się od oślepiających strumieni energii. - Naturalnie.

Spokój na twarzy OnSona zaczął ustępować przerażeniu. Czy to na widok poparzonej twarzy Jangotata? Czy właśnie to tak bardzo zdenerwowało chłopca, choć za wszelką cenę starał się okazać odwagę? Czy też miało to służyć za wymówkę, aby uciec z tej jatki?

Razem pociągnęli Jangotata pod bezpieczną osłonę ciemności. Tunel za nimi wciąż błyskał światłami. Krzyki niesły się echem po jaskiniach, ginęły w labiryncie zakrętów i zakamarków bocznych tuneli, gdy podążali w ciemność w poszukiwaniu wątpliwego schronienia.

Obi-Wan wprowadził do bocznej jaskini grupę sześciorga uciekinierów, goniąc ich przed sobą po nierównym podłożu w prawie całkowity mrok. Za plecami słyszał pobrzękiwanie ścigającego ich robota. Jego grupa miała tylko trzy miotacze, a było w niej dwoje dzieci. Jeśli będą mieli szczęście, jaskinia zwęzi się na tyle, żeby większe roboty nie dały rady przejść. Czy jeden z ZJ też może ich zauważyć? Jeśli tak się stanie, to tak jakby już byli martwi.

Biegając, Obi-Wan odsuwał na bok pajęczyny. Stare? Nowe? Kilka skrzydlatych gadów wielkości dłoni tkwiło w jednej z sieci i Obi-Wan przypomniał sobie relację Kita Fisto z pierwszego dnia pobytu SOZ w jaskiniach. Co to było?

- Generale Kenobi! - krzyknęła Resta, wrywając go z desperackiego przeszukiwania pamięci. Wystarczył mu ułamek sekundy, aby zrozumieć zagrożenie: jaskinia rzeczywiście się zwężyła, a jej wylotu broniły cztery olbrzymie pająki, obserwując ich wielkimi, jarzącymi się czerwonymi oczami.

Jak mógł o tym zapomnieć! Kit może i wygonił pająki z głównej jaskini, utrzymując je z dala za pomocą czujników i min zbliżeniowych, ale za to teraz uciekinierzy wpadli dosłownie z deszczu pod rynnę.

Pająki zasyczały i Obi-Wan włączył miecz świetlny. Pająki z przodu, roboty za plecami... Byli w pułapce, ale przynajmniej drogo sprzeda swoje życie.

Nagle ze zdumieniem stwierdził, że pająki wcale nie sycza na nich. Syczały na zbliżającego się robota ZJ, a Obi-Wan doskonale wiedział, dlaczego. Robot zachowywał się tak jak na arenie, pół życia temu. Dzielił się na segmenty, które chwyciły się ziemi niczym kończyny małego pająka. Może także pająki widziały, jak ZJ zarzucał sieć na uciekającego człowieka i uznały, że to jakiś rodzaj dziwnego arachnoida, a więc bardziej naturalny przeciwnik niż pozaświatowcy.

Ochrona pajęczego terytorium była instynktowna i niszczyielska.

A ZJ zdawały się akceptować to wyzwanie. Wysuwały macki, ogłuszając po kilka pajaków naraz, ale inne natychmiast obrzuciły ich pajęczynami. Ludzie wycofali się w cień.

Był to jeden z najdziwniejszych spektakli, jakie zdarzyło się oglądać Obi-Wanowi. Pająki nie dałyby rady powstrzymać ZJ, ale mogły je spowolnić niemi i zablokować, korzystając z pomocy mniejszych pajaków. Wszędzie pełno było pajęczyn i oszołomionych, dymiących pajaków, ale wciąż nadciągały nowe. Obi-Wan zdołał wyprowadzić swoich ludzi, a sam przystanął i obejrzał się, żeby zobaczyć, jak sobie radzą gospodarze jaskini.

ZJ strzelał, zalewając pająki ogniem, do chwili gdy...

Kończy mu się zasilanie! - uświadomił sobie Obi-Wan. Prawdopodobnie pokonanie pajaków wymagało takiego samego wysiłku, jak odparcie setki wojowników, ale teraz kończyło mu się zasilanie! Pajaki okryły go kolejną warstwą sieci. Obi-Wan krzyknął do swych ludzi, żeby strzelali do stalaktytów nad ZJ, i w ten sposób mogli go pogrzebać pod kamieniami i lepкими nićmi. Nawet wtedy robot dygotał jeszcze, szarpiąc się pod głazami, wykończony, lecz wciąż gotów rzucić się na wroga.

Niewiarygodne.

Obi-Wan spojrział na klan pajaków jaskiniowych. Ogromna czerwona samica powoli wysunęła się do przodu, osłaniając młode. Obi-Wan i pajęczycy patrzyli na siebie przez chwilę, aż w ślepiach samicy pojawiło się zrozumienie. Nie byli przyjaciółmi. Nie byli nawet sojusznikami, ale walczyli ze wspólnym wrogiem. Pajęczycy zgięła przednie łapy w pokłonie. Obi-Wan zasalutował mieczem. Wreszcie matka rodu Wraz z całym miotem wycofała się w cień.

- Pozwalasz im odejść? - jęknął jeden z farmerów.

- Oboje pozwoliliśmy sobie odejść - poprawił Obi-Wan. - Żadnych grzeczności. Tylko szacunek.

Mrok pochłonął pajęczy klan. Przyjdzie dzień, gdy pozaświatowcy opuszczą jaskinie, a wówczas wrócą one we władanie pajaków. A co Wtedy? Czy jest szansa, aby ośmionożny lud znów mógł wędrować Pod otwartym niebem?

Obi-Wan liczył, że dojdzie do tego, ale w tym celu pajaki mir przeżyć.

- Chodźmy - rzekł. - Musimy znaleźć wyjście.

Minęła kolejna męcząca godzina lawirowania w krętych tunelach, zanim Sheeka, Jangotat i OnSon zdołali wydostać się na zewnątrz. Przez pierwsze dziesięć minut słyszeli odległe eksplozje i krzyki, a potem... nic. Złotowłosy młody górnik towarzyszył jej przez całą drogę, ale kiedy zauważył, że powierzchnia jest blisko, rzekł:

- Muszę wracać.

- Nie rób tego! - Chwyciła go za ramię. - Zabiją cię.

- Może tak. A może nie. - OnSon spojrzał na rannego klona. - Zajmij się nim. Dobrze walczył.

I znikł z powrotem w tunelu.

Sheeka otarła twarz z kurzu i okruchów skalnych, które zdawały się wciskać w każde zagłębienie jej ciała. Potrzebowała kilku minut, żeby się zorientować, gdzie jest. Znajdowała się na drugiej stronie skarpy. To bardzo dobrze. Tu właśnie ukryła „Spindragona”. Południowe niebo przeciął błysk - bitwa w jaskini nadal wrzała. W uszach Sheeki zabrzmiał odległy grzmot nadlatujących desantowych statków ochrony.

W głębi jaskiń do świata żywych wdarł się chaos w najczystszej postaci. Przez moment nie wiedziała, co robić. Czy w ogóle da się zrobić cokolwiek? Czyjej przyjaciele, okaleczani i zabijani, przeżyją. Jeśli przybędzie im na pomoc? Nagle Jangotat jęknął i wszystkie problemy skurczyły się nagle do tego jednego: znaleźć natychmiast pomoc medyczną. Uratować człowieka, który osłonił ją własnym ciałem. Pociągnęła go za sobą po kamieniach. Jangotat był półprzytomny i dygotał z bólu; wreszcie sięgnął do pasa i manipulował przy nim chwilę. Prawie natychmiast się odprężył. Sheekę ogarnęła panika, gdy zwisał jej bezwładnie w ramionach, ale kiedy znów zaczął zbierać się na nogi, zrozumiała, że musiał sobie wstrzyknąć jakiś środek przeciwbólowy, który wprawdzie lekko go oszołomił, ale pozwalał chodzić.

Podpierała go ramieniem, starając się nie dotykać miejsc poparzonych ogniem robota. Szedł, potykając się, na ugiętych kolanach, co chwila wykręcając sobie kostki. Po chwili jednak podjął walkę o udźwignięcie ciężaru własnego ciała i Sheeka była mu za to wdzięczna.

Wspólnie zsunęli się po zboczu. Tam, ukryty w mrocznym labiryncie, czekał „Spindragon”. Mięśnie nóg i pleców Sheeki domagały się odpoczynku, ale udawała, że tego nie czuje; ciągnęła uparcie Jangotata w kierunku statku i bezpiecznego schronienia.

- Zostaw... mnie - usłyszała jego szept. Zaniepokoił ją, choć w głębi ducha bardzo chciała się z nim zgodzić, poddać się. Ale Sheevis Tuli, człowiek, który nauczył ją latać, nauczył ją również

ignorować słabe i zdradzieckie głosy w głowie. Zapomniała o nich i zajęła się tym, co miała do zrobienia. Oddech, szarpnięcie, odpoczynek. Oddech, szarpnięcie, odpoczynek...

Straciła już rachubę cykli oddechów i szarpnięć, aż nadszedł wreszcie moment, kiedy autopilot „Spindragona” wyczuł jej obecność i automatycznie wysunął rampę. Kosztowna, ale niezwykle wygodna modyfikacja. Wspięła się, ciągnąc za sobą słabnącego Jangotata. Za każdym mocniejszym wstrząsem ranny jęczał, jakby ból obnażył wszystkie jego nerwy.

Jeszcze kilka chwiejnych kroków i znaleźli się wewnątrz statku. Sheeka załadowała Jangotata na prycę przeciwwstrząsową i uruchomiła sekwencję startową.

- Nie bój się - rzuciła mu przez ramię. - Już się stąd wynosimy.

Wydawało jej się, że uśmiechnął się blado i wykonał pięścią gest, który widywała również u innych klonów. Uznała, że to znaczy „można lecieć”. Zaciśnęła zęby i odwróciła się do sterów. Będzie się musiała nim zająć, oczywiście, ale najpierw trzeba wynieść się z tych gór w jednym kawałku.

Jej skanery wskazywały, że cztery statki nieprzyjaciela kierują się w jej stronę, na północ. Czas się zbierać.

Wszystkie systemy zameldowały swoją gotowość. Sheeka włączyła silniki i uniosła „Spindragona” z ziemi, okręcając statek w miejscu. Zza kamiennego horyzontu wynurzyła się pierwsza jednostka napastników.

Ogłosiła swoje intencje od razu pierwszym strzałem, który świsnął w kierunku „Spindragona”, syjąc iskrami i odłupując kamyki ze skał. Twarz Sheeki wykrzywiła się w groźnym grymasie. Córka Sheevisa Tulla nie da się tak łatwo zabić. Nie po raz pierwszy leciała na niewielkiej wysokości między łańcuchami górskimi, a za każdym razem dosłownie ocierała się o śmierć. Nieraz w przeszłości ryzykowała aresztowanie, uwięzienie, zabranie zezwolenia na loty. Tym razem było gorzej. Tym razem walczyła o życie.

Bez dalszej zwłoki zwiększyła prędkość, kierując statek na południe, i włączyła zakłócenia transpondera, żeby nie emitował sygnałów identyfikacyjnych. Teraz musiała się martwić już tylko o to, żeby nie zestrzeliła jej jakaś płonąca kula.

Oczywiście, był jeszcze jeden problem. I to spory.

Nie miała broni. „Spindragon” latał zbyt często nad miastami, gdzie skanowano go co najmniej raz w tygodniu. Pięć Rodów obawiało się kolejnego powstania, więc nie zezwalało na stałe uzbrojenie statków suborbitalnych.

Pojazd, który ją ścigał, był dwuosobową jednostką ochrony, przewidzianą do długich lotów zwiadowczych i do ścigania... tak, tak, właśnie takich statków suborbitalnych. Ale może... może uda się stawić im czoło.

W przeciwieństwie do prześladowców, Sheeka Tuli znała kopalnie.

Poderwała statek, zrobiła zwrot i zanurkowała w otwór, który wydawał się szczeliną w piasku pustyni. Z dławiącą oddech prędkością spadała prosto w dół. W ostatniej chwili wyprostowała maszynę, skręcając pod kątem prostym.

Statki pościgu były tuż za nią. Musiała tylko zostawić je tak daleko w tyle, żeby straciły kontakt wzrokowy. Złoża rud metali utrudnią działanie skanerów. Istniała szansa, że zgubią się w labiryncie tuneli, a wszelkie zamieszanie przechylało szalę powodzenia na jej stronę.

Ale najpierw...

Tunel od ściany do ściany wypełnił się jaskrawym blaskiem, dość jasnym, by ją oślepić. Odruchowo podniosła dłoń do oczu, co omal nie kosztowało jej utraty kontroli pozycji. Odwróciła „Spindragona” na bok, prześlizgując się pomiędzy dwoma ogromnymi podziemnymi filarami i skręciła ostro, żeby po chwili opaść na podłogę. Zgasła Wszystkie światła.

Teraz mogła słyszeć prześladowców, sama pozostając w ukryciu, długie światła reflektorów-szperaczy zalewały nierówne kamienne ściany. Wrogowie zwolnili, poruszając się prawie jak pełzaki.

- Gdzie... jesteśmy? - wyjęczał Jangotat.

Sheeka zsunęła się z fotela pilota i podeszła do niego.

- Pssst - szepnęła. - Mogą nas namierzyć po dźwięku.

- Może być problem - mruknął.

- Dlaczego?

- Bo chyba zaraz zacznę wrzeszczeć. - Pomimo bólu usta skrzywiły mu się w gorzkim, drwiącym uśmiechu. - Skończyły mi się środki przeciwbólowe.

Miała ochotę go pogłaskać, ale rzekła tylko:

- Chyba nam się uda, tylko musisz wytrzymać.

Miała jeszcze w zanadrzu kilka sztuczek, a jedna z nich była pomyślana specjalnie po to, żeby zmylić skanery. Ta operacja oślepi zarówno ją, jak i ścigające ją pojazdy.

Różnica polegała jedynie na tym, że ona już tu bywała, a tamci nie.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Zaraz czegoś spróbuję - wymamrotała. - Jeśli się nie uda, to...

- Spróbuj - zachęcił ją i przytknął oczy, usiłując zwalczyć kolejny atak dreszczy.

- To na szczęście - szepnęła, pochyliła się, otarła mu podbródek z krwi i mocno ucałowała go w usta. Otworzył szeroko oczy, zachwycony i zaskoczony. Uśmiechnęła się kącikiem ust i wróciła na swój fotel.

Nie było sposobu, aby to, co miało za chwilę nastąpić, stało się choć trochę bezpieczniejsze. Z oddali widziała już światła szperaczy odbijające się od stalaktytów i uznała że to jej najlepsza szansa. Spreparowała taką mieszankę paliwową, że zanieczyszczone spaliny buchnęły z rufy „Spindragona” gęstym, czarnym dymem.

W ciągu sekundy światła zwróciły się w jej kierunku. Sheeka z trudem opanowała atak paniki. Powoli uspokoiła oddech i podniosła statek na metr w górę, może na dwa - ale więcej nie mogła, bo sklepienie było tu wyjątkowo niskie. Ruszyła przed siebie. Tak... nawet bez światel odbite promienie szperaczy ukazały jej zakręt z przodu. Właśnie tak go pamiętała. Oby tylko reszta też odpowiadała jej wspomnieniom...

Skręciła w samą porę, bo syczący promień energii zamienił w żużel ścianę tuż obok niej. Całe przejście pełne było skłębionego, czarnego, oleistego dymu. Ścigający statek minął ich, wpadł prosto w czarni mgłę i rozbił się o ścianę w ogromnej kuli płomieni, która na chwile. zmieniła noc w dzień.

Właśnie na to liczyła - tamte statki były zwrotne i szybkie, ale niezbyt dobrze uzbrojone i bez tarcz przeciwwuderzeniowych. Cała jaskinia rozbłysła światłem eksplozji.

Miała szczęście. Plując dymem skorzystała z okazji i poleciała bardzo nisko i powoli, wiedząc, że pozostałe statki skierują się w stronę miejsca katastrofy.

I oto zjawił się kolejny; poruszał się powoli, niczym drapieżne zwierze. Z rufy „Spindragona” buchnęła kolejna porcja dymu, bo silnik wciąż starał się uporać z absurdalnie wzbogaconą mieszanką. Sheeka wiedziała, że chmura jest dość duża, by ją zasłonić.

Nadlatujący statek miał z przodu dwa wielkie reflektory, co jeszcze bardziej upodabniało go do skradającego się drapieżnika. Strumień energii przedarł się przez dym i rozbryznął na sąsiedniej ścianie, powodując obsunięcie się skały; Sheeka wprawdzie tego nie widziała, ale słyszała i czuła doskonale. Znieruchomiła w napięciu, kiedy kolejny promień przemknął tuż obok, ale nie poruszyła się. Statek po prostu macał w ciemnościach. Nie mieli pojęcia o jej położeniu.

Ale Sheeka je знаła. Nie za dobrze ale jednak. Uniosła się i okręciła statek. Wiedziała, gdzie jest drugi wylot, a jeśli będzie ostrożna, może nawet zdoła do niego dotrzeć.

Kiedy oddalała się, zarówno przednie, jak i tylne ekrany pokazywały tylko czerń. Od czasu do czasu chwyciła wzrokiem daleki odblask szperacza, ale straciła go z oczu, kiedy raz, a potem drugi skręciła w boczny korytarz, poruszając się najszybciej, jak mogła w kierunku wyjścia. Woląca nie myśleć ani o ścigających ją zabójcach, ani o tym, co stało się z Jedi i ich dumnymi planami.

Obi-Wan obserwował niewielką grupkę ocalałych z jatki w jaskini. Siedzieli skuleni pod skalną półką, niewidzialni dla statków, które nad nimi krążyły, ale również dla innych ocalałych i potencjalnych sprzymierzeńców. Jeśli w ogóle pozostał ktoś, kto nie uciekł na pustynię.

Szacował, że mniej więcej połowa ich oddziału zginęła lub została wzięta do niewoli, reszta zaś uległa rozproszeniu. Niezbyt radowała go perspektywa składania kolejnego raportu wielkiemu kanclerzowi.

Oczywiście, jeśli przyjąć, że do tego w ogóle dojdzie.

Wspiął się na szczyt, starając się nie odsłaniać na ogień nieprzyjaciela. Spojrzał w dół, w miejsce, gdzie pozostawili swój nowy statek, transportowiec kupiony w małej wiosce na południowy zachód od stolicy.

Ze statku pozostał tylko dymiący krater. Większość sprzętu łącznościowego, robot astromechaniczny... wszystko stracone. Doolb Snoil... zabity podczas heroicznej próby ratowania życia Obi-Wana. Co najmniej dwóch żołnierzy-klonów ocalało, może gdzieś był i trzeci. Widział, jak jeden z nich został trafiony, ratując tę kobietę, Tuli'e nikogo więcej.

Jeśli coś się nie zmieni, i to drastycznie, ta misja... będzie największą katastrofą w jego karierze.

Kit Fisto stanął za jego plecami. Nie miał w zwyczaju okazywać współczucia gestami, lecz Obi-Wan wiedział, co kryje się w sercach przyjaciela. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło jeszcze gorzej, &c nie było w tym winy Nautolanina. Może... ale tylko może... nie by* w tym nawet jego własnej winy. G'Mai Duris ostrzegła go, że działają ponure moce, czuwajcie, aby nigdy nie odnieśli sukcesu... czy to możliwe? A jeśli tak, co to oznacza?

Z Nie rozumiem - mruknął Kit. - Cały nasz plan i jego realizacja były bez zarzutu.

Obi-Wan obracał w umyśle te słowa, szukając sposobu, by im zaprzeczyć. Z wielką ulgą i smutkiem stwierdził, że to niemożliwe. Zrobili wszystko jak należy.

- A jednak za każdym razem coś nam przeszkodziło - rzekł, kończąc na głos swoją myśl. - Zupełnie jakbyśmy od samego początku grali nie tak, jak trzeba.

Od samego początku. Obi-Wan przypomniał sobie ten moment w sali tronowej, kiedy udawał, że lokalizuje wagonik za pomocą zmysłów, wyczuwając jego wpływ na resztę systemu. Wpadł na to dzięki podobnym, lecz mniej skomplikowanym ćwiczeniom, jakich nauczył go dawno temu Qui-Gon Jinn. Poczł, jak odpowiednia część jego umysłu nagle włącza się, budzi jak ze snu. Musiał wtedy

coś dostrzec. Coś zauważyć. Przyjrzyj się wszystkim elementom nakazał sobie. Które zostały poruszone? Czego nie widzisz, a co widzisz? Czego nie czujesz, choć powinieneś? Gdzie powinna pojawić się zmarszczka w Mocy, a nie było jej? Jeśli coś spowodowało porażkę wszystkich twoich planów... jeśli ktoś próbował cię zabić... czy to mogła być Duris? A czy wszystkie Pięć Rodów razem wziętych ma dość mocy, żeby spowodować taką katastrofę? A jeśli nie, to jaka możliwość pozostaje?

- Obi-Wanie... - zagadnął Kit. Obi-Wan nagle się zorientował, że jak w transie spogląda w przestrzeń. Kit obserwował go uważnie, a jego zazwyczaj nieporuszona twarz tym razem wyrażała troskę.

- Jest jeszcze jeden gracz - odpowiedział szeptem. - Jest jeszcze jeden znaczący uczestnik tej tragedii, który był tam od samego początku. Tkwi w samym środku wszystkiego, co nam się przydarzyło.

- Ale gdzie?

Obi-Wan pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale obawiam się, że zanim dokończymy dzieła, poznamy odpowiedź na to pytanie. I zapagniemy, żeby tak nie było.

Z tyłu podszedł do nich jeden z klonów. Obi-Wan był zły na siebie, że się rozkleił. Jeśli nawet on miał problemy z ogarnięciem wszystkiego, co muszą czuć te wszystkie biedne istoty, jeszcze przed narodzinami skazane na działanie w niezmiennym łańcuchu hierarchii? Musiał otrząsnąć się z otumanienia, zasłużyć na ich zaufanie.

- Jakieś rozkazy, proszę pana? - zapytał Sirty.

- Zbierzcie sprzęt - odparł. - Policzcie ocalałych. Przenosimy się w inne miejsce. Nie wiem, kto nas zdradził, ale tym razem będziemy milczeć.

Sirty poważnie skinął głową.

Doskonale, proszę pana.

- Ofiary?

- Szesnastu zabitych lub pojmanyh, o których wiemy.

Obi-Wan zauważył, że dołączyło do nich jeszcze kilku niedobitków, nie ściągając na siebie uwagi łowców. To dobrze. Jeśli jest dyscyplina, odwaga i kreatywność, jest również nadzieja.

- Kto z was?

- Kapitan A-Dziewięć-Osiem, Nate. Zaginął i został uznany za zabitego.

To był dla Obi-Wana ciężki cios. Setki tysięcy klonów, wszyscy z tej samej tkanki, a jednak sama

myśl o śmierci tego właśnie żołnierza sprawiła mu szczególny ból. Nie był nawet pewien, dlaczego.

Zanim Sheeka Tuli wykonała następny krok, upewniła się bardzo dokładnie, że zgubiła wszystkich prześladowców. Ruszyła na południe, w kierunku handlowych korytarzy powietrznych i teraz poruszała się tylko nimi. Zmieniała kierunek wiele razy, aby upewnić się raz jeszcze, że „Spindragon” nie jest śledzony.

Kiedy była już całkowicie pewna, przemierzyła zygzakami dwieście kilometrów nad łagodnymi, brunatnymi pagórkami, około stu osiemdziesięciu klików od gór Dashta. Rzeka, którą tworzyły śniegi z białego szczytu Yal-Noy na północy, prowadziła przez wzgórza, które dzięki temu były bardziej zielone niż większość powierzchni Cestusa i nawet z tej odległości przyjemne dla oka. Zaopatrzenie w wodę było tu jednak niezbyt obfite, więc populacja pozostawała dość niska.

Większość nazywała to miejsce Wzgórzami Zentay. Sheeka Tuli nazywała je domem. Weszła w strefę lądowania i odetchnęła głęboko z ulgą, kiedy silniki zwolniły bieg i zatrzymały się.

Na pierwszy rzut oka nie widać było śladu mieszkańców. Nagle z jednego z metalowych budynków wyszedł X'Ting ubrany w brązową szatę - Sheeka Tuli sprowadziła Jangotata z rampy. X'Ting zawołał coś do niej, lecz zwyczajowy uśmiech powitania był surowy i wymuszony.

- Bracie Fate - przywitała go.

- Sheeka - odparł. Jego fasetkowe oczy uważnie popatrzyły na spalony uniform i nieszczęśliwy wyraz jego twarzy jeszcze się pogłębił. Sprowadzenie tutaj tego żołnierza może być niebezpieczne - powiedział.

Sheeka mocniej przycisnęła do siebie Jangotata.

- Został ranny, broniąc naszej sprawy. Pomóż mu, bracie Fate. Proszę.

Stary X'ting o szarej sierści przyjrzał się uważnie ranie, delikatnie pocierając palcami spalony materiał.

- Miotacz?

- A co to za różnica? - zapytała nerwowo. - Pomóż mu!

Brat Fate odetchnął głęboko i powoli. Jego fasetkowe, szmaragdowe oczy patrzyły ze współczuciem.

- Zrobię to dla ciebie, moje dziecko - rzekł i podniósł głos, wołając pozostałych. Z innych domostw stopniowo wychodzili ich mieszkańcy.

Pojawiła się także trójka dzieci. Zawołały „Nana” i rzuciły się ku niej, wieszając się u skórzanej spódnicy.

- Tarł! - zawołała, chwytając najmłodszego w ramiona. Tonote! uśmiechnęła się do dziewczynki. - A gdzie Mithail?

Jeden z młodych ociągał się nieco, ale podeszła bliżej, objęła go mocno i ucałowała rudą czuprynę.

- Jak wam się wiodło? zapytała. Rozdając obficie całusy i uściski, jednocześnie kątem oka obserwowała, jak kilku X'Tingów w brunatnych szatach unosi gdzieś Jangotata.

- Co to za człowiek? - zapytał Mithail.

- Przyjaciel - odparła, czochrając mu włosy. - Przyjaciel. A teraz opowiedz mi o wszystkim, co się działo w zeszłym tygodniu.

Jangotat obudził się z trudem, jęcząc. Wszystko go bolało. Zaniepokoił się. Czy właśnie tak się czuje ktoś, kto umiera? Spróbował otworzyć oczy. Czuł, że powieki unoszą się do góry, ale nic nie zobaczył. Silny ból połączony ze ślepotą wywołał w nim nieoczekiwaną i nieprzyjemną falę paniki. Usiadł, odnosząc dziwne wrażenie, że skóra rozdziera mu się wokół pasa. Zabolało go tak, że zaklął z cicha i zaczął wymachiwać ramionami, usiłując sprawdzić, jak daleko sięga to... Więzienie?

- Spokojnie, spokojnie, nic się nie stało - odezwał się miły głos X'Tinga. - Wszystko w porządku. Musisz teraz tylko odpoczywać. Nic w jego głosie nie sugerowało zagrożenia, lecz mimo to Jangotat nie mógł opanować reakcji nerwowej. Czuł, jak wszystkie jego zmysły odbierają wrażenie zagrożenia, jakby wszystkie jednocześnie zaczęły odczuwać strach. A jednak...

A jednak...

Świadoma część jego umysłu mówiła mu, że nie ma niebezpieczeństwa. Paradoksalnie ból i wrażenie zagrożenia współistniało z uczuciem spokoju. Czuł, że kręci mu się w głowie.

- Co... co robicie? -jęknął, przerażony własną słabością. Obcy ujęli go za ramiona, delikatnie, wręcz czule. Chciał wtulić się w te silne, opiekuńcze objęcia i znaleźć w nich spokój i ukojenie. - Przestańcie. Muszę się zameldować...

- Musisz wyzdrowieć - odparł znajomy głos.

Był to ten sam X'Ting w brązowej szacie, który wyszedł na spotkanie Sheeki przed statek. Jangotat znał tę istotę. Gdzie mógł widzieć go wcześniej...?

- Kim jesteś?

- Nazywaj mnie bratem Fate - odparł.

- Gdzie Sheeka? -jęknął ranny.

- Ze swoimi dziećmi - wyjaśnił X'Ting. Pomieszczenie wypełnił nagle szmer innych głosów.

- Z... dziećmi?

- Tak. Mieszka tu u nas, w tej osadzie.

- Czy tu także mieszkał jej mąż?

- Tak. - Brat Fate urwał. - Ostatnio, zanim odleciała, poprosiła nas o specjalną opiekę nad dziećmi.

Chyba podejrzewała, iż grozi jej niebezpieczeństwo. - Znów zamilkł na chwilę. - Wygląda na to, że miała rację.

Tak... ale to było... w dobrej sprawie.

- Właśnie odparł głos Fate'a. - Jak zawsze.

- Muszę podejść - rzekł Jangotat. - Albo przynajmniej się zameldować.

- Jeszcze nie. Jeśli przerwiesz proces leczenia, możesz umrzeć.

- Pierwszym obowiązkiem żołnierza jest ochrona bezpieczeństwa innych. Żyjemy tylko kilka dni, WAR żyje wiecznie... - Wydawało się, że jego usta poruszają się bez zaangażowania umysłu; w tym stanie automatycznej świadomości na chwilę poczuł się dawnym, odważnym sobą. A potem siły go opuściły i z jękiem opadł na posłanie.

- Wiecznie? - zachichotał brat Fate. - Nie przeżyjesz ani godziny, jeśli się nie uspokoisz i nie pozwolisz mi opatrzyć tej rany.

Jangotat jęknął. Nagle poczuł na twarzy, w okolicy nosa, zimną wilgoć o miętowym zapachu i pogрузił się w głębokim śnie.

W normalnych warunkach jedynymi marzeniami sennymi, jakie Jangotat pamiętał, były wpajane mu podczas snu ogromne porcje danych taktycznych. Zdarzenia ze świata zewnętrznego mogły sprowadzić jeden lub dwa dziwaczne sny, jakie sobie przypominał, ale nic poza tym.

Wtedy jednak spędzał życie otoczony żołnierzami i narzędziami wojny. To miejsce było inne. Wszystko tu się wydawało nowe i nieznane. W tym obcym otoczeniu ciemność roila się od dziwnych obrazów - miejsc, których nigdy nie widział, ludzi, których nigdy nie poznał. Wszystko to było niezwykle i nawet teraz, we śnie, zdawał się te. niezwykłość rozumieć. parę razy zdarzyło mu się podpłynąć ku powierzchni swojego umysłu jak korek unoszący się w atramentowym morzu. A wtedy - choć właściwie nie mógł być niczego pewien - nie widział nic wokół siebie choć raz poczuł coś podłużnego i ciężkiego, co spoczywało na jego piersi. Kiedy jednak poruszył się pod tym ciężarem, dziwne uczucie odleciało, a on znów zapadł się w mrok.

Jangotat ocknął się ze snu o wschodzącym słońcu i znów poczuł na piersi ten sam gładki, płaski ciężar, który stawiał opór przy wdechu. Tym razem własna skóra nie wydawała mu się już taka wrażliwa. Wydawało mu się, że spowija go gaza, jeśli to w ogóle miało sens. Jakby wszystkie uczucia i doznania przesączały się przez jakiś rodzaj futra.

Ale ciężar pozostawał. Poruszył ręką, powoli, centymetr po centymetrze.

To, co leżało na jego piersi, zapulsowało mocniej, ale nie poruszyło się. Palce żołnierza trafiły na galaretowatą, a mimo to twardą powierzchnię. Chłodna, ale nie zimna. Przypominała w dotyku skórzasty owoc. Pomału rozsunął dłonie w obu kierunkach. Miało to około pół metra długości i...

Tylko na tyle starczyło mu sił. Ręce zdrętwiały i opadły. Próbował zawołać, poprosić kogoś, żeby

zdjęli ten przedmiot z jego piersi, ale jakiś instynkt podpowiadał mu, że to właśnie dzięki niemu ból nie rozrywa mu czaszki. Nie powiedział więc nic i tylko leżał nieruchomo. Przymknął oczy pod osłoną bandażu i odprężył się. Nic nie mógł zrobić, to była najszczęsza prawda. Więc może sobie pozwolić na wyzdrowienie. I wyzdrowieje, jeśli będzie taka możliwość.

Jangotat przypomniał sobie walkę w jaskini. Pamiętał rekrutów w rozsypce, rozbiegających się na wszystkie strony i ściganych przez roboty-morderców lub chwytyanych przez ZJ, uciekających z jaskini wprost pod ogień nieprzyjacielskich miotaczy.

Xutoo zginął na orbicie. Wszystkie kobiety i mężczyźni, którzy mu ufali, zginęli w jaskiniach. A to oznaczało, że ma do spłacenia dług. Żołnierze wiedzą, jak spłacać długi. Tak, zawsze to wiedzieli i rozumieli doskonale.

W ciemności poparzone usta Jangotata wykrzywiły się w zimnym, zabójczym uśmiechu.

Przeplątywał przez niekończące się cykle snu i jawy. Czasem na jego piersi spoczywało to zimne, wilgotne stworzenie, a kiedy indziej nie. Nieraz słyszał głosy, ale często panowała cisza.

Kiedy zbudził się z uczuciem głodu, podano mu papkę z jakichś grzybów o smaku owoców. Konsystencję to miało śliską i nieprzyjemną, lecz smak tak świeży i niewiarygodnie pyszny, jakby przed chwilą zostało przyrządzone.

Od czasu do czasu go masowano, kiedyś poczuł nawet, jak ktoś usuwa martwą skórę z jego pleców. Dłonie, które go dotykały, były czułe i najdelikatniejsze, jakie mógł sobie wyobrazić. Z niepokojem stwierdził, że jakaś część jego istoty marzy o tym dotyku, pragnie go, uwielbia i pożąda więcej, jeśli to możliwe.

Nie. To nie jest moje życie. To nie jest życie żołnierza...

Nie mógł być tego pewien, ale wydawało mu się, że minęło wiele dni, zanim ostatni strzęp gazy zdjęto z jego twarzy i oczu. Sięgnął i chwycił opiekuna za przegub. Był to bardzo chudy przegub, prawie jak patyk. Mógłby skruszyć kość jednym silnym ściśnięciem. Dotykem rozpoznał, że pielęgnuje go samiec X'Ting. Brat Fate. Słysz21 oddech, ale nie padło ani jedno słowo.

- Gdzie Sheeka Tuli? - zapytał.

- Tutaj - usłyszał jej głos z bliskiej odległości. Przysięgłby, że by w nim cień uśmiechu.

Powoli odwijano z niego kolejne warstwy bandażu, światło zaczęło era ć do jego wygłodniałych nerwów wzrokowych, zgasiliśmy światła. Twoje oczy mogą być jeszcze nadwrażliwe.

W istocie, były. Kiedy otworzył je powoli, mocno mrugając, światło w pomieszczeniu uderzyło go jak cios.

Podniósł dłoń i osłonił nią twarz.

- Wszystko w porządku?

Zamrugnął i opuścił rękę.

Powoli obrazy zaczęły się klarować. Zauważył, że leczono go w jednej z niezliczonych formacji jaskiniowych Cestusa. Ściany osłonięte były płachtami materiału i kocami, a proste meble dzieliły podłogę na powierzchnie mieszkalne. Wokół znajdowało się dużo sprzętu, którego nie rozpoznawał, ale domyślał się jego medycznego przeznaczenia. Zaimprovizowany szpital? - Dlaczego mnie tu przywiozłaś? - zapytał.

Ubrani w brunatne szaty X'Tingowie spojrzeli po sobie z rozbawieniem.

- Kim jesteście? Medykami? Znachorami?

- No, niezupełnie - odparł Fate. - To trudno wyjaśnić.

Choć nie chciał nic więcej powiedzieć, Jangotat nie wyczuwał w nim zła i zdołał się uspokoić.

- Najwyższy czas spojrzeć na rany - rzekł Fate. Pomogli mu przybrać pozycję siedzącą i delikatnie zdjęli liście, które osłaniały... Czy to były liście?

Nie przyjrzał się zbyt uważnie, po prostu czuł je na całym ciele. To, co brał za bandażę, w istocie było rodzajem cienkich, szerokich pasów z bladego i mięsistego grzyba.

Zdejmowali je pojedynczo. Grzyby były martwe, przynajmniej co do tego nie miał wątpliwości. Lecz nawet po zdjęciu na skórze pozostawała przylepiona cienka warstwa grzyba.

Na jego skórze...

Światło w pomieszczeniu było przyćmione, lecz wystarczająco jasne, by mógł obejrzeć miejsce, gdzie znajdowała się rana. Pamiętał Jak promień z miotacza robota mordercy spalił ciało tak głęboko, że Jangotat obawiał się nawet o naruszenie kości. Teraz widział pomiędzy kolanem i biodrem tylko bladą, lśniącą skórę, ale poza tym ani siadu, że kiedyś była tam rana.

To... to lepsze niż syntciao, pomyślał, porównując grzyb z leczniczą substancją stanowiącą część zestawu pierwszej pomocy każdego OZ. Musi umieścić to odkrycie w raporcie. Widzieć takie efekty w komorze leczniczej to jedna sprawa, ale być świadkiem identycznego efektu osiąganego za pomocą kilku liści i grzybów - to było zdumiewające doświadczenie. Czy na tym polegała biotechnologia X'Tingów? Z pewnością rośliny te osiągnęłyby ogromną wartość na rynku międzygalaktycznym.

Nicosowi Fate towarzyszył teraz człowiek i starsza kobieta X'Ting, Cała trójka zbadała go od stóp do głowy. Sheeka stała nieopodal i przyglądała się. Odwróciła oczy dopiero wtedy, gdy zdjęli z niego koc.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Badanie procesu gojenia wypadło chyba zadowolająco, bo przykryli go znów i zwrócili się do Sheeki.

- My zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Teraz twoja kolej.

Trójka lekarzy opuściła pomieszczenie, pozostawiając ich sam na sam.

Sheeka przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnęła lekko.

- Naraziłam tych ludzi na niebezpieczeństwo, przywożąc cię tutaj.

Z cichym stęknieniem podciągnął się do pozycji siedzącej.

- Więc może powinienem odejść.

- To nie takie proste - odrzekła. - Nie możesz zabrać z powrotem ze sobą tego, co przywiozłeś na tę planetę.

Jangotat zmarszczył brwi.

- Przykro mi, że tak się wszystko fatalnie potoczyło.

- Myślałam... - odpowiedziała - ...naprawdę myślałam, że będę w stanie uniknąć tego wszystkiego. Nie chciałam znów oglądać śmierci ukochanych osób. - Jej twarz nagle wykrzywiła się gniewem.

- Musisz mnie nienawidzić - rzekł Jangotat. - Przykro mi.

Podniosła dłoń, jakby chciała go uspokoić.

- Nienawidzę tego, co sobą przedstawiasz. Nienawidzę celu, dla którego cię stworzono. Ale ciebie?
- Urwała, zanim przemówiła znowu, a on wypełnił sobie tę pauzę tym, co spodziewał się usłyszeć:
„Nienawidzę cię bardziej, niż można to sobie wyobrazić”.

Powiedziała jednak coś, czego się zupełnie nie spodziewał.

- Żal mi cię, Jangotacie. - W jej głosie słycać było prawdziwe współczucie. Spojrzał na nią zaskoczony, zaledwie rozumiejąc jej słowa.

Na drugi dzień Sheeka i owadopodobny brat Fate wyprowadzili go z jaskini. Mieszkała tu prosta społeczność, choć nie mógł się zorientować, czym właściwie się oni zajmują. Może lecznictwem? Wydawało się, że mają grzyby na wszelkie okazje: jedne były twarde jak skóra i nadawały się na buty, inne z kolei jadalne, o różnych smakach i konsystencji. Brat Fate pokazał mu przynajmniej kilkanaście odmian leczniczych. Wydawało się, że hodowla grzybów jaskiniowych stanowi główne zajęcie mieszkańców wioski. Ale czy to naprawdę wszystko? Wyczuwał coś jeszcze. - Dlaczego tu jesteś? - zapytał brata Fate'a. - Każdy potrzebuje roju - odparł X'Ting.

- Ale... słyszałem, że X'Tingowie nie lubią pozaświatowców.

- Wcale nie - odparł brat Fate. - Dziwne, prawda? G'Mai Duris jest regentką, ale X'Tingowie są najniższą z ras.

- Pozaświatowcy wam to zrobili, a wy im i tak pomagacie? Wzruszył ramionami.

- Moi przodkowie byli uzdrowicielami roju. Sprowadź do nas rannego, a my go uleczymy. Ten nasz instynkt działa bez ograniczeń. Pięćset lat historii nie jest w stanie zmienić miliona lat ewolucji.

Jangotat przerwał mu z niedowierzaniem:

- Pomagacie swoim ciemniejszym?

Brat Fate uśmiechnął się.

- Nikt nas nigdy nie ciemniejszy. Wielu z nas uciekło tutaj z Cestus Cybernetics, z miast, szukając lepszego życia. Czyż różnią się od X'Tingów?

Jeśli istotnie takie było stanowisko brata Fate'a, dla tej planety istniała jednak jakaś nadzieja. Mieszkało tu tak wiele dzieci, że jeśli nawet wioska była czymś innym, niż tym, na co wyglądała, na pewno nie była sterylną enklawą medyków. Co to, to nie.

- Muszę skontaktować się z moimi ludźmi - odezwał się do Sheeki pierwszego dnia, kiedy już mógł wyjść na zewnątrz. Właściwie to ona i brat Fate szli, a on kuśtykał pomiędzy nimi. Dzieci otoczyły ich wianuszkami, uśmiechając się do niego, z pewnością świadome, że pochodzi nie z tego świata, lecz być może niecałkiem rozumiejące słowo „pozaświatowiec”.

- Nie mogę podjąć ryzyka, że ktoś przechwyci wiadomość - odparła. - Ale coś wymyślę.

Rany Jangotata goiły się z nienaturalną prędkością, ale on i tak się niecierpliwił. Nie należał do tego miejsca. Nie należał do tych gór, gdzie powietrze jest czyste jak kryształ, a sceneria pełna egzotycznego przepychu.

Nie był częścią tego miejsca, choć przybrane dzieci Sheeki Tojflnotę, Tarl i Mithail - zasypywały go pytaniami o światy poza Cestusem. „Na jakich innych planetach byłeś?”, „Jak wygląda kanclerz?”, „Widziałeś kiedyś wyścigi?” Ku swojemu zadowoleniu stwierdził, że chętnie udziela odpowiedzi.

Nie był to jego świat, lecz po dwóch dniach od przybycia poczuł się dość dobrze, aby odwiedzić okrągły, czysty, pokryty strzechą dom Sheeki.

I tu, w domu, który zbudował dla niej nieżyjący ukochany Yander,

ujrzał jeszcze jedno oblicze wspaniałej pilotki, która uratowała mu życie. Zobaczył kobietą w fartusku, panią domu pełnego szczęśliwych dzieci. Wesoło przyrządzała ogromne sterty chleba i warzyw, i dziwnych, smakujących jak ryby grzybów. Jangotat lubił świeże steki i kotlety,... ale musiał przyznać, że jego żołądek aż mruczał z zadowolenia, pełny grubych, mięsistych grzybów.

Zapytał o to, a mały Mithail odparł:

- Mentorzy mówią nam, że...

Ciepły, łagodny uśmiech Sheeki uciszył dziecko. Jangotat zauważył, że kobieta szybko i sprytnie skierowała rozmowę na całkiem inne tory. Pozwolił się wciągnąć w opowieści o bitwach i kampaniach wojennych na odległych światach. Był zachwycony dziecięcą wyobraźnią, która widziała miazdzące zmęczenie i krwawy terror jako coś romantycznego i podniecającego.

Zachichotał, a potem pozwolił, aby to rozbawienie zgasło w nim, gdy zadał sobie pytanie, czy i on nie reagowałby tak samo, gdyby miał takie życie i takie bodźce.

Przy stole, z ustami pełnymi gorącego chleba, obserwował wzajemną przyjaźń i więź rodzeństwa. Nie tak wiele różnili się od jego braci. Nie każdy żart, dowcip, sztuczka i zabawa żołnierzy-klonów była związana wyłącznie ze sztuką zadawania śmierci.

Najwyżej dziewięćdziesiąt pięć procent.

Tu, jak wszędzie, uprawiano rośliny, zbierano plony, zastawiano pułapki i przeganiano drapieżniki. Cała społeczność wydawała się pochłonięta takim życiem. Ciężka praca najwyraźniej sprawiała im radość, a to Jangotat umiał docenić.

Zaczął się zastanawiać,... kim on mógłby się stać, gdyby żył tutaj.

Myśl ta była tak nagła, tak boleśnie natrętna, że na kilka chwil przestał żuć, wbijając tępo wzrok w ścianę. Nigdy dotąd nie przychodziły mu takie rzeczy do głowy.

Odwrócił się i spojrzał na drugą stronę stołu, na Sheekę. Nagle zdał sobie sprawę, że sam zajmuje miejsce, na którym być może siedział kiedyś jej mąż, a to mogłyby być jego dzieci. Ogarnęło go coś na kształt głębokiego smutku, przelotnego, lecz bardzo prawdziwego... To nie jest mój świat,... pomyślał znowu.

Jangotat spał już, kiedy Sheeka Tuli weszła do pomieszczeń szpitala. Była z tego zadowolona. Mimo opatrywania leczniczymi grzybami jego ciało było jeszcze w złym stanie i wymagało nieustannego monitorowania i troski, aby mieć pewność, że nie wywiąże się infekcja.

Po cichu zamieniła kilka słów z bratem Fate'em, który zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze.

Wyszła z pokoiku zajmowanego przez Fate'a i skierowała się do drugiej sali. Popatrzyła na Jangotata. Spał na wznak, tak jak kiedyś Jango. Jego brązowa pierś unosiła się i opadała powoli. Wydawał takie same ciche, senne dźwięki, jak niegdyś Jango. Przyzwyczała się do tego. Przyzwyczała się do tej myśli, że kiedyś, dawno temu, pozwoliła sobie na nadzieję, że dźwięki będą towarzyszyć także jej snom aż do końca życia.

Przymknęła oczy, usiłując odsunąć od siebie myśli, które tłoczyły się w jej głowie. Kolejna szansa, pomyślała. Wiesz, jaki był Jango. Wiesz, jak to z nim było. Nigdy byś nie pomyślała, że znów możesz się zakochać.

Najbardziej szalony męski okaz, jaki zdarzyło jej się poznać. Czy będzie to obraza pamięci jej męża? Yander był dobry, miły, ale...

Ale nie był Jango Fettem. A teraz miała obok siebie Jangotata.

Kolejna szansa.

- Nie - szepnęła. To byłoby nieuczciwe. To byłoby samolubne.

To byłoby ludzkie.

Następnego dnia Jangotat czuł się już na tyle dobrze, aby przespacerować się po wzgórzach. Towarzyszył małemu, krępemu pasierbowi Tarłowi i rudowłosej pasierbicy Tonote w sprawdzaniu pułapek na chitliki w jaskiniach na linii drzew ponad farmą grzybów. Gruczoły mleczne jaskiniowych torbaczy o sierści w pomarańczowe paski wydzielają serowatą substancję, zwaną kista, która pomagała pozaświatowcom radzić sobie z toksynami i mikroorganizmami gleby Cestusa.

Dzieci zaśpiewały mu piosenkę, którą już kiedyś słyszał.

Jeden, jeden chitlik się na słońcu grzeje

Dwa, dwa, kistę chitlika zupa ma

Trzy, trzy, daj mi też, gdy jesz i ty

Cztery, cztery, chcę jeść więcej, będę szczery

Pięć, pięć, chitlik także żyć ma chęć

Sześć, sześć...

A więc nawet dzieci mogły wspomagać społeczność, chwytając i „dojąc” kistę ze stworzenia, które następnie wypuszczały na wolność - zwykle zdrowe i całe.

Chitlik także żyć ma chęć

Od dnia przybycia Jangotat prawie nie widywał martwych zwierząt. Żadnych futer, żadnego mięsa. Jadał tylko zdrowe, sycące grzyby. Ci ludzie „polowali”, nie czyniąc szkody.

Kim byli, kto ich tego nauczył?

Jangotat obserwował dzieci, które sprawdzały dołki w pionowych ścianach. Chitliki syczały na nich zza krat, ale nie szarpały się podczas dojenia tak gwałtownie, jak mógł tego oczekiwać. Wydawało się wręcz, że bawią się ze swoimi prześladowcami. Stworzonka wydawały się rozumieć, że ludzie nie chcą im zrobić krzywdy. Niebawem stwierdził, że sugeruje dzieciom, jak budować lepsze pułapki i sidła, korzystając z własnego doświadczenia ze szkoły przetrwania. Oczywiście, trzeba je było zmodyfikować, aby nie zrobiły krzywdy schwytanym chitlikom.

Położył się na trawie i patrząc w niebo, zastanawiał się nad prostotą swojego obecnego życia. Wkrótce będzie musiał wracać na wojnę, ale na razie najważniejszą sprawą na świecie było dla niego schwywanie małego, puszystego stworzonka, które dostarczało ważnych antytoksyn do posiłków. Kisty było dużo, dość, aby jej sprzedaż uzupełniała handel grzybami.

Dzieci były zafascynowane zręcznością palców Jangotata, a on zabawiał się uczeniem ich prostych sztuczek, które sam poznał w „dzieciństwie” - żonglerka nożem, ucieczka z więzów, zakradanie się i dziesiątki innych zabaw, które poznał tak, jak normalne dzieci poznają wyliczanki i skakanie przez skakankę.

A choć w oczach Jangotata była radość, gdy wracali z gór do wioski, w jego sercu panował smutek.
A wieczorem, przy wspólnym stole... tak podobnym, a jednocześnie tak odmiennym od wspólnych
posiłków z braćmi na Kamino, pomyślał...

To nie jest mój świat.

Ale mógłbym w nim żyć.

Obi-Wan uważał, że zrobiono wszystko co możliwe. Każdy błąd, jaki można było przewidzieć, został naprawiony. Tym razem tylko niewielka grupka rekrutów wiedziała, gdzie znajduje się centralna kwatera. Czterdzieścioro ośmiu ocalałych podzielono na pięcio- i sześciuosobowe komórki, których skład i nazwiska znali jedynie ich członkowie. Pobliskie farmy i osady przeżyły falę aresztowań, a ci, którzy byli dość nierozsądni, aby pozwolić sobie w knajpie na przechwałki na temat swoich niedawnych wyczynów, teraz siedzieli w więzieniach albo zostali zabici podczas próby ucieczki.

Kto wiedział, gdzie zabrano jeńców? Ci, którzy zostali uwięzieni przez ZJ w kopalniach, niewiele mogli powiedzieć na ten temat, lecz tak samo jak holowideo stanowili doskonały, przekonujący przykład perfidii Jedi. Być może ich świadectwo wystarczyłoby, aby więcej planet zechciało odstąpić od Republiki.

Przez ostatnich kilka dni Obi-Wan i Kit przebywali w opuszczonej kopalni trójmiedzi. Wejście do niej było osłonięte nisko zwisającą półką skalną i dzięki temu niewidzialne dla przelatujących statków i satelitów. Kopalnia była też wolna od gniazd pajaków jaskiniowych, za to miała wiele punktów wyjścia, do których można było dotrzeć w jednej chwili. Obi-Wan postanowił, że nie dopuści do powtórzenia się tamtej potwornej jatki. Teraz już naprawdę nie mogli sobie na to pozwolić.

Podszedł do niego Forry.

Jangotat jeszcze się nie zgłosił - rzekł.

Skota OnSona, najmłodszego z rekrutów, przyprowadzono do nowej jaskini z zasłoniętymi oczami. Teraz stał w pozycji, którą uważał! za postawę na bacność.

- Chłopcy próbowali go wyciągnąć - zapewnił. - Znaleźliśmy ich i ciała, ale...

- Więc tak naprawdę nie wiecie, co się z nim stało. - zauważył Obi-Wan.

- Nie, generale Kenobi.

Obi-Wan pochylił się i wpatrzony w swoje dłonie usiłował znaleźć sens w tych informacjach.

- Niewykluczone, że zostaliśmy zdradzeni - rzekł cicho.

W jaskini zapanowało kompletne milczenie. Po chwili odezwał się Sirty.

- Chce pan zasugerować, że Jangotat pogwałcił Kodeks? - powiedział z miną człowieka, który

właśnie się dowiedział, że prawo grawitacji we wszechświecie przestało działać.

Seefor spojrział gniewnie na Obi-Wana.

- To się nigdy dotąd nie zdarzyło.

Obi-Wan sam był wściekły, że dopuścił do siebie taką myśl. Żołnierze byli tak lojalni, jak tylko są do tego zdolni śmiertelnicy. Seefor miał rację, ten wniosek był obraźliwy.

- Nie zamierzałem nikogo urazić. Po prostu stwierdzam fakt: Jangotat dziwnie się zachowywał przed atakiem.

W tym momencie postanowił zabrać głos Kit Fisto.

- Podejrzewam, że zginął. Promień energii mógł zniszczyć jego komunikator. Zawaliło się wiele ton skał. Mógł zostać zasypany.

Znów zapanowała cisza. Żołnierzom-klonom ten pomysł też się nie podobał, ale zdecydowanie woleli go od poprzedniej sugestii.

- Jest jeszcze jedna możliwość. Nie zdołaliśmy nawiązać łączności ze Sheeką Tuli. Może jest z nią... widywano ich razem.

Kit klasnął w dłonie.

- Jesteśmy tutaj hermetycznie odcięci od świata - rzekł. - Nie wolno wysyłać żadnych komunikatów poza obozowisko. To się nie może powtórzyć.

- Tak jest.

- Teraz możemy przejść do etapu trzeciego - przypomniał Obi-Wan. Intensyfikujemy akcję sabotażu, tak, Kit?

Kit przyjrzał się unoszącemu się w powietrzu hologramowi.

- Być może uda się poznać najistotniejsze etapy procesu technologicznego - rzekł - żeby dało się zatrzymać lub spowolnić produkcję, nie niszczyć maszyn.

- Dlaczego to jest takie ważne?

Ponieważ Cestus nie może przetrwać bez strumienia gotówki. Przerywając go na dłużej, przyczynimy się do śmierci tysięcy mieszkańców.

- A więc?

- A więc mam plan...

Mówiąc ściśle, kompleks przemysłowy Clandes Industrial, pomimo powierzchni około tysiąca kilometrów kwadratowych, nie przypominał miasta. Najdokładniej można byłoby go opisać jako zbiorowisko zakładów produkcyjnych, zlokalizowanych o trzysta kilometrów i od ChikatLik i siedemdziesiąt pięć kilometrów na południe od gór Dashta. Dwadzieścia cztery podziemne poziomy Clandes zabudowane były barakami pracowników i konstrukcjami przeznaczonymi dla sklepów, kantyn, zakładów transportowych i oraz agentów, którzy je obsługiwali. Większość kompleksu powstała na miejscu dawnego skupiska rojów, które wyginęły dawno temu, gdy przyszła zaraza.

Kiedy ocaleli X'Tingowie się wyprowadzili, na ich miejsce przyszli pozaświatowcy dziesiątków różnych ras. Z czasem wyrosły baraki, a następnie infrastruktura towarzysząca osiedlom-sypialniom, platformy transportowe oraz wszelkie inne rodzaje działalności. Ostatecznie kompleks rozrósł się tak, że przytłoczył swoją wielkością wszystkie inne osady górnicze i farmerskie.

Sercem tego miejsca był zakład produkcyjny, który wciąż dawał sześćdziesiąt procent gospodarki Cestusa. A w tym szczególnym przypadku był również odpowiedzialny za coś innego.

Za roboty ZJ.

Obi-Wan i jego grupka anarchistów spędzili długą i stresującą noc, analizując różne drogi, które prowadziły do i z Clandes, cały handel, jaki działał na jego terenie, oraz wszystkie zasoby, jakie kontrolował... i instytucje, przez które był kontrolowany. Wiele godzin upłynęło, zanim odnaleźli pewną linię, która wydawała się mieć największe znaczenie.

Codziennie do uprawy roślin, do rekreacji, celów spożywczych oraz produkcji zużywano tutaj hektolitry wody. Woda Cestusa była doskonała dla jego rodzimych form życia, lecz zawierała mikroorganizmy zabójcze dla pozaświatowców; wymagała długiego uzdatniania, zanim nadawała się do najbardziej nawet prymitywnego zastosowania w przemyśle, nie wspominając już o konsumpcji. O ile większość wody z ChikatLik sprowadzano z północnych lodowców, woda dla Clandes dostarczana była z dwóch źródeł: topniejącego śniegu z gór Dashta i poziomego wodonośnego Clandes, formacji geologicznej utrzymującej wodę głęboko w warstwach podziemnych skał i piasku, pod wystarczającym ciśnieniem, aby bez wielkiego wysiłku można ją było wydobywać na powierzchnię.

Newralgicznym ośrodkiem była główna instalacja uzdatniająca wodę z poziomego wodonośnego dla miasta. Gdyby uległa zniszczeniu, musiałaby zostać natychmiast naprawiona, bo inaczej rezydenci z Clandes mogliby pić najwyżej własny pot. Odcięcie zaopatrzenia w wodę spowodowałoby skierowanie większości sił do naprawy instalacji. Produkcja by ucierpiała, a Pięć Rodów znów musiałoby zasiąść do stołu negocjacyjnego.

Obi-Wan przemyślał to bardzo dokładnie. Z wszystkich możliwości, jakie brał pod uwagę, ta

prawdopodobnie była najlepsza. I najbardziej humanitarna. Ktokolwiek planował atak na Pustynny Wiatr, zgodził się na użycie siły. Czy mogła to być regentka Duris? Musiał dopuszczać taką możliwość i przyjąć, że ona także spodziewa się podobnego poziomu przemocy. Atak na stację uzdatniania wody był mniej bezpośredni i pozwalał na uniknięcie ofiar - odmiennie niż atak zdesperowanego nieprzyjaciela o ograniczonych zasobach, był zatem znacznie trudniejszy do przewidzenia.

Obi-Wan miał jednak powody do zmartwienia: minęły cztery dni od dnia, kiedy jego statek został zestrzelony wraz z całym sprzętem do łączności dalekiego zasięgu. Od czterech dni wielki kanclerz i Rada Jedi nie otrzymywali żadnych wieści z Cestusa. Wkrótce Coruscant uzna, że misja zakończyła się fiaskiem. A to oznaczało zmasowane bombardowanie. Bombardowanie zaś oznaczało katastrofę.

Clandes przyciągał handlarzy wszelkiego autoramentu, od międzygwiazdnych barek towarowych po tubylcze karawany, przemierzające nocą pustynię w poszukiwaniu bram i lądowisk osady.

Tego dnia strażnicy przy bramach uważniej niż zwykle obserwowali strumień przybyszów. Musieli być przygotowani na dodatkowe ataki, lecz nie mogli nic zrobić, aby im zapobiec.

Atak miał zacząć się w dwóch miejscach, aby stworzyć wrażenie, że dotyczy różnych celów. Na obiekty ataku wyznaczono przepompownię u stóp gór Dashta oraz oczyszczalnię w samym centrum miasta. Jednoczesne uszkodzenie obu tych instalacji bez wątpienia wzniesie zamieszanie wśród sił bezpieczeństwa, dając napastnikom czas na ucieczkę. Jeśli próba sabotażu obu stacji się nie powiedzie, siły Pustynnego Wiatru będą musiały zainstalować boje naprowadzające bombardowanie. Przy dokładnym określeniu celu istnieje szansa, że w przypadku katastrofy ofiar bombardowania będą dziesiątki, a nie tysiące.

Dlatego też w czasie, gdy Obi-Wan i jego grupa wchodzili do miasta w różnych przebraniach, Kit ze swoją ekipą podkładał się pod stację czerpania wody od strony gór, lądując o pięć kilometrów od niej, by ostatnią część drogi, wiodącą przez wyboisty i trudny teren, pokonać na piechotę.

- Co z alarmami? - przytomnie zapytał Seefor.

Kit przyjrzał się uważnie ekranowi wielkości dłoni. Widniał na nim szkic instalacji, a oprócz tego dość niewyraźne plamy przedstawiające pola ochronne wokół stacji.

- Będą tam, gdzie tydzień temu.

- Zdziwiłbym się, gdyby ich nie podrasowali - powiedział Seefor.

- Będziemy musieli poczekać. - Byle nie za długo. Kit czuł się tu bardzo odsłonięty. Odkąd sprawy zaczęły przybierać zły obrót, miał nieprzyjemne wrażenie, że każdy ich ruch jest przewidywany. Niechętnie to przyznawał, ale zarówno jemu, jak Obi-Wanowi kończyły się pomysły. A gdy pierwszy raz się powtórzą, będą równie martwi jak wszelkie nadzieje na rozwiązanie dyplomatyczne.

Najważniejsza była synchronizacja w czasie. Obi-Wan Kenobi włókł się za karawaną, którą zorganizował dla nich Thak Val Zsing. Karawana wiozła ładunek luksusowych towarów na targ,

który mieścił się na najwyższym poziomie Clandes.

Mieli dziesiątki gatunków suszonych siekanych grzybów, perfumy, zabawki, rzadkie przyprawy z pustynnych jaskiń, pachnące olejki do kąpiei i sypialni, rzeźby wykonane ze skamieniałych kości dawno nieistniejących stworzeń, które przemierzały pustynie Cestusa w czasach, kiedy jeszcze ziemia była żyzna i wilgotna.

Brodaty, blady strażnik przyjrzał się ofercie i zarechotał.

- Nie ma dzisiaj zbytu na takie głupoty. Wszyscy się boją. Może lepiej zawróćcie i pokażcie się kiedy indziej.

Głupia gadka. Strażnik doskonale wiedział, że karawana przebyła wiele kilometrów, aby zaleźć się przed bramami miasta. Mają mało wody i żywności, pewnie dawno też nie spali pod dachem. Obi-Wan zastanawiał się, czy strażnik miał równie słaby umysł, jak dowcip. Może warto byłoby spróbować..

Zanim jednak wprowadził w życie zamiar wpłynięcia na umysł strażnika, na czoło karawany wysunęła się Resta.

- Coś powiem - rzekł - Idziemy, sprzedamy towar, a ty możesz popatrzeć pierwszy. Ty, ja, już robiliśmy interes. - Druga para pokrytych pierścieniami rąk Rjsty uniosła szatę, ukazując rządęk miedzianych opasek przy pasie. Każda z nich oznaczała wcześniejszy pobyt w Clandes, a było ich tyle, że samego pasa prawie nie było widać. My zarobić kredyty, wy zarobić kredyty. Lepszy biznes z przyjaciółmi. Co powie?

Strażnik przyglądał im się przez chwilę, wreszcie uniosł jasną, krzaczastą brew i wyciągnął dłoń. Resta włożyła w nią mały, brzęczący woreczek. Strażnik zajrzał do środka i uśmiech rozciągnął jego mięsistą twarz pod niechlujnym zarostem. Odstąpił na bok.

Karawana weszła do miasta. Obi-Wan niebawem ucieszył się, że zadbał o ukrycie twarzy i zamaskowanie sylwetek, bo od razu pojawił się nad nimi robot sondujący, bez wątpienia przekazując obraz karawany do jakiegoś komputerowego centrum ochrony. Na rynek prowadziło wejście z najniższego poziomu. Wokół panował ogromny tłok, stragany stały praktycznie jeden na drugim, handlując dziesiątkami rozmaitych towarów. Mieszkańcy Clandes specjalnie przybywali na powierzchnię, by zaopatrzyć się w egzotyczne i wyszukane towary.

Po półgodzinnym zmaganiu z częściami straganu Obi-Wan udawał, że ustawia rzeźby, dopóki kątem oka nie pochwycił znaku Resty. Zajął się więc kolejnym klientem, żółtawym Glymphidem, którego podłużna głowa pasowała do reszty chudego ciała.

- Masz rzeźbę banthy? - zapytał Glymphid. - Tęsknię za domem.

Były to umówione słowa hasła rozpoznawczego. Obi-Wan sprzedał mu rzeźbioną laskę.

- To jest doskonale - rzekło stworzenie z Ploo Dwa. - Chciałbym więcej tych drobiazgów, ale na zamówienie. Zainteresowany?

Obi-Wan skinął głową.

Glymphid odwrócił się i poprowadził Obi-Wana i Restę w kierunku durabetonowej kopuły nad bramą miejską. Strażnik ledwie ich zauważył, gdy wsiadali do turbowindy, by zjechać do samego serca Clandes.

Obi-Wan spodziewał się, że Clandes będzie przypominało stolicę. Miał rację, ale tylko częściowo. W ChikatLik rój zajął sobie na dom jaskinię powstałą na skutek naturalnej erozji. Tu natomiast ściany lśniły, stopione na szkło. Obi-Wan zdał sobie sprawę, że ta jaskinia została utworzona przez podziemne wulkany, a jej mieszkańcy wprowadzili się tu jakiś milion lat po ochłodzeniu się stopionego kamienia. Nowi właściciele pobudowali się po prostu na dawnej architekturze X'Tingów.

Resta nie odzywała się od chwili, kiedy weszli do środka, ale teraz szepnęła:

- Widzi ten kamienny niski budynek pod wieżą?

Obi-Wan skinął głową.

- To elektrownia. Odciąć moją farmę, sprzedać moc do jakiegoś miejsca od Pięć Rodów. Widzi budynek obok? - Stał tam trzypiętrowy, brunatny klocek. Oczyszczalnia. - Tam wy iść. Resta nie poprowadzi dalej. Jasne?

Obi-Wan ponownie przytaknął.

- Dziękuję za wszystko - dodał.

Resta prychnęła. Rumieniec gniewu zalał jej twarz, a szczeliny po obu stronach szyi zjeżyły się niebezpiecznie. Wskazała na tłoczących się spacerowiczów.

Myślisz Resta ryzykować życie dla ciebie? - Splunęła na ziemię. - Resta nie dbać o życie. Jej lud prawie nie istnieje. Chcieć tylko zabrać ze sobą, ile się da.

Kobieta w złotym pancerzu odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

Miasto wrzało jak gniazdo morskich węży. Mniej więcej jedna trzecia obywateli nosiła mundury z pomarańczowo-złotej tkaniny. Obi-Wan wiedział, że to korporacyjne barwy fabryki i nagle zrozumiał, jak wiele szkody wyrządzi swoją dywersją. Ta myśl otrzeźwiła go trochę.

Ulice powstały na planie oryginalnej struktury kopca roju, z matematyczną precyzją wytyczonego labiryntu. Obi-Wan bez trudu znajdował drogę w kodowanych kolorami uliczkach, dopóki nie znalazł się trzy piętra poniżej otoczenia klockowatego brunatnego budynku.

Wśliznął się w alejkę, obserwując budynek z boku. Widział już wcześniej schemat, ale skoro miał taką możliwość, wołał to sprawdzić osobiście. Trzy piętra. Zgodnie z uzyskaną informacją najważniejsze instalacje znajdowały się na trzecim piętrze, dlatego właśnie tam zamierzał się udać.

Obi-Wan prześlizgiwał się od cienia do cienia na ścianie i wspinał po najwyższych półkach i szczelinach, gdzie nawet płazowi trudno byłoby znaleźć punkt zaczepienia. Kiedy znalazł się przy oknie, popatrzył w dół, na ulicę. Aleja była wąska, więc z dołu trudno go było dostrzec, gdyby jednak ktoś spojrział prosto w górę, mógł powstać poważny problem. Do tej pory jednak wszystko szło dobrze. Zamek okazał się skomplikowany i trudny do sforsowania. Pora na system bezpieczeństwa. Przesuwał opuszkami palców po krawędzi, usiłując wyczuć wszystkie zabezpieczenia. Są. Jego palce natrafiły na przewody, ale nie były one pod napięciem. Wynikało z tego, że system alarmowy w ciągu dnia był wyłączony. Stacja uzdatniania prawdopodobnie i tak rola się od strażników.

Obi-Wan włączył miecz świetlny i wyciął zamek razem z oknem. Kiedy iskry przestały się sypać, a otwór ostygł, Jedi wyciągnął rękę i pchnął skrzydło.

Prześliznął się przez szczelinę i znalazł się wewnątrz. Pokój był pusty, ale nie trwało to długo - wkrótce ktoś uchylił drzwi. Jedi jednym skokiem przemierzył pomieszczenie i schował się, zanim drzwi otworzyły się do końca. Wszedł jakiś mężczyzna i Obi-Wan obezwładnił go, zanim tamten zdołał się zorientować, że coś mu grozi. Ofiara miała na sobie mundur bez kaptura; Obi-Wan przebrał się, ale nie miał czym zasłonić twarzy. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie od razu go rozpoznają w tłumie robotników.

Liczył na to, że dzięki temu zginie mniej ludzi. Ich pierwotna misja poniosła klęskę. Może teraz sprawy nabiorą właściwego obrotu i tempa...

Wszedł do nastawni i obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Była mniejsza niż sądził. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy komputerów sterujących. Były dość proste i mogło je obsługiwać najwyżej dwóch pracowników. Miał nadzieję, że robił to tylko jeden i że był nim mężczyzna leżący w sąsiednim pomieszczeniu.

Nagle jego optymizm zgasł. Pośrodku pokoju przycupnęła złudnie piękna, złocista klepsydra robota typu ZJ.

Obi-Wan jęknął. Każdy idiota mógł przewidzieć, że Cestus nie zaprzestanie produkcji robotów na własne potrzeby. Ale nadzieja jest naprawdę trudnym do przewyciężenia nałogiem. Teraz i tak sytuacja była bez wyjścia. Miał niewiele czasu i mógł tylko przypuszczać, że jego towarzysze właśnie drogo sprzedają swoje życie.

Komuś, kto nie widział tych robotów w akcji, ich lśniaca, elegancka forma wydawała się zupełnie niewinna. Jedi zbliżył się ostrożnie. Co robić? Kiedy robot rozpozna w nim intruza, pozostanie tylko kilka sekund na działanie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już jest za późno. Katastrofa zacznie się w chwili, kiedy ZJ podniesie alarm. Tylko idiota byłby uszczęśliwiony perspektywą jednoczesnej walki z robotem i strażnikami.

Ciekawe, jaka jest strefa alarmowa ZJ? I tak dziwne, że nie obejmowała całego pomieszczenia. Obi-Wan zorientował się jednak, że przecież jakiś personel musi tu czasem wchodzić, utrzymując odpowiedni dystans, odpowiednio się zachowując albo nosząc elektroniczne identyfikatory. Czy ZJ włączy się na dźwięk? A może działa na zbliżenie? Może już teraz skanuje go w poszukiwaniu

kodów bezpieczeństwa zatopionych w identyfikatorze i ubraniu? Czy istnieją jakieś słowa kluczowe, które mogą go wyłączyć?

Był pewien tylko dwóch rzeczy: po pierwsze, że nie zna tych słów. Po drugie, jeśli spróbuje dotknąć jakiegokolwiek układu kontrolnego, robot zaatakuje.

Co robić?

Walczył już z ZJ w jaskiniach i nie miał wielkiej ochoty na kolejne starcie.

Szybkość. Musi być szybki, stawiając wszystko na jedną kartę, Obi-Wan Kenobi wyciągnął miecz świetlny i włączył go. Rzucił nim w tablicę kontrolną, a sam skoczył na ZJ.

Robot musiał teraz dzielić swoją uwagę między chronione urządzenia a atakującego go człowieka. Macki błyskawicznie wystrzeliły z boku ZJ, wyciągnęły się w kierunku miecza i zamknęły na nim. Może by go nawet złapały, gdyby ostrze wcześniej ich nie odcięło.

Kiedy miecz uderzył w pulpit, ZJ syknął jak żywa istota. Energetyczne ostrze przecięło w poprzek tablicę synoptyczną. Stosy splecionych przewodów wysypały się na zewnątrz, dymiący metal sypał iskrami. Włączyła się funkcja automatycznego odcinania. ZJ chyba zdał sobie sprawę, że został wyprowadzony w pole i czym prędzej zwrócił się ku Obi-Wanowi.

Obi-Wan wezwał swój miecz, ale w tej samej chwili zauważył, że rękojeść ugrzęzła w okablowaniu. Nie miał nawet pełnej sekundy, żeby się zastanowić. ZJ zbliżał się zbyt szybko. Jedi podjął błyskawiczną decyzję i ruszył w kierunku biorobota, wyciągając zza pasa pejcz świetlny. Robot dopadł go w jednej chwili, owijając macki wokół jego kostek.

Poczuł okropny ból. Mechaniczne ramiona pulsowały energią. Włosy na głowie Obi-Wana stanęły dęba. Z trudem opanował wstrząs elektryczny, który groził sparalizowaniem systemu nerwowego i płuc. Robot przyciągał go coraz bliżej, próbując zeskanować mu siatkówkę, ale Obi-Wan włączył pejcz i śmignął nim, jednym gestem unieruchamiając cztery ramiona automatu. Z rozszarpywanej durastali posypały się iskry. Obi-Wan zasłonił oczy dłońmi, bo fontanna iskieł buchnęła mu prosto w twarz. Słyszał, bo nie mógł widzieć, jak mechaniczne ramiona z brzękiem spadły na ziemię, odcięte przez ogniste włókna.

Teraz stracił oba narzędzia.

Robot zdał sobie chyba sprawę, że on też jest okaleczony, bo cofnął się o krok. Obi-Wan podjął kolejną błyskawiczną decyzję i rzucił się do przodu, wiedząc, że najgorsze, co go może czekać, to agresywny ruch ZJ. Robot próbował zareagować, ale tym razem zwłoka była aż nadto widoczna. Kikuty odciętych ramion drgały, gdy ZJ próbował uderzyć Obi-Wana mackami, których już tam nie było; pozostałe ramię chlasnęło jednak Jedi przez twarz, rozdzierając skórę i przeszywając syczącym promieniem energii. Obi-Wan nie zdążył odskoczyć dość daleko.

Wciąż jeszcze słabo widział, lecz był silny Mocą. Wyczuwał miejsce, gdzie uderzył pejcz, osłabiając błyszczącą obudowę ZJ. Obi-Wan przymknął zdradziecko niepewne oczy i odetchnął głęboko,

odnajdując w sobie miejsce, w którym nie było ani lęku, ani zwątpienia. Pozostał tam. Każdy mięsień jego dłoni był doskonale skoordynowany, gdy pięść niczym błyskawica uderzyła w osłabione miejsce, przenosząc całą swoją siłę na uszkodzoną już powierzchnię. Usłyszał trzask, zgiął ramię i walnął jeszcze raz w to samo miejsce, a potem poprawił łokciem. Uszkodzony robot cofnął się i padł do tyłu, rozsiewając wokół snopy iskier.

Jedi nie wiedział, ile wymierzył ciosów, ale kiedy skończył, ZJ leżał na boku, drgając konwulsyjnie. Obi-Wan wstał, równie osłabiony. Spojrzał na robota z nowym szacunkiem. Żeby go powstrzymać, potrzebował aż dwóch sztuk broni energetycznej oraz walki wręcz na ramiona i macki. Serce waliło mu jak młotem, ale musiał skoncentrować się i zająć tym, po co tu przyszedł.

Wystarczyło jedynie rozmieścić ładunki i już było po wszystkim. Jeśli nawet zostaną rozbrojone przed detonacją, pozostawała jeszcze nadzieja, że Pustynny Wiatr dokończy dzieła, umieszczając boje naprowadzające bombardowanie, które z pewnością zniszczy stację uzdatniania.

Obi-Wan wyłuskał miecz spośród kabli; podniósł pejcz i włączył go, ale wąski promień rozbłysnął na chwilę i znikł. Bateria się wyczerpała. Obi-Wan z żalem wyrzucił pejcz. Urządzenie służyło mu dobrze, lecz teraz miał inne problemy. Nie miał czasu na zabawki.

Dwadzieścia pięć kilometrów dalej Kit Fisto przycupnął w cieniu bielonych, gładkich ścian stacji głębinowej. Czekał. Promienie detekcyjne omiatały obszar co dwadzieścia sekund - niewidzialne, niewykrywalne dla nikogo bez specjalistycznego sprzętu lub głębokiej wrażliwości na Moc.

Przeprowadził ich przez energetyczny labirynt z poziomu na poziom, dopóki nie znaleźli się w cieniu ścian stacji.

- Teraz was zostawię. Jeśli zdołacie odciąć zasilanie, spróbujcie się dostać do środka.

- A ty? - zapytał Thak Val Zsing.

- Będę tam na was czekał - odparł Kit i zajrzał do płaskodennego, durabetonowego koryta rzeki za murami. Bez jednego słowa skoczył i zsunął się po szorstkiej, ukośnej płaszczyźnie w kierunku dna. Był w stanie spowolnić tempo ześlizgiwania się, ale wiedział, że nie da rady wspiąć się z powrotem. Jeśli plan się nie powiedzie, wpadną w prawdziwe kłopoty.

Zgodnie z informacją, woda z tamy w Dashta przepływała służą przez rów w godzinnych cyklach. Nie było możliwości obejścia tej części musiał się przygotować. Usłyszał grzmot, zanim jeszcze ujrzał falę ogromną, pulsującą masę wody, która wstrząsnęła durabetonem i pokonała zakręt jak wściekły, pędzący potwór. Kit zwinął się w kłębek i pozwolił, żeby fala uniosła go wzdłuż kanału, aż do miejsca spadku. Przez parę minut gnał z prądem, jakby nigdy w życiu nie opuszczał Glee Anselm. Przyływ cisnął nim o ścianę, ale Kit rozluźnił się i pozwolił nieść tej sile, wyczuwając ciśnienie i puste miejsca w szalejącym żywiole. Przed nim była krata - potężne metalowe pręty ze spawane tak, aby przelot między nimi nie był większy od pięści. Miecz świetlny Kita błysnął i zasyczał, spieniając wodę milionami pęcherzyków. Jeden ruch i pręty się rozstały, a głowa Kita uderzyła w odcięty fragment, wypychając go daleko w przód. Prześliznął się przez otwór, kopniakiem odepchnął od pozostałej części i znalazł się w jeszcze węższym kanale, gdzie ciśnienie wody wzrosło, zwiększając prędkość przepływu.

Przed nim woda przechodziła przez system błyskawicznego podgrzewania, który doprowadzał ją w kilka sekund do wrzenia, zanim spłynęła do dalszego systemu rur.

Promień podgrzewający musnął ciało Kita i nerwy Jedi zawyły pod wpływem wstrząsu. Nie!

Popłynął pod prąd, dokładnie pomiędzy lodowatym strumieniem i wrzącą masą ciepła. Ogień i lód, pomyślał i nagle poczuł, że chłód wyssał z jego ciała wszelkie siły.

Prąd pchnął go z powrotem ku wrzącej wodzie, a on przylgnął do ścian kanału, usiłując się podciągnąć. Nie miał punktu zaczepienia.

W jego umyśle pojawiły się pierwsze ślady przerażenia. Kit Fisto zdławił je natychmiast, koncentrując się na każdym ruchu; w pełnym skupieniu pozwalał Mocy odnaleźć drogę pomiędzy szalejącymi prądami. Metr po metrze dotarł do drabinki, niezbyt wysoko nad jego głową. Kit skoncentrował się, zanurkował, błyskawicznie zatoczył pętlę i wyskoczył z wody, chwytając się ostatnich szczebli. Drżał na całym ciele - roztopiony śnieg był równie lodowaty, jak woda w kotle wrząca. Musiał odczekać chwilę, aż jego ciało przywykło do normalnej temperatury i drgawki ustąpiły. Tu, po drugiej stronie skanerów, mógł bezpiecznie wspiąć się po ścianie i dotrzeć do skrzynki zaciskowej na drugim poziomie. Przyłgnął do ściany i czekał.

Czekał.

Coś było nie tak. Val Zsing i jego ludzie powinni już dawno tam dotrzeć. Spojrzał na chronometr i...

Nagle strumień wody pod jego stopami zmienił się w ciekłą strużkę. Odcięto zasilanie! Rozległy się alarmy awaryjne. W korytarzu słychać było odległe nawoływania. Będzie miał tylko kilka chwil, zanim zasilanie wróci, ale jego ludzie z pewnością usłyszą te krzyki i zrobią swoje. Do niego należało oczyszczenie drogi.

Kit czołgał się wzdłuż półki, aż znalazł zakratowane okienko. Przeciął kraty mieczem świetlnym i wśliznął się do środka.

Tuż za drzwiami usłyszał odgłos biegnących stóp. Awaryjny system alarmowy ryczał bez przerwy, być może anonując przybycie Pustynnego Wiatru. Oczekał, aż kroki wyminą drzwi i ruszył korytarzem.

Parter przepompowni miał około tysiąca metrów kwadratowych, a sklepienie wznosiło się w górę na cztery piętra. Sztuczne koryto rzeki biegło przez środek. Każda kropla wody przechodziła najpierw przez promienie ogrzewające, a następnie przez trzeszczący łuk strumienia energii - pierwszy stopień oczyszczania. Wprawdzie filtracja nie była tu tak dokładna, jak w stacji miejskiej, ale ta pierwsza linia obrony zabijała osiemdziesiąt procent mikroorganizmów i neutralizowała wiele toksyn.

Podłoga zakołysała się, gdy eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Wybuch nastąpił w pobliżu wejścia. Kit Fisto uśmiechnął się ponuro, gdy zobaczył biegnących w tamtym kierunku kolejnych strażników.

Przy słabym oświetleniu i odwracającym uwagę ataku od frontu, nietrudno mu będzie dokończyć misję. W każdym razie na pewno o wiele łatwiej. Przyłgnął do spodu kładki i oddechem próbował zluźnić napięcie palców i ramion. W ten sposób obszedł całą halę i spadł bezszelestnie piętnaście metrów poniżej, na platformę.

Wsunął się do hali, a samotny strażnik nie miał nawet czasu, żeby się odwrócić, zanim Kit rzucił się na niego. Strażnik zdołał tylko unieść broń, którą Kit gładko odciął przy samej dłoni.

Nautolanin płynnie wyprowadził kopnięcie i trafił strażnika w skroń, obalając nieszczęsnego Cestianina na ziemię, zanim ten zdołał bodaj pisnąć.

Okręcił się i dopadł panelu sterowania, jednym ruchem odcinając zaopatrzenie Clandes w wodę.

Następna faza była jeszcze prostsza zniszczyć panel, aby utrwalić tę funkcję. Miecz świetlny Kita świsnął tylko raz i w ciągu sekundy panel zmienił się w kupę dymiącego złomu.

Przyjrzał się uszkodzeniom - z pewnością wiele dni zajmie doprowadzenie stacji do stanu użyteczności. Podłoga pod jego stopami zadygotała znowu; to kolejna eksplozja wstrząsnęła budynkiem.

Doskonale. Jeszcze więcej zamieszania, jeszcze więcej szkód. Może obejdzie się bez dalszych ofiar.

Najwyższy czas uciekać.

Kit Fisto opuścił nastawnię i od razu wpadł na powracającą grupę strażników. Wyprzedził ich o ułamek sekundy, błyskając mieczem świetlnym. Musiał walczyć w obronie własnej, usiłował jednak unikać śmiertelnych ciosów. Oni tylko próbowali wykonywać swoją robotę. Przyszedł jednak moment, kiedy nie mógł już dłużej tylko się bronić. Po zażartej walce położył dwóch ludzi, Trzeci podniósł broń, ale Jedi skoczył przez poręcz i wylądował w półprzysiadzie dwa piętra niżej.

Tu było jeszcze więcej strażników. Miecz świetlny zdawał się żyć własnym życiem; zanim jeszcze padły strzały, zablokował jeden, potem dwa, trzy, cztery miotacze... Kit nagle znalazł się w samym środku napastników; zacisnął wargi i zmrużył oczy.

Strażnicy wrzeszczeli i umierali.

Ta cestiańska afera z każdą chwilą staje się coraz paskudniejsza, pomyślał Kit Fisto z goryczą. Te ponure rozmyślenia zginęły jednak w wirze promienistej klingi, która cięła powietrze wokół niego. Strażnicy padali na ziemię. Powoli ogarniała go bitewna gorączka, ten wyjący demon, którego z wielkim trudem więził w klatce dyscypliny; teraz to on objął we władanie mordercze ostrze Formy I.

Usłyszał syrenę, zanim jeszcze skończył walkę, a była to właściwie ostatnia chwila. Wydało mu się, że dopiero teraz usłyszał ten dźwięk, który rozlegał się już od jakiegoś czasu. Był tak skoncentrowany, że wszystko, co działo się na zewnątrz, po prostu do niego nie docierało.

Wokół niego leżały ciała ośmiu strażników. Kit skrzywił się i zmełł w ustach przekleństwo, którego wstydziłby się powtórzyć w obecności Rady Jedi. Takiej jatki właśnie miał nadzieję uniknąć.

Uciekać.

Na drodze stanął mu ogromny technik, wymachując łomem. Jedi poczuł mdłości, gdy wśliznął się w zasięg wirujących ramion i wydarł olbrzymowi łom z garści. Pchnął napastnika na ścianę. Oczy technika powędrowały w głąb czaszki, a całe ciało ogarnął paraliż spowodowany jednym celnym uderzeniem w splot barkowy.

- Śpij - rzucił Kit Fisto, pozwalając mu osunąć się na podłogę. 1 Życie jest snem.

Lub koszmarem, pomyślał. I to takim, z którego coraz więcej Cestian po prostu się nie obudzi.

W salach pałacu Chikatlik panował grobowy nastrój. Clandes zameldowało, że dopływ wody zostanie zmniejszony do jednej czwartej zapotrzebowania, a przywrócenie normalnego stanu rzeczy zajmie wiele dni, jeśli nie tygodni. W ciągu tego okresu, jeśli nikt nie dostarczy wody do miasta, Clandes groziła bezprecedensowa katastrofa społeczna.

Trzy żołądki G'Mai Duris na przemian zalewał kwas, żółć i ołów. Kto stał za tym wszystkim? Jedi? Czy Obi-Wan wciąż żyje? Po zestrzeleniu jego statku wykryli tylko jedną kapsułę ratunkową, a tę zajmował prawnik. Kto zatem był w drugiej? Zresztą to nie miało aż takiego znaczenia. Widziała doskonale, do czego to wszystko tak czy owak doprowadzi. Skończy się masowym bombardowaniem i Cestus wyjdzie z wojny z Republiką jako dymiąca, wypalona skorupa.

A co gorsza, widziała przed sobą wyłącznie dalsze komplikacje i żadnego wyjścia. O, tak, Quill robił dobrą minę do złej gry, twierdząc, że osoba, która wkrótce pojawi się w ich sali tronowej, poradzi sobie z wszelkimi problemami, ale Duris zbyt długo żyła polityką, aby nie wiedzieć, że większość rozwiązań stwarza tylko dalsze problemy w eleganckim opakowaniu.

Na razie wyprostowała się i rozparła na tronie na całą szerokość. Skinęła głową asystentce, by wprowadzono gościa.

Serce zabiło jej mocniej, choć mocno umalowana twarz nie zdradzała żadnego uczucia. Wiedziała, że przybyła czuje każde uderzenie jej pulsu, nawet z tak wielkiej odległości.

Bała się.

Kobieta, która weszła do sali, miała chód wojskowego wyższej rangi, a jednocześnie poruszała się z tą samą nienaturalną lekkością, która Duris wcześniej zauważyła u Kenobiego. Zdradzała ona surowy trening fizyczny i umysłowy, a taki wężowy wdzięk był równie godny pozazdroszczenia, co przerażający. Jedi miał te same wyrafinowane ruchy, tę samą absolutną i onieśmielającą koncentrację, lecz od niego emanowała również uczciwość i mądrość, głęboki szacunek do życia i inteligencja.

Ta istota była pozbawiona takich cech. Jej ciemne oczy błyszczały na tle bladej, bezwłosej, wytatuowanej czaszki. Co widziały te oczy? Jakie głębokie, zimne przestrzenie międzygwiazdne ta istota nazywała domem?

Kobieta złożyła najgłębszy i jednocześnie najbardziej arogancki pokłon, jaki Duris widziała w ciągu całego swojego panowania.

- Komandor Asajj Ventress, do usług - rzekła. - Błagam tylko o jedną minutę twego cennego czasu.

- Nie więcej?

- Nie więcej. Nie jestem politykiem. Interesują mnie wyłącznie kwestie produkcyjne.

- A Cestusa interesują wyłącznie interesy - odparła Duris.

Ventress udała, że nie słyszy.

- Jestem ambasadorem handlowym hrabiego Dooku i waszych sojuszników w Konfederacji Niezależnych Systemów.

- Sojuszników? - zapytała Duris drwiąco, udając zaskoczenie. Nie mamy politycznych aspiracji. Mamy tylko klientów, których bardzo sobie cenimy. - Próbowała ukryć napięcie w głosie, ale nie całkiem jej się to udało.

Ventress lekko przechyliła głowę na bok, a jej blade wargi wygięły się w pogardliwym uśmiechu.

- Chyba nie odpowiada ci moja obecność, pani.

Duris zmusiła się do przybrania neutralnego wyrazu twarzy i odpowiedniego tonu głosu.

- Ostatnio muszę bardzo ostrożnie szafować moim zaufaniem. Nie chciałabym jednak, abyś uznała, pani, że zaliczam ją do osób niegodnych zaufania.

Usta Ventress zacisnęły się. Duris wyczuła, że ta kobieta nie tylko dostrzegła unik, ale nawet jej się spodobał.

- Rozumiem. - Ventress skłoniła głowę i zamilkła. Początkowo Duris przypuszczała, że zaraz przemówi. Po minucie jednak stwierdziła, że kobieta czeka na nią. Którakolwiek z nich się teraz odezwie, znajdzie się na słabszej pozycji. Duris jednak nie mogła dłużej milczeć, żeby nie okazać się niegrzeczną.

- Proszę mi powiedzieć, komandor Ventress - zaczęła ostrożnie rozumieć, że pozostaje pani na Cestusie od jakiegoś czasu. - Doprawdy? - odparła tamta, nie podnosząc oczu.

- Prawdopodobnie zaznała pani naszej słynnej gościnności.

Ventress zwinnie okrążyła tron i stanęła za plecami Duris. - Doprawdy? - Oczy wszystkich zebranych w sali były wbite w kobietę, która spacerowała wśród nich z władcą miną i całkowitą obojętnością dla ich etykiety. Nikt jednak nie odważył się okazać oburzenia.

Wytatuowana kobieta pochyliła się nad ramieniem Duris. Jej twarz znajdowała się obok obleczonej w wutowany aksamit szyi regentki. Duris czuła oddech kobiety. Był mdląco słodki, jak ciasto.

- Obawiam się, że nie mam czasu na rozrywki. Są ważne sprawy do załatwienia. Galaktyka wrze.

- Co panią tu sprowadza? - zapytała Duris.

- Chciałam się jedynie upewnić, że nasze zamówienia są realizowane jak należy. Rozumiem, że fabryka Clandes przez jakiś czas nie będzie produkować?

- Zapewniam panią, że przyspieszymy proces naprawy. Może za siedemdziesiąt dwie godziny...

- Tak, tak - szepnęła Ventress i ruszyła dalej, zamykając krąg. Mój mistrz i ja bylibyśmy bardzo wdzięczni za to przyspieszenie. Jest jednak jeszcze jedna kwestia. Podobno jesteś w posiadaniu informacji, która zaszkodzi Cestus Cybernetics. Słyszałam coś na temat oszukańczego kontraktu sprzed dwustu lat. Czy to może być prawda?

Duris nie odważyła się skłamać.

- Może.

- Taaak... ale to ostrze obosieczne. Jeśli przedstawicie sprawę senatowi, obiecuję, że wielki kanclerz wykorzysta to, aby zamknąć fabryki, co będzie równie skuteczne jak bombardowanie. Wasz rój ucierpi, możesz mi wierzyć. A oprócz tego... ty osobiście poznasz siłę gniewu hrabiego Dooku.

Duris w milczeniu skinęła głową.

- Jestem pewna, że te groźby nie są konieczne - ciągnęła Ventress ale... jeśli jest cokolwiek, co mogę zrobić, aby ci pomóc, pani, proszę się nie wahać. Hrabia Dooku i generał Grievous mają potężne możliwości i współczują ci, że musisz walczyć ze skorumpowaną represyjną Republiką. Razem możemy dokonać wielkich rzeczy. - Urwała. Wielkich... naprawdę wielkich. - Uśmiechnęła się. - To wszystko, przynajmniej na razie. A teraz, za pani pozwoleniem, oddalę się.

Komandor Asajj Ventress wycofała się z pokoju w ukłonach, a jej i półprzymknięte oczy dziwnie przypominały oczy gada.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Duris z ulgą wypuściła z płuc długo wstrzymywany oddech. Całe jej ciało przypominało ściśniętą sprężynę. Ta kobieta przyprawiała ją o dreszcze. Widocznie Asajj Ventress była bardziej niebezpieczna niż Obi-Wan Kenobi. Duris była pewna, że oszustwo nie leży w naturze Jedi. Za to ta istota nie miała żadnych zahamowań. Żadnego wstydu ani lęku. I żadnej litości.

Chyba że tyle co statek, który zestrzelił Obi-Wana.

Duris z bolesną jasnością zobaczyła oczami duszy całe pokolenia postępu społecznego Cestian przepadające w mroku dziejów. Wydawało się, że nie jest w stanie nic na to poradzić.

Jej asystentka Shar Shar podtoczyła się bliżej.

- Reszta rady jest gotowa na spotkanie, pani. Czy...?

Duris nadal trwała w zadumie. Przybycie tej kobiety nie było przypadkowe. Czy Ventress wylądowała przed Obi-Wanem? Pracowali razem czy byli przeciwnikami? Z pewnością wiedziała o obecności Kenobiego. Ale czy on wiedział o niej?

- Pani? - dopytywała się Shar Shar, sina z niepokoju.

-Tak?

- Czy jest pani gotowa?

Duris skinęła głową. W powietrzu wokół niej pojawiło się kilka holokranów. Pierwszy odezwał się złotousty szef sprzedaży i marketingu Llitishi.

- Regentko Duris, sfingowane porwanie jest wyraźnym dowodem, że Republika zamierza wtrącać się w suwerenne sprawy Cestusa. Nadszedł czas, aby uderzyć. Musimy odnaleźć tych rebeliantów i pokazać Republice, że nigdy nie zginamy karku.

Duris zabolęła jego naiwność.

- A kto wówczas zostanie naszym sprzymierzeńcem? Możesz sobie wyobrazić, że Konfederacja wysyła swoich szpiegów tylko po to, aby nam pomóc? Tkwimy w cieniu dwóch gigantów, a każdy z nich próbuje nas przeciągnąć na swoją stronę słodkimi słówkami. I każdy z nich zniszczy nas raczej, niż dopuści, abyśmy przeszli do przeciwnego obozu.

Llitishi nie chciał przyznać jej racji.

- Nie jest to całkiem pewne...

- Tak? - odparła G'Mai Duris. - A którego z naszych synów lub córek chcesz postawić w zakładzie?

Na to pytanie nie miał żadnej odpowiedzi.

Reszta spotkania upłynęła w jeszcze gorszej atmosferze, choć wspomniano o schwytanych rebeliantach i udaremnionych sabotażach. Ognie gniewu łatwiej było jednak rozpalić niż zgasić. Siły bezpieczeństwa Cestusa mogły sobie ścigać sabotażystów, lecz gdzieś głęboko Duris miała niejasne i groźne przeczucie, że to wcale nie koniec problemów.

Zbyt wyraźnie pamiętała swoje doświadczenie z Obi-Wanem Kenobi. Wydawało się, że minęło całe życie od czasu, gdy wspomniała, że jej problemów być może nie da się rozwiązać. Niestety przekonywała się coraz bardziej, że chyba ma rację.

Rozgrywające się wydarzenia zaniepokoiły środowiska przestępczej w równym stopniu, co cały dwór i gabinet G'Mai Duris. Źródło dochodów z hazardu i narkotyków w Chikatlik wyschło, bo miasto, głównie z obawy przed nadchodzącą wojną, zaczęło oszczędzać zasoby. Różne interesy Trillot co do jednego stały pod znakiem zapytania, a i ona także zaczęła odczuwać naciski.

Znacznie jednak gorszym doświadczeniem było ponowne spotkanie z Ventress. Kobieta znowu zachowywała się tak, jakby jej humanoidalna postać była jedynie przebraniem. W każdym czynie i słowie była czystym drapieżcą. Żyła tylko po to, by zabijać.

- Jestem prostą osobą ~ tłumaczyła jej Trillot - i nie potrafię zrozumieć znaczenia wszystkich tych machinacji. Wydaje mi się, że nie ma osoby, która naprawdę wiedziałaby, jak to się skończy.

- Choć raz masz rację - odparła Ventress. - Nikt nie wie, jak to się skończy... z jednym wyjątkiem.

Kiedy mówiła, w jej głosie brzmiała dziwna pasja, której Trillot nie dostrzegła wcześniej.

- Kim jest ten, co wie?

Ventress zmrużyła oczy, a jej blade policzki pokryły się lekkim rumieńcem.

- Hrabia Dooku to przepowiedział, a ja wiem. Cokolwiek jeszcze! się zdarzy, Obi-Wan i ja spotkamy się znowu. Na Queyta obiecałam Kenobiemu, że go zabiję. Mój mistrz chce go dopaść żywego. A więc Jedi opuści Cestusa w więzach albo pozostanie pod jego piaskami.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a Trillot rozpoznała jego powód. Była to namiętność. Nie czysta namiętność fizyczna, choć płonął w niej nienazwany, cielesny głód. Ale ta żądza była jakby odwrócona i płonęła we wnętrzu tej dziwnej kobiety jak ogień, którego nie można ugasić.

Dwoje potężnych, dziwnych pozaświatowców znalazło się na kursie kolizyjnym i Trillot bardzo by nie chciała znaleźć się pomiędzy nimi. Kiedy ścierały się takie giganty, karzełki takie jak Trillot mogły zostać całkowicie zniszczone.

Jednak z drugiej strony... w takich sytuacjach nawet maluczcy mogą sporo zyskać.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Pssst - uciszyła go Sheeka.

Przemierzali nierówną drogę już od prawie godziny. Jangotat dawno stracił orientację, tak wiele było po drodze zakrętów i załomów. Jego oczy zakrywała gruba, podwójna tkanina, a do tego na głowę nałożono mu jakiś worek. Potrójna ochrona. Ciekawe, dlaczego to takie ważne? Obiecali mu niespodziankę, a potem powiedzieli, że będzie mógł się nią nacieszyć, jeśli da sobie zasłonić oczy. „Wiesz, to tajemnica”.

Zgodził się na opaskę, a potem Sheeka i brat Fate długo prowadzali go w kółko. Kiedy się zatrzymali, poczuł wiatr i domyślił się, w jakim idą kierunku. Kiedy jednak zaczęli schodzić po zboczu, musiał zapomnieć o wszystkim innym, jeśli nie chciał upaść i połamać sobie kości.

Po jakichś piętnastu minutach wspinaczki powietrze stało się chłodniejsze, a podłoże się wyrównało. Domyślił się, że wchodzi do jaskini. Nawet wtedy jednak nie zdjęli mu worka -jeszcze długo krążyli po całej jaskini, stąpając po zdradzieckim, nierównym gruncie wśród do chodzących z oddali dziwnych, wodnych ech.

Wędrowali jeszcze przez godzinę. Jangotat dwukrotnie słyszał szum spadającej wody, a jego dłonie chłodziła mgiełka wilgoci. Potem zaczęli schodzić po schodach wykutych w skale.

Przez długą chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, co właściwie powinien teraz zrobić. Liczył na to, że Sheeka mu powie, ale milczała. Wreszcie, zdenerwowany tą samotnością w mroku, zapytał: - Co mam robić? - i natychmiast poczuł się zakłopotany, tak dziwnie nie pasował tutaj dźwięk jego głosu.

Podniósł ręce do twarzy.

- Nie - powiedziała Sheeka. Chłodnymi palcami oplotła jego dłonie i zmusiła do porzucenia zamiaru.

- Dlaczego nie?

- Nie chcę, abyś używał swoich zwykłych zmysłów - odparła. Oczu i uszu.

Był speszony, ale jednocześnie pragnął ją zadowolić. Może zresztą nie było to takie dziwne. Uratowała mu życie i okazała się wspaniałym towarzyszem.

- No to co mam robić?

- Myśl sercem - odparła. - I powiedz, co czujesz.

Przystanął i zamyślił się. Pomimo ostrzeżenia koncentrował się na otaczających go wrażeniach i dźwiękach. Słyszał słaby plusk falującej wody, odległy odgłos spadających kropelek, unoszący się echem w ciemności. Rozpoznawał nierówny grunt pod stopami i...

- Czuję powietrze, które dotyka mojej skóry - powiedział.

Głos Sheeki był spokojny, choć niezadowolony.

-Nie . Głębiej. Nie czuj zmysłami. Sercem.

- Słyszę wodę...

- Nie! Przestań używać uszu. Co czujesz? Tutaj. - Położyła dłoń na jego piersi, Odetchnął głęboko, a ciepło jej dłoni przeniknęło do wnętrza klatki piersiowej.

Nagle zapragnął uwierzyć, że to nie jest tylko jakaś dziwna gra. Coś musiało tu być, trzeba było jedynie to odnaleźć.

-Czuję... ciepło.

- Gdzie?

- Wewnątrz - odpowiedział. Próbował wyjaśnić to dokładniej, ale słowa nie chciały go słuchać. I wtedy zauważył, że sztuczna ciemność, która go otaczała pod workiem i opaską, nie jest już ciemnością. Zaczęły się w niej pojawiać widmowe kształty, coś jakby obserwujące go, surowe twarze. Nie mógł ich zobaczyć dokładnie, ale nie wyglądały jak obrazy. Wiły się i przeciskały przez płaską lecz elastyczną powierzchnię. Okrągłe twarze z pustymi oczami. Miał wrażenie, że zna skądś te stworzenia, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je widział i w jakich okolicznościach.

- To jakby pływanie w złotym nurcie - usłyszał własne słowa. Prawie śpię, a jednocześnie jestem całkiem rozbudzony.

- Tak.

- I jeszcze... o! - chciał znowu coś powiedzieć, lecz nagle wydało mu się, że gardło ma pełne kurzu. Teraz w ciemności migotały plamki światła, Ściagały je cieniste kształty, które to płynęły razem, to się rozdzielały, by znów po chwili połączyć się w dziwnym tańcu...

Kolana zadygotały pod nim, ugięły się. Wspomnienie ran? Opadł na klęczki, podpierając się dłońmi, ale zaraz poczuł dotknięcie na ramionach. Potrzebował kilku chwil, żeby złapać oddech. Wstał i opuścił ramiona. Zginał i prostował palce, oddychał szybko, płytko. Drżąc, jakby miał za chwilę eksplodować, podniósł dłonie do twarzy, ale zawahał się.

- Sheeka? - zapytał niepewnie.

Tak odparła. Nie było to pytanie, lecz zezwolenie. Zdjął worek z głowy i rozwiązał opaskę.

Niskie sklepienie jaskini jarzyło się ciepłym pomarańczowym światłem. Promieniowanie pochodziło z głębin wody w podziemnym jeziorze. Woda falowała równym, spokojnym rytmem bijącego serca.

Ze sklepienia zwisały stalaktyty, ściany lśniły, jak ręcznie wypolerowane. Grunt od ich stopami pulsował miękkim, lecz uporczywym rytmem, jak echem kamiennych wodospadów.

Odkaszlnął, bo nagle się zorientował, że zapomniał oddychać.

Pod powierzchnią wody pływały węgorze. Wielkie, mlecze ślepie \ obserwowały ich uważnie. Dziwne światło zdawało się pochodzić z ich wnętrza, przeświecać przez niemal przezroczystą skórę. Jangotat mógł prawie dostrzec szkielet i zawieszony w nim wnętrzości.

Węgorze były ślepe.

- Co to za miejsce - zapytał, choć zaraz zdał sobie sprawę z tego, że zna odpowiedź.

- Te węgorze wyszły nam na spotkanie.

- Węgorze dashta? - Niewiele o nich wiedział, jeśli nie liczyć rozmów z Jedi, Wiedział jednak, że są niezbędne do produkcji robotów ZJ. - Ten żywy element biorobotów? Myśleliśmy, że pochodzą z gór Dashta.

- Nie - odparła łagodnie. - Zarówno góry, jak węgorze otrzymały nazwę od Kilaphora Dashty, pierwszego badacza, który czterysta lat temu przeniósł na mapę góry i jaskinie Zantay. Węgorze były czczone przez X'Tingów przez tysiące lat, lecz wycofały się do jaskiń, kiedy rój rozpoczął podbój Cestusa.

- Chyba są większe od tych, które widziałem - zauważył.

- Tamte są młodsze, przed zróżnicowaniem płciowym.

Woda łagodnie falowała w rytm ich ruchów. Jeden z węgorzy opłynął jeziorko leniwym kręgiem i wrócił. Ślepe oczy wpatrywały się w Jangotata. Dlaczego?

Sheeka wciąż mówiła, choć musiała wiedzieć, że jego umysł jest pochłonięty tym, co widział przed sobą.

- Cestus poryty jest przejściami, podwodnymi rzekami i stawami. Nawet X'Tingowie nie znają gniazda węgorzy dashta. O ile wiemy, to ostatnie miejsce, gdzie kontaktują się z innymi gatunkami. Właśnie tu doprowadziły nas do pierwszych zarodników grzybów.

- Leczniczych?

- Tak. I tych pozwalających na przyrządzenie posiłków bez mięsa.

- Czy to na pewno są dashty? Zgodnie z moimi badaniami, są o wiele za duże. Te... te stworzenia są inteligentne... - Skąd on to wiedział? Przecież do tej pory tylko pływały. Coś jednak było w tych ślepych oczach... Jakby wydawały łagodne dźwięki, wzywały, uspokajały, pocieszały...

- Tak - zgodziła się Sheeka.

Pokręcił głową.

- Czytałem raporty. Dashty nie są rozumne.

- Ależ są. Można to nazwać formą uśpienia. Dar od Mentorów... całe życie we śnie. Nawet w stanie nieświadomości ich system nerwowy posiada wrażliwość na Moc. Nie rozumiem tego dokładnie, lecz jestem wdzięczna, że działa.

Jangotat milczał, przetrawiając informację.

- Co mówiłaś? - odezwał się w końcu.

- Samice dasht składają miliony jaj - powtórzyła łagodnie Sheeka. - Samce zapładniają tylko kilka tysięcy z nich. Z niezapłodnionych jaj powstają młode, które nigdy nie dojrzewają.

- Węgorze dały wam swoje dzieci?

Skinęła głową.

- Te, które by i tak zginęły w walce z zapłodnionymi braćmi i siostrami. Przeżyły i z wdzięczności ofiarowały się swoim przyjaciołom.

- Dlaczego miałyby to uczynić?

- Dawno temu - wyjaśniła Sheeka - planeta była płodniejsza, żyło tu więcej gatunków rozumnych. Wymarły, walcząc ze sobą, podczas gdy piasek pożerał lasy. Walka o przetrwanie była dashtom wstrętna, więc ukryły się głęboko we wnętrzościach planety. Staliśmy się ich pierwszymi przyjaciółmi od tysiącleci.

-Wy?

- Tak. Węgorze ofiarowały nam swoje niepłodne jaja, wiedząc, że ZJ pozwolą Cestusowi włączyć się w społeczność światów.

- Ale na tych światach również istnieje konflikt.

- To jasne; dopóki są ci, którzy jedzą i ci, którzy są zjadani, zawsze będzie konflikt. Lecz dashty potrafią pokazać istotom rozumnym, jak zaspokajać swe potrzeby bez konieczności zabijania się wzajemnie. To jest nasz potencjał, nasza szansa na przyszłość.

Potrzeba rzadko jest powodem wojny, pomyślał Jangotat. Pożądanie jest znacznie bardziej zabójcze.

X'Tingowie wygnali pająki w góry. I Jeśli zaraza nie wybuchła przypadkiem, Cestus Cybernetics prawie I zniszczył rój. Separatyści i Republika mogą równie skutecznie zniszczyć Cestus Cybernetics.

Niekończący się łańcuch dominacji i zniszczenia. A on był jednym z jego najsilniejszych ogniw.

Jangotat zachował swoje myśli dla siebie. Tu działo się coś ważniejszego niż zwykła dyskusja filozoficzna. Pragnął zrozumienia bar- I dziej niż powietrza.

- One nie mają oczu, więc dlaczego świecą?

- Dla nas - odrzekła Sheeka i usiadła na kamieniu, żeby bliżej przyjrzeć się węgorzom. - Dla ciebie, dla mnie. Czasem tu przychodzę. Nie za często, ale wtedy, kiedy potrzebuję odnowy duchowej.

Mówiła prawdę. Czuł to od dobrych kilku minut. Nie było to wrażenie ciepła ani zimna... coś całkiem innego. Coś, co kojarzyło się z... życiem. Poczuł, jak całe lata intensywnych lekcji zabijania rozplywają się, jakby nagle przestał identyfikować się z rzeczami, których go uczono. Ale jeśli przestanie być sobą to kim się stanie?

- Jestem żołnierzem - szepnął.

- Nie - powiedziała Sheeka. - To tylko twoje uwarunkowanie.

Wyprostował się i zeszywniał.

- Jestem z bractwa potężnych wojowników-klonów.

- Nie - powtórzyła Sheeka. W jej głosie nie było wesołości. Była za to inna emocja, której nie umiał nazwać. - To twoje ciało i twoje geny. Jesteś kimś więcej, kimś odmiennym od swoich „braci”. Oni nie są tobą.

Jangotat poczuł, że oczy zasnuwa mu mgła. Otarł je dłonią. Spojrzał na wilgoć, która zebrała mu się na palcach. Wiedział, co to jest, ale nigdy jeszcze tego nie doświadczył. A więc może robić coś, czego nie robił nigdy dotąd... a jeśli istnieją i inne takie rzeczy?

Co to za miejsce? Jakaś część jego istoty pragnęła uciec stąd jak najszybciej. A cała reszta wolała leżeć tu przy świetle węgorzy aż do końca świata.

- Co czujesz? - zapytała Sheeka.

Znów przymknął oczy. Przepływało przez niego dziwne mrowienie, unosiło go jakby ponad własne ciało. Słyszał, że ona coś mówi, ale nie rozpoznawał słów i nagle zrozumiał, że przez te wszystkie lata nie znał sam siebie.

- Co czuję? - powtórzył. Jego głos drżał z emocji. - Co mi zrobiłaś? Czuję wszystko. Wszystko. A przecież nawet nie wiedziałem, że mi tego brakuje. - Ujęła go za rękę. Jej palce były drobne, ciepłe i chłodne zarazem. - Widzę... widzę siebie, od dzieciństwa do starości.

I to była prawda.

Dziecko.

Niemowlę unoszące się w zbiorniku, nasienie nieskończonej nocy.

Jego ciało, rozdarte, zniszczone wojną. Umierające, lecz z żarem walki wciąż lśniącem w oczach.

I ciało starszego Jangotata, zniszczone nie przez wojnę, lecz przez czas, czas, którego on sam nigdy nie będzie miał. Pomarszczony Jangotat, wytrzeszczający ledwo widzące oczy, ale uśmiechnięty, otoczony przez...

- Tak?

Przez moment widział dzieci, których nigdy nie spłodzi, wnuki, których nie weźmie na ręce... i nagły, dławiący ból niemożności był tak paraliżujący, że Jangotat zapadł się w siebie. Tu, na Cestusie, doznał przeżyć, które przebudziły w nim genetyczne, nieodparte wspomnienia. Wspomnienia tego, czym powinno być jego życie. Czym mogłoby się stać, gdyby był dzieckiem miłości, a nie wojny. Spotkał tu dzieci, a w ich oczach dostrzegł źródło siły, która pozwoliła mu zawrócić do własnego dzieciństwa, do...

Jangotat upadł na kolana. Łzy, które przez całe dzieciństwo dławił w sobie, teraz znalazły ujście.

- To nie tak - wyszeptał. - Wszystko jest nie tak... - Spojrzał na Sheekę przerażonymi, pustymi oczami. - Nigdy nie słyszałem serca matki. Nigdy nie czułem jej emocji, gdy spałem bezpieczny w jej łonie.

- To prawda - odparła łagodnie Sheeka. - Tak było.

Zakrył twarz drżącymi dłońmi. Każdego innego dnia jego życia ta gorąca wilgoć przyniosłaby mu wstyd, lecz dziś wzniosł się ponad to uczucie.

- Nikt mnie nie tulił w ramionach - jęknął. - Nikt nie będzie za mną płakał, kiedy zginę.

Zamilkł i w tej krótkiej chwili usłyszał głos, który szeptał mu w głowie: „Proszę, Sheeko, powiedz, że będziesz za mną płakać, kiedy zginę, wypełniwszy tę jedyną funkcję, do której zostałem stworzony w sposób doskonały”.

Umieranie.

Tu, na tej planecie. Albo na innej. Albo na jeszcze innej. „Powiedz mi, że pozostanie w tobie cień wspomnienia o mnie. Że będę ci się śnił. Że zapamiętasz mój uśmiech, że będziesz dumna z mojej odwagi, z mojego honoru. Proszę. Powiedz coś. Cokolwiek”.

Ale ona nie powiedziała nic, on zaś rozumiał, że tak jest po prostu lepiej. Że znalazł się w takim punkcie życia, gdy człowiek przeżywa burze wewnętrzne, których nikt nie jest w stanie ugasić za niego. To była jego samotność, jego ponure, nieuniknione przeznaczenie. W tym jednym, strasliwym

momencie wszystkie piękne słowa o nieśmiertelności WAR brzmiały pusto jak echo w brzuchu Sarlacca.

- Jangotat?

Pomimo tego przerażającego olśnienia nie mógł powstrzymać się od kolejnej, niezręcznie zamaskowanej prośby.

- Nikt nigdy nie powiedział, że mnie kocha - rzekł i podniósł na nią oczy, z najwyższym trudem odrywając wzrok od jeziora. - Czy jestem tak odrażający?

-Nie.

To prawda, nie był bluźnierstwem natury. Wyczuwał nawet to, czego nie powiedziała, wiedział, dlaczego go tu sprowadziła - aby doświadczył strachu i samotności, które dotąd przed sobą ukrywał. To paraliżowało umysł, lecz było konieczne.

Następne jego słowa zabrzmiały jak najcichszy szept.

- Dlaczego ktokolwiek chce opuszczać to miejsce, kiedy się tu znalazł?

Po raz pierwszy od wielu minut powiedziała coś więcej niż jedno słowo.

- Jangotacie, to nie jest kwestia wyboru. Nikt nie żyje samym działaniem i przygodą, albo wyłącznie medytacją i kontemplacją. To prawda, że bracia i siostry przychodzą tu medytować. Ale potem wracają do świata.

- Do świata?

- Świata zewnętrznego. Do farm, kopalni, miast. Świat potrzebuje naszej aktywności, ale także zastanowienia się nad jej skutkami. Słuchanie rozkazów to dobry obyczaj, Jangotacie. Wszyscy żyjemy w społeczeństwie, w którym istnieją wzajemne zobowiązania. Lecz bezmyślne wypełnianie tych rozkazów oznacza, że jesteś maszyną, a nie żywą istotą. Czy ty żyjesz, Jangotacie?

Poruszył ustami, ale nie wydał głosu.

- Myślą, że żyjesz. Zbudź się, zanim będzie za późno. Nie jesteś numerem, jesteś człowiekiem, żywym, oddychającym człowiekiem. Urodziłeś się przekonany, że jesteś maszyną, zaprogramowanym urządzeniem jednorazowego użytku. A nie jesteś.

Więc czym jestem? - zapytał, drżąc na całym ciele. - Co to za uczucie? Nigdy do tej pory go nie znałem. - Urwał i otworzył usta ze zdumienia. - Samotność. - rzekł wreszcie, sam odpowiadając na własne pytanie. - Czuję się taki samotny. Nigdy wcześniej tak się nie czułem. Jakżebym mógł? Zawsze byłem otoczony przez braci.

- A ja czułam się czasem samotna nawet w tłumie - powiedziała Sheeka. - Jest tylko jedno prawdziwe lekarstwo na samotność.

- Jakie? - W jego głosie było błaganie, lecz tym razem nie czuł wstydu.

- Świadomość, że wszechświat wie o naszym istnieniu.

Nie był pewien, czy ją rozumie.

- Ale jak wszechświat może mnie zobaczyć wśród tylu braci? Wszyscy jesteśmy tacy sami.

- Nieprawda - odparła, a jej głos znów nabrał ostrości. - Nie jesteście. Sam mi powiedziałeś, że nie ma wśród was dwóch o takich samych doświadczeniach. Więc nie możecie być identyczni.

- Kłamałem - odparł, gniewnie dzieląc słowa. - We mnie nie ma żadnego „ja”. Wszystko to „my”. To WAR. Bracia. Kodeks. Ale gdzie ja jestem? Kim jestem?

- Słuchaj własnego serca - poradziła, trzymając dłoń na jego piersi. Czuł ich ciepło, aż do głębi; przez moment obawiał się, że gdy Sheeka zabierze rękę, straci wszystko i stanie się istotą z lodu.

Znowu.

- Twoje serce mówi mi wszystko. Mówi, że każdy jest jedyny w swoim rodzaju.

Urwała na chwilę.

- I właśnie ta wyjątkowość nas ze sobą łączy.

Jesteśmy wszyscy tacy sami... bo jesteśmy jedyni w swoim rodzaju. Te słowa rozbrzmiewały echem w jaskini, a Jangotat słyszał je nie tylko uszami. Teraz już rozumiał, dlaczego Sheeka kazała mu przestać wsłuchiwać się w dźwięki. Musiał przestać używać zewnętrznych uszu, by także wewnętrzny głos mógł wypowiedzieć swoje tajemnice.

- Jedyni w swoim rodzaju, jak każda gwiazda. Jak każda cząsteczka we wszechświecie. I właśnie w tej wyjątkowości jesteśmy tacy sami. Każda istota. Każda cząstka. Każda planeta. Każda gwiazda.

Mówił do siebie i Sheeka mówiła do niego. Węgorze dashta też mówiły do niego. Jego pomarszczone, brodate, ukochane przyszłe wcielenie, stary Jangotat, który nigdy nie będzie istniał... on także przemawiał do niego. I dziecko, którym nigdy nie był, które znało miłość matki i szczęśliwy dom, i matka, która karmiłaby go tak długo, aż pewnego dnia umiałby dokonywać własnych wyborów w świecie...

Wszyscy oni przemawiali do niego, każde własnym głosem, a głosy te mieszały się w jeden chór, w jedno wspólne uczucie - wszechogarniającej, prawdziwej i wiernej miłości.

Opadł na kolana, a potem na bok. Cała sztuczna siła, cała odwaga wypłynęły z niego jak woda wyciśnięta z gąbki. Na ich miejscu pozostało wrażenie lekkości raczej niż siły. Zawsze uważał się za człowieka z żelaza, jeśli nie z durastali. Po co durastali powietrze, woda czy miłość?

Jangotat usłyszał śliski, wilgotny szelest, potem jeszcze jeden, i kolejny... Beznogie węgorze

wypełzały z jeziora i otaczały go kręgiem. Ostrożnie, nieśmiało pochylił się, wyciągnął dłoń i dotknął najbliższego z nich. Ślepe oczy obserwowały go z głęboką, aż bolesną inteligencją. Dotyk węgorza był samą Miłością.

- Co zobaczyłeś? - zapytała Sheeka zza jego pleców. - Inne życie - odparł. - Inne życie? Skinął głową. - Mogłem urodzić się z matki i ojca. Mieć braci i siostry. Bawić s ze zwierzętami.

To ostatnie słowo zdumiało ją.

- Zwierzętami? - spytała.

Ogarnęło go absurdalne, cudowne uczucie łagodności.

- Widziałem kiedyś korozjańskiego feniksa. To najpiękniejsza istota, jaką sobie można wyobrazić. Zapragnąłem mieć go na własność, jako zwierzątko do kochania. - Zaśmiał się sam z siebie. - To by było niemożliwe. Nie na żadnym posterunku, na którym mieszkałem. To ciężar dla armii, wiesz?

- Dziwne - powiedziała drżącym głosem. - Mentorzy zazwyczaj mają uzdrawiający wpływ...

- To prawda - uśmiechnął się Jangotat. - Dlatego wybrałem moją własną opcję. Nieważne jak i w jakim celu powołano mnie do życia, wybrałem wszystko, co doprowadziło mnie do tej chwili.

Urwał znowu. Świat wirował wokół niego i w nim.

- Wybrałem to, co doprowadziło mnie do tego miejsca i do ciebie.

Przycupnęła obok niego, a węgorze rozsunęły się, by zrobić jej miejsce. Były ślepe, ale widziały wszystko.

Przyciągnęła go do siebie i przycisnęła pełne, ciepłe wargi do jego ust. Nieraz całował się z kobietami, lecz tym razem było inaczej. Jakby jego serce budziło się do życia.

Sheeka przytuliła policzek do jego policzka i szepnęła coś, czego nie dosłyszał.

- Co? - zapytał, bojąc się usłyszeć odpowiedź. - Co powiedziałaś?

- To, czego nigdy do tej pory nie słyszałeś - odrzekła. Przez chwilę milczała, po czym powtórzyła słowa, na które czekał całe swoje krótkie, burzliwe życie:

- Kocham cię.

Piękna, ciemna twarz Sheeki Tuli świeciła odbitym światłem. Jangotat wiedział, że nigdy dotąd, przez całe życie nie zaznał równie wielkiego spokoju i spełnienia. Po chwili znów pocałował jej miękkie wargi.

Kolejne dni wydawały mu się snem, fantasmagorycznym epizodem, z którego wkrótce i nieuchronnie miał się obudzić. Wioska przyjęła do wiadomości, że przeprowadził się do domu Sheeki, a jej dzieci - że zamieszkał w pokoju gościnnym.

Siedział raz na ganku, wygrzewając się w słońcu, gdy podszedł do niego syn Sheeki, Tarł. Przez chwilę rozmawiali, po czym Jangotat wyjął nóż i zaczął rzeźbić zabawkę dla jasnowłosego chłopca.

Wiedział, że chcieliby, aby stał się jednym z nich, czuł jednak, że dokonanie takiego wyboru jest niemożliwe. Sheeka zapraszała go, by został. Ci spokojni ludzie błagali los o to, żeby Cestus nie został wciągnięty w konflikt wykraczający poza granice ich zrozumienia. Teraz wiedział o nich o wiele więcej. Węgorze ofiarowały swoim przyjaciołom zezwolenie na użycie bezpłodnych młodych, lecz tylko dla celów pokojowych, po to, żeby ludzie mieli środki do życia, aby można było uratować gospodarkę planety, która ofiarowała im życie. Modyfikacja robotów obronnych, aby pałały żądzą zabijania, była bluźnierstwem, które mogło zniszczyć ich wszystkich. Kolejny powód do dezorientacji.

Pomimo własnych problemów, farmerzy grzybów ze wzgórz Zontay ofiarowali Jangotatowi coś, czego nigdy nie miał - nie pryczę do spania, lecz dom. Pasierbica Sheeki, Tonote, dołączyła do brata i usiadła z drugiej strony, a jej rude włosy unosiły się na południowym wietrze wiejącym od pustyni.

- Gdzie pójdziesz potem? - zapytała Tonote głosem kruchym jak szklany dzwoneczek.

- Kiedy?

- Kiedy przestaniesz być żołnierzem. Dokąd pójdziesz? Gdzie jest twój dom?

- WAR jest moim domem.

Oparła główką na jego ramieniu.

- A kiedy już przestaniesz walczyć, dokąd pójdziesz? - Dziwne, jak bardzo te słowa wypełniły mu umysł. Dokąd pójdzie...?

Nie masz prawa „pójść” gdziekolwiek. Umrzesz tam, gdzie ci każą.

- Nie wiem, o czym mówisz. - odparł. Dlaczego skłamał? Największym marzeniem żołnierza jest umrzeć na placu boju.

I tak było... do tej pory. Możliwość innego losu nigdy nie przeszła mu nawet przez myśl. Klony nie żyły dość długo, aby którykolwiek z zdążył się zestarzeć - przedwcześnie, jak to klon, albo odszedł

na emeryturę... cokolwiek może to oznaczać dla istoty o tak skróconym okresie życia.

Nie było takiego precedensu.

Tarł spojrział na niego z uwielbieniem, a Tonote pochyliła długą, wdzięczną szyję, aby złożyć główkę na jego piersi. Sheeka obserwowała ich przez chwilę z okna, uśmiechnęła się tajemniczo, po czym zamknęła okiennice.

Następnego dnia rozpętała się burza piaskowa, a po niej jedna z krótkich, gwałtownych ulew, charakterystycznych dla Cestusa. Oczyszczyła ona powietrze, lecz ściągnęła również pułap ciężkich, ciemnych chmur. Czas wydawał się wlec niemiłosiernie. Przez większą część poranka Jangotat włóczył się samotnie po błotnistych uliczkach w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Czegoś. Zrozumienia dla tych ludzi.

Obserwowali go, przemykając pomiędzy kamiennymi domami. Traktowali go dość przyjaźnie, dokładnie jak kogoś, kim był w istocie przechodniem, przybyszem na chwilę, w drodze do innych miejsc. Najśłodsze uśmiechy, najmiłsze słowa przeznaczone były dla tych, którzy zostają. Albo wróca.

A on nie zaliczał się do żadnej z tych kategorii.

Późnym wieczorem dotarli do Sheeki wieści, że skontaktowano się z Pustynnym Wiatrem. Jangotat ze łzami w oczach pożegnał się z wioską i z dziećmi Sheeki. Marzył o tym, aby wrócić do jaskini dashta i dopełnić jeszcze jednego, równie trudnego pożegnania, lecz intuicja podpowiedziała mu, że to zbyt śmiałe marzenie. To on został przedstawiony dashtom, nie one jemu. Ich kryjówka była tajemnicą, a samo sprowadzenie go tam stanowiło już wielkie ryzyko. Nie mógł i nie chciał prosić o więcej.

Sheeka odprowadziła go na neutralne lądowisko, gdzie kilka minut później pojawił się dwuosobowy skuter, pilotowany przez najmłodszego członka Pustynnego Wiatru.

- Jak leci, Skot? - zapytała Sheeka.

Usta OnSona ułożyły się w gorzki uśmiech.

Przegrupowaliśmy się, a to więcej, niż mógłbym oczekiwać jeszcze tydzień temu. Wszystko gra, z wyjątkiem Thak Val Zsinga.

Poderwała się.

Co z nim?

OnSon zaśmiał się z goryczą.

- Zdradził nas. Nie jestem pewien, co się właściwie stało, ale staruszkowi odbiło. Wiedział, że nadchodzą te roboty-mordercy, ale zamiast nas ostrzec, wołał ratować własną skórę. Niezłe nas załatwił. Spojrzał na Jangotata. - No, a ciebie to się nie spodziewałem tak szybko zobaczyć na nogach.

Jangotat wzruszył ramionami.

- Bardzo mi pomogli... - obejrzał się na Sheekę, która leciutko pokręciła głową - ...przyjaciele.

- Dobrze jest mieć przyjaciół.

Piękna twarz Sheeki Tuli była spokojna i nieprzenikniona.

- Czy zobaczę cię znowu? - zapytała cicho.

- Nie wiem. - Wreszcie powiedział prawdę.

Oparła głowę na jego piersi i delikatnie uderzyła go zaciśniętymi pięściami.

- Nie wiem, dlaczego to sobie robię - szepnęła cichutko. - Chyba mam za słabą głowę dla tych wszystkich milczących, silnych, opanowanych typów.

Otoczył ramionami jej drobną ale mocną postać. Nie mógł jej ochronić, jedynie pocieszyć.

- Chciałaś powiedzieć: za miękkie serce, prawda? - zapytał, wtulając usta w jej włosy.

Spojrzała na niego i jej twarz rozjaśniła się przekornym uśmiechem.

- Nie, chciałam powiedzieć dokładnie to, co powiedziałam.

Wtedy Jangotat zaskoczył sam siebie, bo pochylił się i ucałował ją namiętnie, nie bacząc na to, co sobie pomyśli OnSon czy ktokolwiek inny.

A potem odszedł. Kiedy odjeżdżali na skuterze, Jangotat obejrzał się na coraz mniejszą, spowitą w pyłę postać Sheeki Tuli. Przeczynał, że już nigdy jej nie zobaczy, ale nie wiedział, co to właściwie oznacza dla nich obojga.

Młody OnSon okrężnymi drogami dowiózł Jangotata do nowego obozowiska. Rozbito je w opuszczonych wyrobiskach w kamienistym łańcuchu wzgórz, całkowicie zarośniętych, gdzie nikt nie mógł pojawić się niepostrzeżenie. Jangotat pochwalił tę lokalizację, żałując, że nie znaleźli takiej przed pierwszą katastrofą. Taka zdolność przewidywania mogła oszczędzić paru członków klanu pajaków.

Ukryli skuter i ruszyli w kierunku nawisów skalnych, licząc się z istnieniem satelitów szpiegowskich, a potem OnSon wprowadził go do jaskini.

Jego ocaleli bracia przywitali go oczywiście serdecznie. Niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się, zanim został ranny, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że radził sobie doskonale.

Przycupnięty na skałach opodal obozowiska siedział stary Thak Val Zsing. Już przedtem był siwy i sterany życiem, lecz teraz postarzał się jeszcze bardziej. Wydawał się zaniedbany. Złamany. Cień dumnego, hałaśliwego człowieka, jakim był jeszcze niedawno. Inni członkowie Pustynnego Wiatru unikali go jak zarazy; Jangotat zauważył kiedyś, jak mężczyźni spluwają w kurz u jego stóp. Jedną chwilą bezmyślności Thak Val Zsing obrócił wniwecz całe swoje odważne życie.

Honor... to taka delikatna rzecz.

Jangotat spędził wiele godzin na badaniu nowego miejsca, zaznajamiając się z drogami ewakuacyjnymi i logistyką. Obi-Wan opowiedział mu o krótkim spotkaniu z ZJ i tymczasowym zamknięciu Clandes.

Ponieśli takie straty, generał Kenobi o mało nie zginął... i udało im się uzyskać jedynie tymczasowe zamknięcie dopływu wody. To mniej niż dziesięć procent.

- Co słyszałeś? - spytał Forry'ego.

- Podobno generał Kenobi jeszcze nie skontaktował się z górą. Pewnie zaraz pęknie.

- Więc... żadnych wieści z Wojen Klonów?

- Nic. Tam może się dziać wszystko, dosłownie wszystko. - Forry pokręcił głową. - Mówię ci, dziesięć procent i ani odrobinę więcej.

Tej samej nocy, lecz znacznie później, na zachodniej platformie osiadł wahadłowiec, bez fanfar i pompy wysadzając obu Jedi. Obi-Wan i Kit przemknęli się przez zakamuflowane wejście do jaskini i żołnierze natychmiast powiadomili ich o wszystkim, co wydarzyło się w czasie ich nieobecności. Następnie Jedi udali się do niewielkiej bocznej jaskini, którą wybrali sobie na lokum, aby

przygotować się do snu.

Kit zauważył, że Obi-Wan jest dziwnie milczący, ale Kenobi sam zaczął mówić, zanim jeszcze Nautolanin zdążył go o cokolwiek zapytać.

- Pamiętam jej słowa, Kit.

- Czyje?

- G'Mai Duris. Ostrzegła mnie, że z tego może wyniknąć scenariusz bez zwycięzców, a ja nie będę w stanie zapobiec zniszczeniu całego miłującego pokój narodu.

Kit rozgrzebał ogień patykami. Iskry pofrunęły w powietrze.

- Nie możemy ich zawieść. Na Tysiąc Pływów, musi być jakiś sposób.

- Musi - odparł Obi-Wan i zmusił się do uśmiechu. - Ty to wiesz, ja to wiem, ale to nie to samo, co go znaleźć.

Obi-Wan niespokojnie obserwował Sirty'ego, który próbował naprawić ich uszkodzony sprzęt. Jedi nie chciał zdradzić, jak bardzo jest zdenerwowany, zwłaszcza że po heroicznych wysiłkach żołnierz zdołał zakodować wiadomość w wąskopasmowym zleceniu na sztuczne nawozy, wysłanym z farmy Resty nad jeziorem Kibo. Wątpił jednak, czy uda im się znowu użyć tej sztuczki. Siły, które się przeciw nim sprzysięgły, były potężne i bardzo przebiegłe. Jedyne bezpiecznym rozwiązaniem było założenie, że z jednego punktu może być wysłany tylko jeden komunikat.

Komunikator Sirty'ego z piskiem obudził się do życia.

- Mamy go, sir!

- To sprawa szczęścia? - zdziwił się Obi-Wan.

- Raczej uporu. Zdołałem podpiąć się do jednego z obwodów zapasowych. Wszystkie urządzenia wojskowe mają wbudowaną redundancję.

- Znakomicie.

Obi-Wan zajął pozycję i uruchomił łączność. W ciągu kilku sekund uzyskał obraz technika Falleena na odległej stacji przekaźnikowej.

Szmaragdowoskóry technik, w kurtce z wysokim kołnierzem, podniósł jedną brew.

- Nie rozpoznaję waszych protokołów komunikacyjnych.

- Automatyczna identyfikacja została uszkodzona - wyjaśnił Kenobi i podał zakodowaną sekwencję słów, kończąc: - Tu Obi-Wan Kenobi, rycerz Jedi, w sprawach Republiki. Nawiąż łączność, a nie minie cię nagroda.

- Doskonale.

Po sześciu minutach zakłóceń Obi-Wan dowiedział się, że jego pierwszy rozmówca, mistrz Yoda, jest niedostępny, ponieważ znajduje się w terenie, nadzorując jakieś działania. Podjął błyskawiczną decyzję, zmienił żądanie dostępu i po chwili pojawił się sam Palpatine.

- Panie kanclerzu?

Mądra, pomarszczona twarz polityka rozjaśniła się radością.

- Mistrz Kenobi! Rada i ja zaczęliśmy się już martwić.

- Jest powód do zmartwienia - przyznał Jedi. - Nie wszystko poszło zgodnie z planem.

- Wyjaśnij proszę.

Obi-Wan zaczerpnął tchu i zaczął mówić:

- Cestus nie jest zapadłą planetą, produkującą niebezpieczne maszyny. Wygląda na to, że znajduje się ona w centrum jakiejś gigantycznej gry. Hrabia Dooku przeniknął tu bardzo głęboko, kierując na nią wielkie siły.

- W jakim celu? - Głęboki, dźwięczny głos kanclerza działał uspokajająco.

- W celu skompromitowania mojej misji. Zmusza nas do ukrywania się. Uderzamy w infrastrukturę, kiedy jest to możliwe.

Kanclerz zamyślił się, zanim udzielił odpowiedzi.

- Spodziewasz się, że ta taktyka odniesie sukces?

- Nie wiem. Ale potrzebuję więcej czasu, by próbować.

Kanclerz pokręcił głową.

- Potrzebujemy wyników, generale Kenobi. Postanowiłem posłać wam na pomoc superniszczyciel.

Serce Obi-Wana zabiło mocniej.

- Ale czy nie sądzi pan...

- Uważam, że kiedy zobaczą statek wojenny na orbicie nad Cestusem, zaczną się zachowywać nieco bardziej odpowiedzialnie.

- Ale konfederacja wykorzysta to i będzie twierdzić, że jedynie chronią niewinną planetę przed agresją Republiki.

- Może zatem należałoby rozwiązać sytuację przed przybyciem statków?

Kanclerz zakończył transmisję.

Obi-Wan kipiał gniewem. Właśnie. Najpierw „statek”, a teraz „statki”. Kanclerz przekazywał mu komunikat, który bynajmniej nie odznaczał się subtelnością: jeśli hrabia Dooku się wtrąci, Palpatine z przyjemnością go upokorzy. Właściwie, biorąc pod uwagę, jak trudno zmusić siły konfederacji, by się ujawniły, Obi-Wan zaczął się zastanawiać, czy ta cała historia nie jest jedynie prowokacją, zaczepką, obliczoną na sprowokowanie agresywnej reakcji.

Ale to chyba niemożliwe. Jeśli będzie tak myślał, to w końcu zacznie się zastanawiać, czy Palpatine nie jest przypadkiem zdolny do tego, aby poświęcić ich wszystkich w imię jeszcze jednego

zwycięstwa.

Pomimo braku zaufania do polityków, nie chciał i nie mógł w to uwierzyć.

Ale jeśli tak jest, co wówczas?

Cóż, jeśli nie zdoła rozwiązać tej zagadki, śmierć może przyjść na'-! dziesięć różnych sposobów - od strzału ze strony wojsk sojuszników, ochrony, a nawet w bombardowaniu.

Lub z niewidzialnych rąk tajemniczego przeciwnika.

O świcie następnego dnia znów zaczęli się organizować w spójny oddział. W powrocie Nate'a Obi-Wan upatrywał możliwość zwiększenia skuteczności.

A w dodatku... Obi-Wan czuł, że coś się stało z żołnierzem. Z pewnością był już zdrowy na ciele, ale przez to zmiany w jego psychice stały się tym bardziej interesujące.

- Jangotacie, gdzie właściwie byłeś? - zapytał żołnierza marnotrawnego, kiedy ten składał skrócony do minimum raport.

- Nie znam dokładnej lokalizacji, sir i raczej wolałbym nie przekazywać tych danych nikomu. - Urwał, po czym szybko dodał: - Oczywiście, jeśli pan generał będzie nalegał, to co innego. Czy pan nalega, sir?

- Nie - odparł Obi-Wan po chwili namysłu. - Sądzę, że gdyby to było interesujące z punktu widzenia bezpieczeństwa operacji, powiedziałbyś mi.

- Oczywiście, sir - odparł Jangotat i wrócił do czyszczenia broni.

To było prawie dwadzieścia cztery godziny temu. Teraz Obi-Wan obserwował żołnierzy ćwiczących walkę wręcz, chwyt, rzuty i krótkie, ostre ciosy krawędzią dłoni. Nic niezwykłego, ale wszystko profesjonalne, zarówno pod względem formy, jak i układu, połączone z odpowiednią wiedzą na temat anatomii. Nie była to jedynie demonstracja, choć rekruci obserwowali ich uważnie. Nie były to też wyłącznie ćwiczenia, choć zanim skończyli, ociekali potem.

Jedi domyślał się, że to coś w rodzaju diagnostyki, sposób, aby się upewnić, że każdy członek ich szeregów działa zgodnie z Kodeksem pod każdym możliwym względem.

Odkrył też jeszcze coś... płynność i wdzięk ruchów, nieco zaskakujące u wojowników z masowej produkcji. Jeśli się nie myli... Nie. Unik biodrem, przechodzący w kopnięcie piętą, sposób magazynowania elastycznej energii w mięśniach i ścięgnach, który mówił o dość zaawansowanym treningu. W istocie domyślał się nawet, gdzie nabyli oni tę wiedzę...

- Wybaczcie - rzekł, kiedy skończyli ostatnie starcie. - Wydaje mi się, że rozpoznaję pewne elementy treningu Strumienia Jedi. Czy to Mistrz Fisto was tego nauczył?

Wyglądali na zadowolonych, ale i zakłopotanych i Obi-Wan zrozumiał, że się przed nim popisywali.

- Taak... częściowo. Same podstawy, oczywiście - pospiesznie dodał Fony, jakby się obawiał, że Obi-Wan może się poczuć urażony.

Ten zaśmiał się tylko.

- Nie, nie, wszystko w porządku, ale... czy pozwolicie mi się przyłączyć na parę ćwiczeń?

Żołnierze, zachwyceni, natychmiast się rozstąpili. Obi-Wan wszedł w krąg i stanął przed Jangotatem.

Wiedział, że ten człowiek jest silny, szybki i doskonale wyszkolony. Dodatkowy element utrudnienia bardzo mu odpowiadał i Obi-Wan pozwolił, aby starcie trwało przez kilkanaście minut. Oczywiście, była to jedynie gra, nie tyle w celu pokonania przeciwnika, ile uzyskania i skorygowania równowagi dynamicznej. Nie oczekiwał jednak od klona takiej zdolności do subtelnej improwizacji. A jego wrażliwość na lekkie zmiany siły i szybkości była nieprawdopodobna.

Obi-Wan sprawdzał swoją teorię, walcząc po kolei z każdym z żołnierzy. Walczyli płynnie i zwinnie, ale... Jangotat był jakiś inny. Wykazywał emocjonalną empatię i instynkt. Potrafił wyobrazić sobie, co myśli lub czuje przeciwnik. Trudno było uwierzyć, że ten człowiek zaledwie kilka dni temu był ciężko ranny. Gdzie on przebywał? I co robił?

Obi-Wan stanął naprzeciwko Jangotata.

- Podwyższymy stopień. Do pierwszego upadku?

Jangotat skinął głową i ustawił się.

Starli się ze sobą ale to Jangotat wykonał pierwszy agresywny gest. Obi-Wan zrównoważył siłę napastnika starannie wyważonym krokiem w bok i obrotem. Kiedy pył opadł, kapitan leżał na ziemi, zgrabnie unieruchomiony juzziańską blokadą ramienia, z uciśniętym nerwem nadgarstka i łokcia. Obi-Wan wstał, trzymając stopę na ramieniu Jangotata, na przemian skręcając i stymulując nerwy tak długo, aż kapitan poklepał ziemię na znak kapitulacji.

Podziękował im za ćwiczenia i odwrócił się, by odejść, kiedy żołnierz zawołał za nim:

- Mistrzu Kenobi!

Obi-Wan zatrzymał się i czekał, aż Jangotat go dogoni.

-Tak?

- Ja... - Wyglądało na to, że w ostatniej chwili zmienił zdanie. Jesteśmy od pana o wiele gorsi.

Mimo wszystko Obi-Wan odpowiedział. Ostatnie minuty walki nauczyły go ważnych, a przy tym pozytywnych rzeczy na temat żołnierza s o z .

- Wcale nie! Jesteście odważni, skoordynowani, uparci... każdy doceniłby te cechy - uśmiechnął się.
- Ja je podziwiam.

Jedi westchnął zmartwiony. Coś się obudziło w tym żołnierzu. Zazwyczaj Obi-Wan byłby zachwycony takim przebudzeniem się indywidualizmu, gdyby jednak Jangotat wyczuł w nim sojusznika w poszukiwaniu swojej osobistej prawdy, byłoby to doprawdy nie w porę i niepotrzebne.

Za tydzień wszyscy mogą nie żyć, ale... chyba nie miał prawa odmówić pomocy zagubionej duszy. Zadał wreszcie pytanie, które od dawna leżało mu na sercu. Znał wprawdzie oficjalną odpowiedź, ale niewiele o nią dbał.

- Wiem, że żołnierze są ślepo posłuszni. Ale czy w głębi serca nigdy nie kwestionujecie rozkazów?

Ramiona Jangotata zeszywniały momentalnie; taka postawa mogła być jedynie wyuczonym zachowaniem.

- Żołnierz nie kwestionuje. Żołnierz słucha. - Urwał i Obi-Wan wyczuł, że wojskowa maska opadła. To jednak był inny człowiek niż ten, z którym wsiadł na statek.

- Naprawdę?

Było to pytanie w pytaniu. I jeszcze jedno w środku. Obi-Wan szedł w milczeniu przez kilka minut, pewny, że Jangotat podąży za nim. Znalazł niewielką kotlinkę i usiadł na kamieniu, zapraszając żołnierza gestem, żeby zajął miejsce obok.

- Wielu zgłasza się do wojska na ochotnika. Inni zaciągają się na jakiś czas, a kiedy dzwony alarmowe ucichną, wracają do swoich farm i rodzin. Ale co dzieje się z człowiekiem zrodzonym dla wojny, wyszkolonym tylko do tego? Czuję w tobie niepewność, Jangotacie. Są odpowiedzi, które chciałbyś poznać, prawda? Pamiętam, jak starannie ukształtowano twój umysł, więc jestem zdumiony, że potrafisz bodaj sformułować swoje pytania. - Obi-Wan westchnął i podrapał się po świeżym sińcu, który pozostał mu po ostatnim spotkaniu z ZJ. - Nie możesz być wolny. Zostałeś zrodzony, by walczyć w wojnach innych ludzi bez nadziei na zarobek czy chwałę.

Zacisnął usta, pewien, że powiedział zbyt wiele. Obi-Wan nigdy nie komentował spraw związanych z klonami i ludźmi urodzonymi w normalny sposób. To nie jego sprawa. Być może Jangotat już pożałował swojego pytania.

Lecz ku zaskoczeniu Obi-Wana żołnierz nie wydawał się urażony jego słowami i tonem.

- A co z uczuciami? - zapytał. Jedi są najlepszymi wojownikami, jakich kiedykolwiek widziałem. Ale wy macie uczucia.

Obi-Wan zachichotał.

- Gdyby tak nie było, nie musielibyśmy ich stale kontrolować. Obawiał się, że i on, podobnie, jak wielu innych, żywił przekonanie, iż każdy żołnierz ma swoje miejsce w nieskończonym szeregu identycznego mięsa armatniego, powtarzającym się jak w gabinecie luster, aż po horyzont.

Jangotat jednak zburzył to przekonanie.

- Czy ma pan dom? - zapytał prawie nieśmiało.

- Moim domem jest Świątynia Jedi. Tak było od dzieciństwa.

- I chciał pan stać się Jedi?

- Tak. Od niemowlęctwa byłem wychowywany w murach Świątyni. Oczywiście, nadszedł moment, kiedy musiałem podjąć tę decyzję formalnie, ale w gruncie rzeczy moje stopy postawiono na tej ścieżce, zanim jeszcze nauczyłem się chodzić.

- Nie był pan zbyt młody, żeby podjąć taką decyzję?

Obi-Wan starannie rozważył to pytanie. Czy rzeczywiście chłopiec, którym był, mógł wiedzieć, jakie czeka go życie? Czy przeczuwał niebezpieczeństwa, ciężką pracę, ale także niezwykle, cudowne doznania? Co by pomyślał ten chłopiec, gdyby wiedział?

Odpowiedział powoli, z namysłem:

- Gdybym podjął tę decyzję rozumem, to może i tak.

- A sercem?

- Niektórzy odpowiedzieliby twierdząco - odparł Obi-Wan. - Ale prawda jest bardziej złożona: my wyczuwamy Moc całym ciałem. Każda moja komórka wiedziała, że takie będzie moje przeznaczenie. Wiedziałem, że nigdy nie zaznam radości i pociech, jakimi cieszą się normalni ludzie. Zaakceptowałem ten fakt już w najwcześniejszych latach. - Mocno oparł rękę na ramieniu żołnierza. - To ja dokonałem tego wyboru.

- Za mnie dokonał go ktoś inny - powiedział Jangotat.

Znajdowali się zatem po przeciwnych stronach: człowiek, który z własnej woli zrzekł się wszystkich pułapek normalnego życia na rzecz służby i przygody, oraz anonimowa jednostka w pozbawionej oblicza armii, wybrana przed narodzinami, odlana w formie jedynej, do jakiej pasowała.

Czy Obi-Wan naprawdę dokonał wyboru, czy też uczyniły to jego midichloriany? Czy on i Jangotat tak naprawdę mieli jakiś wybór? Czy ma go ktokolwiek?

Cienie rzucane przez buzujący ogień tańczyły na ścianach jaskini w milczącej pantomimie. Obi-Wan przyglądał się zgromadzonym członkom Pustynnego Wiatru i przyszło mu do głowy, że w całej galaktyce, w ciągu wielu minionych wieków, odważne istoty tysiąca różnych ras spotykały się wiele razy właśnie w takich jaskiniach, przy podobnych ogniskach i z takich samych powodów.

- Przed nami trudne przeszkody - oznajmił.

- Ale przecież dobrze nam poszło - wtrąciła Resta.

- To prawda, ale jakim kosztem? A koszty rosną. Nie możemy sobie na nie pozwolić.

- Jak to się stało? - OnSon odgarnął z czoła długie jasne włosy, odsłaniając bliznę w kształcie półksiężyca. - Pracowaliśmy bardzo ciężko...

Obi-Wan z niepokojem zauważył ból w głosie młodzieńca.

- Masz rację - odparł. - I wina nie leży po waszej stronie. Ofiarowaliśmy nam swoją krew i pot bez ograniczeń. To my zawiedliśmy. Kit Fisto z nieruchomą twarzą wpatrywał się w żar. Obi-Wan dałby wiele, by odgadnąć myśli przyjaciela.

Kobiety i mężczyźni chyba doszli do wniosku, że Jedi zamierzają ich opuścić, bo zaprotestowali jednogłośnie.

- Nie! - powiedział OnSon. - Bez was nigdy nie uderzylibyśmy tak mocno i tak głęboko. To nie było na próżno!

- Owszem - potwierdził Kit Fisto. - Nie było. Ale za każdym razem udaremniano wszelkie nasze wysiłki. Sądzymy, że istnieją dodatkowe czynniki, o których nie mamy pojęcia.

- Jakie czynniki? - warknęła Resta.

- Informacje być może dotarły do rządu. Zebrali je szpiedzy albo urządzenia podsłuchowe, albo zdrajcy, albo... - nie dokończył i zagłębił się w rozmyślaniach.

- Albo?

- Albo ktoś, kto jednocześnie wiele wie i jest bezlitosny. Kto jest zdolny do... - znów urwał, bo w jego głowie mignął błysk przeczucia. Ten błysk pojawił się po raz pierwszy w czasie głębokich medytacji dziś rano, kiedy cała reszta obozowiska pogrążona była we śnie. Podczas transu wyczuł pewien związek. Tu, na Cestusie, otarł się o aurę kogoś... lub czegoś... a to mogło być w obecnej

sytuacji niezmiernie ważnym czynnikiem. Tyle że od początku pozostawał w tyle... nie mógł dogonić tej aury. Wszystko wydawało się doskonałe, a jednak...

Otrząsnął się z transu, w który się mimowolnie wprowadził i ciągnął:

- Wszystko, co się wydarzyło, w znacznym stopniu pokrzyżowało nasze plany i jest prawie pewne, że wielki kanclerz Palpatine wkrótce przyśle tu superkrażownik, aby zagrozić Duris. Jeśli do tego czasu sytuacja nie ulegnie poprawie, to prawdopodobnie rozpocznie on bombardowanie, które doprowadzi do wojny planetarnej. - Urwał, czekając, aż ta informacja dotrze do obecnych. - A jeśli tak się stanie przegrają wszyscy.

- Co możemy zrobić? - spytał Skot OnSon.

- Mam pewien plan - oświadczył Jedi. - Może on zakończyć konflikt bez jednego strzału, nie niszcząc przy tym całej gospodarki. Jest niebezpieczny, ale może się udać.

Odkąd Fizzik wstąpił do organizacji swej siostry TrilW, szybko awansował. Wydawało się, że pani gangster najbardziej na świecie ufała więzom krwi. Fizzik stwierdził, że z dnia na dzień dostaje coraz ważniejsze zadania, ale nigdy nie pozwolił sobie zapomnieć, jak szybko może się zmienić ten uśmiech fortuny. Kiedy więc polecono mu udać się do stacji handlowej Jantos na spotkanie z Jedi, stanął się dość zdenerwowany.

- Chciałbym się dowiedzieć - rzekł - czego ode mnie chcecie.

To miejsce działało mu na nerwy. Gdyby siostra chciała Się go pozbyć, wystarczyło mu zlecić podobną misję.

- Zamierzam coś kupić - odparł Obi-Wan.

- A czego dokładnie potrzebujesz?

- Kombinezonu przeciwpromiennego Baktoid klasy szóstej.

- A do czego ci taki kombinezon?

- To już moja sprawa.

Fizzik zajął w błękitne oczy brodatego Jedi, żałując, że nie zna się lepiej na wyrazach ludzkich twarzy. Była to wyjątkowo niebezpieczna informacja. Wiedział, że to Jedi wprowadzają chaos w kompleksach przemysłowych i każdy, kto pomaga lub uczestniczy w sabotażu, może zostać niezwłocznie rozstrzelany.

Kombinezon przeciwpromienny. Czy nie dotarły do niego plotki o systemie sterowania chronionym przez reaktor? Możliwe* ale człowiek nie wie nigdy, jak dalece można ufać takim plotkom. Co zatem kombinuje Jedi?

Fizzik zachował swoje wątpliwości dla siebie, wstał i skłonił się. Nie do niego należało zastanawianie się, po co i dlaczego. Miał jedynie służyć siostrze tak długo, dopóki nie znajdzie bezpieczniejszej przystani.

Co, biorąc pod uwagę pogarszające się nieustannie warunki, może być na Cestusie zupełnie nieosiągalne.

- Ufasz tej Trillot? - zapytał Kit, kiedy Obi-Wan wrócił.

- Dała mi wszystko, o co poprosiłem. Mówiła szczerze, na tyle, na ile byłem w stanie to sprawdzić.

Nasze źródła na Coruscant jej ufają. Westchnął.

- Ale nie twierdzisz, że ty jej ufasz. - zauważył Kit.

- Mam pewien plan - powiedział Obi-Wan. - A do niego potrzebna mi jest Trillot. Chętnie podejmę to ryzyko. Trillot wspominała kiedyś o ukrytej stacji sterowania, chronionej przez pole promieniowania. Zdobycie ochrony będzie bardzo kosztowne, ale jeśli ją dostanę, będę mógł wejść do kompleksu reaktorów Cestusa i zamknąć całą linię produkcyjną Clandes, nie powodując żadnego uszkodzenia infrastruktury. Sądzę, że to załatwi sprawę.

- A co potem?

- Możemy odwołać bombardowanie i zacząć negocjować.

- Ile udało nam się zebrać z napadów? - zapytał OnSon. - Czy t nie miał być fundusz dla ocalałych?

- Jeśli to nie zadziała, nie będzie dość ocalałych, żeby podzielić bodaj jeden kredyt - odparł Obi-Wan. - Nasze priorytety uległy zmianie.

Najgorszą częścią planu było oczekiwanie. Na sygnał od Trillot. Na sygnał od floty i od sąsiednich farm, wystawionych na represje sił bezpieczeństwa Cestusa.

Czekanie zawsze było trudne, ale Obi-Wan wykorzystał część tego czasu, aby ćwiczyć z Jangotatem. Żołnierz wykazywał nienasyconą potrzebę poznania sztuk walki Jedi i tak długo, jak pamiętał o ograniczeniach SOZ, Obi-Wan z przyjemnością dzielił się z nim tą odrobiną dodatkowej wiedzy.

Za pozwoleniem Obi-Wana Jangotat demonstrował swoją wersję ćwiczeń Strumienia Jedi aż do siódmych potów.

- No i co? - zapytał wreszcie i natychmiast dodał: - Panie generale?

Obi-Wan przekrzywił głowę, zdając sobie sprawę, że połączyła ich dość dziwna więź.

- Dobrze ci idzie. Pamiętaj, jeśli wyczujesz w ciele węzeł napięcia, nie kieruj przez niego siły. Uspokój się, daj mu się rozluźnić. Oddychaj przez niego. Twoje ciało pamięta każdy ból, emocjonalny i fizyczny, jakiego kiedykolwiek doznałeś ciągnął Obi-Wan. - Będzie próbowało cię chronić. Ból i strach rywalizują z umiejętnościami i świadomością.

- Generał Fisto mówi, że myśli i lęki są jak kamienie, a Moc jest jak rzeka, która pomiędzy nimi przepływa. Większość ludzi jest tak zablokowana bólem i żalem, że rzeka nie może płynąć od gór do morza.

Obi-Wan zaśmiał się.

- Doskonale. Większość szkolenia Jedi jest właśnie po to, aby usunąć te przeszkody.

- Ale generał Fisto uprzedzał, że nigdy nie nauczę się tyle, co prawdziwy Jedi.

Głos Obi-Wana był łagodny.

- Radość życia nie pochodzi z tego, że będziemy liczyć na dary innych osób - powiedział łagodnie Obi-Wan - ale że w pełni wykorzystamy swoje własne.

Jangotat przez chwilę rozważał te słowa, ale widocznie zaraz stwierdził, że ćwiczenie jest lepsze od analiz i przez następną mozolną godzinę wyginał ciało w skomplikowanych łamańcach, odkrywając zablokowane w mięśniach punkty lęku, urazy i samotności i uwalniając się od nich. Metr po metrze, po jednym kroku, Jangotat znajdował swoją drogę do morza.

Admirał Arikakon Baraka był w paskudnym nastroju. Zmuszono go do wzięcia udziału w treningu klonów i teraz musiał słuchać rozkazów, które zmusiły go do wyjścia w teren, z dala od polowania na separatystów, i sprowadzić „Nexu” nad planetę zwaną Cestus. Zanim skończy straszyć ten odległy światek na Rubieżach, reszta floty będzie już zaangażowana w jakąś ważną bitwę, a chwala stanie się udziałem innych.

Nie był to sposób na awans czy też na zdobycie aprobaty przodków, której pożył jeszcze bardziej.

Mimo to Baraka starannie monitorował drogi nawigacyjne, rozkazywał swoim ludziom i prowadził manewry dla wszystkich krytycznych systemów, w pełni przygotowany do wykonania zadania. Zmiażdży tych Cestian na proch, a potem wróci do swojej wielkiej bitwy, która z pewnością wkrótce rozegra się w okolicy Borleias.

Był tylko jeden problem.

Bitwa szybko się skończy.

Skutery zamruczały pod dotknięciem Obi-Wana, gotowe do ostatniego etapu tej przygody. Kit, kończąc pakować bagaże, zwrócił się do żołnierzy-klonów:

- Zaprzeście wszelkich działań - polecił. - Nie dopuszczam takiej możliwości, aby któryś z was wpadł w ręce wroga. Wasze ciała byłyby niepodważalnym dowodem przeciwko Republice; ukazano by je Tysiącowi Światów jako świadectwo zdrady Palpatine'a. Jeśli nie usłyszycie wieści bezpośrednio od nas, jeśli nie wrócimy, spróbujcie przekazać kolejną wiadomość przez farmę Resty. Dajcie znać admirałowi Barace, żeby was zabrał. Dopóki nie dostaniecie bezpośredniego rozkazu, nie wolno wam opuszczać obozu. Jasne?

Żołnierze pokiwali głowami i Jedi ruszyli pod silny wiatr. Burza piaskowa narastała, kiedy szli na północ, w kierunku ChikatLik. Czasami Obi-Wan oglądał się za siebie i nie widział skutera Kita, musiał jednak wierzyć, że jego towarzysz tam jest.

Tak samo zresztą jak nie widział rozwiązania istniejącej sytuacji, ale musiał wierzyć, że to rozwiązanie naprawdę istnieje.

- Mamy tyle kredytów, ile żądaliście. Gdzie nasz kombinezon? Cały dzień zajęła im droga do ChikatLik i Obi-Wan miał naprawdę zszarpane nerwy. Nieprzewidziana, dodatkowa komplikacja.

Trillot zakręciła się niepewnie.

- Nie ma na tej planecie rzeczy równie starannie chronionej, jak te kombinezony. Moje gniazdo

czasem jest przeszukiwane... jeśli znajdą go tutaj, nie wystarczy żadna obrona prawnika ani wyjaśnienia.

Może i tak, pomyślał Obi-Wan, ale...

Zauważył zakłopotanie Trillot i nagle wyczuł wokół siebie zagrożenie.

- No to gdzie on jest? - Co się tu działo złego? Niby wszystkie słowa były właściwe, ale... ale...

- Chodźcie za mną do mojej osobistej turbowindy - zaproponowała Trillot. - Sama zabiorę was do doku. Gdzie kredyty?

- Na razie połowa - odparł Kit, stawiając worek na stole przed sobą. Nie spuszczał z gospodyni ciemnych, niemrugających oczu. - A druga połowa po otrzymaniu przez nas kombinezonów. Uczciwe?

- Oczywiście - odparła Trillot.

Obi-Wan i Kit poszli za nią na platformę windy. Weszli i drzwi się za nimi zamknęły. Zjeżdżając w dół, Kit zwrócił się do Trillot, a w jego oczach odbijało się przyćmione światło. - Słyszałem o tobie i cieszę się, że mam okazję cię poznać. Jeśli pojawią się problemy, obiecuję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

- Mam wrażenie, że nie będziemy nigdy już prowadzić żadnych interesów - skromnie odpowiedziała pani gangster.

Kiedy winda się zatrzymała, znaleźli się w jaskini wielkości frachtowca, wykutej pod miastem. Daleko, jak okiem sięgnąć, wzdłuż ścian ciągnęły się opustoszałe komory roju. Obi-Wan wyczuł wodę widocznie było tu podwodne jezioro, a może rzeka. Dok otaczały stosy nieotwartych skrzyń. Pomieszczenie roju przekształcone w norę przemytnika, pomyślał Obi-Wan. Przemycanie towarów za pośrednictwem podziemnej rzeki? Genialne, ale...

- Uważaj - ostrzegł przyjaciela, kiedy wychodzili z windy.

- Niepotrzebne ostrzeżenie - odparł Kit.

Do rozmowy wtrącił się trzeci głos:

- I spóźnione.

Wokół Obi-Wana w powietrzu zasyczał mżący krąg światła. Rozpoznał go natychmiast - xythańskie pole siłowe. Pułapka.

- To nowe urządzenie stworzone przez Cestus Cybernetics - poinformował głos. - Absorbuje i oddaje całą energię. Nie krępuj się, użyj miecza.

Obi-Wan poznał ten głos. Nagle ze wstrząsającą jasnością zrozumiał, że wszystko, co wydarzyło się

w ostatnich dniach, miało głęboki, ostateczny sens.

- Asajj Ventress - powiedział.

Wyłoniła się z cienia, ale nie tylko on ją chronił. W każdej dłoni trzymała włączony, czerwony miecz świetlny o zakrzywionej rękojeści.

Z komór wokół niej wynurzył się tuzin młodych X'Tingów. Samce, zaledwie dorośli do wieku dojrzałego, sądząc po jasnych pierścieniach futra wokół szyi. Nadymali się i pozowali, ale byli głupi.

- Udoskonaliłaś medytację Quay'Tek, adeptko - rzekł. - Potrafisz ukryć Moc.

- Przed głupcami, tak - odparła i uśmiechnęła się. - No, dalej, użyjcie mieczy. Pole wyssie z nich energię.

- A ci, co tam stoją?

Trillot ostrożnie przesunęła się wzdłuż pola energii.

- Są lojalni wobec roju - odparła.

- Ona cię nie lubi, Trillot - zauważył Obi-Wan.

- Ciebie chyba jeszcze mniej. - Pani gangster zadrżała lekko.

Ventress zwróciła się do niej.

- Możesz teraz odejść, Trillot. Twój robot protokolarny przekaże moje rozkazy X'Tingom.

Trillot zawróciła do turbowindy tak szybko, jak potrafiła.

Ventress uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że ostatecznie cię pokonam.

- Nazywasz to uczciwą walką? - zapytał Obi-Wan. Ironia w jego głosie nie zdołała zamaskować morderczej furii, jaka w nim narastała.

Teraz rozumiał wszystkie śmiertelne wypadki, wszystkie krytyczne katastrofy od dnia przybycia na Cestusa. Próby załatwienia sprawy przez pokojowe rozwiązanie zostały storpedowane przez tę łysą wiedźmę. Dezorientacja, jaką do tej pory odczuwał Jedi, znikła zupełnie. - Nie - odparła spokojnie Ventress. - Nazywam to zwycięstwem.

Superkrażownik komendanta Baraki wynurzył się z nadprzestrzeni i skierował na swoją pozycję nad Cestusem. Szybki skan nie wykrył linii obrony zdolnych do odparcia statku klasy „Nexu”, więc podchodził bez pośpiechu, korzystając z okazji, by przeciwżyć załogę w ataku.

Dopóki nie minie dziesięć godzin lub nie otrzymają zakodowanej wiadomości, niewiele jest do zrobienia.

Cestus leżał przed nimi - świat bogactw bez wojowników, którzy mogliby go chronić, Potrzebowali jedynie wiadomości z powierzchni lub od wielkiego kanclerza, To była wyłącznie kwestia czasu.

W chwili, gdy krążownik wszedł do systemu, alarmy rozdzwięczały się w całym Chikatlik i ogarnęły miasto jak burza. Każdy znał kogoś, kto twierdził, że gdzieś słyszał jakoby miasto miało zostać zniszczone. Tysiące mieszkańców opuściło jego mury w ciągu pierwszych trzech godzin, aż strumień uciekinierów zablokował szlaki powietrzne i drogi.

G'Mai Duris wygłosiła odezwę, w której zapewniała obywateli, że statek jest tu tylko po to, aby chronić interesy Republiki. Skoro Cestus jest sprzymierzeńcem Republiki, jak ktokolwiek może sądzić, że stanie mu się krzywda? Nikt oczywiście nie przeoczył faktu, że transmisja została przesłana również do wszystkich większych systemów gwiazdnych na całych Rubieżach.

Przywódcy Pięciu Rodów po cichutku przeprosili wszystkich i wycofali się do swojej prywatnej przystani nad jeziorem Kibo. Większość Cestian uznała, że ich planeta znajduje się w pułapce pomiędzy Republiką a Konfederacją i wszyscy mieli nadzieję, że przeczekają. Zdawali sobie sprawę, że przetrwanie jest ważniejsze od zysków.

Pięć Rodów uważało, że rozgrywa się gra, która może skończyć się odebraniem im władzy lub przeciwnie, wyniesieniem na najwyższe poziomy. Palpatine mógł zwyciężyć. Hrabia Dooku też mógł zwyciężyć. Nieważne, kto będzie na wierzchu, postanowili przetrwać.

Istotnie, Cestus ogarnęła burza, ale jak długo przedstawiciele Pięciu Rodów pozostawali przy życiu, kontrakty Konfederacji jeszcze mogą wrócić do łask. W końcu patrzyła na nich cała galaktyka i nadarzała się znakomita okazja, aby hrabia Dooku pokazał, jak korzystne i bezpieczne jest prowadzenie interesów z separatystami.

Oczywiście, były również inne czynniki, dyskutowane jedynie pomiędzy Rodami, jak również tymi, którzy mieli dostęp do bardzo tajnych danych, do wglądu jedynie dla najwyższych członków Rodów. Lecz czynniki te, jak również ich bezpośrednie implikacje, okażą się bez znaczenia, jeśli nie przeżyją kilku następnych dni...

- Wszystko się skończy za... powiedzmy, za dwadzieścia godzin. Ventress spojrzała na obu Jedi, wciąż uwięzionych w polu energii. Żałuję, że nie będę miała okazji raz jeszcze zmierzyć się z tobą na miecze świetlne, Obi-Wanie Kenobi, lecz hrabia Dooku chce cię mieć żywcem - rzekła, krążąc na skraju pola. Od żądy zabijania czubki obu jej mieczy świetlnych drżały lekko. - Ale może by mi wybaczył, gdybym cię pokonała w pojedynku.

- Proszę bardzo - odparł Kenobi. - Spróbuj.

- To ja wolałbym ubiegać się o ten zaszczyt - wtrącił Kit.

- Nareszcie - jęknęła. - Och, tak, ty i ja. To się kiedyś stanie, Obi-Wanie Kenobi. Ale muszę

pamiętać, że ta operacja jest ważniejsza niż moja własna satysfakcja lub awans. Z pewnością to zrozumiesz.

Spojrzała na nierówne sklepienie.

- Wielki kanclerz poniży Cestusa, karząc go przykładnie, jak wszystkie wyrodne planety. Los tego jednego małego świata pchnie setki systemów gwiazdnych w ramiona Konfederacji. Misja została wypełniona.

- A co z biorobotami? Nie chcesz ich?

Uśmiechnęła się.

- Miło by było, ale produkcja seryjna wymaga klonowania, a nasze starania o sklonowanie tkanki dasht wymagają jeszcze co najmniej roku pracy. Na razie to ślepa uliczka. Blef.

Uśmiechnęła się i podeszła bliżej, tak blisko, że jej twarz niemal dotykała ściany mżące energii.

- Te boje, które umieściliście w Clandes... Świetny pomysł. Nie mogliście wejść do środka, więc dokonaliście triangulacji trzech sygnałów zewnętrznych. Dobry plan. Ale łatwo go obrócić wniwecz. Co za szkoda, że współrzędne zostały przekalibrowane.

- O czym ty mówisz? - zapytał Obi-Wan, ale obawiał się, że doskonale rozumie, o co jej chodzi.

- Planowaliście zniszczyć elektrownię i stację uzdatniania przy minimalnych stratach. - klasnęła językiem. - Obawiam się, że nic z tego. Nasze plany wymagają bardziej... dramatycznych wydarzeń.

- Co zrobiłaś? - wyszeptał.

- Spytaj lepiej, co ty zrobiłeś - odparła. - Ciekawe, dlaczego wasz krążownik umyślnie uderzy we właściwy kompleks, niszcząc go doszczętnie wraz ze wszystkimi mieszkańcami. O, tak, taka jatka z pewnością ustawi właściwą polaryzację w galaktyce, nie sądzisz?

Odwrócił się. A więc hrabia Dooku nie ma możliwości sklonowania i masowej produkcji tkanki dashta jeszcze co najmniej przez rok?

- Więc wasze zamówienie na roboty to fikcja?

- Jasne. Wszystko po to, żeby przestraszyć Palpatine'a i drogocenną Radę Jedi, żeby zmusić ich do przesadnej reakcji. Powiedziałabym, że nasz plan się powiódł, nie sądzisz? - Jej śmiech miał temperaturę suchego lodu. - To, co się teraz stanie, spowoduje, że galaktyka przejdzie na naszą stronę. A kiedy już sklonujemy tkankę, kto jeszcze będzie potrzebował Cestusa?

- Jesteś potworem - rzekł Kit głosem spokojnym jak martwe morze.

W tej samej chwili potężne energie, które wirowały w duszy Obi-Wana, nagle ucichły. Sytuacja wydawała się beznadziejna, ale w głębi duszy zrozumiał, że to jeszcze nie koniec. Ventress gdzieś

popelniła bład. A kiedy ten drobny bład wyjdzie na jaw, on będzie gotów go wykorzystać...

Czwórka ocalałych klonów wciąż pozostawała w bazie, zgodnie z bezpośrednimi rozkazami. Byli doskonale świadomi, jakie siły zmagają się wokół nich, rozumieli też koszmar, który spadnie wkrótce na Ord Cestus.

Umysł Jangotata wypełniały wizje i możliwości. Lepiej niż ktokolwiek inny znał mandat misji SOZ. Był on wyryty w jego mózgu niczym własny numer służbowy. Powstrzymać produkcję ZJ. Zachować porządek społeczny.

Zachować porządek? Ależ ten porządek był jedną wielką korupcją! Pięć Rodów radośnie wymorduje miliony cywilów, jeśli tylko będzie to oznaczać większy zysk. Jeśli to nie jest czysta definicja zdrady, to czy istnieje inna? Co gorsza, tylko głupiec nie dostrzeże, że oni już się sprzymierzyli z separatystami, a Jedi z pewnością głupcami nie są...

Oni sami zaś zostali wplątani w wydarzenia kontrolowane przez ich własne programowanie. Właśnie jak klony, pomyślał.

„Nexu” wisiał na orbicie nad ich głowami. W każdej chwili od generała Kenobiego może przyjść rozkaz rozpoczęcia bombardowania. Jeśli nie, w ciągu kilku godzin statek weźmie na cel oznakowane bojami cele bez dodatkowej autoryzacji.

Ci wszyscy ludzie zginą. Normalni obywatele, którzy zapuścili tu korzenie, nie wrzucą tak po prostu swoich domów do plecaka i nie odlecą, kiedy pojawi się zagrożenie. Będą walczyć ze złem, będą bronić swoich ukochanych, będą modlić się w milczeniu.

Żołnierze czekali, lecz wytęskniona wiadomość od generała Kenobiego nie nadchodziła. Zginął? Uwięzili go? Czas się kończył. W ciągu kilku godzin rozpocznie się bombardowanie, a to chyba dobrze, prawda?

Jangotat krążył po obrzeżach obozowiska, żując pałeczkę na uspokojenie. Kwasy przeżerały mu wnętrzności. Coś było nie tak.

Kiedy dołączył do pozostałych, Seefor właśnie mówił:

- Co teraz robimy?

- Jeśli Jedi nie wróci - wzruszył ramionami Fony - nic z tego nie będzie. Zacznie się bombardowanie, wezwiemy transport i wrócimy do domu. Nie mamy nic lepszego do roboty, jak tylko czekać.

Jangotat odszedł znowu z burzą w sercu, żywiąc nieustannie nadzieję, że ich dowódcy Jedi zgłoszą się wreszcie i dadzą im znać, że linia produkcyjna została zamknięta bez wielkich szkód,

spowodowanych orbitalną napaścią.

Był nieco zdziwiony, kiedy podeszli do niego Thak Val Zsing i kobieta X'Ting imieniem Resta. Val Zsing od dawna wydawał się załamany, ale teraz jakby obudziło się w nim coś żywego. Prawie płonął.

- Wiem różne rzeczy - rzekł. - Proszę, wysłuchaj mnie.

Jangotat pamiętał, czego nauczył się w jaskini, więc otworzył umysł. Ujrzał w tym mężczyźnie głębokie psychiczne rany, ale i wielką siłę. Uznał, że nieszczęśnik potrzebuje i zasługuje na szansę obronienia się.

Jesteśmy czymś więcej niż działaniem. Więcej niż czynami lub zaprogramowaniem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nikt nie gada do Resty, Nikt nie gada do Thak Val Zsinga - powiedziała samica. - Więc my oboje gadać. O starych czasach. Co dziadek mówić o więzieniu, jak rodzina Resty kopać pod przymusem. Pamiętać różne rzeczy o tym. - Popukała się palcem w skroń. - Widzieć także „odpoczynek szefów” - prychnęła. - Wiecie, co kraść energia, żeby budować? Co zabić mój mężczyzna?

Resta pochyliła się bliżej, a jej gęste czerwone brwi uniosły się i nastroszyły.

- Patrzeć na mapę w komputerze.

- Mówisz o naszych komputerach?

Thak Val Zsing skinął głową. Oczy starca płonęły jak żagwie.

- Ta sama droga, której używaliście, aby przebyć tunele, tam, gdzie Jedi urządzili sobie przedstawienie... pamiętasz, pilocie?

Jangotat skinął głową, wciąż nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Ten program wykreśla zużycie energii, rachunki za media, wszystkie te informacje w czasie rzeczywistym, których potrzebuje się w wielkich systemach. - Głos Val Zsinga opadł do pełnego podniecenia szeptu. - I coś zobaczyliśmy. Och, bracie, zobaczyłem coś wspaniałego!

- Przez ostatnie pięć godzin, kiedy wielki statek pojawił się na orbicie, światło „odpoczynek” świeci. - Resta pochyliła się jeszcze niżej, tak podekscytowana, że ledwie mogła się opanować. - Tam się chować Pięć Rodów!

- Chciałbym z wami przedyskutować pewną możliwość - rzekł Jangotat do swoich braci. Z trudem opanowywał podniecenie.

- Możliwość? - zapytał Seefor. - Jaką możliwość?

- Być może Rody popełniły krytyczny błąd. Jeśli ta informacja jest prawdziwa, po raz pierwszy wiemy, gdzie są. Włączyli zasilanie w swojej kryjówce, a mamy podstawy podejrzewać, że to schron. Powiedziałbym, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że tam się skryli. Jeśli ich dopadniemy, być może uda nam się zmusić ich do układów. Jeśli skapitulują też możemy to zakończyć... i nie będzie bombardowania.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Sirty jako pierwszy przerwać ciszę. Był wstrząśnięty.

- Ale to oznacza złamanie bezpośredniego rozkazu!

Jangotat uderzył pięścią w stół.

- Możemy uratować całą operację!

- Bracie - rzekł Seefor. - Zgodnie z zapisami układów z Kamino, muszę cię ostrzec, że twoja sugestia jest niezgodna z Kodeksem.

Forry spiorunował go wzrokiem.

- Nie zrobisz tego - rzekł. - A poza tym... - zaśmiał się nieprzyjemnie - ten staruch to tchórz i na pewno kłamca.

Niezgodne z Kodeksem? Oskarżenie Seefora uderzyło Jangotata jak cios pięścią ale nie pozwolił sobie na obawy. Sama myśl o złamaniu Kodeksu sprawiła, że poczuł mdłości. Żaden klon nigdy tego nie zrobił, nigdy nie okazał nieposłuszeństwa wobec poleceń. Poczuł, jak mur energetyczny przytłacza mu mózg, a każdy mięsień zaczyna drgać własnym rytmem, jak zawsze, gdy próbował czegoś zakazanego.

- Ja mu wierzę - zapewnił i musiał na chwilę zacisnąć zęby, żeby przestały szczękać. - Sami siebie zapytajcie: gdybyście stracili honor, czy nie uczynilibyście wszystkiego, aby go odzyskać? Nie chcielibyście, aby ktoś dał wam taką możliwość? - Wiedział, że tym razem trafił w samo sedno: żołnierz klon nie miał nic oprócz swojej reputacji. Seefor skrzywił się na samą myśl o takiej tragedii.

A jednak w tej samej chwili, gdy o tym wspomniał, zrozumiał, że niejako nakreślił linię pomiędzy sobą a tamtymi. Było w nim coś innego, a oni to czuli, choć jeszcze nie skomentowali. Wspominając o czymś, o czym się nie mówi, potwierdził to, co już przeczuwali.

Nie był już jednym z nich. Był kimś innym, a jego bracia nagle nabrali ostrożności.

- To niezgodne z Kodeksem, Jangotacie - powtórzył Seefor, wpatrując się w niego. Wiedział, że nic więcej zrobić nie może.

Jangotat wrócił do swojego śpiwora. Wiedział, co zamierza i dlaczego. Wiedział też, że to zabronione, lecz wierzył, wierzył całym sobą że gdyby generałowie wiedzieli to, co on wie w tej chwili, wyraziliby aprobatę dla jego działań.

A jednak...

Złamie w ten sposób Kodeks.

Mięśnie jego piersi skurczyły się, poczuł, jak zimny pot zalewa mu pachy. Co było właściwe? Co było naprawdę zgodne z Kodeksem? Czy litera prawa, czy wiara, że czyni to, co jego dowódcy uczyniliby, gdyby mieli te same informacje?

Jangotat zmagął się z tym przez wiele godzin, zanim wreszcie się zdecydował i wysunął ze śpiwora. Był już przy wyjściu, kiedy dogonił go Forry.

- Dokąd idziesz?

- Wiesz, że muszę to zrobić - odparł Jangotat.

Forry skinął głową.

- A ty wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

- Więc powstrzymaj mnie, jeśli potrafisz - odparł Jangotat. Skoro byli prawie identyczni, powinni być również dość podobnymi wojownikami.

Lecz tym razem nie wszystko było identyczne. Jangotat walczył o to samo co Forry, plus jeszcze odrobinę więcej.

Sheeka, Tonote, Mithail, Tarł.

Mentorzy.

Nie to jest ważne, z czym człowiek walczy. Ważne jest, o co walczy.

Ruszyli ku sobie i zatrzymali się na sekundę, żeby ocenić krytyczne odległości, oszacować przeciwnika. Następną sekundą przyniosła wymianę ciosów i kopniaków tak szybką że oko nie nadążało. Forry był silniejszy i szybszy...

...ale to nie miało znaczenia. Jangotat widział teraz jaśniej, wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, jakby ta jedna chwila została zamrożona w niewidzialnym lodzie. Oceniał klasyczne, wzorcowe reakcje Forry'ego, zaprogramowane ciosy i pchnięcia. Czuł się przy tym dziwnie § wyobcowany, jakby obserwował gesty, nie angażując się w nie. Forry 1 równie dobrze mógł sobie usiąść i opowiadać po kolei, jaki cios za 1 chwilę zamierza zadać. Poruszając się powoli, z większym spokojem i niż zwykle w starciu, Jangotat po prostu wślizgiwał się pomiędzy gesty Forry'ego. Kiedy ten próbował zachować równowagę, zachwiał 1 się na nogach, a Jangotat naturalnym odruchem poderwał łokieć do doskonałej pozycji, aby uderzyć brata w szczękę.

Forry upadł na ziemię i leżał nieruchomo. Jangotat stał nad nim przez chwilę, wstrząśnięty. Czy to właśnie oznacza czuć się Jedi? A może to tylko cząstka prawdziwego wrażenia?

A może tak właśnie czuje się wolny człowiek? Nie wiedział, jakie drzwi otwarto w jego umyśle, co z nim zrobiło szkolenie i... i...

I miłość.

Ogarnęło go głębokie podniecenie, Może szedł na pewną śmierć,] ale czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek, bardziej żywy niż mógł się czuć któryś z klonów...

Może mu się udać; na pewno mu się uda. Nie ma innej możliwości.

Spotkał się z Thakiem Val Zsingiem i Resta przy skuterach. Unieruchomienie pozostałych pojazdów zajęło im tylko kilka chwil. Naprawienie ich zajmie jego braciom kilka godzin, a do tej pory po nim nie zostanie nawet ślad.

Przez pięćdziesiąt minut jechali prosto na północny zachód. Pęd powietrza zmierzwił włosy Jagotata, a wschodzące słońce wkrótce zapłonęło po jego lewej ręce, kiedy świt przebił się przez ciemność.

Cieszył się samotnością. To było wspaniałe wrażenie, że znajduje się poza tym wszystkim, świadomość, że po raz pierwszy w życiu sam wybrał swój los.

Nowy, cudowny dzień. Być może jego ostatni.

Zaśmiał się ironicznie. Lepiej nie tracić z niego ani minuty.

Piętnaście kilometrów na północ od farmy Resty, pośrodku błotnistej równiny ział kanał wykuty w lawie. Weszli do środka, niosąc ze sobą worki wypełnione sprzętem. Przez dziewięćdziesiąt minut pełzli w ciemności, siniacząc i raniąc sobie kolana na szklistej powierzchni. Thak Val Zsing prowadził.

- Więzienie było na wschód stąd - informował ich. - Jesteśmy w jednym z tuneli, którymi uciekali więźniowie. - Tunele uciekinierów... co za głupi żart. Cała planeta była jednym wielkim więzieniem, nie miało się nawet gdzie uciekać. Centralne komputery twierdziły, że kryjówka Pięciu Rodów mieściła się w jednym ze skrzydeł starego, opuszczonego więzienia.

Dotarli wreszcie do szerszego korytarza, wychodzącego na jaskinię dość wysoką, aby można było w niej stanąć. Była to część starej kopalni, z mniejszymi szybami rozchodzącymi się we wszystkich kierunkach.

- Do tego miejsca znałem drogę - rzekł starzec. - Stąd właśnie uciekł mój dziadek.

Najgłębsze lochy więzienia cestiańskiego były teraz siedzibą Pięciu Rodów. Cóż za niezwykła ironia.

- Idziemy - odezwała się Resta i spróbowała się przecisnąć pierwsza.

Jangotat stanął jej na drodze.

- Ty musisz żyć - rzekł.

- Nie mieć po co żyć. Stracony partner. Stracona farma.

Jangotat pokręcił głową.

- To, co się stało z twoją rodziną, nigdy nie powinno było się zdarzyć. Twoja pomoc nigdy nie zostanie zapomniana. Kiedy to wszystko się skończy, wyślij raport, a w nim zdanie: A-Dziewięć-Osiem kod taktyczny dwanaście. - Spojrzał jej uważnie w oczy. - Będzie to oznaczało, że wyświadczyłaś mi wielką przysługę w czasie realizowania przydzielonych zadań. Jesteś przyjacielem Republiki, a Republika umie zadbać o swoich.

Spojrzała na niego. Nie mogła uwierzyć, że jest dla niej inna droga, niż tylko zemsta i śmierć.

- Nie. Iść z tobą.

- Ktoś musi zaśpiewać pieśń twojego roju - tłumaczył jej Jangotat. - Znajdziesz nowego partnera. Będziecie mieli silne dzieci. Nigdy nie przestawaj walczyć.

Była tak zaskoczona, że nie zareagowała, kiedy Jangotat obrócił ją i zastosował obezwładniający chwyt. Resta próbowała się uwolnić, była silna - silniejsza niż większość mężczyzn-ludzi. Ale trzymał ją pod właściwym kątem i we właściwej pozycji. Choć mocno się wyrywała, nie puścił. Uderzyła nim o ścianę, ale na próżno. Spróbował sobie skojarzyć fizjologię rozmaitych ras, aż przyszli mu na myśl Geonozjanie. Oni też przypominali owady, więc wszelkie chwytamy zamykające drogi oddechowe uważane były w ich przypadku za bezużyteczne. Mieli za to skupiska nerwów...

Tu, u podstawy czaszki. Uwolnił jedno ramię i łokciem nacisnął z dwóch stron, stawiając wszystko na jedną kartę. Uderzenie mogło okazać się śmiertelne, ale sam nacisk...

Resta zwiotczała i upadła nieprzytomna.

Jangotat, dysząc, przyglądał jej się, zdumiony. Co za wojowniczką! Co trzeba zrobić, aby pozbawić tych ludzi woli?

- Jacy są ich mężczyźni? - szepnął do Thaka Val Zsinga.

- Nie chciałbyś wiedzieć - odparł Val Zsing.

Jangotat potrzebował kilku minut, żeby się uspokoić. Thak Val Zsing wskazał mu ostatni tunel i razem zeszli w ciemność.

Kolejna godzina pełzania doprowadziła ich do ściany zewnętrznej komory. Szybki rzut oka wystarczył, aby się przekonać, że ściana była tylko centymetrowej grubości arkuszem durastali i Jangotat wiedział, że sobie z nią poradzi. Miny przeciwpancerne zaprojektowane były do użycia przeciwko robotom bojowym, ale tu też spełnią swoje zadanie. Wyjął dwa okrągłe, płaskie dyski i przymocował je do ściany paskami samoprzylepnymi. Ustawił czas. On i Thak Val Zsing zaledwie mieli czas wycofać się poza zakręt, kiedy precyzyjnie umiejscowiony ładunek spowodował detonację tak silną, że obaj mężczyźni upadli na plecy.

Oszołomiony Jangotat chwycił karabinek i wbiegł do sąsiedniego pomieszczenia, zalanego migoczącym blaskiem czerwonych i żółtych świateł alarmowych. Przez zasłonę dymu zobaczył pulpit łączności i stopy zapasów jedzenia. Odwrócił się na czas, żeby zobaczyć, jak jeden człowiek i jeden Wroonianin wbiegają do kopulastego bunkra z durastali i zatrząskują za sobą drzwi.

Dotarł tam zbyt późno, waląc w drzwi kolbą karabinu. Drzwi miały co najmniej pięć centymetrów grubości. Nic z tego, co miał w torbie, nie da rady tego przebić.

Schron zahuczał, zadrgał i uspokoił się, kiedy drzwi uległy zahermetyzowaniu.

- I co teraz, pilocie? - zapytał Thak Val Zsing, podchodząc z tyłu.

- Sprawdźmy to pomieszczenie - rzekł Jangotat. - Może coś tu będzie.

Znajdowali się w czymś w rodzaju ciepłarni, zaprojektowanej tak, aby pasowała do reszty schronu. Była zarośnięta jak las tropikalny, f niepodobna do żadnego innego miejsca, jakie Jangotat widział na Cestusie. Przedzierali się powoli przez gęstwinę, czujni na każdy ruch.

Obejrzał się w samą porę, żeby zobaczyć kierującego się ku nim Zabójcę Jedi. Nie myślał. Zaczął działać.

Aż za dobrze pamiętał ZJ. Ich szybkość, siła i uniwersalność były bardziej niż onieśmielające. Nie miał czasu myśleć, niewiele nawet,] żeby się ruszyć. Zdołał odskoczyć, kiedy macki sięgnęły po niego; ledwo zauważył okrzyk Thak Val Zsinga „Uważaj!”, kiedy podłoga pod nim zafalowała. Jedna z macek podpełzła niepostrzeżenie, zmieniając kolor na kamuflujący.

Zdumiewające. Dotknęła go kolejna macka; poczuł wstrząs przez jedną krótką chwilę, zanim zdążył odskoczyć. Lecz ta chwila wystarczyła, by włosy stanęły mu dęba. Udało mu się z bliskiej odległości odstrzelić mackę i uwolnić się.

Thak Val Zsing strzelał z boku, ale promienie odbijały się nieszkodliwie od złocistego pancerza

robota.

Mężczyzna odczołgał się na bok, wrzeszcząc wniebogłosy, w samą porę, żeby uniknąć kolejnej macki. Jangotat rzucił się w tył, nie przestając strzelać. Z padu przeszedł w przewrót i gładko stanął na nogi, przełączając karabin na maksymalną energię.

ZJ był niesamowicie szybki; robił uniki to w tę, to w drugą stronę, a jego wąskie gąsienice kręciły się zbyt prędko, by je śledzić. Trzy strzały, cztery. Lufa karabinka zapulsowała białą, promienie ryły bruzdy w ścianach i podłodze, zawsze jednak omijały robota. Rdzeń zasilający karabinka zaczął się przegrzewać, wkrótce zapewne się wyłączy. Jangotat cofnął się do korytarza, którym tu weszli.

Thak Val Zsing już tam był, przycupnięty i milczący, drżąc na całym ciele. ZJ znalazł się o metr od nich, lecz nagle zatrzymał się i cofnął. Widać było, że nie ma zamiaru dać się wywabić z posterunku.

- Nie powstrzymamy go - wyszeptał Thak Val Zsing.

Jangotat chwycił go za ramię i mocno nim potrząsnął.

- Weź się w garść, chłopie! - krzyknął. - Jeśli ten krążownik wypali, zginą tysiące!

Jeśli nawet Thak Val Zsing miał jakiś kręgosłup emocjonalny, to trzasnął mu on wtedy w jaskini; teraz pomimo wysiłków, nie był w stanie udźwignąć jego strachu. Thak Val Zsing uciekł.

Jangotat zaklął i podjął decyzję. Może nie zdoła zatrzymać robota strzałami, ale ciekawe, jak ZJ znieśie zapadnięcie się na niego całego sufitu.

Wyskoczył z dziury i przetoczył się po podłodze, strzelając w górę. Potężne bloki kamienia zaczęły spadać najpierw pojedynczo, ale nagle runęły wszystkie razem, odbijając się od durastalowej kopuły. Pogrzebały ZJ, przy okazji omal nie zabijając Jangotata. Leżał teraz, dysząc ciężko, ze strzaskaną nogą, kiedy blok kamienia nagle się przewrócił i wychynął spod niego ZJ.

- Thak Val Zsing! - wrzasnął Jangotat, kiedy potwór zaczął kierować się w jego stronę. - Cholera, Val Zsing, ty tchórze!

Był zrozpaczony. Poniósł sromotną klęskę.

ZJ przyciągnął go do siebie, aż prawie stykali się ze sobą. Zaświecił mu w oczy, próbując widocznie dopasować obraz siatkówki do swojego banku danych. A potem, kiedy nie zdołał go zidentyfikować, posłał przez macki potężny strumień energii.

Jangotat upadł na bok. Błękitne płomyki, trzaskając, tańczyły po całym jego ciele. Widział je. Czuł. Słyszał.

Ale nie mógł się poruszyć. Wcale.

- Thak Val Zsing! Ty tchórze!

Dawny dowódca Pustynnego Wiatru znajdował się już poza lękiem, poza wstydem. Istnieją chwile, które decydują o kształcie istoty ludzkiej, a kiedy taki moment nastąpi, nie można go już cofnąć.

Czasem jednak można zaprzeczyć swojemu przeznaczeniu.

Val Zsing oderwał zabezpieczenie z taśmy klejącej i przymocował sobie jedną z min przeciwpancernych do piersi. Obserwował Jangotata i nieźle zdołał się poznać na ładunkach.

Wszedł do schronu i podszedł prosto do robota. Metalowe macki chwyciły go tak szybko, że zaledwie zdążył odbezpieczyć ładunek.

ZJ zawahał się chwilę, jakby nie rozumiał, dlaczego Thak Val Zsing nie próbuje uciec. Jeszcze troszkę bliżej... Robot przyciągnął go do siebie na odległość metra, a jedna macka podniosła się na wysokość twarzy mężczyzny, by zaświecić mu w oczy.

Teraz, pomyślał Thak Val Zsing. Niech to się stanie teraz.

Usłyszał głośny, metaliczny dźwięk. Rozbłysło światło i szybko skurczyło się w ciemność, a potem nie było już nic.

Detonacja wywołała falę energii, która przeleciała przez pomieszczenie, wstrząsając systemem nerwowym Jangotata. Małe niebieskie iskierki przebiegające przez jego ciało zgasły, wstrząs przywrócił mu częściowo przytomność. Machinalnie pomacał nogę - złamana, przebita odłamkiem. Kilka strzępów materiału powiedziało mu, co stało się z jego towarzyszem.

A więc jednak nie taki znów tchórz z tego Thaka Val Zsinga.

ZJ był ubrudzony krwią i kurzem, osmalony, ale zaczął się już prostować, Jego obudowa była nienaruszona. To draństwo było niezniszczalne. W pewnym sensie to nawet dobrze - jego obudowa osłoniła Jangotata przed eksplozją.

Żołnierz jęknął. Jednak nie ma nadziei...

Ale wtedy ZJ zaczął się dziwnie miotać, Jangotat obserwował ze zdumieniem, jak robot wyprostował się, upadł, po czym zaczął kręcić się w kółko, zadrżał i wydał przykry dla ucha, skamlący dźwięk.

Nagle Jangotat odgadł prawdę. Cóż za wspaniały żart! Najlepszy, jaki znał. Mógł tylko mieć nadzieję, że zdąży go komuś opowiedzieć, że jego towarzysze pewnego dnia będą się śmiać z idiotycznego kawału, jakim okazała się ta historia na Cestusie. Jangotat rechotał histerycznie, obserwując wejście do bunkra. Nic. Szefowie Pięciu Rodów siedzieli w środku, bezpiecznie zamknięci.

Nikt nie jest bezpieczny, warknął. Czas na małą lekcję.

Czy to będzie dobre, czy złe? Ci ludzie skazali na śmierć całą planetę i nikt nie był w stanie ich powstrzymać.

ZJ zignorował Jangotata, potoczył się w tył, w przód i wreszcie utkwiał głową w rogu sali. Zadygotał, cofnął się i zaczął nieporadnie walić w ścianę.

Jangotat doszedł do wniosku, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział.

Zdołał dowlec się do drzwi schronu i zaklinował je karabinkiem laserowym. Proszę, jednak na coś się ta broń przydała.

Ból przyćmiewał jego myśli. Jakie tu są koordynaty? Nie mógł sobie przypomnieć. Co za kawał. Co za głupi kawał. A potem nagle sobie przypomniał - przecież współrzędne to on. On był współrzędną.

Wygrzebał komunikator i wyjął go... zmiażdżony i bezużyteczny.

I znów zaczął się śmiać. Przecież ten schron jest w pełni wyposażony; to tutaj Pięć Rodów zamierzało najwyraźniej przetrwać każdą rewoltę i każdy atak. Ich własny sprzęt łącznościowy powinien załatwić sprawę.

Na pokładzie „Nexu” technik łącznościowiec, weteran imieniem CT-9/85, wykrył sygnał.

- Proszę pana - zameldował oficerowi dyżurnemu. - Mamy kod lokalizacyjny SOZ-a na częstotliwości radiowej, priorytet.

Komendant Baraka podszedł do stacji łączności z nadzieją w oczach.

- A komunikat?

- Zmiana początkowych współrzędnych bombardowania na... trochę na wschód od jeziora Kibo. Czekać na dalsze instrukcje.

- Czy to wygląda na poważną wiadomość?

- Na sto procent. Żołnierz żąda bombardowania miejsca, gdzie sam się znajduje. Chyba nie można być poważniejszym.

Baraka prychnął niechętnie. Co to za bezmózgie maszyny z tych klonów.

- A lokalizacja?

- Widać ją jako punkt na sieci zasilania. Może to jakaś tajna baza.

- No to do roboty - rzekł Baraka i wydał rozkaz.

Jangotat na pół leżał w fotelu w cieplarni, strzaskaną nogę odsunął na bok. Przez dziesięć minut układał kolejny komunikat, aż wreszcie nacisnął przycisk transmisji na kilka sekund przed tym, jak bunkier zatrzęsł się i zahuczał.

Żołnierz czekał. Po chwili ze zdumieniem stwierdził, że nuci pod nosem:

Jeden, jeden chitlik się na słońcu grzeje

Dwa, dwa, kistę chitlika zupa ma

Trzy, trzy, daj mi też, gdy jesz i ty.

Jak się nazywała ta melodia? Gdzie się jej nauczył? Och, tak, teraz sobie przypomniał: to Tarł i Mithail, i słodka mała Tonote śpiewali ją wśród wzgórz Zantay. Miał nadzieję, że teraz już są bezpieczni.

Następna eksplozja była bardzo silna i bardzo bliska.

- Z wody zostaliśmy zrodzeni, w ogniu umrzemy - wyszeptał. Jesteśmy nasieniem gwiazd.

W chwilę potem, gdy „Nexu” uruchomił całą furję swoich głównych dział energetycznych, kopuła nad tajemniczym celem przeistoczyła się w buchający płomieniami lej. Trzęsienie ziemi, które miało zniszczyć Clandes, spowodowało jedynie niewielkie drżenie okolic płaskowyżu Kibo. Nie było zabitych, tylko kilkoro rannych, choć wstrząsy wykrywano jeszcze daleko na południu, w Barrens. W Clandes kilka ścian pękło, w całym mieście rozdzźwięczały się alarmy. Na północy, w kierunku ChikatLik, skutki były wyraźniejsze i bardziej bezpośrednie.

Powierzchnia podziemnego jeziora odbijała czerwone i żółte błyskawice, gdy pole energii więzące Obi-Wana i Kita Fisto osłabło na chwilę. Obi-Wan poczuł ból i ogień, kiedy się przebijał, a jego miecz świetlny pochłonął dość energii, aby pole nie zdążyło go spalić. Zamknęło się na tyle szybko, że przysmażyło lewy obcas Kita. Nautolanin zdołał jednak się wyrwać.

Robot protokolarny rzucił jakiś rozkaz i wszyscy towarzysze Ventress złożyli broń.

- Przecież oni podobno się nie poddają - zauważył Kit.

Ventress się zaśmiała.

- W żadnym wypadku. Powiedziałam im po prostu, że nawet z miotaczami nie mają z wami szans.

- A teraz?

- A teraz - odparła - brońcie się, Jedi.

Młodzi X'Tingowie podeszli bliżej. Obi-Wan jęknął. Nie mógł ich przecież po prostu pozabijać, Byli młodzi i głupi, wierzyli, że działają dla dobra roju.

- Wiem, co myślisz - warknęła Ventress - Żałujesz, że nie możesz z nimi pogadać. Szkoda, że nie mówisz w języku X'Tingów.

- Obi-Wanie? - rzucił Kit.

- No cóż, nie możemy ich powyrzynać.

- Nie? - Kit wyraźnie miał na to ochotę. - Przecież to nie żadne niewiniątka.

Nautolanin kipiał z niecierpliwości, ponosił go bitewny zapach Formy I. Ventress była kluczem. Musiał ją powstrzymać. A jeśli ci idioci stają pomiędzy nim a sługusem Dooku, kobietą, która może spowodować zagładę milionów, to po prostu mają pecha.

Ale... to by była masakra. Obi-Wan zastanowił się, wnikając w swoje sumienie, i podjął trudną decyzję.

- Musimy to zrobić bez mieczy świetlnych.

Kit wydawał się zmagać z tym pomysłem, wreszcie westchnął.

- No to sobie trochę poćwiczymy - rzekł i niechętnie zgasił ostrze.

Obi-Wan wyłączył swoje i jakby na zawołanie narwani młodzi sojusznicy Ventress zaatakowali ich ze wszystkich stron. Obi-Wan uchylił się przed ciosem durastalowego łomu, kantem stopy miażdżąc X'Tingowi kolano. Drugi młodziak skoczył na niego od tyłu. Obi-Wan chwycił go za pierwszą prawą rękę, drugą lewą i zakręcił. X'Ting poleciał młynkiem w powietrze i wpadł na stos skrzynek.

Kit Fisto warknął, poddając się zawirowaniu technik walki wręcz Formy I. Jego atak był wcieleniem płynności, jeden ruch przechodził w następny bez śladu zbędnego wysiłku. Czaszki trzeszczały, członki wyskakiwały ze stawów, X'Tingowie z wyciem wpadali po kolei do jeziora.

Ventress cofnęła się, obserwując ich czujnie. Obi-Wan wiedział, że czeka i uczy się swoich przeciwników.

Pieczara usłana była ciałami. To lokaje; Ventress poświęciłaby każdego z nich, żeby tylko dowiedzieć się tego, co chciała wiedzieć. Miała pewność, że Jedi ich nie posiekają ot, tak zwyczajnie. Obserwowała, studiowała, zachowując tę chwilę dla siebie. Taktyka Jedi walki wręcz potrafi zdradzić tajniki szermierki mieczem świetlnym; oni nie mogli nic na to poradzić.

Przeciwnicy Obi-Wana mieli pełno entuzjazmu, ale kiepską technikę. Moc rozkwitła w nim; percepcja czasu zmieniła się, zwalniając rzeczywistość do powolnego pełzania. Miał teraz tyle czasu, ile potrzebował, żeby usunąć się z drogi ciosu, odpowiadając na niego z absolutną oszczędnością energii.

Kątem oka zauważył, że Kit znajduje się już prawie obok Ventress. A to, co teraz zobaczył, kiedy Nautolanin zintensyfikował działanie, sprawiło, że sam omal nie stracił koncentracji. Jego towarzysz był żywym huraganem bojowym, a jego ciało poruszało się jednocześnie w dwóch czy nawet w trzech kierunkach. Stawy wyginały się w sposób nielimitowany ludzkimi ograniczeniami, jakie stwarza kręgosłup.

Każdy, kogo dotknął, padał. A ci, którzy upadli, pozostawali w tym stanie. Ventress może i zebrała wokół siebie najgorsze męty, ale młodzi X'Tingowie walczyli nieustraszenie, jak o własne życie.

Taka napaść nie pozostawiała miejsca i czasu ani na planowanie i myślenie, ani na eleganckie ruchy. Był tylko atak i obrona, atak i obrona.

Obi-Wan sam mógł teraz tylko atakować. Ściągał bitwę ku sobie, dyktując własny czas i odległości, i przebijał się w kierunku Ventress.

Młodzi X'Tingowie z obnażonymi żądlami rzucali się na nich falami. Obi-Wan spokojnie

wykorzystywał jednych jako tarcze przeciwko drugim, eliminując ich szybko i zawzięcie.

Nagle doszedł go cios z lewego górnego kwadrantu. Obi-Wan okazał się o włos za powolny w obronie i ostry nóż przebił mu płaszcz. Jeszcze raz o milimetr uniknął katastrofy. Podgląda? - pomyślał Obi-Wan. A niech tam.

Obi-Wan przegapił tę chwilę, kiedy Kit ostatecznie przebił się do Ventress. Podniosła dłoń, a X'Tingowie, którzy do tej pory nękali Nautolanina, zwrócili się ku Obi-Wanowi, pozostawiając ją sam na sam z Kitem.

- Nareszcie - odezwała się.

- Cała przyjemność po mojej stronie - syknął Kit i rzucił się na nią. Był jak ogień, Ventress jak dym. Taniec miał substancję, lecz nie kształt, jak plama światła zbyt szybka, niewiarygodnie śmiertelna. Oboje skakali i wirowali, zderzali się i odskakiwali. Pojedynczy miecz świetlny przeciwko bliźniaczym ostrzom. Ręce, kolana, stopy - wszystko w jednym oszalamiającym wirze.

Obi-Wan oddałby swoją prawą rękę, żeby się przyłączyć, albo choćby móc obserwować taki popis. Miał jednak swoje własne zmartwienia, własną walkę do wygrania.

Miał nieodpartą ochotę, aby po prostu wyjąć miecz świetlny i posiekać X'Tingów na kawałki. Jego wrogowie nadchodzili i odskakiwali, uderzali szybko, lecz niezgrabnie, wśliznęli się pod nogi. Obi-Wan był bezpośredni w ataku i lotny jak wiatr.

Stracił połowę pojedynku, kiedy nagle Kit upadł, ranny, oszołomiony po kopniaku w szczękę. Po raz pierwszy Ventress przebiła jego zasłonę. Miecz trzymany przez nią w lewej ręce ciął go przez ramię, a kiedy poleciały iskry, Kit odskoczył od jej lewego miecza, nadziewając się na morderczy cios z prawej.

Obi-Wan usłyszał krzyk, ale nie widział, czy rana jest ciężka. Kit przetoczył się na plecy, gdy Ventress skoczyła na niego, i rzucił się do jeziora. Kobieta została na brzegu, z ramionami i nogami rozpostartymi szeroko w geście triumfu, zanosząc się lodowatym śmiechem.

Jedi przedarł się przez X'Tingów, łamiąc po drodze ręce i nogi przeciwników. Dobył miecza.

- To sprawa między mną a Ventress - krzyknął. - Dość tej zabawy! Przetłumacz im to, Ventress!

- Po co? - warknęła.

- Po co? - zapyta;! ze wzdrgnięciem. - Nie dowiedziałaś się tego, czego chciałaś? Nie widziałaś tego, co chciałaś zobaczyć? Po co wysyłać te dzieciaki na śmierć? Zginą tylko dlatego, że ci ufają. Czy nic w tobie nie zostało, jeśli nie z dobroci, to choć z lojalności?

Jej oczy błysnęły lekko; wiedział, że któreś jego słowo trąciło jakąś strunę. Skinęła głową.

- Powiedz, żeby odeszli - poleciała, a robot protokolarny wypluł z siebie tłumaczenie.

Przebył dzielący ich dystans jednym saltem. Asajj Ventress była niewiarygodnie szybka, lecz sama jej wściekłość dała Obi-Wanowi minimalną przewagę. Zablokował jej ostrza i zdołał zaklinować.

Ventress była zaskoczona, ale tylko przez chwilę, bo zaraz uwolniła prawe ostrze i cięła w kierunku jego szyi, zamierzając pozbawić go głowy.

Nie miał czasu na świadome myśli, nie miał czasu na nic, tylko na błyskawiczną reakcję. Schylił się i obrócił. Ventress odciągnęła jego uwagę w lewo i skoczyła w powietrze, okręcając się tak, że kopniak posłał Obi-Wana na deski pomostu. I znów nie miał szansy wstać; stwierdził, że musi walczyć z pozycji na plecach, wywijając się i cofając. Zdawał sobie sprawę, że możliwości ruchu ma tak ograniczone, iż konfrontacja może zakończyć się w każdej chwili. Przez jego emocjonalne tarcze zaczął przesączać się pierwszy cień desperacji.

Wyszczерzył zęby. Mistrz Yoda ostatnio dość często powtarzał: „Ciemna strona chmurami galaktykę zasnuła. Trudna do zobaczenia przyszłość jest”.

Kit Fisto unosił się w wodzie pod pomostem. Wciąż ledwie mógł się poruszać. Z wielkim trudem uniknął śmierci od ciosu mieczem świetlnym w głowę, a jego zmysły wciąż jeszcze odmawiał posłuszeństwa. Jakiś ukryty instynkt ostrzegł go jednak, że Obi-Wan jest w niebezpieczeństwie, walcząc o życie ich obu. Ocknął się na tyle, żeby sięgnąć po miecz.

Włączył go i ciął po palach podtrzymujących pomost. Ventress wrzasnęła zaskoczona, gdy oboje z Obi-Wanem wpadli do wody. Kit desperacko chciał pomóc, ale już wyczerpał zapasy sił. Poddał się cierpieniu i stracił przytomność.

Obi-Wan miał tylko tyle czasu, aby chwycić aparat oddechowy i wcisnąć go do ust, kiedy zdał sobie sprawę, że Ventress nie może tego zrobić. Miała po jednym mieczu świetlnym w każdej z dłoni.

Rzucił się na nią gwałtownie, nie dając jej czasu, aby odłożyła na chwilę jeden miecz i wzięła do ust własny aparat.

Rycerz Jedi mógł poruszać się w trzech kierunkach, atakując ją spod wody i ze wszystkich kątów, ona zaś w desperackiej obronie musiała co chwila zaczerpywać powietrza, gdy tylko jej głowa znalazła się nad wodą.

Bliska paniki Ventress rzuciła jeden z mieczy i ruszyła na Obi-Wana, zaskakując go zupełnie. Odskoczyła w tył i wywinęła salto, korzystając z okazji, żeby użyć aparatu oddechowego.

A potem z oczami płonącymi nienawiścią skierowała się ku niemu.

Okrażali się jak wodni drapieżnicy, ale oboje znajdowali się poza swoim żywiołem. Pytanie brzmiało: które z nich zaadaptuje się szybciej?

Zwabię ją, pomyślał Obi-Wan. Zamarkuję cios z lewej strony od góry. Zablokuję powoli, jak będzie tego oczekiwała, potem zrobię unik, jak przy X'Tingach, a ona pomyśli, że rana mi się otworzyła i że się wycofam. Widziała już dwa razy, jak to robię.

Woda była ciemna; Obi-Wan zdał sobie sprawę, że popełnia błąd, ufając oczom. Stop. Odpręż się. Wycuj ciśnienie wody, kiedy Ventress będzie wykonywała swoje gesty. Zaufaj Mocy.

Obi-Wan poczuł, jak woda napiera na niego i pozwolił, aby ten napór poniósł go naturalnym łukiem. Jego miecz zabłysł i po raz pierwszy zadał jej ranę.

Cios trafił nisko pod żebra z prawej strony. Otworzyła szeroko oczy z bólu i strachu.

Zamiast się cofnąć, Obi-Wan ruszył naprzód. Uderzyła go w twarz i wyrwała mu aparat oddechowy. Ruch ten jednak wytrącił ją z równowagi i Obi-Wan zdążył zrewanżować jej się tym samym.

Stali naprzeciwko siebie pod powierzchnią wody. Pierwsze, które podpłynie ku powierzchni, będzie odsłonięte i narażone na ciosy. Ten, kto się złamie, przegra.

Doskonale, Ventress. Które z nas na dłużej wstrzyma oddech?

To takie samo dobre miejsce na śmierć, jak każde inne. Jeśli taki ma być jego koniec, to czy może być coś piękniejszego, niż zabrać ze sobą taką kreaturę jak Ventress?

A ona zobaczyła to w jego twarzy. Tak samo jak Duris. Jestem gotów zginąć tu i teraz, z tych samych powodów. Chętnie umrę, byle zabić ciebie. Możesz powiedzieć to samo?

W tej samej chwili Obi-Wan wyzbył się wszelkiej ostrożności i rzucił się na nią. Jego ostrze było, wszędzie, a rana Ventress utrudniała jej ruchy.

Trzymała jedyne ostrze, jakie jej pozostało, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

Nagle coś się w niej załamało. Wrzasnęła, posyłając ku powierzchni strumień bąbelków, i włączyła jakieś urządzenie przy pasie. Woda wokół niej zawrzała rozszerzającą się onyksową chmurą, jakby opróżniła worek mątwy.

W wirze bąbelków i czerni Asajj Ventress znikła.

Ociekając wodą i kulejąc, Obi-Wan i Kit wzajemnie pomagali sobie wyjść z jeziora.

- Wszystko w porządku? - zapytał Obi-Wan.

- Zaraz będzie - uspokoił go Nautolanin. - Chyba mnie trochę nie doceniła.

Obi-Wan przypomniał sobie podcięty pomost i pokręcił głową.

- Też mi się tak zdaje, przyjacielu. Chodź.

Wspinali się po schodach wyciętych w kamieniu; zanim dotarli na powierzchnię, minęli ze dwadzieścia pięter. Wychynęli jakieś dwa kilometry na południe od ChikatLik. Obi-Wan i Kit obserwowali teraz błyskawice, jakie co chwila rozjaśniały południowy horyzont. Dotarł do nich posępny grzmot zmasowanego bombardowania.

- Dzieło zniszczenia się rozpoczęło - rzekł Obi-Wan. - Zawiedliśmy.

- Dziwne.

- Co dziwne?

- Wydawało mi się, że atak powinien nastąpić bardziej na południowy zachód.

- Masz rację - mruknął Obi-Wan. - Zdaje się, że to niedaleko Kibo.

Wziął do ręki makrolornetkę i nastawił ogniskową.

W zbliżeniu widział wznoszącą się w niebo kolumnę dymu i ognia. Z nieba leciały ciemne kształty i promienie energii. Śmiercionośna, przerażająca symfonia.

- I co? - zapytał Kit.

Obi-Wan zmrużył oczy z zakłopotaniem. - Rzeczywiście dziwne. Chodź.

Kiedy dotarli do statku, ich uwagę przykuło światełko migające na panelu sterowania.

- Wiadomość - zauważył Obi-Wan.

- Musimy ją odczytać.

- Najpierw cię opatrzę.

- Przeżyję - odparł Kit. - Odbierz wiadomość.

Obi-Wan wstukał kod w klawiaturę i na ekranie pojawił się holograficzny obraz oficera SOZ.

- Jangotat - mruknął Kit.

Mocna, brunatna twarz była mizerna, lewe oko półprzymknięte, ale żołnierz uśmiechał się lekko.

- Witam panów, generale Kenobi, generale Fisto. Tu A-Dziewięć-Osiem, którego w swojej uprzejmości nazywaliście Jangotatem. Jeśli słyszycie tę wiadomość, to znaczy, że przynajmniej jeden z was żyje. Prawdopodobnie usiłuję dokonać niemożliwego, ale... - Rozległo się stuknięcie. - Pogwałciłem Kodeks. Odmówiłem wykonania bezpośredniego rozkazu i ponoszę pełną odpowiedzialność za wszystko, co mogło się w wyniku tego zdarzyć. Moi bracia zrobili wszystko, aby mnie powstrzymać. Udałem się do bunkra Pięciu Rodów w Kibo, zamierzając ich schwytać. Zostaliście zablokowani w swoich działaniach, a z tego powodu mogły zginąć tysiące ludzi. Wszystko ułożyło się nie tak, jak chciałem, ale była to jakaś odpowiedź. Zapewne wiecie już, że Pięć Rodów nie żyje...

- Co takiego? - wyszeptał Kit.

- ...użyłem sygnału priorytetowego, aby zresetować współrzędne bombardowania na schron Przeciwbombowy Pięciu Rodów. Teraz to już niedługo...

A więc stąd ten dym..

- Co to oznacza? - zapytał Nautolanin.

- To zależy od tego, jaką kobietą jest G'Mai Duris - rzekł Obi-Wan.

Przymknął oczy.

- Duris jest regentką i przewodniczącą rady roju. Jeśli Rody zostaną pogrążone w chaosie, stanie się ona najpotężniejszą kobietą na planecie... i chyba będzie można z nią negocjować. Skontaktuj się z admirałem Baraka.

- Tysiące? - szepnął z niedowierzaniem Kit. - Przecież Jangotat ocalił miliony.

- Ale nie wiedział o tym. Nie miał pojęcia, że Ventress zmieniła kody celowania. Nie miał pojęcia, jak ważny był jego wybór.

Obi-Wan i Kit przez chwilę milczeli. Potem Kenobi dotknął panelu i nawiązał kontakt z „Nexu”.

Następnego dnia w górach Zantay, jak zażądał tego Jangotat w swojej ostatniej woli, pokazali wiadomość Sheece Tuli.

- Nie obawiajcie się o roboty ZJ - ciągnął Jangotat. - Nigdy by nie działały na polu bitwy. Każdy, kto kiedykolwiek spotkał się z węgorzami dashta, wie, że to uzdrowiciele, nie mordercy. Kiedy Thak Val Zsing umarł w ramionach robota gwałtowną śmiercią dashta wewnątrz maszyny oszalał. To prawda, nie jestem technikiem. Nie pytajcie, skąd wiem. Wiem i już. Bezpieczne zastosowanie w celach obronnych to co innego. Zabijanie rozumnych istot po prostu przekraczało ich możliwości. Nawet uśpiony Mentor oszalał. Mentorzy to proste, dobre stworzenia. Pogodziły ze sobą X'Tingów i pozaświatowców. X'Tingowie ofiarowali grzyby farmerom umierającym z głodu na jałowej glebie. Przywrócili pewne stare obyczaje. Uważam, że Pięć Rodów znało prawdę. Skłamali świadomie hrabiemu Dooku. Może planowali zagarnąć pierwszą ratę i zniknąć, zanim Konfederacja wprowadzi roboty do walki, pozostawiając Cestusowi zapłacenie ceny za upadek Republiki.

Obi-Wan i Kit wpatrywali się w siebie ze zdumieniem. Czy ktokolwiek w tej całej sprawie powiedział choć słowo prawdy? Niesamowite! Kłamstwa, kłamstwa, od góry do dołu kłamstwa!

- Nie wrócę już, co mnie smuci, ponieważ bardzo tego pragnąłem. Po raz pierwszy w życiu naprawdę marzyłem o przyszłości. - Jangotat urwał i pogrążył się w zadumie. Po chwili podjął: - To dla mnie bardzo trudne, nie jestem mówcą. Dopóki cię nie poznałem, chyba nawet w ogóle nie byłem mężczyzną. Byłem przysięgą, mundurem, rangą. Dopiero ty pokazałaś mi, że jestem czymś więcej, czymś więcej niż jednym z miliona żołnierzy ukształtowanych na podobieństwo mordercy na linii montażowej. To ważne, aby znać swoje miejsce we wszechświecie, ale jest jeszcze coś, a ty pomogłaś mi to odkryć.

Cała trójka spojrziała po sobie niepewnie.

- Powinnaś wiedzieć jedno: gdybym przeżył, gdybym powrócił w poczuciu spełnionego obowiązku, i tak zostałbym w SOZ. Może trudno ci to będzie pojąć, ale walka o to, w co wierzysz, wciąż jeszcze jest wspaniałą i piękną rzeczą, Sheeko. Gdybym był innym mężczyzną, nie wyobrażałbym sobie większej radości niż zostać z tobą. Gdyby moje dni jako żołnierza kiedykolwiek dobiegły końca, chciałbym wrócić do ciebie, jeśli i ty byś tego chciała. Przykro mi, że nie jestem człowiekiem, którego kiedyś znałaś...

Znała Jango? No, teraz wiele spraw nagle nabrało sensu.

- ...Przykro mi, że ty i ja nigdy nie mieliśmy przeszłości i przyszłości też nie będziemy mieć...

Sheeka nie odzywała się, ale jej spuszczone oczy mówiły aż nazbyt wiele.

- Wiedz, że przede wszystkim byłem żołnierzem. I że ty, nikt inny w galaktyce, tylko ty trzymałaś w dłoniach żołnierskie serce...

W pomieszczeniu zapanowała długa cisza, przerywana jedynie cichym szlochaniem Sheeki w ramionach Obi-Wana.

Chikatlik u ich stóp wrzał. Teraz łatwiej było Obi-Wanowi zrozumieć jego oryginalną architekturę i rozpoznać, gdzie swoje piętno pozostawili pozaświatowcy. Rój wciąż żył. Będzie rósł i zmieniał się z czasem, jak każda żywa istota. Został prawie unicestwiony, ale przetrwał.

On, Kit i G'Mai Duris stali na moście, obserwując ruchliwe miasto w dole. Sztuczne prądy powietrza poruszały suknią Duris.

- Dziwne, tak tu sobie żyją jakby nigdy nic się nie wydarzyło rzekła.

- A co się zdarzyło?

- Debbikinowie, Por'Tenowie, mój kuzyn Quill, pół klanu Llitishi... wszyscy zostali starci z powierzchni ziemi. Resztki Rodów chaotycznie walczą o to, co zostało. A w tym czasie władzę przejęła rada roju. Ocalali pracownicy Cestus Cybernetics będą musieli teraz prowadzić czyste interesy. Właśnie dobiegło końca ich trzechsetletnie panowanie - mruknęła. - I chyba nikt tego nie zauważył. Wydaje się, że nikogo to nie obchodzi, nikt tego nie czuje, nie rozumie, że są wolni.

- A są? - zapytał Kit.

- Tak, Mistrzu Fisto. Są wolni na tyle, na ile sami się postarają.

- To co innego - odparł Obi-Wan i dodał po chwili: - Za to mają teraz godną szacunku przywódczynię. W całej tej ponurej sprawie jesteś jedyną osobą która mówiła prawdę, nawet swoim wrogom. G'Mai Duris, jesteś niezwykłą kobietą.

Skromnie spuściła oczy.

- Jesteś zbyt łaskawy. Cóż, Mistrzu Kenobi, przypuszczam, że jednak zwyciężyłeś. Postąpiłeś wspaniałomyślnie, pozwalając nam przyjąć pierwotne warunki wielkiego kanclerza. Dziwią się, że nie byłeś bardziej surowy. Nie jesteśmy w dobrej pozycji do negocjacji.

- A ze mnie żaden negocjator - uśmiechnął się Obi-Wan. - Nie czuję się dobrze w tej roli i bardzo chętnie się jej pozbędę. Regentko, żałują, że moje obowiązki zmusiły mnie do kłamstwa.

- Nie byliśmy przyjaciółmi, Mistrzu Kenobi. Twoje działania wynikały z konieczności. W świecie polityki prawda jest tylko jeszcze jedną rzeczą, którą się handluje.

- Więc chciałbym resztę życia spędzić między przyjaciółmi.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Mam nadzieję, że zawsze będziesz się uważał za naszego przyjaciela - odparła. - Mojego przyjaciela.

Urwała.

- No cóż - dodała po chwili - przejdźmy do interesów. Republika gwarantuje nam kontrakty na roboty serwisowe dla wojska. To da Cestusowi możliwość ustanowienia sieci serwisu i szkoleń na każdym świecie Republiki. - Zawiesiła głos. - Ale z ZJ już koniec. Jeśli kanclerz dotrzyma słowa, i tak będziemy bezpieczni.

- Sądzę, że waszą obecną sytuację można z powodzeniem nazwać dobrym startem.

- Dziękuję, Mistrzu Kenobi.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Chciałbym cię prosić o pewną uprzejmość - rzekł.

-Tak?

- Wielu ludzi oddało życie w walce - przypomniał. - Chciałbym amnestii dla ocalałych oraz dla tych, których wzięliście do niewoli. Żadnych pretensji. Niech wracają do swojego życia. Niech to będzie nowy początek. I jeszcze jedno...

-Tak?

- Niech pająki zostaną w jaskiniach. I tak mają niewiele miejsca.

- Przykro mi, że na Cestusie tyle było nieszczęść. Nasz rój popełnił wiele błędów... ale zrobię co się da, aby je naprawić.

Nadszedł wreszcie czas pożegnania Jedi. Pozostałe siły Pustynnego Wiatru po raz ostatni wypełniły jaskinię. Resta zaśpiewała im pieśń o odwadze Thaka Val Zsinga. Ściskali dłonie, salutowali, wymieniali uściski i ciepłe, miłe słowa. Pozostali żołnierze pakowali sprzęt do wahadłowca, który im przysłano na specjalne polecenie admirała Baraki.

- Mistrzu Kenobi? - zagadnęła Sheeka Tuli w chwili spokoju.

-Tak?

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Czy postąpiłam źle? - szepnęła. - Czy to było niewłaściwe i samolubne?

- O czym mówisz?

- Chciałam odzyskać coś, o czym sądziłam, że mi tego brakuje w życiu. Coś... kogoś, kto dawno temu był mi bliski.

- Próboweś go sprowadzić z powrotem?

Skinęła głową.

- Choć tyle mówię o życiu dniem dzisiejszym... Widzę teraz, że byłam okropną hipokrytką.

- Jak to?

- Obudziłam go, Mistrzu Kenobi. Mógł przeżyć życie, czując się spełniony, kompletny, w zgodzie z własnym przeznaczeniem.

Obi-Wan złożył palce.

- Wydawał mi się całkiem spełniony. Mówił jak człowiek, który przemierzył dalekie rubieże galaktyki tylko po to, żeby znaleźć się w domu.

- Czy ty tego nie widzisz? Wiedział, co powiedzieć. Wiedział, że zobaczę to jego przesłanie, że nie wróci. I powiedział to, żeby mnie pocieszyć. - Pokręciła głową. - Wiem, wiem, mówię jak głupia, może nawet jestem głupia... ale tylko trochę i tylko teraz.

Spojrzała na niego z desperacją.

Powiedz mi... powiedz mi, Jedi. Czy obudziłam go i przekonałam, że jego życie jest cenne, tylko po to, żeby je zaraz stracił? Kim ja jestem?

- Kobieta, która kiedyś kochała mężczyznę i próbowała pokochać go znowu.

Podniosła na niego twarz zalaną łzami.

- Żadne z nas nie panuje całkowicie nad swoim sercem - ciągnął Obi-Wan. - Robimy, co możemy, co chcemy i co musimy... prowadzeni przez etykę i odpowiedzialność. To czasem trudne zadanie.

- Czy kiedyś?... - zaczęła, niezdolna dokończyć.

- Tak - odparł i nie powiedział nic więcej.

Sheece Tuli to jedno słowo wystarczyło.

- A zatem - mówił dalej Obi-Wan - musisz być silna. Dla Jangotata, który, jak sądzę, dziękowałby ci za te chwile mądrości, które mu ofiarowałaś. Dla siebie samej, bo twoim jedynym grzechem jest miłość.

Podszedł bliżej i położył dłoń na jej płaskim brzuchu.

- I dla dziecka, które w sobie nosisz.

Zamrugła.

- Skąd wiesz?

Obi-Wan uśmiechnął się.

- Silny dzieciak. Będzie miał imię, a nie numer.

- Na pewno nie numer.

- Właśnie.

Stali w pustej jaskini. Węgorze odeszły. Co je do tego zmusiło? Trzęsienia ziemi? Plotki o wojnie? Nikt nie wiedział. Może kiedyś wrócą. Może nie. Ludzie nadużyli cennych darów, jakie im ofiarowano, więc teraz na równi z X'Tingami muszą czekać, aż Mentorzy się zastanowią. Tu właśnie, przez sto i więcej lat, z miłości oddawały to, co najcenniejsze: własne dzieci. Aby ich przyjaciele mogli żyć i prosperować. I dar ten omal ich nie zabił.

Lepiej, że odeszły.

Pomiędzy głazami ich drugiego obozowiska Obi-Wan i Kit uczestniczyli w ceremonii pochówku SOZ-ów. Była tak prosta, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Pozostała trójka wykopała płytki dół i delikatnie złożyła w nim ciało Jangotata. Każdy położył na nim garść piasku. Forry powiedział:

- Z wody się zrodziliśmy, w ogniu umrzemy. Jesteśmy nasieniem gwiazd.

Kiedy skończyli, Jedi pomogli im zbudować kamienny kurhan, wysoki i smukły, jak pojedynczy palec wskazujący w gwiazdy. Stali tak przez chwilę, spoglądając to na jaskinię, to na niebo, chłonąc widok tego miejsca, które tyle ich kosztowało.

A potem nie mieli tu już nic do roboty.

Więc odeszli.

Trillot przewracała się w łożu, pogrążona w nawracającej koszarnej wizji krwi i zniszczenia. Góry się przewracały. Planety eksplodowały. Przestrzeń międzygwiazdowa poczerniała od krwi.

Obudziła się nagle i z ulgą. To był tylko koszmar. Jeszcze jeden w nieskończonym strumieniu fantazji sennych...

Teraz widziała wyraźnie i uczucie ulgi natychmiast się ulotniło. Nad nią, bardziej materialna niż koszmar, stała Asajj Ventress.

- Wkroczyłeś w moje sny - rzekła. - Wiedziałam, że to zrobiłeś.

Jej miecz świetlny opadł.

W miejscu położonym o zaledwie trzydzieści kilometrów od ChikatLik dwaj strażnicy leżeli martwi w cieniu statku Ventress. Wsunęła miecz świetlny za pas, weszła na rampę i zaczęła sprawdzać przyrządy, szykując się do lotu.

- Obi-Wan - rzekła cicho. Chciała widzieć go martwym. Ale w wodzie, gdzie mogła pójść za nim w śmierć, on pozostał niewzruszony. Był...

Popatrzyła na swoje dłonie. Dlaczego drżały? To do niej niepodobne. Wiedziała, kim jest. Pościeliła sobie łóżko już dawno temu i była gotowa wyspać się w nim.

Asajj Ventress zajęła się setką drobnych czynności, niezbędnych w przygotowaniach do lotu. W połowie procedury zauważyła, że ręce przestały jej drżeć. Działanie. Tego właśnie było jej trzeba. Tego pragnęła. Przyjmie miażdżącą ironię hrabiego Dooku, a następnie zgłosi się do najniebezpieczniejszego zadania, jakie zdoła wymyślić generał Grievous. Nieważne, na jakiej to będzie planecie, w jakiej otchłani zniszczeń i ruin się pogrąży, znajdzie w niej oczyszczenie i pokój.

Ventress uniosła statek w chmury ponad ChikatLik i znikła.

Zza kamienia na zboczu, tuż za strefą lądowania Ventress, wychynął Fizzik, drząc na całym ciele. Najwyższy czas opuścić Cestusa. Ta planeta nagle stała się niezdrowym i niebezpiecznym miejscem. Gdyby tylko mógł wrócić do gniazda Trillot, z pewnością zdołałby położyć łapę na części jej kredytów, zanim jeszcze znajdą jej ciało.

Co prawda gdyby ciało odkryto, zanim Fizzik ucieknie, mogłoby nie być tak wesoło.

Co robić, co robić?

Brak odwagi oznacza biedę.

Fizzik zdecydował: zawsze był ubogi, ale nigdy dotąd nie był martwy i najchętniej pozostałby w tym stanie jeszcze przez długi czas.

Noc zapadła nad górami Dashta. Sheeka Tuli czekała, aż Jedi, SOZ i wszyscy inni odejdą, aby uklęknąć u stóp kurhanu Jangotata i pożegnać się raz jeszcze.

Podniosła wzrok, obserwując dwie smugi światła na niebie; to dwa całkiem odmienne statki kierowały się w przeciwne strony.

Dotknęła brzucha, wciąż płaskiego, lecz kryjącego dziecko. Ich dziecko. Jej i Jango.

Nie, nie Jango. Jango nigdy by nie zginął po to, by ratować obcych ludzi. Jangotat był innym człowiekiem. Lepszym.

Należał do niej.

Nazwisko, nie numer. Jangotat. A-Dziewięć-Osiem. Przysięgam.

PODZIĘKOWANIA

W 1977 roku, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem przelatujący na ekranie gwiazdny niszczyciel, nie miałem jeszcze na swoim koncie ani jednego opublikowanego słowa. Nigdy też nie napisałem żadnego odcinka dla telewizji. Po myśleć, że trzydzieści lat i dwa miliony słów później wnoszą swój własny udział do kanonu, który odurzył mój młody umysł.

Bardzo dziękuję ludziom z Lucasfilmu, z którymi spędziłem dwa cudowne dni na Skywalker Ranch, dopracowując szczegóły. Także Sue Rostoni z LucasLicensing i Shelly Shapiro z Del Rey, za to, że jako wydawca ufa pisarzom i daje im miejsce, by snuli swe marzenia.

Betsy Mitchell dziękuję, że dała mi szansę. Również mojej żonie, powieściopisarce Tananarive Due, za to, że zawsze przypominała mi o mojej odpowiedzialności, oraz córce Nicki, bo dodawała mi siłę.

Siostrzenicy Sharlene Chiyako Higa dziękuję, że pozwoliła wujkowi użyć swojego przezwiska dla pewnej małej, niebieskiej kulki.

Mojemu nowemu synowi, Jasonowi Kaiowi Due-Barnesowi, dziękuję bar dziej, niż sam może to sobie wyobrazić.

Dziękuję wszystkim fanom Gwiezdných Wojen, którzy kontaktowali się ze mną przez te miesiące, ofiarowując zachętę i entuzjazm. Zwłaszcza Andrew Liptakowi. To ty przypomniałeś mi, o co w tym wszystkim chodzi. I Adamowi Daggy 'emu za doskonały opis Jar-Jara.

Są jeszcze inni ludzie, którym chcę podziękować, i wiele jeszcze kamyków układanki zwanej pisaniem książki, lecz popełniłbym zbrodnię, gdybym nie wspomniał o panu Scotcie Sonnonie, który stworzył wspaniałą techniką Strumienia Ciała, a ja pożyczyłem ją sobie jako techniką wynalezioną przez Jedi. Jeśli na tej planecie jest jakaś sztuka wrażliwa na Moc, to na pewno praca tego człowieka. Techniką tą można znaleźć na www.rmax.tv.

W 1983 roku, w czasie przyjęcia dla ekipy Powrotu Jedi, na chwilę zetknąłem się z George'em Lucasem. Zaniemówiłem i zdołałem tylko wykrztusić, jak bardzo podobają mi się jego filmy. Mogłem powiedzieć mnóstwo innych rzeczy, a ponieważ mam nadzieję, że kiedyś przeczyta te słowa, dodaję:

Dziękuję za stworzenie wielkiego, uniwersalnego placu zabaw. Dziękuję za wykreowanie jednego z

najpopularniejszych mitów dwudziestego wieku, za dar, który zapewnił nam miliony cudownych godzin oglądania w krytycznych momentach historii świata, w czasach, kiedy być może bardziej niż kiedy indziej potrzebowaliśmy wiary w honor, poświęcenie, serce i tę specjalną magię, zwaną życiem.

Póki mi życia starczy, będę pamiętał chwilę, gdy Lukę Skywalker desperacko wlatuje w korytarz na Gwieździe Śmierci, a muzyka Johna Williamsa wznosi się na cudowne wyżyny akcji, widownia zaś traci głos, widząc pierwsze i nie zwykłe wejście Industrial Light and Magic. W tym zapierającym dech momencie, kiedy to pojedynczy człowiek zdawał się nie mieć sensu, celu ani znaczenia w ogromnym cybernetycznym wszechświecie, usłyszeliśmy szept Obi-Wana Kenobiego, że powinniśmy ufać swoim uczuciom.

Moc przepływa przez nas. Kontroluje nas, a my kontrolujemy ją. Tworzy ją życie. Jest potężniejsza niż każda Gwiazda Śmierci.

Setki milionów ludzi powiedziało „tak”, westchnęło i zaczęło bić brawo. Wracali do domu lub wyłączali magnetowid i czuli się odrobinę silniejsi niż przedtem, zanim zgasły światła i rozległa się fanfara Twentieth Century Fox.

Niemale dokonanie.

Niech Moc będzie z Panem, Panie Lucas.

I z nami. Zawsze.

Steven Barnes

Longview, Waszyngton

www.lifewrite.com

13 stycznia 2004

Spis treści

CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)
[ROZDZIAŁ 45](#)
[ROZDZIAŁ 46](#)
[ROZDZIAŁ 47](#)
[ROZDZIAŁ 48](#)
[ROZDZIAŁ 49](#)
[ROZDZIAŁ 50](#)
[ROZDZIAŁ 51](#)
[ROZDZIAŁ 52](#)
[ROZDZIAŁ 53](#)
[ROZDZIAŁ 54](#)
[ROZDZIAŁ 55](#)
[ROZDZIAŁ 56](#)
[ROZDZIAŁ 57](#)
[ROZDZIAŁ 58](#)
[ROZDZIAŁ 59](#)
[ROZDZIAŁ 60](#)
[ROZDZIAŁ 61](#)
[ROZDZIAŁ 62](#)
[ROZDZIAŁ 63](#)
[ROZDZIAŁ 64](#)
[ROZDZIAŁ 65](#)
[ROZDZIAŁ 66](#)
[ROZDZIAŁ 67](#)
[ROZDZIAŁ 68](#)
[ROZDZIAŁ 69](#)
[ROZDZIAŁ 70](#)
[ROZDZIAŁ 71](#)
[ROZDZIAŁ 72](#)
[ROZDZIAŁ 73](#)
[ROZDZIAŁ 74](#)
[ROZDZIAŁ 75](#)
[ROZDZIAŁ 76](#)
[ROZDZIAŁ 77](#)
[ROZDZIAŁ 78](#)
[ROZDZIAŁ 79](#)
[ROZDZIAŁ 80](#)
[ROZDZIAŁ 81](#)
[ROZDZIAŁ 82](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)